

MICHAEL C. GRUMLEY



PRZEŁOM

JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH OSIĄGNIĘĆ W HISTORII LUDZKOŚCI
SEKRET, KTÓRY MIAŁ NIGDY NIE WYJŚĆ NA JAW
KRYZYS, KTÓREGO NIE DA SIĘ POWSTRZYMAĆ



MICHAEL C. GRUMLEY

PRZEŁOM

OŚWIĘCIM 2018

Tytuł oryginału
Breakthrough
Copyright © 2013 by Michael C. Grumley
All rights reserved.
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2018
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:
Marta Słońska
Redakcja:
Paweł Gryzta
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-608-1

Skład wersji elektronicznej:
Marcin Kapusta

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

DEDYKACJA

Dla Autumn i Andrei, dwóch spośród najcudowniejszych kobiet, jakie nosiła ta Ziemia.

PODZIĘKOWANIA

Specjalne podziękowania dla Kelly Foster, mojej największej fanki.
Bez niej ta książka nigdy by nie powstała.
Dziękuję również Andrei, Mamie, Steve'owi, Richele, Jennifer, Danowi i Donowi
za ich korektę oraz cenne uwagi.

W głębinach Morza Karaibskiego, atomowy okręt podwodny w tajemniczych okolicznościach zostaje nagle zmuszony do przerywania swojej misji. Na jaw zaczynają wychodzić niezwykle fakty, a ich tropem śledczy John Clay dociera do niewielkiej grupy biologów morskich, która niepostrzeżenie znalazła się o krok od historycznego odkrycia.

Z pomocą potężnego systemu komputerowego, Alison Shaw i jej zespół szykują się do przetłumaczenia pierwszego dialogu z drugim pod względem inteligencji gatunkiem na kuli ziemskiej. Dowiadują się jednak od swoich delfinów znacznie więcej, niż kiedykolwiek się spodziewali, kiedy na dnie oceanu odkryty zostaje tajemniczy obiekt – obiekt, który nigdy nie miał zostać odnaleziony.

Alison była pewna, że już nigdy nie zaufa wojsku. Jednak kiedy nieznana grupa okazuje nagłe zainteresowanie jej pracą, Alison zdaje sobie sprawę, że John Clay to prawdopodobnie jedyna osoba, której może zaufać. Wspólnie muszą rozwiązać niebezpieczną łamigłówkę, a jej najbardziej przerażający element to trzęsienie ziemi na Antarktydzie.

Jakby tego było mało, ktoś z zewnątrz próbuje ich powstrzymać. Czas ucieka... a nasze pojmowanie świata niebawem zmieni się na zawsze.

1

Dobiegający go dźwięk był dziwny. Mężczyzna mocniej przycisnął słuchawki do uszu.

Operatorzy sonaru to szczególny typ ludzi. Niewiele jest osób, które byłyby w stanie dzień za dniem przesiadywać przed monitorem, walcząc z monotonią i nasłuchując najśłabszych dźwięków rozbrzmiewających w bezkresnych wodach oceanu. Jednak ci nieliczni, którzy byli do tego zdolni, z zaskoczeniem odkrywali jak bardzo ludzkie zmysły mogły się dostroić do otoczenia. Eugene Walker wolał obsługę sonaru od jakiejkolwiek innej pracy w marynarce. Tutaj słyszał *wszystko*. Nawet w tak nudną noc jak ta, wiedział dokładnie, co ich otaczało kiedy prześlizgiwali się cicho przez mroczne wody.

Tej nocy jednak wsłuchiwał się w coś dziwnego. Dźwięk dawał się słyszeć już od jakiegoś czasu, ale Walker nie potrafił go zidentyfikować. Wierząc się na krześle patrzył w monitor przed sobą, nasłuchując dziwnego odgłosu odbieranego przez komputer. Odtwarzał go raz za razem i wciąż nie udawało mu się dojść do żadnych wniosków. Ponoć niektórzy operatorzy byli tak dobrzy, że potrafili wykryć prąd przepływający przez rafę, ale oni spędzili na statkach całe życie. Walker nie słyszał prądów, chociaż zdarzało mu się wykrywać różne naturalne zjawiska, które umykały komputerowi. Ten dźwięk był jednak dziwny: jednostajny pomruk o niskiej częstotliwości, ledwo słyszalny dla człowieka.

Niecałe 4 metry za Walkerem stał komandor porucznik Sykes, czytając kolejny z wielu fascynujących raportów technicznych. Sykesa, jak większość, cechowała pedantyczna dbałość o szczegóły, ale nawet najlepsi dowódcy w końcu padali ofiarą nieubłaganej nudy jaką niosła ze sobą niezmienna rutyna. Podniósł kubek i pociągnął łyk ciepłej kawy, odpływając myślami do domu, żony i dziewczynek. Zastanawiał się, czy leżały już w łóżkach. Spojrzał z roztargnieniem na zegarek i przewrócił stronę, już tylko pobieżnie

przeoglądając raport w poszukiwaniu czegokolwiek wymagającego uwagi.

Odruchowo, kątem oka, zauważył że oficer nawigacyjny raz po raz spogląda to na przyrządy, to znów na blat stołu i elektroniczną mapę.

– Coś nie tak, Willie?

Willie Mendez przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Nie zgłaszało się problemu komandorowi, nie upewniwszy się uprzednio trzy razy.

– Mmm...

Sykes odwrócił się powoli, niechętnie odrywając wzrok od raportu, który teraz zlewał mu się przed oczami w bezładną mieszaninę słów.

Oficer przyjrzał się z bliska dużej, podświetlonej mapie znajdującej się między nimi.

– Wykrywam tu coś dziwnego, sir.

Sykes spojrzał na stół, po czym podniósł wzrok na inny monitor, od razu dostrzegając problem. Sprawdził wyznaczoną trasę i przeliczył. Zmarszczył brwi i spojrzał znów na młodego nawigatora.

– Ile razy sprawdzałeś?

– Cztery.

Sykes podrapał się po brodzie, podczas gdy Mendez mówił dalej.

– Kreśląc od ostatniej potwierdzonej pozycji byliśmy tutaj, dwie minuty temu. – Przybliżył widok, powiększając obraz na ekranie. Przy jego palcu wskazującym pojawiło się niewielkie kółko, obok którego wyświetlone były współrzędne GPS. Następnie przesunął palec dalej nad diagramem w tym samym kierunku. – A teraz według odczytów jesteśmy tu.

– W dwie minuty? – pytanie Sykesa było retoryczne. Potrząsnął głową i westchnął. 380 węzłów brzmiało nieco zbyt optymistycznie jak na atomowy okręt podwodny. Czyżby usterka? Nie była to ich pierwsza awaria komputera, o nie. Wiedział, że oprogramowanie napisane przez jakiegoś komputerowego maniaka nabuzowanego energetykami było o wiele bardziej zawodne niż tradycyjne, mechaniczne lub elektryczne systemy. Do diabła, teraz już nawet kucharze to wiedzieli. – Coś jeszcze nawala?

– Nie, sir.

– Sprawdź integralność obu systemów.

– Już się za to zabrałem, sir. – Wszystkie oczy zwróciły się ku ekranowi, który wyświetlał teraz wyniki testów. – Systemy nie wykazują żadnych nieprawidłowości.

Świetnie, zepsute oprogramowanie, które nawet nie wie, że jest zepsute.

Sykes przyjrzał się z bliska pomarańczowemu wyświetlaczowi GPS-a.

– Spróbuj zresynchronizować satelity.

Willie wykonał polecenie i odczekał jakiś czas. Zaczął powoli kręcić głową.

– Wygląda, że są w porządku. Mam pięć... teraz sześć. Wskazania z dokładnością do jednego metra i podają te same współrzędne.

Komandor porucznik nie odpowiedział. Pogrążony w myślach, nie odrywał wzroku od ekranu GPS-a.

Eugene wystawił głowę ze swojej klitki i zsunął słuchawki na szyję.

– Sir, przez ostatnie kilka minut odbierałem coś na sonarze. Jedno z drugim może mieć jakiś związek.

Sykes przeniósł wzrok na Eugene'a.

– Co tam masz?

– Nie okręt, sir. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałem.

Sykes założył drugą parę słuchawek, a Eugene puścił mu nagranie.

– Co to jest, do cholery?

Marszcząc brwi, Eugene przełączył sprzęt z powrotem na odbiór w czasie rzeczywistym i zamknął oczy.

– ...już zniknęło.

– Jakież domysły?

Eugene westchnął.

– Nie jestem pewien. Z początku myślałem, że to może kominy hydrotermalne, ale to nie to. – Patrzył, jak Sykes przenosi spojrzenie z powrotem na Williego i wraca do stołu. Po dłuższej chwili milczenia, z wymuszonym opanowaniem odstawił kubek. Wyszedł z pomieszczenia przez właz i ruszył długim korytarzem z pomalowanego na szaro metalu.

– Że też, cholera, akurat teraz.

Komandor Ashman na pukanie do drzwi odpowiedział krótkim „Wejść”. Sykes przekroczył próg, ledwie mijając głową rury na suficie.

– O co chodzi? – komandor nie musiał podnosić głowy znad czytanych papierów, żeby wiedzieć, kim był jego gość.

– Sir, wygląda na to, że mamy problemy z systemem nawigacyjnym. Podaje naszą pozycję o jakieś piętnaście mil za daleko.

Ashman podniósł wzrok.

– Piętnaście mil?

– Tak, sir.

– Zrobiliście testy?

Sykes skinął głową.

– Tak, sir, zgodnie z procedurą, ale nie udało się znaleźć żadnych problemów.

Ashman lekko postukał palcem w zaciśnięte wargi.

– Czy to możliwe, że poruszamy się z niewłaściwą prędkością?

– Nie, sir. Systemy napędowe są idealnie zsynchronizowane. Tylko nasza pozycja się nie zgadza. Podejrzewam, że to jakiś zły odczyt GPS, ale nie możemy tego zweryfikować, chyba że...

– Jeśli się wynurzymy, będzie to oznaczało przerwanie misji – powiedział Ashman ostrym tonem. – Czy ktoś aktualizował nasze systemy, zanim wypłynęliśmy?

– Nic mi o tym nie wiadomo, sir.

– Jeśli dowiem się, że ktoś był na tyle głupi, żeby aktualizować cokolwiek przed czteromiesięczną misją, osobiście odprowadzę go do celu!

– Tak, sir!

Komandor wziął głęboki oddech. Nieważne, czy ktoś aktualizował system, czy też nie, i tak nie działał prawidłowo i tu, na miejscu, prawdopodobnie nie dało się go naprawić. A nawet jeśli, sytuacja i tak byłaby na tyle niepewna, że należałoby przerwać misję. Nikt nie zaryzykowałby dalszej żeglugi z perspektywą, że wystąpią problemy na większej głębokości. Stamtąd nie dałoby się tak po prostu wynurzyć.

– Pomów z inżynierami i upewnij się, że nikt niczego nie zmieniał.

Sykes skinął głową. Spodziewał się takiego rozkazu, jeszcze zanim zapukał do drzwi komandora. Ashman wstał.

– Daj rozkaz wynurzenia. Powiedz im, że wracamy.

Zbliżając się z powrotem do mostka, Sykes zaczął mieć złe przeczucia.

2

Kajmany zostały odkryte przez Krzysztofa Kolumba w 1503 roku. Nazwane Las Tortugas z powodu licznych morskich żółwi, wyspy przez wieki pozostawały pojedynczą kolonią, dopóki nie stały się oficjalnym terytorium brytyjskim pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku. Jak zwykle w przypadku Wysp Karaibskich, gospodarka Kajmanów opierała się głównie na turystyce. Wyspy były regularnie zalewane przez tysiące spalonych słońcem Amerykanów z nadwagą, nadmiarem pieniędzy i zamiłowaniem do drzemek. Większość gości, którzy przybywali do Georgetown i wyruszali na poszukiwanie przygód w lśniących wynajętych samochodach z klimatyzacją, nie zdołałaby się dopatrzeć pozostałości zniszczeń wyrządzonych przez huragan zaledwie kilka lat wcześniej. Prace postępowały zdumiewająco szybko, kiedy w grę wchodziły zyski.

Choć blisko dwunastometrowy katamaran daleko na oceanie był niewidoczny z wyspy, z jego pokładu dało się jednak – aczkolwiek z trudem – dostrzec Georgetown. Zakotwiczona bliżej Małego Kajmanu łódź kołysała się biernie na falach, przechylając z jednego boku na drugi akurat na tyle, żeby od czasu do czasu leniwie uderzyć falem o aluminiowy maszt. Ciepła zimowa bryza przepływała łagodnie między linami i ponad ciasno zwiniętymi żaglami. Z bliska, nie dopatrzysz się żywej duszy, obserwator mógłby wziąć statek za opuszczony. Jedynymi tak bliskimi sąsiadami były jednak mewy, z których dwie umościły się wygodnie na lewej burcie.

Krystalicznie niebieska woda w pobliżu zaczęła powoli się burzyć, a na zmaconej powierzchni pojawił się krąg bąbelków. Chwilę później ciemna głowa wynurzyła się spod wody i rozejrzała dookoła. Dostrzegłszy rufę łodzi, mężczyzna szybko uniósł maskę, odsłaniając krótkie włosy, i popłynął przed siebie. Kiedy dotarł do niewielkiej drabinki, lekkim ruchem wrzucił maskę i rurkę na pokład i, z zaskakującą łatwością, szybko wysunął górną część ciała z wody, pozwalając nogom odnaleźć szczeble. Sięgnął w dół i odpiął

obie płetwy, po czym jednym ruchem wrzucił je na górę i chwycił ręcznik.

Wyjął z niewielkiej lodówki butelkę soku pomarańczowego i poszedł odpocząć na trampolinie. Spoglądając w stronę większej wyspy, dostrzegł w oddali drobną sylwetkę skutera mknącego po wodzie. Zdumiewało go, jak wielu ludzi uwielbiało hałas. Twierdzą, że potrzebują przerwy od codziennej harówki, wyjeżdżają na odludzie, żeby się odprężyć, a potem robią zakupy wśród tysięcy innych turystów albo zasuwiają przez zatokę na rakiemie wydającej huk rzędu 80 decybeli. Uśmiechnął się do siebie i skinął butelką soku w stronę skutera.

Co kto lubi, pomyślał. W sumie to powinien się cieszyć. Gdyby ten ktoś nie był tam, gdzie jest, prawdopodobnie byłby tu gdzie on. Z tą myślą wstał i mrużąc oczy wpatrzył się w migoczący horyzont. Konieczność decydowania, jak spędzić każdy kolejny dzień – takie problemy mu odpowiadały.

Nagle jego ciało zeszywniało. Dźwięk był ledwie słyszalny, ale nie dało się go pomylić z niczym innym. Ponuro godząc się z losem, sięgnął po lornetkę. Wytrzeł wodę z twarzy i spojrział przez soczewki. Stał tak, ze stoickim spokojem obserwując jak mała czarna kropka w oddali powoli rośnie i przybiera rozpoznawalny kształt helikoptera.

3

Chrisa Ramireza zawsze zaskakiwało, jak duży ruch panował w piątki. Obstawiałby raczej sobotę albo niedzielę, a tymczasem najwięcej pracy było zawsze w ostatni dzień szkolnego tygodnia. Zawdzięczali to wszystkim pobliskim szkołom i organizowanym przez nie wycieczkom, które ktoś musiał oprowadzać po przybytku przez cztery wyczerpujące godziny. Chris został w końcu zwolniony z tego obowiązku zaledwie trzy tygodnie wcześniej, kiedy zatrudniono nowego przewodnika. Musiał oczywiście przyznać, że oprowadzanie wycieczek szkolnych nie było takie złe; przeszkadzał mu tylko fakt, że poziom koncentracji u dzieci spadał do zera z chwilą przekroczenia drzwi wejściowych. Od progu widać było główną atrakcję akwarium – delfiny o imionach Dirk i Sally. Nie żeby on zareagował inaczej, gdyby był w ich wieku.

Popijając kawę, wolnym krokiem przeszedł przez pusty hol. Kiedy zbliżył się do punktu informacyjnego, posłał uśmiech w stronę stojącej za ladą Betty oraz jej zastępcy, Ala, który patrzył właśnie w swój terminarz i wygładzał krawat. Jakże piękne były te nowe piątki, teraz kiedy mógł już wrócić do swojej prawdziwej pracy.

Chris spojrzał na zegarek; pół godziny do otwarcia. Ruszył schodami na dolny poziom głównego akwarium, gdzie przystanął przed ogromną szklaną ścianą, odgradzającą go od blisko czterech megalitrów wody. Po drugiej stronie łagodne słoneczne promienie rozświetlały już toń przez otwartą pokrywę zbiornika, nadając jej lekko niebieski odcień. Patrzył, jak dwa cienie bez wysiłku przemykają w tę i z powrotem poprzez promienie światła. Delfiny pływały z wdziękiem, do jakiego tylko one były zdolne. Podniósł wzrok na trzeci kształt. Ten pomachał do niego, na co Chris uśmiechnął się i odpowiedział unosząc lekko kubek z kawą. Postać odwróciła się i odpłynęła z powrotem w stronę Dirka i Sally. Chris przeszedł korytarzem do prywatnych pomieszczeń akwarium i rzucił plecak na biurko.

Mało kto byłby w stanie sobie wyobrazić, jak to jest pływać z delfinami – a ona coś o tym wiedziała, bo pływała z nimi, kiedy tylko mogła. Rzadko opuszczała piątki, gdyż był to jedyny dzień, kiedy akwarium otwierano później niż zwykle, co pozostawiało czterdzieści pięć minut okienka pomiędzy czasem karmienia a otwarciem. Było więcej niż oczywiste, że w ciągu ostatnich pięciu lat Dirk i Sally szczególnie polubiły to wspólne pływanie. Delfiny wciąż kręciły się wokół niej, pozwalając głaskać swoje śliskie ciała, a same z kolei trącały ją żartobliwie, ilekroć pod nią przepływały. Spojrzała na zegarek, poklepała zwierzaki po raz ostatni i skierowała się w stronę drabinki.

Alison Shaw wypłynęła i przytrzymując się poręczy przedmuchała maskę. Zauważyła szybko nadchodzącą, zniekształconą sylwetkę i spojrzała w górę, zdejmując zamglone gogle. Zobaczyła nad sobą Chrisa, spoglądającego na nią z uśmiechem.

– Czy ty dopiero co nie byłeś na dole? – zapytała, odgarniając włosy z oczu.

Nie odpowiedział.

Alison jeszcze raz spojrzała w górę, mrużąc oczy.

– Coś nie tak?

Chris wciąż uśmiechał się szeroko.

– Czemu się tak szczerzysz?

Pochylił się.

– Chyba będziesz chciała to zobaczyć.

Gwałtownie otworzyła oczy.

– IMIS?

Chris chwycił jej dłoń, jedną ręką wyciągając kobietę z wody, a drugą podając jej ręcznik. Wyszła na brzeg, szybko się wytarła i wyciągnęła z torby bluzkę z długim rękawem oraz krótkie spodenki. Przyjaźniła się z Chrisem od lat, ale wciąż zdarzało mu się rzucać przelotne spojrzenia na jej zgrabną sylwetkę. Choć mierzyła kilka centymetrów poniżej normy, wciąż mocno się wyróżniała na tle innych kobiet w swoim fachu. W pośpiechu założyła sandały i pobiegła z Chrisem przez taras widokowy w stronę budynku.

Wpadli do pomieszczeń badawczych, gdzie zastali Lee Kenwooda na jego zwykłym stanowisku – przy wielkim biurku zastawionym monitorami i klawiaturami, których kable wiły się po całej podłodze (Alison zawsze wyobrażała sobie, że tak wyglądają najgłębsze zakamarki firmy

telekomunikacyjnej). Pod ścianą za plecami Lee stało kilka wysokich metalowych regałów, z których każdy mieścił tuziny płaskich urządzeń – serwerów komputerowych. W centralnej części jednego ze środkowych regałów stały monitor, klawiatury i mysz, umożliwiające ręczne sterowanie dowolną z maszyn, chociaż teraz rzadko już zachodziła taka potrzeba. Mając tyle systemów na swoim biurku, Lee mógł z łatwością łączyć się z serwerami zdalnie.

Ściana naprzeciwko serwerów stanowiła część zbiornika dla delfinów. Wykonana była z przejrzystego szkła, umożliwiającego optymalną widoczność na potrzeby badań. Przed grubą szklaną taflą stało sześć mechanicznych urządzeń o różnej wysokości i stopniu skomplikowania – każde z nich zwieńczone cyfrową kamerą wideo. W całym pomieszczeniu można się było doliczyć kilku tuzinów książek i periodyków na tematy sięgające od biologii morskiej, przez analizę językową, aż po programowanie w rozmaitych językach komputerowych.

Alison znalazła się przy biurku Lee zanim jeszcze jej mokra torba zdążyła upaść na wykładzinę.

– Co się dzieje?

Lee spojrzał na Chrisa przez okulary w prostokątnych oprawkach.

– Nie powiedziałeś jej?

Wcisnęła się przed ekran.

– O czym? O co chodzi?!

Lekko odepchnął się od biurka, usuwając się z drogi, aby Alison mogła spojrzeć z bliska.

– Wygląda na to, że wszystko gotowe.

– Jesteś pewien?! – spytała, przenosząc wzrok na zbiornik. Widziała Dirka i Sally na jego przeciwległym krańcu, oczekujące na pierwszą falę dzieci.

Kenwood wyszczerzył zęby.

– Praktycznie tak. – Przysunął się z powrotem i kliknął myszą, przywołując na ekran kolumny wypełnione różnymi liczbami i wynikami.

– O, widzisz... Częstotliwości... Zakresy oktaw... Punkty przegięcia...

– A interwały między trzaskami i częstotliwość powtarzania? – Z przejęciem przeszukiwała wzrokiem wielki monitor.

– Są tutaj. I dla każdego z nich mamy wiele nagrań wideo.

Za ich plecami do pokoju wpadł Frank Dubois.

– Właśnie dostałem wiadomość. Co się dzieje? – Zanim skończył

wymawiać ostatnie słowo, zdał sobie sprawę, że nie potrzebuje odpowiedzi. Wyraz twarzy pozostałych mówił wszystko. – Powiedz, że to mamy.

– Mamy, mamy, kapitanie – odparł Lee z szerokim uśmiechem. Wskazał palcem ekran, a Dubois pochylił się ku niemu pomiędzy Chrisem i Alison. – Wszystkie zmienne zidentyfikowane. Patrzcie, jeśli dodać je do siebie, wychodzi liczba prawie identyczna z tą podaną przy nagraniach wideo, podzieloną przez trzy. – Kliknął na inny przycisk i na ekranie pojawił się dziennik systemu. – I patrzcie na to; jest napisane, że ostatnia zmienna została znaleziona prawie dwa miesiące temu, więc od tamtej pory nie wystąpiły żadne nowe zachowania ani dźwięki. – Odchylił się do tyłu i, zadowolony z siebie, skinął głową. – Koperta zaklejona i ostemplowana!

Alison uśmiechnęła się. Lee zawsze lubił kreatywnie dobierać słowa.

– Rozumiem, że już dzwoniłeś do IBM?

Lee przytaknął.

– Dzwoniłem. Przyjadą to sprawdzić.

Teraz to Chris odwrócił się, by spojrzeć na delfiny.

– Kto przyjedzie?

Lee uśmiechnął się.

– No... wszyscy.

– Fantastycznie. – Dubois odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. – Muszę zatelefonować. Jesteś dzisiaj zajęta, Ali?

Roześmiała się.

– Żartujesz?

– Dobrze, kiedy już zejdziesz z obłoków, może mogłabyś poświęcić kilka minut... ktoś będzie musiał nam napisać komunikat dla prasy. – To rzekłszy puścił drzwi, które się za nim zatrzasnęły.

4

Srebrne drzwi otwały się i John Clay wyszedł z przesadnie dużej windy. Natychmiast skręcił w prawo, w długi, biały korytarz w pierścieniu D Pentagonu. Admirał Langford, spostrzegłszy go z odległego krańca holu, przerwał rozmowę z innym oficerem. Podeszedł przywitać Claya i podał mu gruby folder.

- Wybacz, Clay. - Admirał był o kilka cali niższy od swojego rozmówcy, ale chodził wyprostowany na baczność. Miał w sobie wyrazistość, która zawsze sprawiała, że Clay czuł się, jakby musiał zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć. Poznali się kilka lat wcześniej, kiedy admirał Langford przejął dowodzenie nad wydziałem. Służył pod nim od tamtej pory.

Dostosowując krok do Langforda, Clay otworzył folder i przebiegł wzrokiem pierwszą stronę.

- Błąd komputera, sir?

- Wygląda na to, że jednak coś więcej - odparł spokojnie Langford. - Zostało z początku zgłoszone jako błąd, ale nie możemy go odtworzyć - skinął głową przechodzącej obok kobiecie. - System nawigacyjny działał bez zarzutu, odkąd okręt wypłynął z portu, aż tu nagle znaleźli się o piętnaście mil dalej niż wynikałoby to z obranego kursu.

Clay starał się nadążyć, przerzucając kilka kartek wypełnionych, zdawałoby się przypadkowym, kodem komputerowym.

- Jakaś zmiana kierunku?

- Żadnej. Ten sam kurs, ale o piętnaście mil dalej. - Langford widział, jak problem nabiera kształtu w głowie podwładnego.

Clay był jednym z najlepszych analityków, jakimi admirał kiedykolwiek dysponował. Miał umysł ostry jak brzytwa. Langford nigdy nie musiał mu niczego dwa razy powtarzać.

- W takim razie można chyba wykluczyć dryf i prądy poprzeczne. Mogłoby być coś z silnikami, gdyby chodziło o jeden ze starszych okrętów,

ale nowa klasa prędkość też mierzy w oparciu o GPS. Może problem z satelitą?

Skręcili i ruszyli kolejnym korytarzem, udekorowanym portretami byłych oficerów.

- Też tak myślałem, ale na razie nie mamy żadnych innych zgłoszeń.

Clay nieświadomie odezwał się na głos.

- Wszystkie te satelity są półsynchroniczne. Odbiornik GPS nigdy nie jest na stałe powiązany z tymi samymi sześcioma sygnałami. To znaczy, że teraz...

- Każdy z nich jest częścią innego zestawu. - Langford wyjął kartę dostępu i przeciągnął ją przez czytnik znajdujący się obok metalowych drzwi oznaczonych dużymi niebieskimi literami WŚM. - Zidentyfikowaliśmy wszystkie zestawy, z których Alabama korzystała przez cały ten tydzień i sprawdziliśmy każdy z osobna. Nic. - Langford otworzył wielkie drzwi. - A jak wycieczka?

- Krótka, sir.

- Wynagrodzę ci to.

Wydział Śledczy Marynarki był pokaźnych rozmiarów i zajmował znaczną część pierwszego piętra Pentagonu, od pierścienia A do pierścienia E po zachodniej stronie. Liczący kilkuset pracowników, w większości wyspecjalizowanych w kwestiach prawnych i personalnych, wydział rozrastał się w wyniku zmiękczenia polityki wojska. Ilość spraw związanych z personelem, jak na przykład dotyczących molestowania, wzrosła gwałtownie w przeciągu ostatnich kilku lat w związku z podejmowanymi przez wojsko wysiłkami, aby sprostać oczekiwaniom dwudziestego pierwszego wieku. W porównaniu do działu prawnego i służb kadrowych, grupa zajmująca się kwestiami technicznymi była niewielka, a zespół Claya jeszcze mniejszy. Elektronika i łączność to specjalizacja zrozumiała dla niewielu, a u jeszcze mniej licznych wzbudzająca zainteresowanie. Nawet wysoko postawieni oficerowie, którzy byli często największymi zwolennikami korzystania z dobrodziejstw technologii, nie chcieli tak naprawdę wiedzieć jak. Chcieli tylko, żeby wszystko działało tak, jak powinno. Zespół Claya często musiał dochodzić, dlaczego urządzenia nie działają, gdzie doszło do awarii i z jakiego powodu. Wymagało to specjalistycznej wiedzy z zakresu różnorodnych technologii, takich jak projekty układów komputerowych, funkcjonowanie sieci czy łączność, a

także dogłębnej znajomości widma elektromagnetycznego.

Clay skręcił za róg i minął kilka biur. Kiedy otworzył drzwi własnego gabinetu i wszedł do środka, jego asystentka, Jennifer, najwyraźniej już na niego czekała.

- Cześć, John - powiedziała, odkładając słuchawkę telefonu. - Jak było na Kajmanach?

- Nie spodobałoby ci się - minął ją z uśmiechem, wchodząc do biura. - Żadnych reality show.

Również się uśmiechnęła i podała mu kolejny folder.

- W takim razie skreślę Kajmany z mojej listy. - Jennifer rozłożyła zawartość teczki, odkładając na bok stosik przeznaczonych dla niego wiadomości. Clay obrzucił papiery zniechęconym spojrzeniem.

- To wszystko z tych trzech dni?

- Jesteś rozchwytywany. - Przekartkowała dla niego zawartość folderu. Wyciągnęła kilka dokumentów spod spodu. - A te musisz podpisać.

- Co ja bym bez ciebie zrobił?

- Och, przestań. Jeszcze zrobi się zarozumiała. - Oboje podnieśli wzrok i zobaczyli Steve'a Caesare stojącego w drzwiach z uśmiechem na twarzy. Wysoki na metr osiemdziesiąt, z odpowiednio ciemnymi włosami i wąsem, był stuprocentowym Włochem - ale bez powiązań z mafią, a przynajmniej tak twierdził. Caesare i Clay poznali się na samym początku ich trwającej już dwadzieścia dwa lata służby i szybko nawiązali przyjaźń. Przepracowali większość tego czasu razem - w kilku różnych sekcjach.

Jennifer uśmiechnęła się i wyszła, dając mu po drodze prztyczka w ramię.

Steve wszedł do środka i usiadł na krześle po drugiej stronie biurka Johna.

- Nasze urlopy stają się coraz krótsze i krótsze. Niedługo nie będą dłuższe niż przerwy na lunch.

Clay rzucił folder Langforda na biurko i opadł na krzesło, odwracając się w stronę Caesare.

- Masz szczęście, że nie pojechałeś ze mną. Im krótszy urlop, tym bardziej przygnębiający powrót. - Odetchnął głęboko. - Przypomnij mi, czemu to robimy? Chodzi o miłość do ojczyzny, czy coś w tym stylu?

- O dziewczyny.

- Langford rozmawiał już z tobą o Alabamie?

- Tak, to ja dałem mu rano ten folder. - Caesare wyciągnął nogi przed siebie i opadł plecami na oparcie. - Dziwna sprawa. Jeszcze nigdy czegoś

takiego nie widziałem. Pewnie to żadna sensacja, ale chcą się z tym szybko uporać i wrócić do pracy zanim załoga zapadnie w letarg. Pracowaliśmy z ich technikami i drobiazgowo wszystko przeczesałiśmy.

- Coś znaleźliście?

- Jeszcze nie. Właśnie zabieramy się do sprawdzania kabli.

Clay westchnął i pochylił się do przodu, otwierając folder dotyczący Alabamy.

- Czy w pobliżu były jakieś inne okręty korzystające z tych samych satelitów?

Caesare pokręcił głową.

- Nie, najbliższy statek korzystał tylko z czterech spośród nich, a to za mało, żeby móc porównywać... - Przerwał mu dzwonek telefonu komórkowego. Zanim odebrał spojrzał na numer. - Hej, jakieś wieści? Dobra, zaraz tam będę. - Rozłączył się i wstał. - Borger może coś ma.

Will Borger stanowił istny relikwiarz pokolenia hipisów, choć technicznie rzecz biorąc był o kilka lat za młody, żeby faktycznie się do niego zaliczać. Swoje długie włosy wiązał w koński ogon, prawdopodobnie chcąc zrekompensować ich niedobór na czubku głowy. Zwykle nosił okrągłe okulary i luźne hawajskie koszule. Był typowym przykładem starego komputerowca; Clay i Caesare za nim przepadali.

Obaj weszli do laboratorium wypełnionego sprzętem komputerowym i satelitarnym, niekiedy tak skomplikowanym, że nawet oni ledwie potrafili go rozpoznać. Większość półek oplatał gąszcz drutów i kabli łączących dziesiątki monitorów, komputerów, oscyloskopów i wzmacniaczy. Clay szacował, że Borger miał w swoim biurze ilość przewodów koncentrycznych wystarczającą do założenia stacji telewizyjnej. Na drewnianym biurku, wciśniętym w kąt pomieszczenia pod starą lampą, leżał niemal tuzin klawiatur, niektóre jedna na drugiej.

Borger stał nieopodal, pochylony nad stołem w całości zakrytym wielką, biało-czerwoną mapą. Oderwał wzrok od blatu i uniósł brwi.

- Cześć, Clay. Nie wiedziałem, że wróciłeś.

- Taa, prawie jakbym w ogóle nie wyjeżdżał.

- Aaa, pewnie wezwali cię z powrotem do Alabamy. Podobno chcą to

ogarnąć i wrócić na morze w przyszłym tygodniu.

Caesare zerknął na mapę.

- Co to?

- Ziemia. A przynajmniej jej część. Skończyłem test obciążeniowy satelitów i niczego nie znalazłem, więc postanowiłem przyjrzeć się współrzędnym używając nowego satelity Jason-2.

Clay słyszał o nim. Model ten zajął miejsce swojego poprzednika, Jason-1, który z kolei zastąpił TOPEX/Poseidon, pierwszego satelitę przeznaczonego do badania pola magnetycznego planety. Te wczesne misje zmieniły sposób, w jaki projektowało się układy komputerowe dla satelitów i znacząco zwiększyły ich odporność na wysokie dawki promieniowania słonecznego, powodując w efekcie rozkwit przemysłu satelitarnego. Ale choć pierwsze dwa modele dostarczyły mnóstwo informacji, dopiero Jason-2 dysponował na tyle czułymi przyrządami, by wykrywać pola bliżej powierzchni. Clay pamiętał, że jego wystrzelenie wywołało duże podekscytowanie wśród społeczności naukowej.

Borger kontynuował.

- Potrwa jeszcze kilka lat, zanim mapy zostaną dokończone, ale ze względu na jego orbitę startową jako pierwszy mapowany był równik - w tym Karaiby, tam, gdzie Alabama zgłosiła problem.

Podeszli bliżej.

- I co?

- No więc tak... tutaj jest reszta równika, a tutaj obszar wokół Bimini - powiedział, wskazując duży, przyciemniony okrąg. - Według J-2 wygląda na to, że poziom magnetyzmu jest tu bardzo wysoki.

- Czy jest możliwe, że to przypadek? Może instrumenty nie są jeszcze skalibrowane.

Borger pokręcił głową i przejechał dłonią po pozostałej części mapy, żeby ją wygładzić.

- Nie sądzę. Jak widzicie, reszta pomiarów jest prawidłowa. To musiały być wyjątkowy zbieg okoliczności, żeby błąd wystąpił akurat tutaj. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dno morskie ma tu niezwykle dużą zawartość żelaza.

Clay podniósł wzrok.

- Ale to nie powinno wpływać na GPS.

- Samo w sobie może nie, ale przez cały miesiąc mieliśmy rozbłąski

słoneczne, a wiadomo, że one potrafią zaburzyć działanie wielu rzeczy, szczególnie satelitów. Rozbłyski w dniu, kiedy Alabama napotkała problem, były co prawda nieduże, ale w obszarze z wysoką koncentracją żelaza jonizacja mogła sprawić, że satelity nie mogły precyzyjnie namierzyć pozycji okrętu.

- Jak długo trwały rozbłyski tamtego dnia?

- Chyba z sześć czy siedem godzin. Musiałbym sprawdzić.

Clay wstał i w zamyśleniu postukał się palcem w brodę.

- Więc jeśli to rozbłyski były przyczyną, można się spodziewać nieścisłości w danych z okrętu poprzedzających wydarzenie o sześć albo siedem godzin?

- Zapewne. - Borger skinął głową. - Ale to mogą być bardzo subtelne nieścisłości, zależy jak blisko tego obszaru się znajdowali i dokąd się kierowali.

Clay przeniósł wzrok na Borgera.

- Możesz sprawdzić, jak długo dokładnie trwały rozbłyski?

Następnie zwrócił się do Caesare.

- Ściągamy dane z całego dnia.

Cztery godziny później Caesare wszedł i upuścił gruby plik papierów na biurko Claya.

- Pełny zapis dziennika Alabamy z trzydziestego pierwszego. Łączność, nawigacja, napęd... wszystko oprócz okrętowego menu.

- I co?

Caesare potrząsnął głową.

- I nic. Ani jednej rozbieżności. I muszę ci powiedzieć, że to okropnie nudna lektura.

Clay przekartkował stos papieru.

- Borger mówi, że rozbłyski trwały prawie osiem godzin z przerwami. Coś jeszcze od technicznych?

- Nie. Wciąż sprawdzają kable, ale nie spodziewam się, żeby coś znaleźli.

Obaj wiedzieli, że sprawdzanie okablowania było właściwie formalnością, wykonywaną jedynie dla pewności, że nic nie zostało pominięte. Instalacja i izolacja na takich okrętach były wykonane bardzo skrupulatnie; rzadko kiedy

zdarzało się, żeby to okablowanie stanowiło przyczynę problemu. Clay odepchnął krzesło do tyłu i po dłuższej chwili w końcu potrząsnął głową.

- Cóż, cokolwiek to było, nie chodziło o rozbłyski słoneczne ani problemy z systemem.

- O okablowanie też nie - dodał Cesare, opierając się o framugę drzwi. - Wychodzimy?

Clay skinął głową.

5

Alison popijała herbatę, wpatrzona uważnie w ekran. Zaraz miało się zacząć; niemal była w stanie usłyszeć, jak wali jej serce.

„Czym się tak stresujesz? - zapytała samą siebie w duchu. - Myślałby kto, że to ty masz wystąpić w telewizji”.

Rzadko się denerwowała, o ile jej obecny stan w ogóle dało się określić tym słowem. Najbliżej było mu do podekscytowania. Jej komunikat prasowy trafił do dziesiątek gazet i programów informacyjnych, a wszystkie z nich liczyły na wywiad. W najśmielszych snach nie spodziewała się takiego odzewu, choć biorąc pod uwagę postępy, jakie ostatnio poczynili, może nie powinna się tak dziwić.

Zaskakujące było raczej to, że znaleźli się w telewizji i to tak prędko. Zaledwie trzy dni po publikacji komunikatu zadzwoniono do nich z NBC, zapraszając Dubois do udziału w poniedziałkowym programie. Poprzednie doniesienia, co prawda nie tak ekscytujące, trafiały jedynie do lokalnych gazet. Coś w ich ostatnich nowinach musiało wzbudzić czyjąś uwagę. Alison zastanawiała się, czyją. Oby był to jakiś bogaty przedsiębiorca chcący rozreklamować nowy produkt albo popisać się swoim bogactwem.

Chris Ramirez, również z kubkiem w dłoni, podszedł i spojrzał na zegarek.

- Jeszcze się nie zaczęło?

Pokręciła głową i szarpnęła parę razy za sznurek od torebki z herbatą.

- Wiesz, że powinnaś była z nim pojechać - powiedział, ostrożnie pociągając łyk.

Alison znów pokręciła głową.

- Nie. On jest lepszy w takich rzeczach.

- Prawda - stwierdził Chris, wzruszając ramionami. - To na pewno nie ma nic wspólnego z tym, że uwielbia być w centrum uwagi.

Podniosła kubek do ust, żeby ukryć uśmiech.

Nagle ekran wypełniła twarz Matta Lewisa, a z głośników popłynęły jego

słowa, ledwie słyszalne dopóki Lee nie pogłośnił.

- Zaczyna się!

- ...w Akwarium Miejskim w Miami, gdzie zespół biologów morskich stara się osiągnąć coś niewyobrażalnego - nawiązać kontakt z innym gatunkiem. Jest tu ze mną dzisiaj Frank Dubois, zarządzający centrum i prowadzonymi tam badaniami. Witam, doktorze Dubois.

- Dziękuję, Matt. - Twarz Franka pojawiła się na ekranie, a Chris i Lee wydali okrzyk. Wyglądał dobrze, jakby przed kamerą czuł się komfortowo, o wiele lepiej niż oni prezentowaliby się na jego miejscu.

- Muszę powiedzieć, doktorze, że to naprawdę ekscytujące. Nie miałem pojęcia, że w akwarium są prowadzone takie badania. Jak to wszystko się zaczęło?

Frank błysnął swoim idealnym uśmiechem i wzruszył skromnie ramionami. Był stworzony do takich wystąpień.

- Sam pomysł nie jest taki nowy, ale technologia niezbędna do jego realizacji stała się dostępna dopiero bardzo niedawno. Zaczęliśmy od niewielkiego grantu, a w końcu zainteresowanie naszym przedsięwzięciem wzrosło na tyle, że mogliśmy opłacić kilka etatów. Prawdę mówiąc, przez pierwsze dwa lata znaczna część badań była prowadzona nieodpłatnie przez naszą starszą badaczkę, Alison Shaw.

Lee Kenwood pochylił się nad Alison i szturchnął ją przyjacielsko.

- Dobrze jest, Ali.

- To cud - wymamrotał pod nosem Chris.

- Przestańcie! - Zarumieniła się i z powrotem wbiła wzrok w ekran. Przyjmowanie komplementów nie było jej mocną stroną.

Na ekranie Lewis ciągnął dalej.

- Proszę mi opowiedzieć o tym systemie IMIS.

- To system obliczeń rozproszonych, co oznacza, że rozdzielamy pracę pomiędzy dużą liczbę osobnych komputerów, w tym przypadku ponad sto. To daje nam o wiele większą moc obliczeniową, niż gdybyśmy użyli jednego superkomputera, a on kosztowałby nas o wiele więcej.

- A co właściwie znaczy IMIS?

- IMIS to skrót od Inter-Mammal Interpretive System, czyli System Tłumaczeń Międzyssaczych.

- I to on tłumaczy ich język? - zapytał Lewis.

Frank uśmiechnął się.

- No, jeszcze nie tłumaczy. Ale w zasadzie tak. IMIS działa w ten sposób, że zapisuje wszelkie rozpoznawalne sygnały wydawane przez nasze delfiny; ich trzaski, gwizdy, a nawet mowę ciała. Kiedy już wszystkie zostaną uchwycone w wielu różnych wariantach, zaczniemy proces przekładu z użyciem zaawansowanej sztucznej inteligencji. - Znow się uśmiechnął. - A przynajmniej spróbujemy.

Lewis zmarszczył brwi.

- I to zadziała? To znaczy, jak długo zajmie osiągnięcie takiego przełomu?

- No cóż, etap nagrań, albo, jak my to nazywamy, „faza pierwsza”, jest już zakończona. Teraz zaczęliśmy fazę drugą, czyli przekład, a tym zajmuje się w całości komputer. Niestety, ponieważ nikt nigdy wcześniej tego nie robił, nie potrafimy tak naprawdę oszacować, jak długo to potrwa. Ale program został zaprojektowany w ten sposób, aby uczył się na podstawie swoich doświadczeń, więc z dnia na dzień powinien stawać się coraz mądrzejszy.

Lewis z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Jak, u licha, można napisać program do rozmawiania z delfinami?

- Z pomocą IBM. - Obaj się roześmiali. - IBM jest jednym z naszych sponsorów. Za darmo dostarczyli nam większość sprzętu i udzielili znacznego wsparcia w pisaniu kodu. Oprogramowanie jest naprawdę imponujące.

- Nie wątpię - Lewis kontynuował, spoglądając na notatki. - Mam tu zapisane, że wśród waszych sponsorów jest też NASA.

- Zgadza się.

Lewis potrząsnął głową.

- Dobra, IBM rozumiem, ale czemu NASA? Co jest dla nich interesującego w takim projekcie?

- To częste pytanie. NASA jest zainteresowana raczej technologią, z której korzystamy, niż faktycznym nawiązaniem kontaktu. Mają nadzieję, że w oparciu o tę technologię uda im się któregoś dnia porozumieć z obcą inteligencją. O ile jakąś znajdą.

- Naprawdę? - Lewis był autentycznie zaskoczony.

Frank pociągnął łyk wody i skinął głową.

- Tak. Są zdania, że nasze nadzieje na nawiązanie kontaktu z kosmitami są dość znikome, skoro nie nauczyliśmy się nawet komunikować z innym gatunkiem żyjącym na tej samej planecie. - Wzruszył ramionami. - Podstawowe podejście w obu tych kwestiach powinno być bardzo podobne.

- A wam już prawie udało się to osiągnąć.

Frank znów się uśmiechnął i uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

- No, nie jestem pewien, czy tak bym to ujął. Jesteśmy bliżej, dużo bliżej niż, powiedzmy, sześć lat temu, ale jeszcze dużo pracy przed nami. Szczerze mówiąc, może będziemy musieli poczekać jeszcze bardzo długo. Jak mówiłem, teraz wszystko zależy od komputerów.

- A jeśli uda wam się coś przetłumaczyć, co powiecie delfinom? Raczej nie zapytacie ich, jak to jest być rybą.

Rozległ się śmiech widowni.

- Może i zapytamy - odparł Frank z uśmiechem. - Ale tak naprawdę to zależy, co będziemy w stanie przetłumaczyć, jeśli w ogóle cokolwiek. Delfiny to drugie pod względem inteligencji zwierzęta na Ziemi i jedyny oprócz ludzi gatunek cechujący się samoświadomością. Na przykład jeśli umieścisz w zbiorniku lustro, delfiny będą faktycznie się w nim przeglądać i patrzeć na swoje ciała. Rozumieją związek między sobą a swoim odbiciem oraz fakt, że otacza je zewnętrzny świat, więc możliwa jest niewiarygodnie głęboka wymiana myśli.

Lewis przysunął się nieco z autentycznym zainteresowaniem.

- Pozwól, że zapytam... Niezależnie od tego jak zaawansowany przekład może być wykonalny, na co macie nadzieję na tym etapie? Innymi słowy, czego chcielibyście się dowiedzieć, jeśli wszystko pójdzie dobrze, nawet jeśli zajmie to lata?

Frank przechylił głowę, zastanawiając się przez moment nad pytaniem.

- Cóż, przede wszystkim chcielibyśmy się dowiedzieć, kim są jako gatunek. Mówiąc my, mam na myśli nas, ludzi. Chcielibyśmy się tego dowiedzieć jako jedna istota rozumna, jedna cywilizacja, komunikująca się z drugą.

- Cywilizacja?

- Tak - ciągnął. - Definiujemy cywilizację jako zaawansowane stadium rozwoju społeczeństwa. Oczywiście delfiny nie mają technologii ani przemysłu, ale rząd i kultura odgrywają ogromną rolę w tym, co uznajemy za cywilizację. Tak jak ludzie, delfiny są istotami społecznymi. Wiemy, że żyją i funkcjonują w dużych grupach, czasem liczących nawet dziesiątki tysięcy osobników. Ale naprawdę ekscytująca jest idea kultury. Jak mówiłem, w porównaniu z resztą świata zwierząt delfiny są niezwykle inteligentne. Mają nawet poczucie humoru.

Alison patrzyła, jak we Franku górę bierze sprzedawca. Właśnie w ten sposób rok za rokiem uzyskiwał dla nich fundusze. Był bogiem.

- Wiemy, że delfiny mają złożony język. Ale wyobraźmy sobie... co jeśli są w stanie przekazywać informacje nie tylko sobie nawzajem, ale też z pokolenia na pokolenie? Mielibyśmy do czynienia z ciągłością, z progresywnym poznaniem. A to właśnie kultura!

Ta idea przemówiła do Lewisa. Siedział przez chwilę nieruchomo, zanim znów się odezwał.

- Ło! To naprawdę ekscytujące. - Wyciągnął rękę do rozmówcy. - Życzymy szczęścia i nie możemy się doczekać kolejnego spotkania.

- Dziękuję. - Frank uściskał jego dłoń z uśmiechem.

- Doktor Frank Dubois - powiedział Lewis na zakończenie. - Dyrektor Akwarium Miejskiego w Miami.

- Dobrze jest! - Ken sięgnął do odbiornika i z powrotem zmniejszył głośność. - Może teraz doczekamy się prawdziwego finansowania.

Alison uśmiechnęła się z paznokciem wciąż pomiędzy zębami.

„Nieźle - pomyślała. - Całkiem nieźle”.

6

Pathfinder był statkiem naukowym przeznaczonym do badań oceanu. Wazący blisko trzy tysiące ton statek potrafił osiągnąć imponującą prędkość szesnastu węzłów przy pełnym obciążeniu. Oddany do użytku w 1994 roku w celu prowadzenia doświadczeń na obszarze Oceanu Atlantyckiego, Pathfinder należał do najnowocześniejszych i najbardziej sprawnych okrętów naukowych marynarki. Wyglądając przez okno helikoptera Sikorsky Seahawk, Clay, mimo dużej wysokości, widział charakterystyczny biały kadłub statku. Długi na 60 metrów Pathfinder był dużym statkiem, ale mimo to jednym z mniejszych we flocie badawczej. Clay wiedział, że helikopter tych rozmiarów nie miał tu zbyt wielkiego pola do manewru przy lądowaniu.

Śmigłowiec przechylił się lekko i zaczął stopniowo zniżać lot. Clay odprężył się i oparł głowę o zagłówek. Obok niego Steve Caesare spał smacznie, niemal w stanie katatonii. „Śpij, kiedy możesz” - tej sztuczki wielu nauczyło się wkrótce po rozpoczęciu służby, a on szczególnie wziął sobie lekcję do serca. Clay często żartował, że gdyby tylko tam był, Caesare przespałby bombardowanie Pearl Harbor.

Przez okno widać było, jak helikopter opada coraz bliżej powierzchni morza. Po kilku minutach pilot wyrównał lot i ostatnią milę przemknął na wysokości nieco poniżej 30 metrów, na tyle nisko, że dało się dostrzec ławice barwnych ryb pływające w przejrzystej, niebieskiej wodzie. Clay poklepał Caesare żeby go obudzić, po czym zapiął pasy.

Helikopter zwolnił i zaczął krążyć w powietrzu, zajmując pozycję nad czarnym lądowiskiem Pathfindera. Pozostawał blisko pokładu, podczas gdy pilot próbował dopasować się do ruchów statku unoszącego się i opadającego na falach. Pokonawszy kilka ostatnich metrów, maszyna gwałtownie opadła i uderzyła o powierzchnię lądowiska. Podporucznik podbiegł pod zwalniające śmigła i otworzył drzwi kabiny. Zasalutował krótko, po czym rozłożył małe, składane schodki i gestem dał znak, żeby Clay oraz Caesare podążyli za nim.

Chwycili torby, zeszli z lądowiska i ruszyli ku schodom po przeciwnej stronie pokładu. Wspiąwszy się dwie kondygnacje wyżej, otwarli białe stalowe drzwi prowadzące na mostek.

Komandor Emerson podniósł wzrok na wchodzących mężczyzn. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę do Claya.

- Clay, niech mnie diabli. Jak się masz?

- Dobrze, Rudy. A jak tam w rajku?

- Nieźle. Chyba już dwa lata nie miałem na sobie nic z długim rękawem - odparł z uśmiechem i zwrócił się do Caesare. - A kogo my tu mamy?

- Rudy, to komandor porucznik Steve Caesare. Pracujemy razem.

Emerson uściśnął dłoń Caesare i obrzucił spojrzeniem niewielką odznakę z trójzębem przypiętą do jego kołnierza.

- Miło mi pana poznać. Pan też był w SEAL-sach, prawda?

- Nawzajem, sir. Tak, jakiś czas temu. Byłem w Somalii w dziewięćdziesiątym trzecim. Rok potem mnie przenieśli.

- Somalia. - Emerson westchnął. - To był niezły burdel.

- Tak, sir, zdecydowanie. Straciłem paru przyjaciół.

Emerson zmarszczył brwi i skinął głową.

- No dobra, to co to za sprawa, dla której gnamy wam na spotkanie przez cały pieprzony Atlantyk?

Clay uśmiechnął się. Tak jak Caesare, Emerson był starym przyjacielem z marynarki. Chociaż wielką przyjemność sprawiało mu odgrywanie roli szorstkiego wilka morskiego, nigdy do końca nie udawało mu się utrzymać pozorów. Mimo to Emerson świetnie się bawił. Dobrze było go mieć za przyjaciela; dowodził jednym z czołowych statków badawczych w Military Sealift Command. Główną misję MSC stanowiło w dużej części zapewnianie wsparcia, w tym dostarczanie paliwa, pojazdów, amunicji i zaopatrzenia. Udział w systemie wspierającym całą marynarkę wojenną Stanów Zjednoczonych zapewniał Emersonowi dokładny wgląd w wiele spraw, którymi zajmowały się siły zbrojne.

Clay wzruszył ramionami.

- Tylko jakieś zakłócenia sygnału. Musimy zamknąć sprawę, żeby Alabama mogła z powrotem wypłynąć. Poszczęściło nam się, że byliście najbliżej i macie na pokładzie nowy batyskaf.

- No, na pewno jesteśmy jednym z wygodniejszych statków. - Emerson dał znak podkomendnemu, żeby przejął mostek. - Spodoba wam się nasz Triton

II; żadnych kabli i wykorzystuje ultraniskie częstotliwości, więc ma cholernie imponujący zasięg.

- Na jaką głębokość go spuszczaście? - zapytał Cesare.

- Tysiąc dwieście metrów, może więcej. Trzeba będzie spytać Taya. To on jest głównym inżynierem.

Clay i Cesare byli pod wrażeniem. Prawie półtora kilometra bez kabla to wprost zadziwiający wynik.

Emerson wyprowadził mężczyzn na zewnątrz, a potem z powrotem na dół. U podnóża schodów kobieta oficer zatrzymała się i zaszalutowała. Komandor szybko oddał honory, nie zwalniając kroku. Kątem oka zauważył, jak mężczyźni wymieniają spojrzenia i odpowiedział na niezadane pytanie.

- Wśród oficerów na pokładzie mamy sześć kobiet. To pewna niedogodność, trzeba zorganizować oddzielne kwatery i tak dalej, ale warto. Wbrew powszechnej opinii ich obecność na pokładzie zwiększa poziom profesjonalizmu. - Pochylił się przechodząc przez otwór drzwiowy, po czym skręcił w lewo i wszedł do kuchni. - Kawy? - zapytał, podnosząc dzbanek i wybierając kubek ze starannie ułożonego stosu.

Obaj skinęli głowami i przyjęli od niego naczynia.

- No to co tam macie za zakłócenia?

Clay wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy do końca pewni. Nic bardzo poważnego. Pewnie chodzi tylko o wysoką zawartość żelaza w dnie. Musimy zebrać próbki do analizy. - Pociągnął łyk z kubka. - Jeśli nie trafimy na nic oczywistego, może będziemy musieli wrócić tu jakimś starym okrętem podwodnym i sami się przyjrzeć.

Caesare spojrzał na Emersona.

- Przy okazji, komandorze, chcielibyśmy też zajrzeć do dzienników systemowych Pathfinderera i porównać je z tymi z Alabamy. To prawdopodobnie kwestia głębokości albo bliskości komór z wysokimi stężeniami minerałów, więc skoro już tutaj jesteśmy, powinniśmy wyeliminować z listy statki nawodne.

- Oczywiście - Emerson skinął głową. Spojrzał na zegarek. - Chyba już czas przejść na rufę. Tay i jego ekipa powinni być prawie gotowi do wypuszczenia Tritona. Będziemy na waszych współrzędnych w przeciągu kilku minut.

Na rufie statku Clay i Cesare zastali kilku członków zespołu powoli podnoszących Tritona II w górę i poza pokład. Maszyna dostrzegalnie różniła

się od większości wcześniejszych zdalnie kierowanych pojazdów podwodnych marynarki. Zamiast klasycznej, cylindrycznej formy Triton kształtem przypominał raczej literę U, przy czym większość statku została zabudowana wokół przezroczystej kuli. Do tego, co można by uznać za tył jednostki, przymocowano kilka silników i płetw, ale całość i tak miała mniej więcej kulistą formę. W przeciwieństwie do tradycyjnie projektowanych łodzi podwodnych, kula utrzymywała idealnie jednolite ciśnienie ze wszystkich stron w miarę zanurzenia, w istocie sprawiając, że wytrzymałość łodzi rosła wraz z głębokością. Dzięki temu, że konstrukcja Tritona opierała się na takim kształcie, był on w stanie osiągać większe głębokości bez konieczności podejmowania szczególnych wysiłków niezbędnych do wzmocnienia kadłuba w starszych, cylindrycznych modelach. Oczywiście osiągnięto to kosztem szybkości. Biorąc pod uwagę większą powierzchnię stykającą się z wodą podczas ruchu, Clay zgadywał, że Triton był prawdopodobnie o dwadzieścia pięć procent wolniejszy od starszych modeli. Mimo to rozumiał, skąd brała się jego popularność - oferował większy limit zanurzenia bez konieczności przewożenia na statku kilometrów długiego kabla służącego mu za pępowinę.

Edwin Tay był z pochodzenia Chińczykiem i na oko zbliżał się do czterdziestki. Nie dorównywał wzrostem pozostałym członkom zespołu, ale jasne było, że to on tu rządzi. Wydawał jedno polecenie za drugim, podczas gdy jego ludzie sprawnie podnosili batyskaf i zawieszali go nad wodą za pomocą długiego, mocnego ramienia przegubowego. Wreszcie odwrócił się i dał znak jednemu z członków ekipy, aby zatrzymał maszynę w obecnej pozycji. Chwilę później umilkł huk silników i statek zaczął hamować. Emerson zwrócił na siebie uwagę mężczyzny i przywołał go gestem.

- Panie Tay, przedstawiam panu komandorów poruczników Johna Claya i Steve'a Caesare. To nasi przyjaciele z działu elektroniki i łączności w Waszyngtonie.

Tay uścisnął im dłonie.

- Witam na pokładzie. Podobno chcecie się pobawić naszym nowym batyskafem.

Clay zaśmiał się.

- Obawiam się, że sprawa jest nieco mniej ekscytująca. Musimy tylko zebrać trochę próbek gleby. Mieliśmy szczęście, że byliście w okolicy i to w dodatku z nowym sprzętem.

Tay spojrzał przez ramię na łódź, zawieszoną w powietrzu i kołyszącą się lekko z boku na bok.

- Tak, to prawdziwe cacko. Bateria trochę szybko się rozładowuje, ale przypuszczam, że w przyszłych wersjach to poprawią. I tak udało nam się go spuścić na tysiąc trzysta metrów bez problemu. Obraz wyraźny jak z kablówki - powiedział, puszczając oko.

- Ładna łódź - odparł Caesare.

Tay szybko przetarł czoło.

- Musimy jeszcze zrobić parę testów, ale powinniśmy być gotowi do startu za jakieś piętnaście minut. W międzyczasie, gdybyście byli głodni, mamy całkiem porządną kuchnię.

Clay położył rękę na brzuchu.

- Jak dla mnie brzmi dobrze.

- W takim razie chodźmy skombinować coś na ząb - powiedział Emerson, wskazując głową kierunek, z którego przyszli. - I tak już prawie pora na lunch.

Komandor Emerson zdjął czapkę i podrapał się po głowie. Jego siwe włosy były krótko przystryżone - ten styl wszedł w nawyk wielu wojskowym. Rzucił nakrycie głowy na siedzenie obok, uniósł swój drugi kubek kawy i upił łyk, zanim znowu zaczął mówić.

- Naciskają na was, żebyście to rozwiązali, co? Na pewno Waszyngton nie jest zadowolony, że taka duża załoga z okrętem siedzi beczynnienie w porcie. Ile ich to kosztuje, tak z milion dziennie?

- Dokładnie to milion czterysta. - Clay zmarszczył brwi.

Emerson skrzywił się.

- Mam nadzieję, że Langford was wspiera.

- Jest pod tym względem w porządku - powiedział Clay, patrząc jak Caesare z uniesionymi brwiami odgryza kęs kotleta. Jedzenie było wyśmienite. - Co prawda Miller wciąż czepia się go o koszt, ale nie może w nieskończoność trzymać się procedur. Już kilka razy wspominał tę liczbę. - Clay sięgnął po swój kubek. - Przypuszczam, że mamy tu jakąś anomalię, ale musimy działać zgodnie z regulaminem. Nie wykryliśmy żadnych problemów z okrętem ani satelitami, a to oznacza inspekcję na miejscu. Jeśli

wyjdzie, że dno jest bogate w żelazo albo inne minerały, będziemy musieli sporządzić raport na temat naszych teorii, a wtedy czekają nas badania i recenzje naukowe. Może potrwać lata, zanim uzyskamy odpowiedź.

Emerson pokiwał głową.

- Jeśli wszystko będzie się sprowadzać do teorii, wypłyną na drugi dzień. Nic więcej nie da się zrobić, dopóki dalsze testy czegoś nie potwierdzą.

Clay przełknął kęs sałatki.

- A jak tam badania, coś ciekawego?

Emerson pokręcił głową.

- Tylko tyle, że z każdym projektem coraz bardziej się komercjalizujemy. Wszystkim sterują korporacje, a ich kumotrzy w Waszyngtonie powtarzają swoją śpiewkę o „działaniu w interesie bezpieczeństwa narodowego”. W dzisiejszych czasach wszystko, co wiąże się z energią, zwłaszcza tą płynną, czarną, jest uznawane za sprawę bezpieczeństwa narodowego. Większość naszych projektów z ostatnich kilku lat to próbki ziemi i próbne odwierty robione pod przykrywką badań morskich, a tak naprawdę służące znajdowaniu nowych zasobów ropy dla konglomeratów. - Odchylił się na krześle. Nie był w stanie ukryć irytacji. - Mówię wam, politycy w rządzie są już tylko marionetkami korporacji. - Emerson westchnął ciężko. - To nie jest ta sama marynarka, w której zaczynaliśmy, panowie.

- Zgadzam się - powiedział Cesare, przełykając ostatnią porcję jedzenia. - To już nie przygoda, to tylko praca.

Emerson roześmiał się.

- Może już czas odwrócić nasze motto. - Znów się nachylił i podniósł widelec. - Ale nie zrozumcie mnie źle, w badaniach wciąż zdarzają się interesujące rzeczy. Do diabła, już sama możliwość sięgnięcia głębiej dzięki lepszym systemom takim jak ten nowy Triton wzbudza spory entuzjazm. Jesteśmy w stanie zbierać tak szczegółowe informacje, że w marynarce mówi się o polach podwodnych czujników... Jest pomysł, żeby opracować żywą mapę, opartą na danych zbieranych na bieżąco i natychmiast zmieniającą się, żeby je odwzorować... Naprawdę niesamowite rzeczy.

- Brzmi interesująco. - Cesare dopił wodę ze szklanki. - Ciekawe ile wydamy próbując zrobić z tego broń.

Emerson znów się zaśmiał, tym razem głośniejsze.

- Lubię pana, Cesare. Cynik, jak ja. Jak to się stało, że wy dwaj trzymacie się razem?

Caesare uśmiechnął się do Claya, zanim odpowiedział.

- Ach, poznaliśmy się na ćwiczeniach w SEAL, jeszcze w osiemdziesiątym dziewiątym. Claya niedługo potem wyrzucili. O co to chodziło? - spytał żartobliwie. - Noszenie sukienek, czy coś takiego?

Clay wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Problemy z kolanami.

- Racja. W każdym razie wylądował w wywiadzie, gdzie pracował z paroma byłymi członkami pierwszego i drugiego oddziału SEAL, więc współpracowaliśmy od czasu do czasu przez kilka lat, dopóki nie przeniósł się do Wydziału Śledczego. Pozostaliśmy w kontakcie i któregoś dnia powiedział, że szuka nowego członka do swojego zespołu.

- Więc przeniósł się pan do Waszyngtonu. - Emerson wyraźnie dobrze się bawił.

- Nie miałem wyboru - Caesare wzruszył ramionami. - Ma na mnie za dużo brudów.

- Niestety - dodał Clay - każdy ma jakieś brudy na Steve'a.

- A zatem, od członka SEAL do specja od elektroniki. Niezły przeskok - powiedział Emerson.

- Cóż, tak jak Clay, miałem do czynienia z naukami ścisłymi zanim dołączyłem do Fok.

Komandor pokiwał głową.

- Jestem zaskoczony, że wcześniej się nie spotkaliśmy. Nie pierwszy raz Clay porywa jeden z moich statków w imieniu swojego wydziału.

- Hm, no tak, ostatnim razem... - Clay zastanowił się i skinął głową na Caesare. - On się żenił... znowu.

- Dziewczyna w każdym porcie, jak mniemam. - Emerson spojrzął na zegarek. - Wszystko powinno już chyba być gotowe. Odprowadzę was do centrali i wracam na mostek.

Sala komunikacyjna służyła za kwaterę główną, w której zajmowano się większością badań Pathfinder'a. Wypakowane ciągnącym się od ściany do ściany sprzętem pomieszczenie było bardziej przestronne, niż się spodziewali i czyste jak łąka; przypominało o tym, że pod dowództwem Emersona wszystko chodziło jak w zegarku. Pochylili się lekko wchodząc do środka. Było tam kilku członków ekipy, a jeden siedział przed czymś, co wyglądało na panel kontrolny ich zdalnie sterowanego cudeńka. Za jego plecami stał Tay, przyglądając się jakimś instrumentom. Wstał pospiesznie, a Emerson

skinął głową i ruszył z powrotem na mostek.

- Jesteście gotowi? Skończyliśmy wszystko sprawdzać. - Wyjrzał przez okienko. - Powinniśmy mieć jeszcze dużo czasu do zachodu słońca; zależy, ile próbek potrzebujecie. - Dał znak jednemu z pozostałych ludzi. - Podaj im jakieś krzesła, Pete.

Clay i Caesare usiedli i przysunęli się bliżej, na tyle, żeby wyraźnie widzieć monitory. Dwa z nich wyświetlały transmitowany obraz - jeden pokazywał batyskaf huśtający się na zewnątrz na metalowym ramieniu, a drugi widok rejestrowany z bańki Tritona. Widać było jak łagodne fale, zniekształcone przez wzmocniony pleksyglas, uderzają o wycinek kadłuba statku.

- No dobrze, wszystkie systemy gotowe? - zapytał Tay, rozglądając się po pomieszczeniu. Większość członków zespołu odwróciła się od swoich urządzeń i przytaknęła ze słowami „tak jest”.

- W porządku, puszczamy go - zawołał.

Siedzący członek załogi sięgnął przed siebie, złapał za chromowany uchwyt i zdecydowanym ruchem pociągnął. Wszystkie pary oczu skierowały się na pierwszy monitor, obserwując jak maszyna spada ze stalowego ramienia do wody kilka metrów niżej. Tay uśmiechnął się i spojrzał na swoich gości.

- Przy batyskafach z kablem to zawsze była najgorsza część.

Drugi monitor pokazywał wodę chluzającą o kuliste okno Tritona, znajdujące się mniej więcej do połowy pod powierzchnią.

- Proszę wszystko na ekran. - Chwilę później pozostałe monitory ożyły, wyświetlając rozmaite statystyki i wykresy. Na największym ekranie widać było informacje o poziomie baterii i stanie każdego z dziewięciu silników łazika. Poszczególne wykresy z imponującą drobiazgowością prezentowały natężenie prądu i ilość obrotów na minutę. - Wygląda dobrze.

Siedzący w fotelu Jim Lightfoot złapał za drążek sterowniczy i przekręcił go delikatnie. Batyskaf przechylił się na prawo i zaczął oddalać od statku.

- W porządku - powiedział Tay, prostując się. - Na jakiej głębokości był wasz okręt, kiedy napotkał problem?

- Pięćset siedemdziesiąt metrów.

- Dobra, Lighty. - Tay klepnął kolegę w ramię. - Bierzemy go na dół.

Lekkie pchnięcie drążka naprzód sprawiło, że Triton zanurzył się pod powierzchnią. Obraz z kamery stał się wyraźny. Woda była krystalicznie

czysta, a jej niebieski odcień ciemniał w miarę jak batyskaf opadał w głąbiny oceanu. - Cała naprzód.

Lightfoot wciąż przechylał drążek do przodu; drobinki unoszące się w wodzie przemknęły w polu widzenia, kiedy batyskaf nagle przyspieszył. Clay podniósł wzrok i obserwował, jak prędkość obrotu silników gwałtownie wzrasta.

- Włączyć reflektory - zawołał Tay. Kiedy rozbłysły lampy ledowe umieszczone w przedniej części Tritona, coraz mroczniejsza woda natychmiast zmieniła się w tunel białego światła.

Caesare spojrzał na Claya. Był wyraźnie pod wrażeniem.

- Przekraczamy trzydzieści metrów - zawołał ktoś z załogi.

- Czyli myślicie, że to złoża metali w podłożu wprowadziły przyrządy w błąd?

- Taką mamy teorię. Ten obszar wydaje się być mocno namagnetyzowany. Jeśli złoża są wystarczająco duże, mogą mieć wpływ.

- To muszą być naprawdę cholernie duże - stwierdził Tay, z powrotem przenosząc wzrok na ekrany. - Może powinniśmy załatwić sobie działkę i zacząć je wydobywać - dodał z uśmiechem.

Clay również się uśmiechnął. Nie zastanawiał się wcześniej nad możliwymi komercyjnymi aspektami takiego odkrycia. Podłoże musiałyby być zaskakująco zasobne, żeby zakłócić łączność okrętu, a każda gleba o tak dużej gęstości mogła się okazać bardzo atrakcyjna dla przedsiębiorstw górniczych.

- Kto wie - powiedział Tay. - Może nawet uda wam się rozwiązać zagadkę Trójkąta Bermudzkiego.

„I zaśmiecic Karaiby tysiącami platform górniczych” - pomyślał Clay.

- Przekraczamy sto metrów.

Na transmisji wideo widać już było tylko białe światło przed szybą Tritona, ze wszystkich stron oblane czarną wodą. Drobiny w wodzie przemykały teraz w zawrotnym tempie, podobne bardziej do linii niż do punktów. Clayowi przypominało to trochę efekty specjalne mające przedstawiać przemykające szybko gwiazdy w starych filmach science fiction.

- Jaki zasięg fizyczny ma Triton na tych bateriach? - zapytał Caesare.

- Zależy od szybkości - odparł Tay. - Przy naszej planowanej prędkości i zanurzeniu powinniśmy być w stanie pokryć kilka mil kwadratowych i

starczy jeszcze mocy, żeby wrócić nim na statek.

- Przekraczamy dwieście metrów.

- Wiecie, że możemy nabrać ziemi najwyżej do piętnastu, osiemnastu centymetrów w głąb, prawda? Mamy tylko... - Tay urwał, dostrzegłszy zakłócenia na monitorze. - To dziwne. Nigdy wcześniej nie zdarzały nam się zakłócenia na tej głębokości. - Lekko odwrócił głowę, nie odrywając wzroku od ekranu. - Nagrajmy to - zawołał. Za nim jeden z członków załogi uderzył kilka razy palcami w klawiaturę, a wtedy inny monitor zaczął wyświetlać kopię transmisji z Tritona. W prawym górnym rogu pojawiło się czerwone kółko, oznaczające, że trwa nagrywanie.

- Przekraczamy trzysta metrów.

Zakłócenia wyraźnie się zwiększały, przypominały teraz obraz ze starej anteny telewizyjnej, z której Clay korzystał jako chłopiec. Śnieg coraz bardziej przesłaniał ekran.

- Dobra, lepiej zwolnijmy - ostrzegł Tay.

Lightfoot powoli przyciągnął drążek do siebie.

- Przekraczamy czterysta metrów.

- Zwalniaj! Zwalniaj! - szczełnął Tay.

- Próbuję - odpowiedział Lightfoot. Pociągnął drążek mocniej, jednak nie dało się zauważyć żadnej zmiany prędkości. Drobiny wciąż przelatowały obok, a przez zakłócenia bardzo trudno było je w ogóle dostrzec. Były już niemal niewidoczne.

- Wyciągnij nas stamtąd!

Lightfoot przekręcił drążek, próbując przechylić Tritona, żeby przerwać gwałtowne zanurzenie. Obraz odchylił się tylko odrobinę.

- Tracimy go! - krzyknął Lightfoot.

Z całych sił pchnął drążek w prawo. Batyskaf nie przestawał opadać. Szarpnął w lewo.

- Nie reaguje!

Tay wskoczył przed Lightfoota i rąbnął dłonią w jeden z przycisków na panelu sterowania.

- Opróżnić zbiorniki, zanim stracimy sygnał!

Chwilę później ekran zrobił się czarny. Zakłócenia zniknęły wraz z sygnałem.

Zapadło milczenie. Tay odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Cholera. - Westchnął i potarł dłonią czoło. - Spróbujemy namierzyć go

sonarem i zobaczyć, gdzie wylądje. Przy odrobinie szczęścia opróżnił zbiorniki i wypłynię na powierzchnię. - Cofnął się i oparł o metalowe biurko przy przeciwległej ścianie. Po chwili zastanowienia zwrócił się do Claya. - Jeśli nie wypłynię, będziemy musieli wezwać inny statek z przewodowym batyskafem.

- Ile to potrwa?

- Zależy, jak daleko są. Pewnie kilka dni. Mamy dość dużo miejsca dla was dwóch, gdybyście chcieli zostać.

- Dzięki. - Clay rozejrzał się po pomieszczeniu. - Jest tu jakiś telefon, z którego mógłbym zadzwonić na ląd?

- Tak - odparł Lightfoot, wstając. - Pokażę panu.

Caesare ze zmarszczonymi brwiami patrzył, jak odchodzą. Jeszcze trzy dni. Z takiego telefonu admirał Langford na pewno się nie ucieszy.

Tay odwrócił się Caesare.

- No, w każdym razie na pewno coś tu macie. - Spojrzał za siebie na pusty ekran. - Triton wykorzystuje ultraniskie częstotliwości rzędu 3 herców, więc sygnał powinien być odporny w zasadzie na wszystko. Nie wiem w czym leży problem, ale nie są to złoża minerałów.

7

Alison szła ciemnym korytarzem z puszką zimnej coli w ręce. Nie przepadała za napojami gazowanymi, ale potrzebowała kofeiny. Spojrzała na zegarek. Dochodziła już północ i myślała o domu, zwłaszcza że ostatnich kilka nocy przespała w biurze. Kiedy weszła do laboratorium, zobaczyła Lee siedzącego przy swoim biurku, wpatzonego w piętrzące się na półkach serwery i ich niezliczone zielone diody, błyskające i rozświetlające łagodnym blaskiem pogrążone w mroku ściany.

- Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś - powiedziała, przysuwając sobie krzesło i siadając obok niego.

Uśmiechnął się nie patrząc na nią.

- Naprawdę powinienem iść do domu. Jestem wykończony.

- To czemu nie pójdziesz?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- A czemu ty nie pójdziesz?

- Chyba po prostu chcę zobaczyć, do czego są zdolne twoje serwery - powiedziała żartobliwie.

- To może potrwać, Ali - odparł, z powrotem przenosząc wzrok na urządzenia. - Mogą upłynąć lata, zanim coś z siebie wyplują. Do licha, może w ogóle nigdy nie wyplują niczego. - Otworzył szeroko oczy, próbując odegnąć wyczerpanie. - Ale tak samo jak ty, jestem zbyt podekscytowany, żeby iść do domu, a siedzenie tutaj i patrzeć jak to pracuje jest takie... sam nie wiem... uzależniające.

Przez „to” miał na myśli stojący na jego biurku duży, płaski monitor, który wyświetlał zbiorcze wyniki z ponad stu serwerów, bez ustanku przetwarzających dane. Górną połowę ekranu wypełniały dziesiątki poszarpanych linii, przypominających wykresy z arkuszy kalkulacyjnych. Przedstawiały strumienie danych pierwotnych, rejestrowanych dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ostatnie cztery lata; częstotliwości, interwały

trzasków, tony, obraz wideo, wszystko. Linie podskakiwały i opadały, splatały się i rozplatały, podczas gdy system wyszukiwał zależności pomiędzy strumieniami i trylionami ich bajtów.

Lee spojrział na ostatni regał pod ścianą. Umieszczone tam urządzenia dostrzegalnie różniły się wyglądem od pozostałych. Miały o wiele mniej diod, które, inaczej niż te od serwerów, mrugały wszystkie jednocześnie. Na tych półkach przechowywane były same dane - tysiące terabajtów i, zdawałoby się, nieskończona liczba zmiennych, które IMIS właśnie pilnie przeglądał.

Alison wiedziała, że ten sprzęt miał dla jej kolegi szczególne znaczenie. Lee pracował ramię w ramię z IBM przy montażu urządzeń; należał też do zespołu programistów, który zaprojektował sztuczną inteligencję rozpracowującą teraz wszystkie te dane. Był również ekspertem od cyfrowych kamer i systemów rejestrujących, rozmieszczonych strategicznie wokół ogromnego zbiornika, zapisujących pod każdym możliwym kątem wszelkie ruchy i ułożenia ciał Dirka i Sally. System przechodził teraz między innymi przez te nagrania, klatka po klatce. Jako biolog morski, Alison nie miała pojęcia jak działała inteligencja tych maszyn, ale Lee był bystry, znał się na rzeczy i spędził tysiące godzin testując algorytmy. Jeśli się nie uda, to na pewno nie z powodu czyjegokolwiek zaniedbania. Najbardziej obawiała się, tak samo zresztą jak pozostali, że zdążą przejść na emeryturę albo nawet zejść z tego świata, zanim IMIS cokolwiek znajdzie.

Patrzyła na ekran razem z Lee i obserwowała, jak poniżej podrygujących, postrzępionych strumieni danych klatka po klatce przewijają się po nim zdjęcia delfinów.

- Myślisz, że w ogóle coś nam z tego wyjdzie? - zapytała, opierając brodę na skrzyżowanych ramionach.

Po kilku chwilach Lee westchnął.

- Nie wiem. Mam taką nadzieję. - Odwrócił się i mrugnął do niej. - Jeśli nie, to i tak było fajnie, co?

- Bardzo. - Poklepała go łagodnie po ramieniu. - Chodźmy do domu. Najwyższy czas przespać się we własnych łóżkach. Poza tym nie chcemy, żeby twoja żona wpadła tutaj z awanturą.

Lee roześmiał się i wstał.

- O tak, nie chcecie tego. Możesz mi wierzyć.

Alison siedziała w samochodzie i patrzyła, jak Lee odjeżdża. Latarnia uliczna zalewała z góry żółtym blaskiem jej małego Chevroleta, a ona wpatrywała się w mroczny ocean rozciągający się za budynkiem. Od lat marzyła o tym dniu, a teraz, kiedy nadszedł, była śmiertelnie przerażona. Dziesiątki tysięcy godzin, które spędziła badając, planując i dokumentując, służyły tylko temu, żeby dotrzeć tutaj; do fazy drugiej. Wiedziała, że z całej pracy, jaką mieli do wykonania, faza druga była największą niewiadomą. Nie zbieranie informacji, ale ich faktyczne przetłumaczenie. Lee miał rację. To był strzał w ciemno. Nie dało się przewidzieć, czy zdołają cokolwiek odcyfrować za pomocą czegoś tak potencjalnie ograniczającego, jak ludzka logika.

Alison zdała sobie sprawę, że obawiała się tej fazy od samego początku i po prostu to ignorowała, tłumiała strach skupiając się na całej pracy, która była jeszcze przed nimi. Co jeśli się nie uda? Co jeśli kompletnie zmarnowali sześć ostatnich lat i zaszli tak daleko tylko po to, aby znaleźć się w ślepych zaułku z potężnym systemem komputerowym, który nie mógł się doszukać żadnego sensu w zebranych przez nich danych? Co jeśli zbierali je źle? Co jeśli pominęli jakiś kluczowy element, coś co nigdy nie przyszło im do głowy?

Alison oparła się o winylowe siedzenie i zamknęła oczy.

„Boże, proszę, niech to się uda. Nie pozwól, żebym umarła nie wiedząc”.

8

Antarktyda w listopadzie była bezlitosna. Na wysokości ponad trzech kilometrów nad poziomem morza, w głębi kontynentu temperatury dochodziły nawet do -90 stopni. Stacja polarna Halley, położona na południowym krańcu lodowca szelfowego Ronne, była placówką badawczą, gdzie przeprowadzano niektóre z najbardziej intensywnych studiów nad klimatem na świecie. Wspólnie ufundowana i dzielona przez Stany Zjednoczone i kraje europejskie stacja pozostawała w użytku przez cały rok; rozmaite zespoły prowadziły tu swoje badania, w większości pomiary zmian związanych z ocieplaniem się klimatu w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat. Dowody w postaci próbek lodu wydobytych z zamrożonego podłoża nie pozostawiały wątpliwości; temperatura na kuli ziemskiej rosła szybko, prędzej niż w jakimkolwiek odnotowanym naturalnym cyklu. Niezależnie od wysuwanych argumentów i teorii na temat przyczyn oraz skutków, rezultaty nie podlegały dyskusji. Atmosfera stawała się coraz cieplejsza, a lodowy kontynent topniał.

Leo Torbin i Gale Preece mieli spędzić w oddalonym od głównej stacji obozie Halley jeszcze trzy kolejne tygodnie. Zakończyli już badania i spędzali większość pozostałego czasu kompilując dane, skuleni razem w niewielkim betonowym budynku placówki, stale sprawdzając poziom paliwa.

O drugiej nad ranem leżeli na łóżkach polowych. Nie zbudziłyby ich nawet hałas, który u większości ludzi wzbudziłby obawę, czy dożyją następnego dnia; dawno już się przyzwyczaili. Specjalnie zaprojektowane koce okrywały ich aż po szyję. Głowa Leo w wełnianej czapce wystawała spod przykrycia, natomiast Gale pozostawała w całości pod grubą tkaniną. Tylko po powolnym unoszeniu się i opadaniu koca dało się poznać, że w ogóle tam była.

Na prostych, szarych ścianach rozwieszono były rozmaite narzędzia, ubrania, garnki i patelnie - rzeczy niezbędne do skromnego, tymczasowego

pobytu. W kącie najbardziej oddalonym od drzwi, tuż obok dużego propanowego grzejnika, stało metalowe biurko pokryte stertami zapisanych papierów. Na blacie leżały też dwa laptopy Toughbook, zaprojektowane specjalnie do pracy w ekstremalnych warunkach. Drugie drzwi, oznaczone napisem „Toaleta”, pozostawały zamknięte, zapewniając nieco dodatkowej izolacji od wichru wyjącego na zewnątrz i bez ustanku szturmującego betonowe ściany.

Wiatr z początku zagłuszał dochodzące z zewnątrz dziwne dudnienie, ale w miarę jak dźwięk narastał, sprzęt zgromadzony w pomieszczeniu kołatał się coraz głośniej. Ściany schronu zaczęły się gwałtownie trząść, aż niektóre patelnie pospadały z haków na podłogę. Jeden z laptopów podskakując zsunął się poza krawędź stołu i runął wprost do metalowego wiadra, które potoczyło się po posadzce. Hałas, podobny do huku grzmotów, był już ogłuszający.

Na wpół przytomny Leo zerwał się z łóżka, próbując chwycić coś dla zachowania równowagi. Odwrócił się i w tej samej chwili zobaczył, jak Gale spada z łóżka na podłogę. Sięgnął i chwycił jej ramię, próbując przyciągnąć kobietę do siebie, podczas gdy ona rozpaczliwie usiłowała wyplątać się z koca. To było trzęsienie ziemi!

Przytrzymując się jedno drugiego, zdołali dotrzeć do najbliższego kąta i zakryć głowy. Teraz spadało już chyba wszystko wokół, a cały budynek chwiał się niepokojąco z boku na bok. Leo złapał resztę grubego koca Gale i owinał nim oboje. Wkrótce zaczęli się modlić, żeby tylko konstrukcja wytrzymała. Opuścił głowę, mocno ściskając dziewczynę.

Trzęsienie ziemi trwało niecałe dwie minuty, ale wiatr zelżał dopiero po pięciu godzinach. O siódmej rano, kiedy zwolnił do zaledwie szesnastu kilometrów na godzinę, otwarły się ciężkie metalowe drzwi wciąż stojącego budynku. Leo i Gale wyszli na zewnątrz w pełnych strojach ochronnych, uszczęśliwieni widokiem słońca jak jeszcze nigdy dotąd. Przez cały czas jaki spędzili na Antarktydzie nie byli tak blisko śmierci, jak tego właśnie dnia. Wystarczyłby jeden, choćby niewielki otwór w ścianie, a wiatr zrobiłby resztę.

Rozejrzeli się po lodowym pustkowiu, sięgającym aż po horyzont. Leo

spojrzał na wieżę transmisyjną i zmarszczył brwi. Sama konstrukcja była nietknięta, ale znajdujące się w niej radio krótkofalowe trzeba było spisać na straty. Na szczęście zapasowa linia komunikacyjna nie została uszkodzona. Wyciągnął z dużej kieszeni kurtki telefon satelitarny wielkości cegły i obrócił jego wielką antenę.

Podczas gdy Leo zdejmował rękawicę, żeby wybrać numer, Gale podeszła do skuterów śnieżnych. Jeden z nich leżał na boku, ale żaden nie wydawał się uszkodzony. Wyglądało na to, że niewielki barak, w którym trzymali zbiornik z paliwem, przetrzymał wstrząsy, podobnie jak większy budynek. Odwróciła się i obiegła wzrokiem cały obóz. Nie licząc bałaganu w stacji głównej, wszystko wyglądało zaskakująco normalnie.

- McMurdo, tu Torbin z obozu Halley. Słyszycie mnie? - krzyczał Leo do słuchawki, spoglądając na Gale. - Tak, nic nam nie jest. Wygląda na to, że zeszłej nocy mieliśmy trzęsienie ziemi. - Urwał, rozglądając się. - Najważniejsze systemy wydają się sprawne, ale straciliśmy krótkofalówkę. Powtarzam, straciliśmy radio krótkofalowe. Uprzątniemy bazę i rozejrzemy się po okolicy na skuterach. - Przez chwilę słuchał swojego rozmówcy. - Tak, tak zrobimy.

Leo przerwał połączenie i wepchnął telefon z powrotem do kieszeni.

- Chcą, żebyśmy oddzwonili jak już rozeznamy się w sytuacji. Jeśli będą jakieś problemy wymagające natychmiastowej uwagi, przyspieszą następną dostawę. Jeśli nie, przywiozą nową krótkofalówkę w przyszłym tygodniu.

Gale skinęła głową.

- W każdym razie generator działa, więc mamy ogrzewanie i prąd. Jedzenia i wody też na pewno nam nie zabraknie.

Złapali przewrócony skuter i wspólnymi siłami postawili go z powrotem na płoży.

- Mogło być o wiele gorzej. - Leo spojrzął, czy zbiornik z paliwem nie przecieka.

Gale sprawdziła zapłon, przekręcając kluczyk w te i wewte w stacyjce.

- Ło!ł, popatrz! - Gale odwróciła się w kierunku, który wskazywał Leo i westchnęła głośno z wrażenia. W oddali błękit nieba gwałtownie ustępował gigantycznej ścianie bieli.

- Co to do diabła jest?

Leo potrząsnął głową.

- Nie wiem. Na pewno nie burza. - Wdrapał się na jeden ze skuterów

śnieżnych. - Podjedźmy i sami zobaczmy.

Obóz Halley był oddalony o ponad sto sześćdziesiąt kilometrów od stacji antarktycznej Amundsen-Scott i ponad tysiąc sześćset kilometrów od stacji zaopatrzeniowej przy McMurdo. Ponieważ pomoc była tak daleko, utrzymywali powolne tempo jazdy, toteż zbliżenie się do celu zajęło im niemal godzinę. Zjawisko wyglądało jak jedna z zamieci śnieżnych często widywanych na Antarktydzie, tyle tylko, że się nie poruszało. Zdawało się raczej, że zawisło w powietrzu, wypełniając całą przestrzeń w zasięgu wzroku.

Ramię w ramię, Leo i Gale zagłębili się w coś przypominającego białą mgłę. Ich pole widzenia natychmiast skurczyło się do kilkudziesięciu metrów. Jeszcze bardziej zmniejszyli prędkość, sunąc powoli na skuterach i uważnie obserwując ziemię w poszukiwaniu rozpadlin odsłoniętych przez zamieć. Bywali tu już wiele razy, ponieważ ich obóz stanowił główne miejsce badań tego szelfu, ale mimo to nie potrafili określić, gdzie dokładnie się znajdują.

Leo zatrzymał się, uniósł swoje przyciemniane okulary i spojrzał w górę. Mgła kompletnie przesłoniła słońce, przez co trudniej było dopatrzeć się jakichkolwiek szczegółów na białym podłożu. Gale zgasła silnik i wyciągnęła podręczne urządzenie GPS. Zsunęła gogle na kaptur.

- Jesteśmy wciąż około ośmiu kilometrów od pierwszego grzbietu. Jak daleko jeszcze chcesz jechać?

Leo uważnie przyglądał się białej mgle.

- Chyba zaczyna się przejaśniać, ale nie wiem, jak daleko to coś sięga. Podjedźmy jeszcze kawałek i zobaczmy, czy dalej się rozrzedza.

Gale skinęła głową i schowała urządzenie z powrotem do kieszeni swojego przydużego skafandra. Powlekli się dalej naprzód.

Kilka minut później widoczność powoli zaczęła się poprawiać, a słońce do pewnego stopnia przedzierało się przez chmury. Oboje przyspieszyli nieco, patrząc uważnie pod płozy.

- Uwaga! - Leo nagle zatrzymał swój skuter, z całej siły wciskając hamulce. Pojazd szybko zaczął się przechylać do przodu. Mężczyzna wstał i odepchnął się w tył, przelatując nad siedzeniem. Runął plecami na śnieg i

ledwie zdążył odczołgać się na bok, zanim tylna część skutera uniosła się w powietrze i zniknęła z pola widzenia.

Gale mocno przekręciła kierownicę, aby na niego nie wpaść i o mało nie obróciła się wokół własnej osi. Z zaciśniętymi zębami ledwie zdołała się utrzymać i dzięki temu nie poszła w jego ślady, które urywały się nagle niecałe pół metra dalej.

- Jezu!

Zeskoczyła z siedzenia i się odsunęła. Oboje wycofali się jeszcze kilka kroków, aby mieć pewność, że są bezpieczni.

- Co to jest, do cholery? - zapytał Leo ruszając powoli naprzód, podczas gdy Gale nieświadomie ciągnęła go do tyłu.

Leo stopniowo, centymetr po centymetrze, zbliżał się do końca zostawionych przez siebie śladów, żeby zobaczyć, jak wysokie jest urwisko. Zbliżywszy się do krawędzi, sprawdził wytrzymałość śniegu pod stopami stawiając kilka ciężkich kroków. Gale instynktownie złapała go za drugie ramię, aby mógł wychylić się nad krawędź i spojrzeć w dół. Na dole zobaczył swój skuter leżący na boku.

- Głęboko tam jest? - spytała zza jego pleców, poprawiając chwyt.

Leo potrząsnął głową.

- Tylko jakieś cztery i pół metra w dół. Ale... to nie jest dziura. - Machnął ręką przed siebie. - Podejź tu, tylko uważaj.

Zrobiła ostrożnie kilka kroczków naprzód, aż była w stanie spojrzeć poza krawędź. Zerknęła w bok, gdzie powietrze powoli stawało się coraz bardziej przejrzyste i dało się zobaczyć, jak daleko sięgało urwisko.

- O Boże.

- Dokładnie, o Boże. To coś ciągnie się i ciągnie. - Oddalił się z nią od krawędzi. - Co mówi GPS?

Gale wyciągnęła urządzenie i sprawdziła ich współrzędne. Spojrzała na niego ze zmartwieniem malującym się na twarzy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

Potrząsnęła głową. Zmartwienie przeradzało się w strach.

- Nie jesteśmy nawet w pobliżu szelfu.

9

Drzwi frontowe akwarium były zamknięte i miało tak pozostać jeszcze przez osiem godzin. Wszystkie ekspozycje zaciemniono i tylko kilka lamp na suficie oświetlało długi, wyłożony płytkami korytarz. Ściany pokrywały ledwie czytelne w półmroku plakaty, zapowiadające niektóre z organizowanych przez akwarium wydarzeń mających się odbyć w najbliższym czasie.

Teraz, kiedy wszystkie światła w laboratorium były wyłączone, maleńkie, mrugające diody serwerów wypełniały pomieszczenie niesamowitym blaskiem. Pomruk maszyn zdawał się o wiele głośniejszy, kiedy umilkły odgłosy wydawane przez klimatyzację. W zasadzie gdyby nie serwery, ciszy nie rozpraszałyby żaden dźwięk.

Kolorowe strumienie danych wciąż tańczyły w górnej części monitora na biurku Lee Kenwooda. System IMIS pracował nieprzerwanie i wciąż zawzięcie przetwarzał dane.

Nagle na krótką chwilę wszystkie linie złączyły się, a punkt ich zetknięcia został natychmiast zaznaczony dużym zielonym kółkiem. Rozległ się krótki dźwięk, a w lewym dolnym rogu ekranu pojawiły się słowa.

Przetłumaczone wyrazy: 1 - Szacowana precyzja: 77%

Po czym, tak nagle jak się zatrzymały, strumienie znów zaczęły tańczyć.

10

Alison podjechała do tylnego wejścia akwarium i zeskoczyła ze swojego roweru górskiego. Było prawie południe i obiecała sobie, że wpadnie tylko po pocztę, którą zostawiła zeszłej nocy. Jej rachunki były jedną z wielu ofiar pracy po siedemdziesiąt godzin tygodniowo przez ostatnie dwa lata. Cud, że jeszcze nie odłączyli jej prądu. Oparła rower o mur i wyjęła klucze z woreczka pod siedzeniem. Odryglowała obydwie zamki i pchnęła drzwi, które rozchyliły się ze skrzypnięciem. Przebiegła truchtem zaciemniony korytarz, otworzyła kolejne drzwi i weszła do laboratorium, teraz jasno oświetlonego przenikającym przez szklane ściany blaskiem słońca wpadającego do otwartego zbiornika Dirka i Sally. Widziała delfiny po drugiej stronie basenu, pływające tam i z powrotem przed dużą grupą dzieci wpatrzonych w nie z nosami przyciśniętymi do szyby.

Alison uśmiechnęła się i weszła do swojego biura - małego, nijakiego pomieszczenia zawierającego niewiele ponad biurko, komputer, telefon i składane łóżko w kącie. Książki i papiery były pieczołowicie poukładane i uporządkowane, odzwierciedlając jej niekiedy irytującą dbałość o szczegóły. Przycisnęła na telefonie guzik znajdujący się obok mrugającej lampki i wpisała swój kod. Automatyczna sekretarka zaczęła odtwarzać nagrane wiadomości, podczas gdy ona rozglądała się po biurku.

- Dzień dobry, pani Shaw. Nazywam się Jay Sunderland i jestem reporterem z Miami Independent. Chciałbym przeprowadzić wywiad...

Alison jęknęła i przełączyła wiadomość. Następna nie była wcale lepsza. Badaczka wciąż przetrząsała biurko w poszukiwaniu kopert. Marszcząc brwi, podniosła wzrok i zastanowiła się przez chwilę, po czym wychyliła się, żeby wyjrzeć przez drzwi. Listy leżały na biurku Lee, razem z jej telefonem komórkowym.

Podeszła szybko, żeby podnieść je z blatu, kiedy nagle coś przykuło jej wzrok. Spojrzała na ekran i otworzyła szeroko oczy.

- O mój Boże!

Rozemocjonowana sięgnęła po telefon, strącając go z biurka razem z większością papierów i listami. Szybko podniosła komórkę i drżącymi rękami zaczęła wystukiwać SMS-a.

Był późny ranek i słońce przeświecało przez żaluzje, padając na postać leżącą w wielkim łóżku. Pokój urządzone prosto. Stała w nim duża komoda oraz biurko, na którym leżał laptop i stos papierów. Na ścianach porozwieszane były fotografie z imprez grupowych, w większości przedstawiające przyjaciół wypełniających kadr. Zdjęcia wykonano w najróżniejszych miejscach - niektóre na plaży, inne w górach, a jeszcze inne najwyraźniej w jakichś małych, odległych wioskach.

Chris Ramirez, który miał skłonność do spania zbyt długo, leżał jeszcze z twarzą wtuloną w poduszkę, kiedy rozległ się dzwonek. Wciąż na wpół pogrążony we śnie, westchnął i zaczął nieprzytomnie obmacywać wezgielowie w poszukiwaniu telefonu. Przewrócił się na plecy i zepchnął z głowy kołdrę. Potarł oczy i trzymając komórkę około trzydziestu centymetrów od twarzy, odczytał wiadomość.

- O mój Boże! - wykrzyknął. Próbował szybko wstać, ale potknął się i poleciał na podłogę razem z pościelą, którą rozpaczliwie starał się z siebie zrzucić. W końcu pobiegł do łazienki, ciągnąc ją za sobą. Zatrzymał się na chwilę i jeszcze raz przeczytał tekst z telefonu, zanim obmył sobie twarz zimną wodą i przeczesał mokrymi dłońmi potargane brązowe włosy.

Lee siedział w salonie w swoim małym mieszkaniu i wpatrywał się w panoramiczny monitor. Po włosach sterczących na wszystkie strony i nieogolonej twarzy dało się poznać, że był tam już od dłuższego czasu. Miał na głowie lekkie słuchawki i z uwagą obserwował ekran, na którym postać wchodziła i wychodziła z dużych pomieszczeń z groźnie wyglądającą bronią w rękach. W grze komputerowej jego awatar rozglądał się na wszystkie strony, wypatrując wrogów. Nie widząc żadnych, Lee odprężył się i sięgnął po puszkę Mountain Dew. Podniósł ją do ust i szybko opróżnił, w tej samej

chwili, w której jego telefon eksplodował dźwiękami Old Time Rock and Roll Boba Segara. Sięgnął po niego, nie zdejmując oczu z ekranu. Kiedy podniósł komórkę i zerknął na małe wyświetlacz LCD, znieruchomiał.

- O jaaaa cię! - Zerwał się z krzesła, zdarł z głowy słuchawki i wyciągnął parę spodni z otwartej szuflady komody. Podskakując na jednej nodze wsuniętej w nogawkę spodni, dotarł do drzwi sypialni, gdzie spała jego żona. Szybko wbiegł z powrotem do środka i wyszarpnął koszulkę z dużej szuflady.

- Muszę lecieć, skarbie!

Frank Dubois i jego żona siedzieli przy stoliku na patio małej francuskiej kafejki. Wysoki parasol chronił ich przed słońcem, które paliło już niemiłosiernie. On czytał Wall Street Journal na tablecie, a jego żona skubała resztkę swojego croissanta i przeglądała egzemplarz magazynu Marthy Stewart. Poczowała lekkie wibracje przy biodrze i spojrzała w dół na swoją torebkę wiszącą na oparciu krzesła.

- O, kochanie, telefon ci dzwoni - powiedziała, sięgając do środka.

Frank odłożył tablet i wyciągnął rękę po komórkę. Odwrócił ją i spojrzał na ekran. Natychmiast zerwał się z krzesła, przewracając przy tym cały stół.

- Co, co się stało?! - krzyknęła jego żona, patrząc w dół, żeby upewnić się, czy nie ma na sobie części swojego śniadania.

Pochylił się i szybko pozbierał ich rzeczy.

- Musimy jechać!

Stary garbus Lee i BMW Franka wpadły na tylny parking akwarium równocześnie i z piskiem opon zahamowały obok siebie. Lee wyskoczył na zewnątrz i wbiegł przed srebrną maskę BMW, a tymczasem Frank ucałował swoją żonę.

- Zadzwoń później! - Z tymi słowami pognał za Lee i zniknął w ciemnym korytarzu, a wielkie stalowe drzwi zamknęły się za nimi. Obaj popędzili do laboratorium, gdzie zastali Alison i Chrisa stojących przy biurku

Lee, wpatrzonych w ekran.

- Co mamy?! - zapytał podekscytowany Frank.

Alison nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko i obserwowała ich wyraz twarzy, kiedy dotarli do biurka i zobaczyli sami.

- Tak jest! - wykrzyknął Lee, wznosząc w powietrze zaciśniętą pięść. - Trzy słowa! - Złapał za myszkę i kliknął przycisk z napisem słownictwo. Na ekranie wyświetliło się okienko z listą trzech słów; Cześć, Tak, Nie.

Wszyscy krzyknęli z podniecenia i objęli się w niezgrabnym grupowym uścisku. Alison wzięła głęboki oddech i zakryła usta dłońmi, próbując zachować spokój.

Lee sprawdził szczegóły każdego wyrazu.

- Patrzcie na precyzję: siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt jeden! - Uśmiechnął się szeroko. - Dacie wiarę? To cholerstwo faktycznie działa!

- Tego jeszcze nie wiemy - powiedziała Alison. Starali się zachować spokój, ale ekscytacja nie zniknęła z ich twarzy. - To może równie dobrze być błąd. - Wszyscy zwrócili się w stronę zbiornika. Dirk i Sally obserwowały ich zza tafli szkła, powoli przesuwając się w przód i w tył.

- Patrzą na nas - powiedział Chris.

Alison uśmiechnęła się i podeszła do zbiornika, delikatnie kładąc dłoń na szybie. - Chyba jeszcze nigdy nie widziały nas tak podekscytowanych.

Lee spojrział na Alison.

- No to... co teraz robimy? - Wszyscy zwrócili się do Franka, a on wiedział, dlaczego. W planach projektu uwzględniono rzecz jasna co zrobią w przypadku, jeśli system rzeczywiście coś przetłumaczy. Przyjęty protokół zakładał gruntowne sprawdzenie danych i dokładną dokumentację. Oczywiście procedury pominęły jeden istotny czynnik, a mianowicie czysty entuzjazm i euforię jakie taka sytuacja wywoła.

Frank przez moment wyglądał poważnie, ale w końcu nie był w stanie dłużej powstrzymać uśmiechu.

- Postępujmy choć trochę zgodnie z protokołem. Chris, łap kamerę, dokumentować będziemy później.

Mężczyzna przebiegł przez pokój i chwycił niewielki kamkorder, a Lee usiadł na swoim krześle. Chris włączył kamerę i skierował ją na monitor.

Lee odetchnął głęboko i wystukał słowo Cześć. Obejrzał się przez ramię na pozostałych, po czym kliknął duży przycisk z napisem Tłumacz.

Nic się nie stało.

Chris miał już coś powiedzieć, kiedy Lee przerwał mu, unosząc dłoń. W końcu z podwodnego głośnika zanurzonego w zbiorniku dobiegł wysoki dźwięk, po którym nastąpiły dwa wyraźne trzaski.

Delfiny gwałtownie odwróciły się i spojrzały na głośnik. Podpłynęły przyrzeć mu się bliżej. Przenosiły wzrok z urządzenia na zespół po drugiej stronie szyby i z powrotem. Dirk lekko trącił głośnik nosem. Sally podpłynęła bliżej do ściany zbiornika, otworzyła na chwilę pysk i wydała ten sam dźwięk razem z dwoma trzaskami.

Nagle kolejne słowo Cześć pojawiło się na monitorze tuż pod tym wpisanym przez Lee.

11

Alison poczuła ucisk w gardle. Przepęłniło ją takie wzruszenie zmieszane z podekscytowaniem, że niemal nie była w stanie się poruszyć. Wciąż z szerokim uśmiechem na twarzy patrzyła jak Chris i Lee próbują szybko sprawdzić, czy nagranie się udało. Frank siedział na krawędzi biurka za krzesłem Lee, wpatrując się w oszołomieniu w ekran komputera. Wiedziała, o czym myślał. Początkowa ekscytacja podszyta była niepewnością. Bądź co bądź zamienili tylko jedno słowo. To wciąż mógł być tylko szczęśliwy traf, błąd komputera albo czysty zbieg okoliczności, chociaż Sally wyraźnie coś im odpowiedziała.

„Czy to naprawdę dialog, czy może delfiny tylko powtarzały to, co usłyszały?”

- Żadnych problemów z kamerą. Jest okej. - Chris z powrotem skierował obiektyw na monitor.

Lee spojrzał mu przez ramię.

- Co dalej?

- Spróbuj jeszcze raz. Sprawdźmy na pewno, czy nam się to nie przywidziało.

Lee skinął głową i jeszcze raz napisał Cześć. Tym razem kliknął przycisk tłumaczenia bez wahania. Dźwięki ponownie rozległy się z podwodnego głośnika. Chris odwrócił kamerę w stronę Dirka i Sally.

Sally z przejściem okręciła się w wodzie, po czym wróciła przed szybę. Powtórzyła te same dźwięki. Wyraz Cześć znów pojawił się na ekranie. Lee jeszcze raz powtórzył procedurę, a Sally po raz kolejny odpowiedziała.

- Tym razem głośnik zadziałał bez opóźnień - powiedział Lee do siebie. - To znaczy, że kiedy IMIS tłumaczy słowo po raz pierwszy, zostaje ono zapisane na stałe. Faktycznie się uczy!

Alison odetchnęła głęboko. Lee miał rację. To nie był szczęśliwy traf, co nie dowodziło jeszcze, że słowo faktycznie oznaczało „cześć”. Możliwe, że

to bełkot, a Sally tylko go powtarzała. Nawet niektóre spośród ludzkich języków były tak złożone, że drobne różnice w intonacji i wymowie mogły je uczynić niemożliwymi do opanowania. Język Nawaho stanowił tego doskonały przykład. Był tak skomplikowany, że jeśli ktoś nie miał z nim kontaktu od urodzenia, nie miał szans w pełni go pojąć jako osoba dorosła. Właśnie z tego powodu tak dobrze sprawdził się podczas II wojny światowej przeciw Japończykom.

„Czy tak samo może być z językiem delfinów? Czy to możliwe, że systemowi tylko zdaje się, że coś tłumaczy?”.

Chris oderwał oko od wizjera kamery.

- A teraz co?

Alison nachyliła się.

- Pytanie brzmi: czy mamy dość słów, żeby uzyskać faktyczny kontekst? Wyślij następne.

Lee napisał Tak i powoli wcisnął przycisk tłumaczenia.

Po kilku długich sekundach głośnik wreszcie wyemitował nieco inny dźwięk. Tym razem Dirk podpłynął i dołączył do Sally przed szybą. Nie interesując się już głośnikiem, teraz to on odezwał się pierwszy, powtarzając sekwencję. Wyraz Tak pojawił się na ekranie jako drugie odebrane słowo.

- Niewiarygodne - stwierdził Frank, przeczesując palcami włosy.

Alison podeszła do zbiornika i spojrzała przez szybę, zaledwie parę metrów od Dirka i Sally.

„Czy one mówiły?”.

Nie była tego taka pewna.

Sally nagle wydała kilka długich pisków i trzasków. Znowu okręciła się w koło i powtórzyła to samo.

Czworo badaczy spojrzało po sobie, po czym odwróciło się z powrotem do ekranu, a Chris skierował kamerę znowu ponad ramieniem Lee. Wstrzymali oddech.

W końcu, po długiej przerwie, komputer zapiszczał, a w oknie programu pojawiły się wielkie czerwone litery: tłumaczenie niemożliwe.

- Tak jak się spodziewałem - powiedział Lee. - IMIS nie rozpoznaje nowych wyrazów, dopóki ich nie zidentyfikuje. - Zwrócił się do pozostałych.
- Wygląda na to, że te trzy słowa trochę nas ograniczają.

- Wiemy na pewno, że to działa? - zapytał Frank.

Lee zmusił się do zachowania obiektywności.

- Tak sędę, ale na razie trudno powiedzieć.

- Spróbujmy przynajmniej ostatnie słowo.

Lee przytaknął i wystukał wyraz Nie. Kiedy wcisnął przycisk tłumaczenia, otrzymał w odpowiedzi to samo, znów od Dirka.

Po dłuższym milczeniu, Alison zmarszczyła brwi i skrzyżowała ręce na piersi.

- Musimy zaczekać na więcej słów.

Alison potarła oczy i spojrzała na zarys postaci Chrisa.

- Która godzina? - zapytała, rozglądając się po ciemnym biurze.

- Prawie piąta. Niedługo wstanie słońce.

Pokiwała głową.

- I co tam? Działo się coś?

- Mamy następne słowo.

- Serio?! Jakie? - Przeturlała się i zeskoczyła z łózka.

- Chodź i zobacz.

Minęła go i podbiegła do biurka.

- Jedzenie - powiedziała z uśmiechem. - Wypróbowaliście je już?

- Nie, czekaliśmy na ciebie - powiedział Lee, podchodząc do niej od tyłu z puszką coli. Zjawił się też Frank, który również wyglądał jakby dopiero co go obudzono.

- Gotowi? - zapytał Lee, siadając.

Alison spojrzała na zbiornik. Delfiny już nie spały i spoglądały na nich z oczekiwaniem.

- Co powiecie na „Jedzenie tak”? - zaproponowała.

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Jedzenie tak?

Lee uniósł brwi.

- Aaa, rozumiem. Bardzo sprytnie. - Spojrzał na Chrisa. - Gotowy do kręcenia?

Chris szybko stanął za kamerą i zaczął nagrywać.

- Dajesz.

Lee szybko się odwrócił, napisał jedzenie tak i kliknął przycisk tłumaczenia.

Słyszając to Dirk, nagle bardzo podekscytowany, odpowiedział jedną znajomą frazą i na ekranie pojawiło się słowo Tak.

Lee posłał uśmiech Alison, ale odezwał się do Chrisa i Franka.

- Pytając w ten sposób daliśmy im możliwość odpowiedzi jednym słowem, różniące się od zapytania i wyeliminowaliśmy możliwość, że tylko powtarzają. To, panowie, jest najprawdziwsze tłumaczenie!

„O Boże!”.

Frank zerwał się i gwałtownie ruszył w stronę wyjścia.

- Czekaście tutaj.

- Dokąd idziesz?

Zatrzymał się w drzwiach i spojrzał w jej stronę.

- Po szampana. - Przeniósł wzrok na delfiny. - I niech ktoś da Dirkowi i Sally coś do jedzenia!

12

Clay i Caesare weszli do biura Langforda i bezgłośnie zamknęli za sobą drzwi. Admirał dał im ręką znak, żeby usiedli, drugą trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Byli rozluźnieni; nieraz już odwiedzali ten gabinet. To tutaj najczęściej prowadzili rozmowy, tak służbowe, jak i prywatne. Choć oficjalnie był urzędnikiem, Langford starał się jednak bezpośrednio angażować w sprawy swojego wydziału, zwłaszcza w kwestiach technicznych. Twierdził stanowczo, że przywódca nie rozumiejący podstaw tego, czym zajmował się jego zespół, nie powinien tym zespołem w ogóle dowodzić. Utrzymywał, iż jest to istotne dla podejmowania lepszych decyzji i skuteczniejszego zarządzania - a z osiągnięciami jego wydziału trudno było dyskutować.

Minęły dwa tygodnie od ich wyprawy na statek Emersona. Po trzech dniach poszukiwań zaginionego Tritona z pomocą starszego batyskafu byli zmuszeni wrócić do Waszyngtonu i złożyć oficjalne podanie o możliwość powrotu i dokończenia zadania. Po wyrazie twarzy Langforda wiedzieli już, czego się spodziewać.

Admirał zakończył rozmowę i z westchnieniem odłożył słuchawkę.

- Okręt podwodny nie wchodzi w grę - powiedział.

- Wiedzą, że nie mamy szans na odnalezienie Tritona ani na odtworzenie okoliczności wystąpienia problemu, jeśli nie zejdziemy pod wodę - odparł Clay.

Langford przytaknął.

- Wiedzą. Przedstawiłem sprawę tak jasno, jak to tylko możliwe. Po prostu cholerne koszty są za wysokie. Demokraci tną nam budżet, więc nie możemy sobie pozwolić na wydanie kilku milionów dolarów tylko po to, żeby sobie popłynąć i zrobić parę testów.

- A co z batyskafem Emersona? - zapytał Caesare. - Ciągłe go nie znaleźli, a ten sprzęt jest za drogi, żeby go spisać na straty. Moglibyśmy przy okazji

go poszukać.

Langford potrząsnął głową.

- Nie skreślamy Tritona.

Clay nie był zaskoczony. Nie po raz pierwszy wstrzymywał ich brak funduszy. Prędzej czy później wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Najbardziej gryzło go to, że póki co najprawdopodobniej decyzja została podjęta w oparciu o arkusz kalkulacyjny, a nie akt zgonu. Gdyby Alabama była w Rowie Mariańskim, kiedy miał miejsce błąd, mogła roztrzaskać się o jedną ze ścian i zmienić z okrętu podwodnego w grobowiec. Ktoś najwyraźniej doszedł do wniosku, że była to odosobniona usterka systemu. Bez dalszych testów nie mógł tego zanegować - ani, rzecz jasna, potwierdzić. Kolejny doskonały przykład biurokracji w marynarce.

- No dobrze, skoro chcą Tritona, ale nie mamy dostępu do łodzi - zaczął Caesare - to jak właściwie mamy go odzyskać?

Langford uśmiechnął się.

- To zabawne, że pytasz.

United States Geological Survey zostało założone w 1879 roku, kiedy prezydent Rutherford B. Hays podpisał rozporządzenie o przydziale funduszy. Położone w Reston w stanie Wirginia, USGS miało za zadanie dostarczać szczegółowe dane na temat niezliczonych środowisk naturalnych i ekosystemów istniejących na Ziemi. Zasięg naukowy organizacji był ogromny; jej budżet przekraczał miliard dolarów, a w ponad czterystu ośrodkach pracowało więcej niż dziesięć tysięcy naukowców, techników i członków personelu pomocniczego. Z tego też powodu kierująca departamentem Kathryn Lokke notorycznie niedosypiała. Gwałtownie wspiąwszy się na szczyt organizacji, po tym jak poprzedni dyrektor znalazł się w centrum skandalu związanego z oszustwami i związkami pozamażeńskimi, Lokke miała pełne ręce roboty usiłując nad wszystkim panować i naprawić uszczerbek na ich wizerunku.

Ironia polegała na tym, że USGS było jedną z najlepiej zarządzanych instytucji w sektorze publicznym; Lokke często o tym myślała. Trudno było nie traktować tego osobiście, skoro spędziła większą część swojej kariery zawodowej właśnie tutaj. Prawdę mówiąc, Lokke nie tylko była jedną z

pierwszych w departamencie kobiet na kierowniczym stanowisku, ale z dużym prawdopodobieństwem miała też największą wiedzę naukową w porównaniu do swoich poprzedniczek. Pełniła funkcję głównego naukowca przez wiele lat i kierowała niektórymi z najważniejszych projektów, dlatego tym bardziej frustrowało ją przewodzenie całej organizacji. Nie była biurokratką i nie znośła odgrywać tej roli. O tym też często myślała - szczególnie wtedy, kiedy opuszczała pomieszczenie po telekonferencji o dziesiątej rano.

Lokke szybko wróciła do biura na najwyższym piętrze i prawie udało jej się bez zatrzymania minąć swoją asystentkę.

- Pani Lokke! - powiedziała Richele, odkładając słuchawkę telefonu. - Właśnie dzwonił pan Haines. Mówił, że musi z panią pilnie porozmawiać.

Lokke zmarszczyła brwi.

- O czym?

- Nie powiedział. Ale jest już w drodze na górę. Pomyślałam, że może chciałaby pani, żebym wypchnęła za to jakieś inne... może bardziej irytujące spotkanie.

Lokke nie mogła powstrzymać uśmiechu, mimo iż cały ranek spędziła przy telefonie. Richele z pewnością mówiła o Albercie Petriono, kierowniku Energii i Minerałów, którego wszyscy starali się unikać.

- Dzięki, Richele. Byłoby świetnie.

Asystentka mrugnęła do niej.

- Załatwione.

Haines wpadł do biura dwie minuty później i szybko zamknął za sobą drzwi.

- Mamy problem.

To zaskoczyło Lokke. Takie zachowanie było do niego bardzo niepodobne. Odsunęła laptopa i poświęciła Hainesowi całą uwagę.

- Jaki problem?

- Mówili ci już o trzęsieniu ziemi na Antarktydzie?

- Pokrótce. Dzisiaj rano.

Haines odetchnął głęboko.

- Było w pobliżu Ronne.

- Znowu odłamał się kawałek lodu? - zapytała Lokke, myśląc o fragmencie wielkości wyspy, który oderwał się od szelfu Ronne kilka lat wcześniej.

- Hm... przede wszystkim nie chodzi tu o lód.

Na twarzy Lokke odmalował się niepokój.

- Mów dalej.

- Mamy tam w obozie Halley parę badaczy; wyrzuciło ich z łóżek w środku nocy. Następnego dnia rano pojechali się rozejrzeć. Znaleźli szczelinę. Dużą.

Lokke wstrzymała oddech.

- Jak dużą?

- Ciągnie się kilometrami.

Jej następne pytanie było dokładnie przemyślane.

- Gdzie?

Haines odetchnął powoli.

- Za szelfem, na lądzie stałym. Około szesnastu kilometrów w głąb.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, zanim w końcu odchyliła się na krześle.

- Jezu.

Haines siedział w milczeniu, kiedy ona przyswajała tę wiadomość. Lokke spojrzała na rozwieszoną na ścianie dużą mapę południowej półkuli.

- Jak duże jest osuwisko? - zapytała.

- Ponad cztery metry w dół.

- O mój Boże! - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Czy to potwierdzone?

- Tak. Wysłaliśmy samolot z McMurdo. Zmierzyli długość i wyszło im 69 kilometrów, z czego większość na lądzie. Ekipa naziemna sprawdziła głębokość osuwiska najbliżej obozu. Z powietrza wygląda na dosyć jednolite. Wstrząs był na tyle silny, że zareagowały wszystkie przyrządy do pomiaru aktywności sejsmicznej na kontynencie.

Lokke wiedziała, co to oznacza. Chociaż Antarktyda była stosunkowo niedużym lądem, żeby aktywować wszystkie czujniki ruch musiał być naprawdę potężny.

- Natychmiast wyślijmy tam dużą ekipę i trochę sprzętu. Musimy wykonać wszystkie pomiary i sprawdzić skanem podpowierzchniowym, zanim to ogłosimy.

Haines skinął głową.

- Tymczasem zacznę zbierać ludzi.

13

Chris wymienił taśmę w kamerze na nową, a starą podał Alison, która nakleiła na nią małą etykietkę z nadrukowanym kodem kreskowym. Następnie podłożyła ją pod skaner optyczny, który zapisał numer i wyświetlił na ekranie komputera niewielkie okno do wprowadzania notatek. Wpisała krótki opis właśnie zakończonego ćwiczenia i wcisnęła enter, zapisując informację w bazie danych.

- Gotowa na następne? - zapytał Chris.

- Dajmy im chwilę przerwy - odparła, spoglądając na Dirka i Sally. Przeniosła wzrok na zegarek. - Już prawie pora karmienia i na pewno...

Jedzenie teraz - Słowa Sally rozległy się z głośnika.

Alison uśmiechnęła się. Pochyliła się i wystukała Tak, jedzenie teraz, po czym kliknęła przycisk tłumaczenia. Odwróciła się i podniosła słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do ekipy karmiącej.

Dziękuję Alison - przyszła mechaniczna odpowiedź.

Alison nagle zamarła. Upuściła słuchawkę i odwróciła się w stronę zbiornika. Chris i Lee zrobili to samo. Po długiej chwili milczenia spojrzeli po sobie.

- Co ona powiedziała? - zapytała Alison.

Chris spojrzął na monitor ponad ramieniem Lee.

- Czy Sally właśnie powiedziała „ALISON”?

Lee przysunął się bliżej i uważnie wpatrzył w ekran.

- Hm... na to wychodzi. - Uniósł jedną brew. - Jak ona to do cholery zrobiła? - Lee wystukał na klawiaturze kilka słów i wcisnął enter. Otworło się kolejne okno, zawierające dzienniki transakcji i setki linijek niezrozumiałego tekstu. Odnalazł ostatnią przetłumaczoną wypowiedź i spojrzął na sygnaturę atrybutu słowa „Alison”. Następnie zjechał niżej, sprawdzając zapisane szczegóły wszystkich tłumaczeń z ostatnich dwóch dni. - Aha! - powiedział triumfalnie, ale nagle odchylił się na krześle, uderzony inną myślą. - Och...

łał!

- O co chodzi? - naciskała Alison.

Nie odpowiedział od razu.

- Ło! To jest dopiero coś.

- Ale co takiego?!

- Kontekst. IMIS wziął pod uwagę kontekst. - Lee niemal wydawał się mówić do siebie. Szybko się ocknął i spojrzał na Alison i Chrisa. - Widzicie, IMIS ma tak zaprogramowaną sztuczną inteligencję, żeby starał się zidentyfikować kontekst. Po części dzięki temu jest w stanie się uczyć. Chodzi w zasadzie o określenie relacji pomiędzy wieloma zmiennymi, żeby osiągnąć w swoim przekonaniu jak największą trafność.

Chris zmarszczył brwi.

- To zaczyna brzmieć jak chińszczyzna.

- Zobacz - powiedział Lee, którego powoli ogarniało podekscytowanie. - Powiedzmy, że IMIS próbuje rozpracować słowo „cześć”. Jeśli wydaje mu się, że zidentyfikował dźwięk wydawany przez delfiny, który oznacza „cześć”, ale ten zostanie wydany, kiedy delfiny się oddalają, kontekst interakcji wskaże, że tłumaczenie było błędne.

Alison skinęła głową.

- Jasne.

- Oczywiście to uproszczony przykład. Teraz, przed chwilą, IMIS uwzględnił kontekst po OBU stronach przekładu. Patrzcie na to! - Wskazał dzienniki tłumaczeń wyświetlone na ekranie. - Tak naprawdę Sally nie powiedziała „Dziękuję Alison”, tylko „Dziękuję dziewczyno”. Ale IMIS nie tylko poprawnie zidentyfikował i przetłumaczył słowo „dziewczyna”. Wykorzystał też algorytm kontekstowy do ustalenia, że Alison jest pośród nas jedyną kobietą; prawdopodobnie w oparciu o jej konto na komputerze, bo czasem to ona pisała wiadomości do Dirka i Sally. Na tej podstawie IMIS zorientował się, że wiadomość była przeznaczona dla jedynej dziewczyny i podstawił imię Alison. Do licha, nawet zapisał je z dużej litery.

- A niech mnie.

- Prawidłowa reakcja - odparł Lee. - IMIS jest jeszcze mądrzejszy niż myślałem. - Obrzucił wzrokiem wszystkie serwery przy ścianie, błyskające setkami diod i wciąż przekopujące dane. - Nic dziwnego, że tak szybko robi postępy.

Przerwał im dzwonek telefonu. Alison szybko podniosła słuchawkę.

- Tu Ali.

- Cześć Ali, tu Frank. Czy mogłabyś przyjść do mojego biura?

- Uhm, pewnie - powiedziała, kiwając głową. - A czy to może poczekać dwadzieścia minut? Jesteśmy właśnie w trakcie...

- Prawdę mówiąc, nie może - przerwał jej. - Potrzebuję cię tu natychmiast.

- Okeeej... no to zaraz będę.

Chris z rozczarowaniem zmarszczył brwi.

- Co, nie może poczekać dwudziestu minut?

- Najwyraźniej nie.

- A o co chodzi?

- Nie mam pojęcia. Powiedział tylko, że chce się ze mną widzieć. - Upuściła słuchawkę z powrotem na widełki. - Zajmijcie się ich lunchem, dobra?

- Jasne.

Rzucając delfinom ostatnie spojrzenie, odwróciła się i ruszyła ku schodom. Była w dobrym nastroju. W ciągu ostatnich kilku tygodni prace nad projektem postępowały znakomicie, a wiedząc, jak bardzo Frank lubi się popisywać, była mu wdzięczna, że zgodził się nie wysłać kolejnego komunikatu prasowego zaraz po pierwszym tłumaczeniu. Uwaga, jaką ściągnęli na siebie samym porannym programem była przytłaczająca; wszyscy chcieli przyjść i zobaczyć Dirka oraz Sally. Bardzo zwiększyło to sprzedaż biletów, ale tłumy ludzi, włącznie z samym burmistrzem, przychodzące na publiczne pokazy albo sesje zdjęciowe, znacząco spowalniały ich pracę. Franka cieszyło to zainteresowanie, ale resztę ekipy frustrowały opóźnienia i nagabywanie.

„No dobrze, to nie do końca prawda” - pomyślała. To ona była sfrustrowana. Pozostałym też sprawiało to przyjemność. Często zastanawiała się, czemu unika bycia w centrum uwagi, ale nigdy nie doszła do żadnej konkretnej odpowiedzi. Może to te wszystkie spojrzenia, którymi obrzucano ją w szkole; traf, że odziedziczyła rysy po matce i wciąż ktoś próbował ją podrywać. Może to jej zapał do nauki i fakt, że nauczyciele zawsze skupiali uwagę na niej. Zaakceptowała już, że nigdy tak naprawdę nie pozna źródła problemu, ale nawet gdyby jej się to udało, czy to by coś zmieniło? Zapewne nie. Zawsze będzie w duszy mołem książkowym.

Alison dotarła na szczyt schodów lekko zdyszana i zdała sobie sprawę, że naprawdę powinna znowu zacząć chodzić na siłownię. Przeszła krótkim

korytarzem i uprzejmie zapukała do drzwi, po czym je otworzyła.

- Nie uwierzysz co właśnie... - zaczęła wchodząc do środka, ale uśmiech gwałtownie znikł z jej twarzy. W pokoju oprócz Franka było dwóch mężczyzn w koszulach i pod krawatem. Kiedy weszła, wszyscy wstali.

- A oto i ona - powiedział Frank, wychodząc zza biurka. - Alison, chciałbym ci przedstawić Johna Claya i Steve'a Caesare. Są z...

- Niech zgadnę - powiedziała z udaną uprzejmością. - Z rządu. Za dobrze ubrani na wojsko. CIA?

Clay i Caesare zbliżali się do niej z wyciągniętymi dłońmi, ale raptem się zatrzymali.

- Eee, prawdę mówiąc, to z marynarki.

Skrzyżowała ramiona.

- Cóż za niespodzianka.

Mężczyźni spojrzeli na Franka, lekko zbici z tropu.

- Ali - zaczął Frank. - Panowie przyszli porozmawiać o naszym projekcie.

Alison uniosła kpiąco brwi.

- Łał, naprawdę?!

- Eee, tak - powiedział niepewnie Clay. - Właśnie wyjaśnialiśmy doktorowi Dubois, że doszły nas słuchy, nad czym pracujecie i pomyśleliśmy, że moglibyśmy wam pomóc w badaniach nad delfinami.

- Rząd chce nam pomóc. A w czym tak właściwie? Będziecie je uczyć przyczepiania min do wrogich statków?

Clay, jeszcze bardziej zmieszany, spojrział na Franka, który mierzył teraz swoją kierowniczkę projektu surowym wzrokiem.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. Może będziemy mogli was wesprzeć, stwarzając sposobność do wspólnej pracy z waszymi delfinami.

Alison nie zmieniła pozycji. Obrzuciła Franka długim spojrzeniem.

- O jaką sposobność chodzi?

Caesare obdarzył ją swoim charakterystycznym uśmiechem.

- O wyłowienie jednego z naszych małych batyskafów badawczych z Morza Karaibskiego.

Alison spojrzała na niego, a potem znowu na Claya. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

- Nie możecie sami tego zrobić?

- No, moglibyśmy - odparł Clay, ignorując sarkazm w jej głosie. - Ale pomyśleliśmy, że to byłaby okazja dla pani i całego zespołu; interakcja w

naturalnych warunkach, która mogłaby wspomóc pracę nad tłumaczeniem, a może nawet...

- Te delfiny od lat nie pływały w otwartym oceanie. Nie są przystosowane, a my nie możemy przecież założyć im smyczy. Poza tym byłby problem z przewiezieniem ich na miejsce.

- Jesteśmy gotowi zaspokoić wszelkie wasze wymagania.

- Nie sądzę - odparła Alison. - Poza tym, nasze możliwości jeśli chodzi o tłumaczenie ciągle jeszcze nie są...

- Panowie - Frank przerwał poniesionym, ale opanowanym głosem. - Czy moglibyście dać nam chwilę?

Clay i Caesare skinęli głowami, po czym ruszyli w stronę wyjścia. Upzejmie wyminawszy Alison, po cichu zamknęli drzwi za sobą.

Po opuszczeniu pokoju przeszli przez korytarz i z rękami w kieszeniach oparli się o białą ścianę.

- Chyba nie przypadłeś jej do gustu - stwierdził Caesare.

Clay się zaśmiał.

- Najwyraźniej ma coś do wojska.

- Za to jest całkiem ładna - powiedział Caesare. Przeszedł kilka kroków i przyjrzał się oprawionemu w ramkę zdjęciu. Była to stara, czarno-biała fotografia z ceremonii rozpoczęcia budowy akwarium. Szacował, że zebrany tłumek składał się z około osiemdziesięciu osób. Wszyscy mieli na sobie garnitury lub suknie i stali tworząc niewielki łuk wokół kilku ludzi pośrodku, z których jeden trzymał lśniąca łopatę. Pod zdjęciem znajdowała się mała plakietka z napisem 1925.

- To miejsce istnieje już od dawna.

Clay przytaknął i podszedł obejrzeć fotografię.

- Byłem tutaj już kiedyś - powiedział. - Jako chłopiec. Miałem może siedem albo osiem lat. Tata mnie tu przywiózł, kiedy odwiedzałem go w Miami. - Pochylił się, żeby lepiej widzieć. - Akwarium było wtedy dużo mniejsze. - Clay w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie. Wciąż doskonale pamiętał tę wycieczkę. To był ten sam weekend, kiedy dowiedział się od ojca, że rodzice się rozwodzą.

Caesare odwrócił się w stronę drzwi. Na środku wisiała tabliczka z napisem „Dr Frank Dubois, dyrektor”.

- To co zrobimy, jeśli się nie zgodzą?

Clay wzruszył ramionami.

- Chyba będziemy szykować fajki do nurkowania i płetwy.

Frank zrobił krok naprzód i usiadł na skraju dużego dębowego biurka. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Zgarbił się na moment, po czym z westchnieniem opuścił ramiona. Podniósł wzrok na Alison.

- Myślę, że powinniśmy to zrobić.

- Co? - prychnęła. - Chyba tego nie kupujesz? To marynarka, Frank! Oni nie chcą nam pomóc, tylko znaleźć sposób, żeby wykorzystać dla siebie naszą technologię!

- Słuchaj, Ali. Wiem co sobie o nich myślisz i pamiętam, co było wcześniej...

- I uważasz, że teraz będzie inaczej? Dam sobie rękę uciąć, że stoją właśnie za drzwiami i rozmawiają o tym, co wojsko może z tego mieć. Chcą tylko...

- Jak ci się wydaje, Alison, kto za to wszystko płaci? - wyrzucił z siebie Frank gwałtownie, zamaszystym gestem wskazując pokój. - Święty Mikołaj?! Nieważne czy to NASA, marynarka czy cholerny urząd skarbowy! Jesteśmy tu tylko dzięki pieniądzom od rządu! Masz pojęcie, jak trudno jest zebrać fundusze? - Odetchnął głęboko i zniżył głos. - Tracimy pieniądze. Wiesz o tym. Sprzedaż biletów spada, nawet mimo napływu gości po tym komunikacie prasowym. Fakty są takie, że potrzebujemy więcej czasu. Mamy jeszcze tyle do zrobienia, ale bez grantów będziemy mogli się nazwać szczęściarzami, jeśli akwarium nie zostanie zamknięte przed końcem roku.

Alison spuściła ręce i zmarszczyła brwi. Frank miał rację. Bez pieniędzy wszystko to prędzej czy później się skończy.

- Słuchaj - ciągnął Frank. - Wiem, co czujesz, naprawdę. Pamiętam, co się stało. - Widział, jak Alison sztywnieje i zdawał sobie sprawę, że poruszył czułą strunę, ale musiał. Zawsze wiedział, że kiedyś w końcu do tego dojdzie. - Musimy grać w tę grę. Przynajmniej na razie. Nie mamy wyboru. Prowadzimy na tym polu, ale jeśli nas zamkną, wszystkie nasze dane staną się publicznie dostępne. A inni w parę miesięcy dotrą tam, gdzie my jesteśmy teraz.

Jej ramiona rozluźniły się nieco.

- Myślisz, że tak po prostu by nas odcięli?

Nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć. Nie musiał. Alison nie wierzyła, że w ogóle to powiedziała.

Powoli podeszła do okna i wyjrzała na palmy przy sąsiedniej ulicy,

sterczące ku niebu niczym rząd wież. Zdumiewające, jak bardzo wciąż była wściekła. Minęło prawie dziesięć lat, a ją nadal ogarniała złość na samą myśl o tamtych wydarzeniach. Jej pierwszy ważny projekt badawczy, taki, który naprawdę coś znaczył, miał miejsce w Kostaryce. Była to pierwsza na świecie poważna próba odwzorowania na mapie i udokumentowania całości wzorców migracji i rozmnażania żółwi morskich. Spędzili trzy lata oznaczając, śledząc i otaczając opieką tysiące tych zwierząt, śpiąc w namiotach, praktycznie bez pieniędzy. I w końcu osiągnęli coś, co nie udało się żadnemu innemu zespołowi biologów morskich. Boże, jakimi oni byli idealistami. Wtedy wydawało im się jakby marynarka, a także sam rząd Stanów Zjednoczonych, spadły im z nieba. Dostarczyli sprzęt, komputery i urządzenia lokacyjne. Bez ich dotacji ekipa Alison nie byłaby w stanie śledzić żółwi dalej niż kilka kroków od plaży, nie wspominając już o Atlantyku i Oceanie Spokojnym.

Wiedzieli bez cienia wątpliwości, że jeśli program zostanie przedłużony, da im to możliwość prześledzenia nie tylko tras, ale w końcu nawet całego przebiegu życia żółwi, od narodzin po śmierć. Kończyli swoje opracowania, a niektórzy, w tym Alison, finalizowali doktoraty, kiedy wszystko runęło. Jednym skoordynowanym wysiłkiem marynarka skonfiskowała większość ich pracy. Wszystko co uznano za leżące w interesie bezpieczeństwa narodowego, zostało nieodwołalnie przekazane rządowym zespołom badawczym z różnych dziedzin. Ona i jej ekipa byli wstrząśnięci. Nie mogli pojąć, w jaki u licha sposób populacja żółwi zagrażała bezpieczeństwu państwa. To nie miało najmniejszego sensu i wszyscy byli pewni, że to jakieś gigantycznie nieporozumienie. Poprzez przyjaciela dowiedzieli się, że w marynarce od początku mieli inne plany. Chcieli ustalić, jak wykorzystać żółwie z doczepionymi małymi, ale mocnymi przekaźnikami do blokowania komunikacji pomiędzy wrogimi okrętami, w oparciu o położenie żółwiego agenta. Żółwi agent. Dziś brzmiało to tak samo absurdalnie, jak wtedy. Jednak niezależnie od tego, wstrząsnęło nimi odkrycie, że wsparcie marynarki od samego początku było oszustwem. Rządu nie obchodziła biologia. Chcieli tylko wiedzieć, czy da się ją sensownie wykorzystać do celów wojskowych.

Oczywiście się nie dało. Trasy migracji były pomocne, ale komplikacje logistyczne związane z ruchem żółwi, prędkość z jaką podróżowały i moc potrzebna do skutecznego zagłuszenia sygnału stanowiły przeszkodę nie do

przeskoczenia. Ostatecznie marynarka porzuciła tę koncepcję. Po dwóch latach sporów prawnych w końcu uległa i udostępniła wszystkie dane społeczności naukowej; wtedy jednak dłuższe, bardziej wyczerpujące badania były zbyt trudne do sfinansowania i projekt w zasadzie umarł. Wyniki zostały ostatecznie dobrze przyjęte, ale pełne zrozumienie zachowań żółwi od narodzin do śmierci miałyby ogromny wpływ na wiedzę na temat tych zwierząt. Zanim mieli szansę pozbierać wszystko do kupy, entuzjazm opadł i większość badaczy znalazła inne zajęcie. Niespełna rok po rezygnacji z projektu Alison poznała Franka i jego szalony pomysł na badania związane z tłumaczeniem języka.

Odwróciła się od okna i wbiła w niego wzrok.

Wzruszył ramionami.

- Poza tym, może oni naprawdę chcą pomóc.

Przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

- Marynarka ma pieniądze i środki, o których my możemy pomarzyć. Po co do diabła mieliby przychodzić do nas? Serio. Jaki to dla nich problem załatwić sobie małą łódź podwodną?

- No dobrze. - Ze zniechęceniem opuściła ramiona i ruszyła ku drzwiom. Zanim je otworzyła, odwróciła się z powrotem do Franka. - Zdajesz sobie sprawę, że nie wysłaliśmy żadnego komunikatu do prasy po nawiązaniu kontaktu?

Wzruszył ramionami.

- Wiem. Pamiętasz, że mieliśmy to zrobić, kiedy będziemy gotowi zaprezentować tłumaczenie w akcji?

Potrząsnęła głową.

- Nie o to chodzi. Skoro oficjalnie nic jeszcze na ten temat nie ogłosiliśmy, to skąd marynarka o tym wie?

Clay i Caesare podążali za Alison korytarzem w kierunku schodów. Rozmowa w biurze Dubois musiała zrobić swoje, bo kobieta po wyjściu okazywała im nieco mniej pogardy. Na prośbę Dubois zaproponowała, że pokaże im laboratorium i zademonstruje technologię, z której korzystają.

Idąc za nią w milczeniu, Clay przyznał w myślach, że Caesare miał rację. Faktycznie była ładna - a także niezwykle inteligentna i zdecydowanie nie

należało z nią zadzierać. Przynajmniej jeśli pracowało się dla rządu. Nie wiedział, co ją tak zraziło, ale sam widział dość dużo, by odnosić się do jej postawy ze zrozumieniem.

Po zejściu schodami Alison poprowadziła ich przez nowe skrzydło. Clay przypuszczał, że od czasu jego wycieczki w dzieciństwie rozmiar budynku podwoił się. Konstrukcja tej części była zaprojektowana bardziej nowocześnie, ale dołożono starań, żeby z wyglądu pasowała do starego budynku. Dla przeciętnego gościa była niemal nie do odróżnienia. Minęli hordę dzieci zaglądających do ogromnego zbiornika i machających do delfinów. Korytarz kończył się nagle dużymi zabezpieczonymi drzwiami, ale basen ciągnął się dalej, tworząc jedną ze ścian laboratorium. Po wejściu Clay zauważył drugie, mniejsze schody i zdał sobie sprawę, że Alison poprowadziła ich trasą z lepszym widokiem. Może nie była do nich nastawiona tak do końca wrogo.

Pomieszczenie było większe niż się spodziewał. Ściana w głębi była wysoka na niemal trzy metry i w większości zastawiona serwerami ułożonymi na półkach. Na środku znajdowały się trzy stoły i cztery duże biurka, a także dwóch młodych ludzi, którzy najwyraźniej właśnie jedli lunch.

Chris i Lee odwrócili się równocześnie, słysząc dźwięk zamykanych drzwi. Szybko wytarli usta, kiedy Alison podeszła do nich z dwójką gości.

- Chłopaki - powiedziała, przechodząc przez pokój. - Ci panowie są z marynarki. Przyszli tu dowiedzieć się czegoś o naszym projekcie.

Chris i Lee nagle zeszywnieli.

- To Chris Ramirez, kolejny z naszych głównych badaczy, i Lee Kenwood, wykwalifikowany informatyk. Przepraszam - powiedziała Alison. - Jak się panowie nazywają?

- John Clay - odparł, wychodząc na przód i ściskając dłoń Chrisa, a potem Lee. - A to mój współpracownik, Steve Caesare.

- Miło mi państwa poznać - dodał Caesare, również ściskając im dłonie.

- Pani Shaw była tak miła i oprowadziła nas po akwarium. Bardzo tu u was przyjemnie.

Lee odprężył się, ale Clay zauważył, że Chris utrzymywał defensywną postawę, podobnie jak Alison.

- Frank prosił, żeby zorganizować im demonstrację - powiedziała badaczka.

Chris milczał, ale Lee ochoczo usiadł do komputera i z powrotem przywołał na ekran system IMIS.

- Frank i ja zabraliśmy się za ten program sześć lat temu - zaczęła Alison. - Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że będzie nam potrzebne dużo więcej pieniędzy i jakaś pomoc. Chris i ja pracowaliśmy razem nad czymś innym w Ameryce Środkowej, więc ściągnęliśmy go mniej więcej rok po tym, jak z Frankiem dostaliśmy pierwszy grant. - Podeszła do biurka Lee od drugiej strony i patrzyła mu przez ramię, kiedy wszystko przygotowywał. - Po drugim dołączył do nas Lee. Wcześniej pracował dla IBM. - Wskazała na ścianę zastawioną komputerami. - To właśnie oni dostarczyli nam serwery i pomogli zaprojektować oprogramowanie oraz algorytm tłumaczeniowy, IMIS. To system, który tłumaczy dla nas delfiński.

Caesare uniósł brew.

- Delfiński?

Wzruszyła ramionami.

- Tak go nazywamy. Kto wie, jak język będzie się nazywał, kiedy już...

- Przepraszam - przerwał Clay. - Wydawało mi się, że dopiero zaczynacie z przekładem. Chce pani powiedzieć, że znacie już słownictwo?

Alison uśmiechnęła się.

- No, to może trochę za dużo powiedziane.

Clay był autentycznie zaskoczony. Po chwili odparł: - Więc... na jakim dokładnie etapie są prace?

Alison skinęła głową do Lee, wciąż szeroko uśmiechnięta.

- Pokażmy im.

Lee szybko wpisał Cześć w okno tłumacza.

Clay i Caesare, nie wiedząc, czego się spodziewać, odwrócili się w stronę wielkiego zbiornika, kiedy usłyszeli dźwięk dobiegający z podwodnych głośników. Patrzyli jak dwa delfiny, zabawiające dzieci po drugiej stronie szyby, nagle przerwały i podpłynęły w ich stronę. Clay poczuł się dziwnie, kiedy zobaczył jak oczy stworzenia za szkłem zdają się skupiać wprost na nich.

Jeden z delfinów powtórzył dźwięk i patrzyli teraz, jak na ekranie pojawia się odpowiedź.

- Łał - wykrzyknął Clay. Spojrzał na Caesare, który również uniósł brwi. - To niesamowite. Pozostała trójka wyglądała, jakby rozpierały ich emocje. Alison, ze wzrokiem wbitym w monitor, pochyliła się mocniej nad

ramieniem Lee.

- Zapytaj, jak się mają.

Lee szybko wpisał Jak wy dzisiaj? i kliknął myszką.

Słyszając dźwięki, Dirk szybko odpowiedział.

Dobrze. Jak wy.

Lee odpisał.

Dobrze. Dziękuję.

Alison wyprostowała się i spojrzała na Claya.

- Lee pracuje nad dodaniem systemu rozpoznawania głosu, tak żebyśmy nawet nie musieli pisać. To może trochę potrwać.

Clay i Caesare stali bez ruchu z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami. Byli kompletnie oszołomieni.

Zajął kilka sekund, zanim Clay doszedł do siebie.

- Co... co one jeszcze...

Dirk przerwał mu zza szyby.

Jak długo jedzenie.

Alison znów się uśmiechnęła.

- Wiecznie są głodne. - Pochyliła się i sama napisała odpowiedź.

Jedzenie niedługo.

Clay spojrział na Caesare, który wciąż nie mógł wydusić słowa.

- Ło! - powiedział, z powrotem przenosząc wzrok na delfiny.

Lee obrócił się na krzesło i uśmiechnął do nich promiennie.

- Panowie, poznajcie Dirka i Sally.

Kto oni - zapytała Sally.

Lee odstąpił krzesło Alison, która prędko usiadła i odpowiedziała.

Przyjaciele. Chcą pomocy.

Mimo oszołomienia, Clay podejrzewał, że Alison nie była zachwycona nazywając ich przyjaciółmi.

Dirk i Sally nagle zaczęły energicznie zataczać kółka w wodzie; Clay przypuszczał, że były podekscytowane.

Tak. Lubić pomoc - odparła Sally. - Dirk głodny.

Jedzenie niedługo - odpisała Alison.

Caesare nie mógł oderwać oczu od Dirka i Sally.

- To niewiarygodne.

Lee uśmiechnął się szeroko.

- Powinniście teraz zobaczyć, jak robią sztuczki!

Alison stała na środkowym pokładzie, spoglądając w dół, na duży basen zbudowany na rufie Pathfinderera. Aby uzyskać dość miejsca na zbiornik mieszczący blisko czterdzieści tysięcy litrów słonej wody, który zajmował trzy czwarte otwartej platformy, rozmontowano dwa spośród znajdujących się tu dźwigów. Na trzecim wisiała ciężka, wykonana z materiału uprząż służąca do przenoszenia Dirka i Sally do środka i na zewnątrz. Zamknięcie obydwu delfinów w tak ciasnej przestrzeni bardzo ograniczającej możliwość ruchu przez całą pięciogodzinną podróż, napełniało Alison wielkim niepokojem. Nie pomagał fakt, że zbiornik nie miał żadnych okien. Mimo to delfiny wydawały się stosunkowo spokojne, podczas gdy woda wokół nich łagodnie przelewała się tam i z powrotem wraz z ruchem fal.

Na szczęście trafiła im się idealna pogoda - morze było spokojnie, a niebo bezchmurne, tak jak często na Karaibach podczas zimowych miesięcy. Alison obejrzała się za siebie i nie dostrzegłszy na horyzoncie nawet skrawka stałego lądu, przeniosła wzrok na zegarek. Chciałaby mieć już tę komedię za sobą. Patrzyła, jak niektórzy z pozostałych krążą po statku, rozkoszując się świeżym powietrzem i zapachem otwartego morza. Spośród pasażerów blisko dwa tuziny stanowili reporterzy i dziennikarze zaproszeni przez marynarkę na sesję zdjęciową. Według Alison, ta ostatnia musiała wykorzystywać każdą okazję, żeby dobrze się zaprezentować w mediach. Jeden z reporterów poniżej oglądał właśnie zbiornik. Odszedł parę kroków w tył i zaczął robić zdjęcia - strzelił ich chyba z kilkadziesiąt, aż Alison zaczęła się zastanawiać, czy płacą mu od liczby fotografii. Mimowolnie zadawała sobie też pytanie, czy wiedział, że założył czapkę tyłem do przodu.

Alison starała się otrząsnąć ze złego samopoczucia. Nie chciała tutaj przebywać, ale nic dobrego nie przyjdzie z tego, że będzie przez cały czas jęczeć i marudzić. Odetchnęła głęboko i spróbowała cieszyć się widokiem. Wyglądało na to, że wszyscy inni czują się tu dobrze.

Od tyłu podszedł do niej Clay.

- Wszystko w porządku?

Odwróciła się gwałtownie.

- Tak, tak. Jest dobrze. Dziękuję.

- Nie ma pani choroby morskiej? Jeśli tak, zdążymy pani jeszcze coś na to podać.

Słyszając to uśmiechnęła się krzywo, ale zmusiła się do przybrania uprzejmego wyrazu twarzy.

- Choroba morska nie idzie w parze z karierą biologa morskiego.

Skinął głową.

- Oczywiście. Słuszna uwaga. - Wskazał ręką mostek. - Wkrótce będziemy na miejscu. Pan Kenwood już prawie skończył wszystko szykować.

Poszła za Clayem z powrotem na przód pokładu i wspięła się po schodach. Wymamrotała podziękowanie, kiedy przytrzymał dla niej drzwi na mostek. Wchodząc do klimatyzowanego wnętrza, natychmiast zdała sobie sprawę jak ciepło było na dworze.

Po przeciwnej stronie niewielkiego pomieszczenia siedział Lee, ustawiając swój sprzęt na stoliku, który przygotowała dla nich załoga. Poniżej stały dwa duże przenośne serwery komputerowe otoczone plątaniną kabli i drutów. Na blacie znajdowały się klawiatura, monitor, myszka i parę innych urządzeń, których nie rozpoznawała. Chris stał za plecami Lee, wyglądając przez okno na zarys wyspy Bimini i usiłując zachować spokój, kiedy kilku reporterów próbowało się przepchnąć i zrobić zdjęcia Lee z jego sprzętem.

- Jesteśmy gotowi? - zapytała Alison.

- Prawie - odparł Lee. - Wprowadzam jeszcze na próbę komendy, żeby upewnić się, że system już działa.

- To jakie słownictwo będziemy mieli?

Wzruszył ramionami, nie przestając pisać.

- Wszystko, co IMIS zdążył przetłumaczyć zanim wyjechaliśmy. Oczywiście nie jesteśmy w stanie przełożyć niczego nowego, ale... - wskazał dwa serwery pod stołem - ...te maleństwa poradzą sobie przynajmniej ze słowami, które już mamy. Puszczę jeszcze jakieś testowe tłumaczenia, nie dając ich na głośnik i wszystko powinno być gotowe.

Zbliżali się do celu i silniki statku w końcu zaczęły zwalniać. Komandor Emerson wrócił na mostek, żeby sprawdzić, czy przy sterze wszystko było w porządku. Zamienił kilka słów z pierwszym oficerem, po czym zwrócił się do Alison i jej ekipy.

- Pani Shaw, czy potrzeba wam jeszcze czegoś? Za parę minut powinniśmy się zatrzymać.

- Nie, mamy chyba wszystko co konieczne. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak tylko wyłączymy silniki, zaczniemy szykować uprzęż, żeby wyjąć waszych przyjaciół ze zbiornika. Na pewno nie mogą się już doczekać na trochę więcej przestrzeni życiowej, że tak powiem.

- Dziękuję - odparła. - Chris i ja przyjdziemy pomóc.

- Bardzo dobrze. - To rzekłszy, kapitan skinął na pozostałych i zaczął ściszym głosem rozmawiać z Clayem.

Statek wciąż zwalniał. Alison i Chris wymienili nerwowe spojrzenia. Niepokoiło ich coś, o czym przed wyjazdem nie powiedzieli nikomu poza Frankiem. Dirk i Sally stanowiły część akwarium tak samo jak oni i Alison darzyła te zwierzęta głęboką miłością. Jednak przetrzymywali je w niewoli, uwięzione w akwarium. Alison i Chris martwili się, a wręcz bali, że choć delfiny również wydawały się do nich mocno przywiązane, nie było żadnej gwarancji, iż po powrocie do oceanu nie odpłyną po prostu na szerokie wody. Prawie dwa tygodnie zajęło zaaranżowanie ich wyjazdu z akwarium i skonstruowanie zbiorników do ich przewiezienia, nie wspominając o dziesiątkach innych spraw. Przez ten czas więź badaczy z Dirkiem i Sally stała się jeszcze silniejsza. Po zadziwiających postępach, jakie przyniósł im IMIS, delfiny zdawały się tak samo jak oni podekscytowane możliwością wzajemnej rozmowy. Wciąż jednak były trzymane z dala od swojego środowiska naturalnego, od domu. Alison śmiertelnie się bała, że kiedy wypuszczą je ze zbiornika z powrotem na otwarte morze, nigdy więcej już ich nie zobaczą.

Silniki wreszcie umilkły i statek powoli się zatrzymał. Kilka minut później rzucono ogromną kotwicę, która wbiła się w wodę rozpryskując ją na wszystkie strony. Alison i Chris dołączyli do załogi przygotowującej uprzęż na tylnej platformie. Mechaniczne ramię zostało powoli obrócone nad zbiornik i opuszczone do wody. Chociaż na tak małej powierzchni było to niebezpieczne, Alison uparła się, żeby wejść do środka i trzymać dłoń na

Sally, kiedy wielka płachta materiału wsuwała się na nią. Sally nie stawiała oporu. Szybko wślizgnęła się na właściwe miejsce, tak, żeby dało się bezpiecznie zapiąć uprząż. Reporterzy wypełnili pokład nad zbiornikiem i fotografowali cały proces.

Alison poczuła ucisk w gardle, kiedy ze zdenerwowaniem patrzyła, jak załoga przenosi Sally nad pokładem i opuszcza w ciepłe wody oceanu. To samo zrobili z Dirkiem i w niespełna pięć minut obydwie delfiny znalazły się w morzu. Alison stała z tyłu statku i patrzyła, jak z podnieceniem pływają w wodzie. Kiedy skręciły za burzę, kobieta pognała po schodach z powrotem na mostek. Chris deptał jej po piętach. Wpadła do środka i pomknęła w stronę Lee.

- Dobra, powiedzmy coś!

Lee skinął głową i wcisnął przycisk włączający podwodny mikrofon i głośniki. Szybko wystukał Cześć i nacisnął klawisz enter.

Przez dłuższą chwilę w ciszy czekali na odpowiedź. Oczy Alison powoli rozszerzyły się z niepokoju. Położyła dłoń na ramieniu Lee. Czekali dalej.

- Może powinniśmy spróbować jesz... - zaczęła, ale przerwała jej Sally.

Cześć Alison.

Lee podał jej klawiaturę. Zaczęła pisać.

Cześć Sally. Jesteście gotowi pomóc?

Tak lubimy pomoc, brzmiała odpowiedź delfina.

Alison spojrzała na Chrisa. Oboje odetchnęli z ulgą.

Gdzie ty Alison?

Odpisała Jestem na łodzi. Na ekranie pokazał się komunikat Tłumaczenie niemożliwe. Spojrzała na Lee.

- Jak mogę wyświetlić listę dostępnych słów?

Lee wcisnął kilka klawiszy i wszystkie jak dotąd zidentyfikowane wyrazy pojawiły się na ekranie.

Alison od nowa wpisała odpowiedź.

Jestem na metalu.

Duży metal, odpowiedziała Sally.

Alison uśmiechnęła się.

Tak, metal jest duży.

Podniosła wzrok na Claya, który właśnie do nich dołączył.

- Jesteśmy już gotowi?

Potwierdził skinieniem głowy.

- Czekamy już tylko na was.

- Okej. Upewnię się tylko, czy jest im tam dobrze.

Alison znów zaczęła pisać.

Czy ty i Dirk się boicie?

Nie boimy - odparła Sally. - Dirk głodny.

Alison roześmiała się na głos.

- Ten chłopak ciągle jest głodny.

Dirk zawsze jest głodny - zażartowała.

Sally wydała dziwny odgłos, którego komputer nie był w stanie przetłumaczyć.

Alison nagle spojrzała na Chrisa.

- Czy ona się roześmiała?

Mężczyzna uśmiechnął się, podekscytowany.

Alison rozluźniła się na moment i wyprostowała na krześle.

- W porządku. Panie Clay, czego właściwie tu szukamy?

- Małego, białego batyskafu, niecały metr sześcienny wielkości. - Podał jej zdjęcie Tritona. - Szacujemy, że jest gdzieś w promieniu trzech mil.

Spojrzała na zdjęcie.

- Jezu, jak my mamy to opisać?

Lee po raz kolejny wywołał listę słów.

Alison przyjrzała się jej i zaczęła pisać.

Gotowa Sally? Gotowy Dirk?

Gotowa - odparła Sally.

Gotowy - potwierdził Dirk.

Wygląda jak metalowa bańka - napisała. - Proszę zobaczcie i tu wróćcie.

Patrzemy - odpowiedziała Sally.

Zespół nasłuchiwał, czy powiedzą coś jeszcze, ale głośniki milczały.

- Musiały już odpłynąć.

Alison znów zwróciła się do Claya.

- Chciałam tylko przypomnieć, panie Clay, że nie wiem jak daleko i głęboko będą w stanie dotrzeć. Delfiny nie mogą się zanurzyć na więcej niż czterdzieści pięć, może sześćdziesiąt metrów, więc nawet jeśli znajdą go z pomocą echolokacji, może będą w stanie tylko nam go wskazać.

- Rozumiem - odparł Clay. - Nie jesteśmy pewni, na jakiej głębokości wylądował batyskaf, bo jego zbiorniki balastowe były częściowo pełne. W pobliżu jest też kilka raf, więc może nam się poszczęści. - Zakończył z

przyjaznym uśmiechem. - I mówcie mi John.

15

Caesare wszedł do laboratorium Willa Borgera i zastał go przy biurku, przyglądającego się mapie, którą pokazywał im ostatnim razem. Borger podniósł wzrok i skinął głową.

- Cześć, Steve.

- Hej, Will. Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas - odparł Caesare. Podszedł do kolegi i wręczył mu pendrive.

- Żaden problem - Borger rzucił szybkie spojrzenie na nośnik i odwrócił się, żeby podłączyć go do komputera. - A gdzie Clay? - zapytał, pisząc na klawiaturze.

- Popłynął bawić się z delfinami.

Borger uśmiechnął się.

- Nie będę nawet pytał. - Na ekranie otwarło się okno z zawartością dysku.

- No dobrze, co my tu mamy?

- To plik wideo, który nasz przyjaciel Tay przysłał z Pathfindera. Nagranie zarejestrowane przez batyskaf Triton podczas zanurzania... zanim im go zgubiliśmy. Nie jest bardzo długie, ale Clay i ja pomyśleliśmy, że powinniśmy ci je pokazać na wypadek, gdyby było tam cokolwiek pomocnego. Właściwie to mamy nadzieję, że da nam jakąś wskazówkę w którym kierunku odpłynęła łódź po tym, jak straciliśmy kontakt.

- Dobra. - Borger puścił nagranie spowolnione o połowę. Nie odrywając wzroku od ekranu, sięgnął do tyłu po kolejną puszkę Jolta. Wydawało się, że z tych opróżnionych buduje sobie na półce małą wieżę. Sądząc po ich liczbie, Caesare zastanawiał się, czy Borger był akcjonariuszem producenta.

Informatyk otworzył napój, patrząc, jak Triton zanurza się w niebieskiej toni. Brakowało dźwięku, ale obraz był krystalicznie czysty. Po około trzech minutach pojawiły się pierwsze oznaki zakłóceń - kilka maleńkich, ledwie dostrzegalnych białych punktów. Z upływem czasu kropki stawały się większe i występowały coraz częściej, ale wciąż nie były zbyt uciążliwe.

Nagle zakłócenia wyraźnie się pogłębiły, a Borger pochylił się do przodu. Zatrzymał i przewinął nagranie. Raz za razem odtwarzał ten sam kilkusekundowy fragment, przerywając na konkretnej klatce.

- Co to jest? - powiedział bardziej do siebie niż do kolegi.

Caesare się nachylił.

- Co takiego?

Borger przeskakiwał między ciągami kadrów. Wskazał prawy górny róg ekranu.

- To coś tutaj.

Caesare przyjrzał się z bliska. Nagle, znikąd, pojawił się słabo widoczny, jasny kształt. Z każdą klatką odrobinę się wyostrzał, aż zaczął przypominać delikatnie zakrzywioną linię.

- Hmm... może to odbicie światła z wnętrza łodzi na szybie?

- Niewykluczone - powiedział Borger, zaciskając usta. Wciąż oglądał ten sam fragment nagrania. Kształt stawał się coraz wyraźniejszy, aż w końcu zakłócenia nasiliły się tak, że całkiem przesłoniły obraz. Przewinął z powrotem. - Nie wydaje mi się, żeby to było odbicie. - Wskazał na drobny punkt na ekranie. - Ocean jest pełen małych fragmentów osadu i materii organicznej. Przyjrzyj się tutaj... widać, jak drobinka unosi się w górę przed szybą. A tutaj jest na tle tego białego kształtu. Gdyby to było odbicie, światło by ją przesłoniło.

Caesare pokiwał głową.

- Racja.

- Możliwe, że to kolejna nieprawidłowość w nagraniu, ale wątpię. - Ponownie odtworzył film. - Niestety, właśnie w tym momencie zakłócenia stają się tak silne, że tracimy obraz.

Caesare wyprostował się.

- Czyli nigdy się nie dowiemy.

- No, niekoniecznie - odparł Borger, zamykając okno odtwarzacza. Otworzył jakiś program i wpisał kilka poleceń, zbyt szybko, aby Caesare był w stanie za nim nadążyć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć - rzekł Borger, przeskakując między różnymi oknami i programami - że może uda nam się usunąć część tych zakłóceń.

- W jaki sposób? - Caesare przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Jeśli zdołamy ustalić częstotliwość i stopień zakłóceń, komputer może

będzie w stanie je zrekompenzować i usunąć z ekranu. To tak zwana optyka adaptacyjna. Korzystają z niej astronomowie używający teleskopów naziemnych. Ziemską atmosfera zakrzywia przechodzące przez nią światło, więc naukowcy znaleźli sposób, żeby mierzyć te zniekształcenia za pomocą lasera, co pozwala komputerowi je skorygować. W efekcie dostają obraz prawie tak czysty, jak z teleskopu Hubble'a, orbitującego daleko poza atmosferą.

- Tylko że my nie mamy lasera do mierzenia - zauważył Cesare.
 - Prawda - odparł Borger. - Ale mamy coś prawie równie dobrego.
 - To znaczy?
- Borger uśmiechnął się.
- Matematykę.

Clay oparł się o tylną ścianę mostka, czekając razem z Alison i jej zespołem na odpowiedź od Sally lub Dirka. Lee Kenwood, który siedział przed komputerem i przeglądał dzienniki systemowe, podniósł na niego wzrok.

- Wie pan, panie Clay... Znaczy, John... Jeśli chcesz, mogę nagrać tę sesję. Alison odezwała się, zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć.
 - Na pewno sami od początku wszystko nagrywają.
- Clay spojrział na nią, a potem na Lee, po czym wzruszył ramionami.
- Ona ma rację.
- Informatyk uśmiechnął się nerwowo.
- Ach.
 - Pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała Alison, otwierając znajdujące się nieopodal drzwi wyjściowe. Chris wyszedł za nią.
- Alison złapała się barierek, żeby zachować równowagę i wyjrzała zza burty na błękitną wodę poniżej.
- Słowo daję, oni są wszyscy tacy sami.
- Chris zmarszczył brwi. Wydawał się nieprzekonany.
- Sam nie wiem. Nie jestem pewny, czy on podchodzi pod typ, którego tak nienawidzimy. - Spojrział na nią, starając się ją rozbawić.
- Nie złapała przynęty.
- Nie słyszałeś, co powiedział? Przyznał, że wszystko nagrywali nawet

nam nie mówiąc.

- No tak, ale przynajmniej się nie wypierał. Prawda? - zauważył. - Mógł się nie przyznawać, tylko powiedzieć: „jasne, Lee. Byłoby świetnie, gdybyście mogli to dla nas zrobić”. Chryste, Ali, przecież to wojsko. Oni nagrywają praktycznie wszystko!

Potrząsnęła głową.

- Nie ufam mu.

Chris opuścił głowę.

- Ali, ty nikomu nie ufasz.

Zaskoczona, szerzej otworzyła oczy.

- To nieprawda!

- Ależ tak. To prawda i dobrze o tym wiesz! Słuchaj, przyjaźnimy się od dawna, ale sama przyznasz, że we wszystkich sprawach niechętnie odkrywasz swoje karty.

Alison zmrużyła oczy, spoglądając na Chrisa z urazą.

- Nie we wszystkich!

- Ali, jesteś wspaniała - powiedział. - Ale pewne rzeczy musisz zostawić za sobą. Ja też nie lubię wojska i wiesz co, może znowu nas jakoś wykiwają. Ale nie chcę iść przez życie stale wkurzony. - Chris znów przeniósł wzrok na otaczającą ich wodę. - Słuchaj, nie znam tego całego Claya, ale wydaje się, że naprawdę docenia naszą pomoc. Okej, załatwiają sobie przy okazji dobry PR. Jasne. I co z tego? Kiedy robią reklamę sobie, to siłą rzeczy nam też.

Alison wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. W końcu westchnęła.

- No dobrze. Dam mu szansę.

- Tak trzymaj - powiedział Chris. Objął ją ramieniem i lekko przytulił. - A teraz podziwiamy widoki i starajmy się nie myśleć o tym, że ten facet pewnie właśnie przeszukuje twoją torebkę.

Tymczasem w środku Lee ponownie oderwał wzrok od monitora, żeby spojrzeć na Claya. Ten opierał się o ścianę, żeby utrzymać równowagę na kołyszącym się statku i obserwował członków załogi przy sterze.

- Hej, John. To czym właściwie się zajmujesz w marynarce, jeśli można spytać?

Clay uniósł brwi.

- Można. Pracuję w tak zwanym wydziale do spraw specjalnych.

- To nie jest jedna z tych grup „wtedy musiałbym cię zabić”, prawda?

Clay roześmiał się.

- Nie. Prowadzimy śledztwa w szczególnych przypadkach, zwykle wykraczających poza standardowe działania marynarki.

- A czego one dotyczą? - Lee był zaintrygowany.

- Większość informacji jest zastrzeżona, ale najczęściej chodzi o usterki techniczne albo problemy z komunikacją. Na przykład dwa systemy używają nachodzących na siebie częstotliwości i całość nie działa jak powinna. Nic szczególnie ciekawego.

Lee uśmiechnął się.

- To tak samo marny temat na rozmowę przy koktajlu, jak moja praca.

Clay znów się roześmiał.

- Jeśli kiedyś trafimy na siebie na przyjęciu, wysłucham twoich opowieści, o ile ty w zamian wysłuchasz moich.

- Stoi - odparł Lee ze śmiechem. - W każdym razie miło jest dla odmiany trafić na innego technika. Chyba strasznie zanudzam zespół swoją gadaniną.

- To zrozumiałe - Clay skinął głową. - Pracujesz nad nie lada projektem.

- To fakt - zgodził się Lee. - Zrobiło się naprawdę ciekawie, odkąd zaczęliśmy tłumaczyć. Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko nam pójdzie, ale bardzo nas to cieszy. Obawialiśmy się, że będzie wręcz przeciwnie, zwłaszcza Alison.

Clay skinął głową, po czym wyjrzał przez okno na Chrisa i Alison pogrążonych w rozmowie.

- Słuchaj - ciągnął Lee. - Co do Alison, to świetna dziewczyna. Po prostu bardzo się troszczy o cały ten projekt, a zwłaszcza o Dirka i Sally. Miała w przeszłości złe doświadczenia z marynarką i trochę podkopali jej karierę, więc nie bardzo ma ochotę to powtarzać.

- Rozumiem.

- Jest też diabelnie bystra - dodał Lee, mrugając. - Tak że uważaj.

Clay uśmiechnął się.

- Będę się miał na baczności.

Komandor Emerson podszedł i spojrzał na Claya.

- Morze zaczyna się burzyć. - Przeniósł wzrok na Lee. - Jesteś w stanie powiedzieć, synu, jak długo możemy tu czekać?

- Nie, sir - odparł Lee. - O to lepiej zapytać Ali i Chrisa.

Alison spojrzała na zegarek, a potem na swojego towarzysza.

- One wrócą, prawda?

- Mam taką nadzieję - odparł, mrużąc oczy.

Za ich plecami otworzyły się drzwi. Odwrócili się i zobaczyli, jak Emerson i Clay wychodzą na zewnątrz.

Emerson obrzucił wzrokiem wodę i podszedł do Alison.

- Jakież wieści od delfinów, proszę pani?

- Jeszcze nie.

- Wygląda na to, że morze robi się niespokojne. Jeśli fale staną się zbyt wysokie, nie będziemy mogli tutaj zostać.

Uniosła brwi.

- Zamierzacie odpłynąć?

- Obawiam się, że tak.

- Nie możemy ich tu zostawić!

- Rozumiem pani dylemat, ale jeśli warunki za bardzo się pogorszą, będę zmuszony podnieść kotwicę. Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa pozostałych pasażerów.

- Ile czasu jeszcze mamy? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. Jeśli warunki się nie zmienią, szacuję że jedną, góra dwie godziny.

Alison wyraźnie zaczynała się martwić. Skinęła głową i zwróciła się z powrotem ku wodzie, wypatrując śladu Dirka i Sally.

Wchodząc z powrotem na mostek, Clay obrzucił Emersona zaciekawionym spojrzeniem.

- Zauważyłeś coś dziwnego w związku z pogodą?

- Co masz na myśli? - zapytał Emerson, wyglądając znów na zewnątrz.

- Widzisz, morze staje się niespokojne, ale nie ma wiatru, a niebo jest bez jednej chmurki.

Położony na obszarze jedenastu hektarów i mieszczący ponad dwadzieścia siedem kilometrów korytarzy, Pentagon był jednym z największych i najbardziej wydajnych budynków biurowych na świecie. W małym laboratorium na parterze, Will Borger siedział pogrążony w pracy nad programem, który miał usunąć część zakłóceń z nagrania zarejestrowanego przez Tritona. Zaczęło się od długiej rozmowy telefonicznej z jednym z programistów z U.C. Berkeley, który spędził godzinę przesyłając Borgerowi kod komputerowy i pomagając mu poskładać wszystko w całość, włącznie z niezbędnymi matematycznymi algorytmami. Jako że Borger nie zamierzał szukać planet, trzeba było w dużej części napisać program na nowo.

Za plecami informatyka do biura wrócił Cesare z ogromną pizzą i dwoma zgrzewkami Jolta; to była jego opłata za zajęcie popołudnia najbystrzszemu człowiekowi w budynku. Borger pisał bez przerwy, odkąd Cesare wyszedł. Teraz wrócił i zaczynał się obawiać, że może to potrwać jeszcze dłużej, a w takiej sytuacji będzie musiał zorganizować również obiad.

- Jak stoimy z pracą? - zapytał, siadając obok kolegi.

Borger przerwał i uważnie sprawdził składnię tekstu, który właśnie dodał.

- Miałem kilka bugów do rozpracowania. Chyba już gotowe. - Przełączył się na inne okno i wpisał polecenie ponownej kompilacji wszystkich elementów. - Dobrze. Tym razem żadnych błędów. - Wprowadził ostatnią komendę i uderzył w klawisz enter. - Wypróbujmy go. - Borger odwrócił się i otworzył pudełko z pizzą. Wziął sobie duży kawałek i serwetkę, po czym wrócił przed monitor. Nagranie wideo wypełniło ekran i znów przewijało się do przodu w zwolnionym tempie. Cesare wgrzył się w swoją pizzę, odchylił na oparcie krzesła i patrzył.

Klatki przeskakiwały szybko, aż dotarły do punktu, w którym pojawiały się pierwsze fragmenty zakłóceń. Nagle nagranie dostrzegalnie zwolniło i widać było, jak komputer skanuje zatrzymany obraz piksel po pikselu,

usuwając niepożądane plamki, po czym przechodzi do następnego kadru. Dwaj mężczyźni w milczeniu patrzyli, jak obraz za obrazem stawał się coraz wyraźniejszy. Kiedy program skończył, obaj nachylali się do przodu, próbując zrozumieć co takiego widzą w ostatniej klatce. Triton musiał się obrócić, bo obiekt nie znajdował się już w rogu ekranu, lecz rozciągał na całą szerokość okna.

- Co to do licha jest?

Borger potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Wygląda jak... jakiś łuk.

- Czy to - Caesare przysunął się jeszcze bliżej - jest na dnie?

- Chyba tak. Widzisz tę ciemniejszą materię wokół zewnętrznych krawędzi? To koral. - Zastanowił się przez chwilę. - To mi przypomina wiązki światłowodów, które firmy telekomunikacyjne kładą pod wodą, tyle że jest o wiele większe.

Caesare zmarszczył brwi.

- To nie kable. Ocean jest tu stosunkowo płytki, ale nawet na tej głębokości nie powinno być ich widać. Nie dociera tam dość światła, a lampy Tritona na pewno nie są wystarczająco mocne.

- Prawda - zgodził się Borger. - Ale to oznacza, że ta rzecz, czymkolwiek jest, emituje własne światło.

- To coś dziwnego. Da się ustalić, jakiej jest wielkości?

- Nawet lepiej. - Znów zaczął pisać. - Jeśli odwrócimy kolory... - Obiekt nagle stał się czarny, a cała reszta ekranu biała. - ...i każemy komputerowi oddalić obraz... wtedy można na podstawie obecnych wymiarów oszacować, jakiego kształtu jest całość. - Znów wcisnął klawisz enter i patrzył, jak obiekt się zmniejsza. Następnie komputer zaczął dodawać pozostałe fragmenty formy przewidywanej na podstawie wyliczeń. Efekt końcowy ich zdumiał.

- Widzisz to, co ja?

Borger skinął głową.

- Wygląda jak... ogromny pierścień.

Lee siedział przy swoim stoliku i raz za razem próbował nawoływać delfiny. Co parę minut wpisywał Cześć Dirk, Cześć Sally i czekał. Odpowiedź nie nadchodziła. Do pomieszczenia weszła chwiejnie Alison,

próbując dosięgnąć ściany za jego plecami.

- Odezwały się?

Z przygnębieniem pokręcił głową. Statek zakołysał się mocniej i jedno z niewielkich urządzeń gwałtownie ześlizgnęło się po blacie. Lee zdążył je chwycić w ostatniej chwili.

Alison odwróciła się i spojrzała na Chrisa, który wyglądał na tak samo zmartwionego, jak ona.

- Możliwe, że je straciliśmy - zasugerował łagodnie.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie. - Znów przeniosła wzrok na Lee, który jak na komendę napisał kolejną wiadomość.

Clay wszedł do pomieszczenia z drugiej strony mostka. Skinął głową komandorowi.

- Wszyscy pasażerowie są w pomieszczeniu wypoczynkowym. Jest tam trochę ciasno, ale nic im nie będzie, chociaż kilku źle się poczuło. Siedzą blisko drzwi.

Emerson odpowiedział skinieniem, po czym obaj spojrzeli na Alison i jej ekipę. Podeszli do badaczy.

- Obawiam się, że czas się skończył - oznajmił Emerson.

Alison stała, opierając się o ścianę.

- Jeszcze tylko dziesięć minut. Proszę! Nie możemy bez nich odpłynąć.

- Młoda damo, nie damy rady dłużej zwlekać. Jeśli sytuacja się pogorszy, będziemy w poważnych tarapatach. Musimy wracać!

- Proszę! - błagała. - Nie wiecie, co to dla nas znaczy je stracić!

Clay pochylił się lekko w stronę Emersona.

- Podnoszenie kotwicy zajmie co najmniej pięć minut.

Emerson spojrzał na niego, a potem na Alison. Westchnął i obejrzał się przez ramię.

- Oficerze Harris.

Pierwszy oficer odwrócił się szybko.

- Tak, sir!

- Podnieść kotwicę.

- Tak jest. - Wrócił do swojego pulpitu i podniósł słuchawkę telefonu.

Emerson z ponurą miną zwrócił się znów do Alison.

- Podnoszenie kotwicy potrwa pięć czy sześć minut. Tyle czasu jeszcze macie. Ale potem odpływamy! Czy to jasne?

Alison przytaknęła potulnie.

- Dziękuję.

Na dziobie statku wielki silnik zaczął powoli obracać i zwijać ogromny łańcuch kotwiczny. Pathfinder kołysał się wściekle na wzburzonej wodzie. Z każdą przetaczającą się pod nim falą, dziób unosił się wysoko i opadał gwałtownie po drugiej stronie. Przez ciągłe ruchy statku w górę i w dół, ze zbiornika dla delfinów na rufie wylała się już prawie jedna trzecia wody.

W pomieszczeniu wypoczynkowym torby i pokrowce na aparaty spadały z półek i turlały się po podłodze. Wszyscy próbowali znaleźć coś, czego mogliby się przytrzymać; niektórzy z przestachem tracili oparcie i wpadali na osoby stojące obok.

Nagle wciągany łańcuch zatrzymał się z głośnym szczękiem.

Dwóch członków załogi pod pokładem sprawdziło windę kotwiczną i spróbowało ponownie uruchomić silnik. Bez skutku. Podjęli kolejną próbę z użyciem większej mocy. Tym razem z zatrzymanego silnika zaczęła się wydobywać smużka szarego dymu. Mężczyźni szybko skorygowali ustawienia i zmienili kierunek, jeszcze raz starając się rozwinąć łańcuch; wciąż nic. Potężna kotwica najwyraźniej zaklinowała się przy dnie.

Ze słuchawką w ręku, pierwszy oficer Harris spojrzał na komandora. Emerson, podobnie jak wszyscy na pokładzie, usłyszał głośny hałas i poczuł nagłe szarpnięcie, które zatrzęsło statkiem.

- Winda kotwiczna się zablokowała.

Emerson otworzył szeroko oczy.

- No to ją odblokujcie!

- Nie możemy, sir! Próbowaliśmy.

Emerson, podobnie jak wszyscy inni na mostku, z trudem usiłował się czegoś przytrzymać. Znów wyjrzał przez okno. Niebo wciąż było czyste, ale ocean stawał się coraz bardziej wzburzony - i to szybko. Spojrzał na Claya, który niemal niezauważalnie skinął głową.

- Odciać kotwicę! - powiedział do Harrisa.

- Tak jest - odparł pierwszy oficer.

Pod pokładem jeden z dwóch marynarzy włożył na twarz ciemną maskę i włączył duży palnik, otaczając ramieniem wielkie zębate koło. Drugi stał za nim i próbował zapewnić mu wsparcie. Płomień palnika dotknął jednego z ogromnych ogniw łańcucha i powoli zaczął przecinać gruby metal.

Na mostku oficer łącznościowy podniósł kolejną słuchawkę. Nasłuchiwał

przez moment, po czym zwrócił się do Claya.

- Panie Clay, dzwonią do pana z lądu.

Wywołany mężczyzna ruszył chwiejnie naprzód, aż dotarł do krawędzi masywnej konsoli.

- Kto, do cholery?

Młody człowiek odezwał się do słuchawki i przez chwilę słuchał odpowiedzi.

- Dzwoni Steve Caesare.

- Na litość boską - warknął Clay. - Powiedz mu, że oddzwonię.

Oficer przekazał wiadomość, przez chwilę słuchał, po czym znów spojrzał na Claya.

- Mówi, że to pilne.

Clay chwycił telefon i niemal wykrzyczał w słuchawkę: - To nie jest dobry moment, Steve!

- Wszystko w porządku? - zapytał Caesare.

- Taa. Mamy pełne ręce roboty. Streszczaj się.

W głosie Caesare brzmiała powaga.

- John, słuchaj. Znaleźliśmy coś w nagraniu z Tritona.

- Mów.

- Na dnie oceanu jest coś dużego - powiedział Caesare. - Naprawdę dużego.

Clay, słuchając, spojrzał na Emersona.

- Co takiego?

- Nie wiemy. Wygląda jak gigantyczny pierścień. Borger szacuje, że ma jakieś dwadzieścia pięć kilometrów średnicy.

Clay otworzył szerzej oczy.

- Powiedziałeś dwa pięć?

- Tak, dwa pięć kilometrów średnicy - potwierdził Caesare.

- Dobry Boże!

- A wy jesteście dokładnie nad tym czymś. Wynoście się stamtąd jak najszybciej!

- Pracujemy nad tym. - Clay odrzucił słuchawkę oficerowi łącznościowemu i zwrócił się do Emersona. - Musimy natychmiast odpływać!

Dwa pokłady niżej, marynarze zataczali się wte i wewte usiłując utrzymać palnik wycelowany w łańcuch. Dziób znów się uniósł i obaj chwycili się

wielkiego kołowrota, aby nie upaść. Drobne kawałki stali spadały na podłogę, kiedy rozgrzany do białości płomień powoli przegryzał się przez metal. Nagle statek przechylił się na lewą burtę. Obaj członkowie załogi przewrócili się i potoczyli prosto na ścianę, uszkodzając palnik. Ogień zgasł.

Oficer Harris ponownie odwrócił się do Emersona.

- Sir, straciliśmy palnik.

Emerson wpatrywał się w niego, myśląc.

- Na ile udało się przeciąć łańcuch?

Harris nie był pewien, o co chodziło komandorowi, ale nagle zrozumiał.

- Wystarczająco!

- Zróbcie to!

Oficer zwrócił się do pozostałych ludzi na mostku.

- Silniki w ruch, panowie!

- Są tutaj! - wciął się Lee. - Dirk i Sally wróciły!

Alison rzuciła się do stolika, kierując wzrok na ekran. Natychmiast odwróciła się do Emersona.

- Czekajcie! Czekajcie!

Komandor spojrział na nią twardo i uniósł palec wskazujący.

- Jedna minuta!

Alison pisała najszybciej, jak mogła.

Sally czy tobie i Dirkowi nic nie jest?

Nie - odpowiedziała Sally.

Mamy kłopoty. Musimy odpłynąć. Płyńcie za nami! - Alison kliknęła przycisk tłumaczenia i rozejrzała się po mostku. Wszyscy patrzyli na nią, trzymając się elementów wyposażenia.

Na ekranie pojawił się komunikat o błędzie: „Tłumaczenie niemożliwe”.

- O Boże - jęknęła.

Lee spojrział jej przez ramię.

- Usuń wykrzyknik.

Alison wpisała tekst od nowa.

Po dłuższej chwili, obydwa delfiny odpowiedziały: Dobrze.

- Ruszajcie! - krzyknęła Alison do załogi.

Ogromne silniki Pathfinderera ożyły z rykiem i statek ruszył do przodu, z całą mocą ciągnąc napięty łańcuch. Kadłub zatrzęsł się. Zarówno załoga, jak i pasażerowie trzymali się mocno, podczas gdy statek mocował się z ciągnącą go do tyłu kotwicą.

- Pełna moc! - szczechnął Emerson.

Silniki zaryczały głośniejsze. Łańcuch z hukiem otarł się o burtę statku. Pod pokładem na wpół przecięte ogniwo przy windzie kotwicznej zaczęło się bardzo powoli wyginać. Centymetr po centymetrze metal naciągał się, aż wreszcie łańcuch pękł, a jego zerwany koniec wyleciał przez kadłub, podczas gdy statek wystrzelił naprzód.

Niemal wszyscy na mostku stracili oparcie i runęli na podłogę. Pathfinder przepłynął przez ogromną falę i wbił się dziobem w następną. W pomieszczeniu wypoczynkowym pasażerowie odbijali się od grodzi i przelatywali nad stołami, próbując przytrzymać się nawzajem i ochronić przed upadkiem.

Śmigłowiec prezydencki VH-3, Marine One, powoli wleciał nad trawnik za Białym Domem i zawisł na wysokości około dwóch metrów. Opadł delikatnie, lekko tylko odbijając się od trawiastego podłoża - wielkie amortyzatory zabsorbowały ciężar maszyny. Żołnierz na pokładzie zaczekał, aż śmigła zaczną zwalniać, zanim otworzył drzwi i rozstawił drabinkę ze stopniami. Podał Kathryn Lokke dłoń i pomógł jej zejść, oddając ją w ręce drugiego żołnierza czekającego na dole.

Instynktownie mocniej ścisnęła torbę, kiedy zeszła na ziemię i została szybko odprowadzona od helikoptera. Podszedł do niej starszy, siwowłosy mężczyzna; jego szybkie, krótkie kroki niemal sprawiały wrażenie, jakby miał lada moment się potknąć. Bill Mason był szefem personelu w Białym Domu, znanym ze swojego zasadniczego podejścia do wszystkiego, co związane z bezpieczeństwem. Kathryn spotkała go do tej pory tylko kilka razy. Zawsze wydawał się zniecierpliwiony, jakby dokądś mu się spieszyło, ale też stosunkowo uprzejmy.

- Miło znów panią widzieć, pani Lokke - powiedział, wskazując na małą, zadbaną ścieżkę prowadzącą do tylnego wejścia Białego Domu. - Proszę za mną.

Dotarli przed grube, podwójne drzwi i weszli do środka, gdzie Kathryn poproszono o położenie swoich rzeczy na taśmie, aby można je było prześwietlić. Następnie została przeszukana przez agentkę służb specjalnych i poprowadzona naprzód. Kathryn szybko podniosła torebkę z końca pasa i ruszyła dalej za Masonem.

- Pani lot spóźnił się o kilka minut, więc prezydent pewnie już czeka. - Mason skręcił i poprowadził ją schodami w dół do piwnicy. Po dwóch kolejnych zakrętach w lewo stanęli przed drzwiami prowadzącymi do słynnego Pokoju Sytuacyjnego.

- Czy potrzebuje pani czegoś?

Kathryn pokręciła głową. Kilka razy przeglądała materiały i prezentację.

Kiedy wkroczyła do pomieszczenia, prezydent John Carr stał. Odwrócił się, żeby ich powitać. Mason właśnie wchodził za nią.

- Panie prezydencie, przedstawiam panu dr Kathryn Lokke z USGS.

Prezydent Carr, mający metr dziewięćdziesiąt wzrostu, zdawał się nad nią górować.

- Miło mi panią poznać.

Uśmiechnęła się nerwowo.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie prezydencie. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

- Nie ma za co - odparł, cofając się i przysuwając krzesło. - Proszę wybaczyć, że nie mogę pani poświęcić zbyt dużo czasu. Za około dwadzieścia minut mam rozmowę z Izraelem. Możemy zaczynać?

- Tak, tak, oczywiście - powiedziała Kathryn, pospiesznie wygrzebując z torby laptopa. Wokół stołu siedziało już kilku innych mężczyzn. Rozpoznała wiceprezydenta, sekretarza obrony i doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego. Większość z pozostałych miała na sobie mundury obwieszane medalami i wyglądała na wysokiej rangi oficerów wojska.

Otwierając laptopa i łącząc go kablem z wielkim monitorem, który miała za plecami, zaczęła mówić.

- Panie prezydencie - rozejrzała się po zebranych - panowie, USGS dokładnie śledziło coraz szybsze zmiany na północnym i południowym biegunie kuli ziemskiej przez kilkadziesiąt lat, a zwłaszcza przez ostatnich kilka. - Wcisnęła przycisk i na dużym ekranie wyświetliła się mapa, którą miała otwartą na laptopie.

- Widać tu cztery zdjęcia: dwa przedstawiają Arktykę, a dwa Antarktydę. Pomiędzy pierwszym a drugim zestawem są dwa lata różnicy. - Odwróciła się i wskazała na ekran. - Z tej wysokości łatwo można dostrzec postępujące zmiany, a także fakt, że ich tempo wzrasta. Być może słyszeliście kilka lat temu, że znaczny fragment szelfu Ronne oddzielił się od reszty i podryfował na północ. Nastąpiło to wskutek wzrostu wagi i nacisku paku lodowego na przestrzeni lat. Kiedy nacisk przewyższa wytrzymałość zbitego lodu, dochodzi do rozpadu. - Kathryn wcisnęła przycisk na laptopie, wyświetlając większe zdjęcie Antarktydy. Obraz z satelity zapisany wcześniej tego roku pokazywał miejsce, w którym odłamała się część ogromnego szelfu Ronne. Na zdjęciu dało się je już zobaczyć kilkaset kilometrów dalej. - Ten

przypadek nas zaskoczył, ale na szczęście jego skutki nie były poważne. - Przerwała i znów rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Jestem tu, ponieważ kilka dni temu dostaliśmy bardzo znaczący sygnał ostrzegawczy. Wzdłuż szelfu miało miejsce trzęsienie ziemi, a ściślej rzecz biorąc przesunięcie geologiczne i tym razem nie nastąpiło to na lodzie. - Przeszła do następnego slajdu, pokazującego wielką lodową część szelfu. Dalej na południe czerwona linia zaznaczała granicę przesunięcia. Było jasne, że miało ono miejsce na lądzie, w pobliżu pierwszego dużego łańcucha górskiego, a skierowane było do serca kontynentu. - Kiedy kilka lat temu odłamał się w tym rejonie ogromny kawał lodu, zwyczajnie odpłynął. Stało się tak, ponieważ całościowa masa lodu ma mniejszą gęstość niż woda, na której się unosi. - Teraz widok przybliżył się do czerwonej linii. - Ostatnie przesunięcie nastąpiło u podstawy lodowca, na obszarze lądowym, który ma znacznie większą masę niż sam lód. I to właśnie on opadł o ponad cztery metry.

Prezydent Carr rozejrzał się wokół stołu, po czym z powrotem skierował spojrzenie na Lokke.

- Co to oznacza?

Kathryn zamilkła na chwilę. Serce biło jej szybko, ale chciała wyrazić się ostrożnie.

- To oznacza wysokie ryzyko zbliżającej się klęski żywiołowej.

Mason odezwał się z lewej strony stołu.

- O jak dużym ryzyku mówimy?

- Nie wiemy dokładnie. - Kathryn westchnęła. Zauważyła, że kilku mężczyzn zmarszczyło brwi. - Nie możemy tego ustalić bez dokładniejszych ram czasowych. Uwzględniając prawdopodobieństwo i skutki, ryzyko jest... bardzo wysokie.

Jeden z mężczyzn zaczął mówić, ale prezydent uniósł rękę.

- Pani Lokke, mówiąc o skutkach, co ma pani na myśli?

- Cóż - zaczęła. - Jest kilka możliwych scenariuszy, mniej i bardziej dotkliwych. Musimy brać pod uwagę znaczne osunięcie lodowca razem z podłożem do oceanu, co wywołałoby ogromne tsunami na Atlantyku. Równie wielkiego nie odnotowano jeszcze w historii nowożytnej.

- Tak duże, jak to w Indonezji? - spytał Mason.

- Większe. O wiele większe. Potencjalnie miałyby dość siły, żeby zniszczyć wszystkie większe miasta i porty po obu stronach Atlantyku, aż do

Londynu. Fala mogłaby sięgnąć wiele kilometrów w głąb lądu, a to oznacza kilka rzędów wielkości więcej niż w Indonezji. - W pokoju na długą chwilę zapadła cisza.

- Zatem - doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zdjął okulary i trzymał je między dwoma palcami - co mamy robić?

Hank Stevas był mocno zaangażowany w politykę. Ten niski mężczyzna, dobiegający siedemdziesiątki, spotykał się z krytyką z obu stron barykady. Stevas był znany z konfrontacyjnego podejścia i bycia przesadnie obcesowym, czy też „niegrzecznym”, jak określali go uprzejmie inni. Kathryn miała nadzieję, że nie zjawi się na tym spotkaniu.

Odetchnęła głęboko.

- Cóż, najlepszym wyjściem byłoby przyjęcie postawy zapobiegawczej i unikanie w miarę możliwości wzbudzenia ogólnoswiatowej paniki. To oznaczałoby podjęcie kroków w celu przeciwdziałania procesom zachodzącym na Antarktydzie. Jest kilka możliwości, które wymagają pewnej ilości czasu i środków...

- Rozumiem - odparł Stevas, przerywając jej wypowiedź. - A czy wszyscy w USGS zgadzają się z pani oceną sytuacji?

Kathryn spodziewała się tego. Hank Stevas zaatakował ją niezbyt subtelnie rok wcześniej, podczas jednego z jej raportów na temat stanu środowiska. Zdumiało ją jego kompletne lekceważenie empirycznych faktów, a nawet brak zainteresowania ich poznaniem. Zamiast tego atakował politycznie, celując w charakter lub reputację danej osoby. Po starciu się z nim zeszłego roku dowiedziała się, że łączyła go przyjaźń z jej poprzednikiem. Wyglądało na to, że nie zamierzał zostawić pewnych spraw w spokoju.

Zawahała się, myśląc o czekającej go satysfakcji, mimo że odpowiedź w żadnym razie nie była prosta.

- Nie.

- Nie - powtórzył Stevas, kiwając głową i marszcząc brwi. - Zatem ilu innych naukowców się z panią zgadza?

Jego oskarżycielski ton zawisł w powietrzu. Kathryn mierzyła Stevasa wzrokiem. Jakie to wygodne, że powiedział „zgadza się z panią” zamiast „z tymi wnioskami”.

- To nie takie proste...

Stevas rozłożył ręce w drwiącym geście.

- Ilu się z panią zgadza? Połowa? Mniej? Czy ktokolwiek podziela ten

pogląd? Kieruje pani największym wydziałem naukowym na świecie, więc oczekiwałbym, że przynajmniej niektórzy z pani podwładnych się zgodzą.

Kathryn musiała się powstrzymać przed rzuceniem mężczyźnie ostrego spojrzenia.

- Owszem, niektórzy tak.

- Niektórzy. - Pokiwał głową z sarkazmem. - Niektórzy. - Stevas rozejrzał się po pokoju, zwracając się do wszystkich siedzących przy stole. - A zatem mamy tu mniejszościową naukową opinię na temat zjawiska geologicznego, które może stanowi, a może nie stanowi poważnego ryzyka, i które mogłoby nas kosztować diabli wiedzą ile. Czy wolno mi przypomnieć wszystkim tu zebranych, że rok temu prezentowała pani pogląd, iż poziom oceanów na świecie tak naprawdę opada, wbrew temu, co twierdzi cała reszta społeczności naukowej? Oni sugerowali coś wręcz przeciwnego. Właściwie to nawet wyliczali coś przeciwnego.

Kathryn nie chciała odpowiadać, ale nie zamierzała pozostawiać tego bez odpowiedzi w obecności wszystkich zebranych.

- Sugerowałam, że powszechnie akceptowane wyliczenia były błędne z powodu nie wzięcia pod uwagę pewnych zmiennych, takich jak wpływ grawitacji księżyca, wybrzuszenie Ziemi na równiku i...

- Twierdziła pani - Stevas znów wszedł jej w słowo - że poziom wody opada, ale nie była pani w stanie wyjaśnić, gdzie znika cała ta woda! Proszę mi powiedzieć, pani Lokke, czy teraz, rok później, ktokolwiek zgadza się z pani twierdzeniem?

Jeśli Kathryn nie chciała odpowiadać na jego poprzednie pytanie, to tym bardziej nie chciała odpowiadać na to. Stevas jasno zdawał sobie sprawę, czego dotyczyło to spotkanie i postanowił wykopać trochę brudów. Niechętnie odparła: - O ile mi wiadomo, nie. Ale proszę zrozumieć, że to nie jest kwestia pójścia z miarką na najbliższą plażę. W grę wchodzi wiele różnych obliczeń.

- O ile pani wiadomo - powtórzył.

- Proszę posłuchać - powiedziała, ignorując Stevasa i zwracając się do pozostałych. - Sytuacja jest bardzo poważna. Jeśli czegoś nie zrobimy i to szybko, żeby trochę zmniejszyć nacisk wzdłuż szelfu, może się wydarzyć największa katastrofa w historii. Jeśli ta część kontynentu się zapadnie, być może zostanie nam tylko parę godzin na ewakuację pięćdziesięciu milionów ludzi. - Teraz obrzuciła Stevasa ostrym spojrzeniem. - Jak gładko waszym

zdaniem pójdzie plan ewakuacji w ostatniej chwili?

Kathryn spojrzała na prezydenta, który obserwował pozostałą część stołu z dłońmi złożonymi przy ustach.

- Pani Lokke, czy ma pani jakiś namacalny dowód, że to zdarzenie jest nieuchronne?

Kątem oka zauważyła, jak Stevas z powrotem wkłada okulary.

- Nie - odparła.

- W takim razie obawiam się, że nie jestem gotów wysłać ostrzeżeń do połowy krajów świata, ryzykując wywołanie paniki, z powodu czegoś, czego nie jesteśmy tak naprawdę w stanie udowodnić. - Wstał, a reszta zebranych natychmiast poszła w jego ślady. - Chciałbym, żeby pani zespół przeprowadził dalsze badania. Proszę wrócić, kiedy będzie pani miała coś bardziej konkretnego. - Uścisnął jej dłoń. - Dziękuję za przybycie.

Kathryn patrzyła oniemiała, jak wszyscy wychodzą z pomieszczenia. Niektórzy po drodze ściskali jej dłoń; Stevas nie był jednym z nich.

Powoli pozbierała swoje rzeczy i włożyła je z powrotem do torby, podczas gdy Mason czekał na nią w korytarzu. Nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Prezydent siedział tam i w pełni kupił argumenty Stevasa, sprowadzające się do oskarżenia ją o niekompetencję.

Poczuła, że robi jej się niedobrze. Została zupełnie zignorowana tylko z powodu jakiejś politycznej zagrywki. Jeśli się nie myliła, to Stevas i prezydent Stanów Zjednoczonych właśnie skazali miliony ludzi na śmierć.

Wyszła z sali konferencyjnej i podążyła za Masonem z powrotem na górę. Teraz, kiedy wiedziała, że nie zrobią nic, dopóki nie będzie za późno, miała nadzieję, że bardzo, bardzo się myli.

Po blisko godzinie atakowania statku sześciometrowymi falami, morze powoli się uspokoiło. Pathfinder brnął dalej na północ. Załoga i pasażerowie statku, dosyć zmalretowani, zajmowali się swoimi ranami. Kilku dziennikarzy doznało obrażeń wskutek obijania się po pomieszczeniu wypoczynkowym i wymagało opieki personelu medycznego.

Na mostku Alison podeszła do burty, żeby upewnić się, czy Dirk i Sally wciąż są z nimi. Para delfinów trzymała się blisko dziobu, bez wysiłku płynąc i przeskakując przez fale. Alison zawróciła do środka właśnie w chwili, gdy Emerson wrócił na mostek z drugiej strony.

- No dobrze, Clay. Mam statek pełen chorych i rannych, a moje pomieszczenie wypoczynkowe zmieniło się w szpital. Zużyliśmy już prawie wszystkie cholerne bandaże i szyny. Co tu się do diabła dzieje?

- Nie wiem, Rudy. Sam wciąż próbuję do tego dojść.

Emerson pokręcił głową.

- Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Sztorm ni z gruszki, ni z pietruszki, przy idealnie czystym niebie, o mało nie zatapia mi statku; dzieje się tu coś strasznie dziwnego.

- Sam chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi - odparł Clay.

- A co z tą rozmową telefoniczną? Brzmiało, jakbyś czegoś się dowiedział.

Clay zwrócił się do Alison i jej ekipy.

- Przypuszczam, że nie macie uprawnień?

Wszyscy równocześnie pokręcili głowami.

Clay westchnął i odwrócił się z powrotem do Emersona.

- Trzeba ich będzie wszystkich sprawdzić. Caesare i jeden z naszych ekspertów w Pentagonie najwyraźniej znaleźli coś w nagraniu z Tritona, zarejestrowanym przez twoich ludzi.

Emerson spoglądał na niego wyczekująco.

- Wygląda na to, że na dnie oceanu może być jakiś niezidentyfikowany

obiekt. Coś bardzo dużego.

- Jak dużego? - zapytał Emerson.

- Powyżej dwudziestu pięciu kilometrów.

- Jezu Chryste! - Emerson zakrzuszył się. - To jakieś żarty?

- Nie sędę. Powiedzieli, że ma kształt pierścienia.

Emerson zmarszczył brwi.

- Dwudziestopięciokilometrowy pierścień. Co to, do diabła, znaczy?

Clay bezradnie wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, co i ty. Oddzwonię do niego i zobacę, czy uda nam się dostać więcej informacji. W międzyczasie, pani Shaw, może zobaczymy co mają do powiedzenia wasze delfiny?

Alison skinęła głową.

- Najpierw trzeba będzie wyłączyć silniki.

Emerson spojrzał na pierwszego oficera.

- Dajmy im odpocząć.

- Tak jest - odparł Harris i stopniowo zatrzymał silniki. Statek powoli wyhamował.

Lee usiadł przy stoliku i napisał Cześć Sally Cześć Dirk, po czym kliknął przycisk tłumaczenia.

Cześć Lee.

Wszystko w porządku? - zapytał.

Tak.

Znaleźliście metalową bańkę?

Tak. Bardzo daleko. Płyńcie za nami.

Czekajcie. - Lee, zachmurzony, spojrzał na komandora. - Przypuszczam, że nie ma pan ochoty tam wracać.

- Wolałbym chyba zjeść potłuczone szkło - prychnął Emerson.

- Uważam, że powinniśmy... - Clay nagle urwał i spojrzał nad ramieniem Chrisa Ramireza. Ktoś patrzył na nich zza okna. Alison i pozostali odwrócili się, a Clay wszedł między nich, żeby lepiej widzieć, kiedy osoba na zewnątrz nagle uniosła jakiś przedmiot i wymierzyła go w ich kierunku.

- Padnij! - zawołał, wsuwając się przed Alison.

Kobieta chwyciła się Claya i wyjrzała zza jego ramienia. Natychmiast rozpoznała człowieka w oknie - to był dziennikarz z głupią czapką, którego widziała wcześniej. Mężczyzna był skupiony, nie na nich, lecz na ekranie komputera Lee Kenwooda. Kiedy zauważył, że tamci się w niego wpatrują,

szybko opuścił trzymany obiekt i rzucił się do ucieczki.

- Hej! - krzyknął Clay, wybiegając za nim. Wypadł przez drzwi i pognął za nieznajomym po długiej kładce. Z każdym krokiem jego stopy uderzały o grubą metalową kratę.

Nieznajomy szybko dopadł do schodów i na wpół zjechał, a na wpół zeskokczył piętro niżej. Przemknął koło pomieszczenia wypoczynkowego i skierował się na rufę statku.

- Łapcie go! - krzyczał Clay, przeklinając fakt, że na zewnątrz nie było nikogo więcej. Większość załogi pomagała w środku lekarzowi pokładowemu zajmować się pozostałymi pasażerami. Clay dotarł do końca kładki na drugim poziomie i skręcił za róg. Pokład obserwacyjny okazał się pusty. Przebiegł na lewą burtę i spojrzał przed siebie. Emerson zbliżał się ku niemu z przeciwnej strony. Clay znów się rozejrzał, akurat w porę, żeby zobaczyć, jak ścigany przebiega obok. Mężczyzna dotarł do balustrady powyżej platformy na rufie i prowizorycznego zbiornika dla delfinów. Rozejrzał się, po czym spojrzał na Claya. Ten pokonywał już ostatnie dzielące ich metry. Nieznajomy przeskoczył nad barierką szukając wzrokiem miejsca, w którym mógłby wylądować, ale w ostatniej chwili jego rękaw zaczepił się o wystający bolec. To gwałtowne zakłócenie ruchu sprawiło, że jego nogi poleciały do tyłu, a głowa i ramiona - na zewnątrz. Spadając usiłował skorygować pozycję, ale zabrakło mu czasu. Runął prosto na głowę, uderzając o pokład z ohydny chrupnięciem.

Clay, a za nim Emerson i jeszcze jeden oficer z mostka, dobiegli do końca metalowych schodów i podbiegli do nieruchomej postaci. Clay przyłożył palce do szyi mężczyzny, szukając pulsu.

- Wciąż żyje.

Zjawiło się jeszcze dwóch członków załogi.

- Ściągnijcie tu lekarza! - zawołał Emerson. Jeden z oficerów pobiegł z powrotem na górę. Dwóch pozostałych uklękło obok Claya i pomogło mu powoli odwrócić mężczyznę na plecy. Rozcięli jego ubrania, szukając innych widocznych obrażeń.

Clay i Emerson wstali i odsunęli się, kiedy lekarz pokładowy zbiegł po schodach i zaczął sprawdzać funkcje życiowe. Po kilku minutach doktor podniósł wzrok na członka załogi.

- Delikatnie połóżcie go na nosze i zanieście do ambulatorium!

Pomimo kołysania statku, ludzie Emersona zdołali wnieść rannego po

schodach nie upuszczając ani jego, ani noszy. Clay i Emerson patrzyli, jak mężczyźni wchodzą na drugi pokład i zabierają go w stronę pomieszczenia wypoczynkowego, do ambulatorium położonego tuż za mostkiem, piętro niżej.

Emerson potrząsnął głową.

- Ten dzień staje się coraz dziwniejszy. - Ruszał już w kierunku schodów, kiedy Clay chwycił go za ramię.

- Zanim wrócimy - powiedział, sięgając do kieszeni - spójrz na to. - Wyciągnął mały, srebrny przedmiot i pokazał go komandorowi.

- Co to takiego? - Emerson chwycił go i obrócił w dłoni. Był to mały, płaski, prostokątny kawałek metalu, gruby na około dwa i pół centymetra.

- Nie wiem - odparł Clay. - Ale to właśnie trzymał w ręku, kiedy zobaczyliśmy go przez okno.

- Skąd go masz? - zapytał Emerson.

- Był u niego w kieszeni.

- Hmm... wygląda jak srebrny klocek. Albo może aparat cyfrowy, tylko że nic na nim nie ma. Żadnego obiektywu, żadnego guzika, żadnego czegokolwiek. - Oddał przedmiot Clayowi, który przejechał palcami w górę i w dół po gładkich brzegach.

- Po co trzymał to przed sobą?

- Nie mam pojęcia.

Clay zmarszczył brwi.

- Zabawne... Kiedy go zobaczyłem, wyglądał tak, jakby tym celował.

- Jak z broni?

- Wątpię. Poza tym nie celował w nas, tylko w tego chłopaka, Lee Kenwooda, i w jego monitor.

Clay stał za drzwiami laboratorium medycznego, patrząc jak doktor Kanna, lekarz pokładowy, bada leżącego na stole, nieprzytomnego mężczyznę. Sprawdzili jego odciski palców - niczego nie znaleźli, a jego dokument tożsamości i akredytacja okazały się nie mieć pokrycia. Nie byli pewni, jak udało mu się dostać na pokład razem z pozostałymi; przypuszczali, że był to błąd albo jakieś oszustwo podczas odprawy w porcie. Popytali też trochę i odkryli, że żaden z pozostałych dziennikarzy nie miał

pojęcia, kto to taki.

Badając nieruchomą postać, lekarz rejestrował swoje obserwacje mówiąc do niewielkiego mikrofonu. Obrażenia były znaczne i organizowano już transport powietrzny do najbliższego szpitala. Clay patrzył, jak Kanna robi pacjentowi prześwietlenie, kiedy od tyłu podeszła do niego Alison.

- Wiadomo już coś? - spytała.

Clay potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Dość tajemnicza persona.

- Podobno ma po niego przylecieć helikopter.

Skinął głową.

- Doktor uważa, że jest z nim kiepsko.

Przez dłuższą chwilę milczała, obserwując lekarza, po czym zwróciła się do Claya.

- Słuchaj... Chciałam ci podziękować.

Clay odwrócił się od szyby.

- Za co?

- Ośloniłeś mnie przed nim. - Wskazała postać na stole.

- Och. - Clay niedbale wzruszył ramionami. - To nic takiego, odruchowa reakcja. - Zaczynał już się odwracać, kiedy zauważył, że kobieta się w niego wpatruje. - Co?

Alison nie odpowiedziała, tylko dalej przeszywała go wzrokiem.

W końcu do niego dotarło. Uśmiechnął się.

- Nie ma za co.

Alison rozluźniła się.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Pewnie.

- Naprawdę chciałeś tylko znaleźć tę waszą sondę?

Znów się uśmiechnął.

- Tak.

- Żadnych ukrytych zamiarów? - zapytała z powątpiewaniem.

- Chodziło tylko o sondę.

Alison pokiwała głową.

- Chyba jestem ci winna przeprosiny.

- Za co?

Przewróciła oczami.

- Tak jakbyś nie zauważył, to zachowywałam się trochę jak jędra.

Clay roześmiał się.

- Nie zauważyłem.

- No to jesteś ślepy.

- Czy teraz właśnie wychodzi z ciebie ta jędrza? - zapytał.

- Och, zamknij się - powiedziała, potrząsając głową.

- Nie przejmuj się. Jeśli to coś znaczy, nie winię cię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Trochę o tobie czytałem. O tym, co marynarka zrobiła z twoim projektem w Ameryce Środkowej.

- Co? - powiedziała. - Czytałeś moje akta?

Clay uśmiechnął się krzywo.

- Akta? Jakie akta? Wpisałem cię w Google.

Tym razem to Alison się roześmiała.

- Znalazłeś to w Google?

- Zdziwiłabyś się. Często używamy go zamiast naszego własnego systemu.

Alison pokiwała głową, wciąż z szerokim uśmiechem.

- No to... - zaczęła, wyciągając do niego rękę. - Bez urazy?

Clay delikatnie uściśnął jej dłoń.

- Bez urazy. - Zerknął z powrotem na lekarza, wciąż zajętego badaniem. -

A jak tam się mają Dirk i Sally?

- W porządku. Są trochę głodne, ale nic im nie jest.

Clay znów się do niej odwrócił.

- Muszę ci powiedzieć, Alison, że widywałem już niesamowite rzeczy, ale to co zrobiłaś z tymi delfinami, to prawdziwy przełom.

- Dzięki - powiedziała, wzruszając ramionami. - Ale to nie tylko moja zasługa.

- Wiem. Ale jednak w dużej mierze twoja. - Spojrzał na nią z powagą. - Myślę, że zmienisz świat, Alison Shaw.

Uśmiechnęła się.

- Mam taką nadzieję.

Clay zastanowił się przez chwilę.

- Mogę ci zadać pytanie?

- Pewnie.

Mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa.

- Czy jest ktoś, kto... nie chciałby, żeby wam się powiodło?

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Macie jakąś konkurencję? Na przykład inne zespoły dążące do tego samego celu?

- Oczywiście. Jest takich trochę. Po kilka w Stanach i w Europie. Dlaczego?

Clay spojrział na nieprzytomnego mężczyznę po drugiej stronie szyby.

- Tego faceta strasznie interesowało to, co wasza trójka robiła tam na górze.

Alison wydawała się zbita z tropu.

- Chyba po to oni wszyscy tu są, żeby wszystko opisać. Założyłam, że próbował po kryjomu sfotografować ekran, no wiesz, żeby mieć coś specjalnego do swojego tekstu.

Clay odwrócił się do niej.

- To czemu by uciekał?

Alison spojrzała na niego z zakłopotaniem. Nie przyszło jej to do głowy.

- Nie wiem, może myślał, że będzie miał kłopoty przez to, że opuścił pomieszczenie wypoczynkowe, czy coś. Robiło się strasznie niebezpiecznie.

- Hmm - mruknął Clay sam do siebie. - W jak duże kłopoty można wpaść przez coś takiego?

- Żartujesz? To marynarka. - Spojrzała na niego kpiąco. - Wiesz, jakie jest wojsko! Macie obsesję na punkcie takich rzeczy.

- To prawda. - Przytaknął, wciąż pogrążony w myślach. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały prostokątny przedmiot wydobyty z ubrania mężczyzny.

- Masz pojęcie, co to może być?

Przyjrzała się.

- Aparat?

- Też tak pomyślałem. - Obrócił go i pokazał jej ze wszystkich stron. - Ale nie ma obiektywu, ekranu, ani nawet żadnych linii na powierzchni.

Alison sięgnęła po przedmiot i wzięła go do ręki. Przyjrzała się bliżej, ważąc w dłoni.

- Ale nie jest ciężki. A jednolita bryła metalu by była, prawda?

- Zależy od metalu, ale tak. Generalnie ważyłaby o wiele więcej.

- Więc co to jest? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Clay, kiedy kobieta oddała mu przedmiot. - Ale jeśli to nie aparat, po co trzymałby go przed oknem? - Spojrział na Alison. - Zakładałem, że próbował ukraść wasze informacje.

Wzruszyła ramionami.

- To niewykluczone, ale badacze zwykle raczej współpracują niż konkurują. Znaczący, nie zrozum mnie źle. Rzecz jasna są tacy, którzy próbują zachować swoje badania w tajemnicy, ale to zwykle przy takich rzeczach jak fizyka czy elektronika - sprawach z potencjałem komercyjnym. Kiedy się z czymś nie zdradzamy, to tylko dlatego, że chcemy wyprzedzić pozostałych, a nie dla zysku. Ujmę to tak: mało kto wzbogaca się na biologii morskiej. Jasne, można napisać książkę i dostać posadę na jakiejś drogiej uczelni, ale to nie jest ten rodzaj życia, kiedy opłaca ci się utrzymywać rzeczy w tajemnicy w nadziei, że się na tym dorobisz.

- Poza tym - ciągnęła - pozostałe grupy pracujące z delfinami podeszły do sprawy inaczej. Bardziej fizycznie, nie korzystając tak bardzo z technologii. Prawdę mówiąc dwie z nich nawet próbują nie tyle się porozumieć, co zmierzyć kinetyczne i energetyczne wpływy.

- Czyli nie mają raczej powodu, żeby dobierać się do waszych danych - dokończył Clay.

- Nie bardzo.

Clay skinął głową, przyjmując wyjaśnienie.

- Wiesz, muszę ci powiedzieć coś jeszcze.

- Słucham.

Odetchnął głęboko.

- Chyba nie przysłużyłem wam się za bardzo, kiedy tam na górze spytałem, czy macie uprawnienia.

- Myślałam, że żartujesz - uśmiechnęła się. - Czemu mielibyśmy mieć jakieś uprawnienia?

- Chyba faktycznie żartowałem, ale po rozmowie z komandorem Emersonem i moimi przełożonymi stało na tym, że wszystko czego tam doświadczyliśmy musi być traktowane jako sprawa bezpieczeństwa.

- Co to oznacza?

- Cóż - ciągnął. - To oznacza, że wszyscy na pokładzie, włącznie z twoją ekipą, po powrocie do portu będą musieli zostać przesłuchani.

- W porządku. - Alison nie wydawała się zmartwiona. - Ile to potrwa?

- Trudno powiedzieć, może po kilka godzin na osobę. - powiedział Clay. - Pamiętaj, to wojsko. Mamy obsesję na punkcie pewnych rzeczy.

Alison była zaskoczona.

- Kilka godzin na osobę?!

- Obawiam się, że tak.

- Nie da rady. Co zrobimy z Dirkiem i Sally? Dopiero co wsadziliśmy je z powrotem do zbiorników. Nie możemy ich tam trzymać przez całą noc, podczas gdy wy będziecie nam świecić po oczach i zadawać pytania.

- Świecić po oczach?

- No, nie wiem, jak to robicie! - wykrzyknęła.

- Spokojnie. Zgodzili się, żebyście odwieźli delfiny do domu, zanim zaczną na was świecić. Ale będą musieli was eskortować.

- Co masz na myśli mówiąc zgodzili się?

- Trzeba ich było trochę przekonywać - przyznał.

- Kto ich przekonywał? Ty?

- Ważne, że będziecie mieli czas najpierw zająć się Dirkiem i Sally.

- Dziękuję - powiedziała Alison szczerze. Okazał się zupełnie inny niż się spodziewała.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Przesłuchanie może być wyczerpujące.

Badaczka skinęła głową i rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Patrzyła, jak doktor Kanna wpatruje się w zestaw cyfrowych zdjęć rentgenowskich wyświetlonych na wielkim ekranie. Odsunął się, pocierając podbródek dłonią.

- Chyba czas się pakować - powiedziała Alison. - Wracasz na górę?

Clay potrząsnął głową.

- Jeszcze nie. Mam parę pytań do doktora. - Wsadził srebrny przedmiot z powrotem do kieszeni. - I może pożyczę sobie jego sprzęt rentgenowski.

- Dobra - powiedziała Alison. Urwała, po czym szybko wyciągnęła przed siebie rękę. - Dobrze się z tobą pracowało.

Clay uśmiechnął się i ponownie uścisnął jej dłoń.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Alison odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy Clay wszedł, doktor Kanna wciąż oglądał zdjęcia. Pomieszczenie rozmiaru sporej kliniki wypełnione było narzędziami i meblami ze stali nierdzewnej, a mała biblioteczka przy przeciwległej ścianie zawierała rozmaite periodyki medyczne i podręczniki. Kanna rzucił wchodzącemu krótkie spojrzenie, po czym odwrócił się z powrotem do wyświetlacza.

- Doktorze - powiedział cicho Clay.

- Witaj, John.

- Jakież zmiany? - zapytał.

- Tak, ale nie na lepsze. Jego stan szybko się pogarsza. Mam nadzieję, że

helikopter szybko tu dotrze. Martwię się, że możemy nie mieć dość czasu. - Wskazał ręką na pomieszczenie. - A brakuje mi potrzebnego sprzętu, żeby coś więcej działać tu na miejscu.

Clay skinął głową. Do pacjenta było przypiętych tylko kilka kabli, monitorujących pracę jego serca oraz ciśnienie krwi. Nie znał się zbyt na medycynie, ale i jedno, i drugie wydawało się wyjątkowo niskie.

- Ale to dziwne - ciągnął Kanna. - Najgorsze było uderzenie w głowę i sądzę, że ma obrzęk mózgu. Tak poza tym wydaje się być w stosunkowo dobrym stanie. A jednak jego oddech, ciśnienie krwi i większość innych wskaźników jest obniżona. Nawet jego serce zdaje się bić nieregularnie. To bardzo dziwne i trochę niepokojące.

Clay przyjrzał się mężczyźnie dokładniej.

- Czy to może być skutek urazu mózgu?

Kanna wzruszył ramionami.

- To możliwe. Wydaje się też, że przechodził jakąś operację plastyczną, co może wskazywać na inne problemy zdrowotne. Musimy go przewieźć na oddział urazowy. Tam mogą dowiedzieć się więcej. - Przyjrzał się bliżej zdjęciom rentgenowskim. - To też jest dziwne.

- Co takiego? - obchodząc stół, Clay podszedł do wyświetlacza.

Kanna wskazał zdjęcie po lewej.

- Brakuje mu dużej części tkanki kostnej wokół prawej strony klatki piersiowej. - Pokazał na inne. - A tutaj jego kość udowa ma dziwny kształt. Może to jakaś wada wrodzona albo niedobór czegoś. Ciekawe, czy ma przez to słabszą strukturę kości, co mogłoby wyjaśniać obrażenia tak poważne jak...

Przerwał mu przeraźliwy dźwięk alarmu. Na monitorze widać było, że tętno mężczyzny drastycznie spadło. Chwilę później rozległ się drugi alarm, a wykres wskazał spadek ciśnienia krwi. Kanna szybko sprawdził monitor oraz czujniki przyłączone do klatki piersiowej i ramienia pacjenta.

- Tracimy go! Gdzie ten cholerny śmigłowiec?!

Nagle ekran wypełnił się zielenią, a potem z głośnym hukiem stał się czarny. Fluorescencyjne świetlówki na suficie eksplodowały. Pomieszczenie zalała ciemność, tylko niewielkie promyczki światła słonecznego wkradały się spomiędzy żaluzji. Dziwna niebieska łuna prześlizgnęła się po stole i półkach z nierdzewnej stali, a powietrze stało się ciepłe. Za plecami Claya, na środku pokoju, pojawił się mały, biały okrąg, który powoli rósł. Kiedy jego

obwód przekroczył pół metra, krąg zaczął się rozciągać w pionowy owal. Pomieszczenie wypełnił blask. Clay i Kanna odwrócili się w porę, żeby zobaczyć jak owal osiąga pełną długość i dotyka podłogi.

Z jego czarnego jak smoła wnętrza nagle buchnęło oślepiające, białe światło, zmuszając mężczyzn do zakrycia oczu. Po kilku chwilach blask osłabł, a potem zniknął zupełnie. Stół, na którym leżał pacjent, zaczął wibrować, a niektóre z narzędzi z brzękiem przesunęły się do krawędzi blatu i spadły na podłogę. Mebel powoli zaczął przesuwać się w stronę światła. Kanna instynktownie chwycił stół, próbując go zatrzymać, ale ten tylko pociągnął go za sobą. Stał dopiero kiedy jedna z nóg zablokowała się na nierówności podłogi. Pod wpływem przyciągającej go siły stół zaczął trząść się mocniej, ale noga wciąż tkwiła w miejscu. Kanna puścił blat i złapał nieprzytomnego pacjenta, bo ten pod wpływem wibracji zaczął się przesuwać w stronę krawędzi. W następnej chwili drzenie ustało i zapadła cisza. Po kilku sekundach oszołomiony lekarz otworzył szeroko oczy na widok postaci wychodzącej z wielkiego owalu. Lekko ubrany osobnik obdarzył doktora jedynie przelotnym spojrzeniem. Delikatnie przeniósł kraniec stołu ponad przeszkodą i zaczął sam ciągnąć go w stronę światła. Zatrzymał się dopiero, kiedy usłyszał głośny dźwięk naboju wślizgującego się do komory w półautomatycznym pistolecie Johna Claya.

Postać odwróciła się i ujrzała broń zaledwie kilka centymetrów od swojej głowy.

- Co to, do cholery, było? - odezwał się Clay.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zamiast tego spojrzał na pacjenta, wciąż leżącego na stole. Już nie oddychał.

Pistolet nawet nie zadrżał, kiedy palec Claya wędrował na spust.

- Kim jesteś? - Wskazał gestem światło. - I jak to zrobiłeś?!

Mężczyzna milczał. Spojrzał na światło, a potem znów na pacjenta, jak gdyby coś rozważał. Kiedy w końcu się odezwał, wydawał się robić to z niechęcią.

- Proszę, on umiera.

Clay rzucił krótkie spojrzenie na nieprzytomną postać, zanim znów skierował wzrok na osobę przed nim.

- Odpowiedz na moje pytania.

- Nie ma czasu. Mam tylko kilka minut, żeby go uratować.

Clay uniósł drugą dłoń i objął ją rękojeść pistoletu, wzmacniając uchwyt.

- Kim ty jesteś?

Mężczyzna przed nim znów spojrzał na światło emanujące ze środka pomieszczenia.

- Pozwól mi go ocalić, a odpowiem na twoje pytania.

Clay powoli pokręcił głową.

- Proszę. Pozwól mi go ocalić, a zostanę. - Clay zawahał się, mrużąc oczy.

- Proszę. Muszę go uratować! - błagał nieznajomy. W jego głosie zaczynała pobrzmiwać desperacja. - Niczego nie zyskacie, trzymając go tutaj. Umrze, a wtedy i tak zostanę wam tylko ja.

Po dłuższej chwili Clay się zgodził.

- Dobrze, ale jeśli spróbujesz odejść, załatwię was obu.

Mężczyzna skinął głową. Uniósł lekko stół, uwalniając nogę. Bardzo powoli zrobił krok do tyłu i usunął się przed stołem, który znów, bez niczyjej pomocy, zaczął sunąć w stronę światła. Clay obserwował mężczyznę po drugiej stronie blatu, który z kolei patrzył, jak stół znika w miękkim blasku. Nie spuszczał z niego wzroku, dopóki światło w końcu nie zniknęło.

Clay odwrócił głowę tak, że kątem oka widział lekarza.

- Doktorze. - Kanna nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w oszołomieniu w mężczyznę stojącego przed nimi.

- Doktorze! - krzyknął Clay, wyrывая go z otępienia. - Proszę zadzwonić na mostek. Niech zaraz przyślą tu jakieś wsparcie!

Lekarz doskoczył do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Proszę im powiedzieć, żeby wzięli broń.

Kanna skinął głową. Kiedy mówił do telefonu, Clay przyjrzał się nieznajomemu.

- A więc kim jesteś? - zapytał ponownie.

Mężczyzna stał nieruchomo, wpatrzony w Claya. Nie wydawał się ani trochę przestraszony widokiem broni. W końcu odpowiedział.

- Nazywam się Palin.

- Skąd się tu wzięłeś?

Mężczyzna rozejrzał się powoli po pomieszczeniu.

- Z niedaleka.

Clay zmrużył oczy.

- Będę potrzebował trochę lepszych odpowiedzi.

Mężczyzna imieniem Palin znów skierował wzrok na Claya.

- Odpowiem na pytania, które zadasz. Taka była umowa.

Ledwie Kanna odłożył słuchawkę, dobiegł ich odgłos kilku stóp uderzających o długą kładkę powyżej. Clay wskazał dłonią za Palina.

- Cofnij się do ściany i trzymaj ręce przed sobą.

Palin wykonał polecenie, wycofując się powoli, aż dotknął plecami ściany. Chwilę później Harris i Tay z bronią w ręku wpadli do pomieszczenia.

- Co się stało? - zapytał Harris.

Clay nie spuszczał wzroku z Palina.

- Niezłe pytanie. Na dobry początek skuj tego Davida Copperfielda.

19

Komandor Emerson zbliżył się do Alison i jej ekipy, którzy właśnie składali swój sprzęt komputerowy.

- Pani Shaw - zaczął, po czym spojrzał na Chrisa i Lee. - Panowie. Jest zmiana planów.

Alison wstała.

- To znaczy?

- Musimy natychmiast pozbyć się was i pozostałych pasażerów ze statku.

To zbiło ich z tropu.

- Co?

- Dla waszej ochrony oraz dla dobra bezpieczeństwa narodowego, musicie opuścić Pathfinderera - powiedział Emerson.

- Nie rozumiem. Mieliście nas odwieźć do Miami. Czy coś się stało?

Emerson potrząsnął głową.

- Mogę tylko powiedzieć, że miał miejsce pewien incydent... Proszę mi wierzyć, że robimy to dla waszego dobra.

- Incydent? Kiedy? - Obiegła wzrokiem mostek i nie znalazła osoby, której szukała. - Czy coś stało się panu Clayowi?

- John Clay ma się dobrze - zapewnił ich komandor. - Za parę minut przybędzie kuter straży przybrzeżnej. To ważne, żebyście byli gotowi przejść na jego pokład najszybciej, jak to możliwe.

- Chwila - powiedziała. - A co z Dirkiem i Sally?

- Obawiam się, że tamten statek nie jest w stanie ich przyjąć. Będą musiały zostać u nas, dopóki nie zajmiemy się zaistniałą sytuacją i nie będziemy mogli ich wam zwrócić. Przykro mi. Zapewniam, że dostarczenie ich będzie naszym priorytetem i że do tamtej pory zajmiemy się nimi dobrze.

Zwykle Alison by protestowała, ale przeczuwała, że właśnie wydarzyło się coś groźnego. Zdecydowała, że nie był to dobry moment na wszczynanie konfliktów z marynarką.

Spojrzała na Emersona.

- Czy mam pańskie słowo, komandorze?

- Jak najbardziej. Czy potrzebujecie pomocy?

Rzuciła spojrzenie na Lee, który potrząsnął głową.

- Nie, będziemy gotowi.

Kuter straży przybrzeżnej był o połowę krótszy i, sądząc z tego jak nagle przybył opływając półkolem większy statek, znacznie szybszy niż Pathfinder. Zwolnił i zakończył okrążenie, ustawiając się wzdłuż burty. Obydwa statki opuściły ogromne odbijacze, aby nie uszkodzić kadłubów kiedy zbliżyły się do siebie, a między jednym a drugim umieszczono wielką kładkę.

Wszyscy reporterzy ustawili się już w kolejce ze swym dobytkiem. Kiedy nakazano im ruszać, zaczęli przechodzić jeden po drugim. Alison, Chris i Lee odwiedzili na chwilę Dirka i Sally, po czym ruszyli z powrotem na dziób. Kiedy tam dotarli, ostatni z pasażerów przechodzili właśnie na kuter, wspierani z obu stron przez dwóch marynarzy.

Alison weszła na pomost i spojrzała za siebie. Claya nigdzie nie było widać, zbiornik z delfinami na rufie również pozostawał poza zasięgiem wzroku. Odetchnęła głęboko i szybko przeszła po kładce. Chris i Lee podążyli za nią.

Kiedy wszyscy pasażerowie zostali już rozsadzeni i policzeni, kładkę prędko usunięto. Silniki ożyły z rykiem i kuter ruszył. W miarę jak mknęli naprzód, widoczny w oddali Pathfinder stopniowo malał za nimi. Alison wychyliła się do przodu i udało jej się dostrzec helikoptery zbliżające się do dziobu Pathfindera. Pierwszy z nich był pokaźnych rozmiarów, a towarzyszyły mu dwa mniejsze uzbrojone śmigłowce Apache, po jednym z każdej strony.

20

Kathryn Lokke siedziała przy biurku, ale szybko podniosła się z miejsca, kiedy zobaczyła, że do gabinetu wchodzi Phillip LeBlanc. Minister spraw wewnętrznych LeBlanc miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, przekroczył sześćdziesiątkę i zdaniem Kathryn należał do nielicznych uczciwych polityków, którzy doszli do tak wysokiego stanowiska. Był również jej szefem. Kierował USGS kilka kadencji wcześniej, tuż przed falą skandali. LeBlanc zwrócił na Kathryn uwagę w początkach jej naukowej kariery i stał się dla niej mentorem. Odegrał kluczową rolę w objęciu przez nią roli dyrektora USGS; to on zachęcał, czy też, jak ona to pamiętała, popychał ją do objęcia stanowiska.

- Jak poszła prezentacja? - zapytał, siadając na skórzanej kanapie ustawionej pod ścianą niedaleko biurka.

Westchnęła dramatycznie.

- Która połowa?

- Kiepsko, hm? - zapytał LeBlanc retorycznie.

- Był tam mój stary przyjaciel Stevas.

- Szlag.

Kathryn usiadła z powrotem.

- Tak, tego się nie spodziewałam. A teraz wygląda na to, że i on, i prezydent mają mnie za wariatkę.

- Stevas to kanalia, ale nie uważa, że jesteś nienormalna. Ani głupia, skoro już o tym mowa. To tylko jego polityczne gierki. Wiesz, że chce w przyszłym roku startować w wyborach, prawda?

Kathryn otwarła szerzej oczy.

- Na prezydenta? Żartujesz?!

- Krążą takie plotki.

Kathryn opadła na oparcie i zasłoniła usta dłonią.

- Jezu. Wyobrażasz sobie, co by zrobił z tym wydziałem?!

- Owszem.

Lokke potrzęsnęła głową i otworzyła torbę, wyciągając laptopa. Podłączyła go i wcisnęła włącznik, po czym znów spojrzała na LeBlanca.

- A zatem - powiedział - zakładam, że nie zareagowali tak, jak oczekiwałaś.

- Tak jak my oczekiwaliśmy - poprawiła go. - Nie. Najwyraźniej nie przemawia do nich koncepcja nieprzewidywalnego ryzyka. Prezydent powiedział, że chce więcej dowodów, zanim poinformuje inne kraje i zaryzykuje wywołanie paniki. - Zerknęła na niego podejrzliwie. - Powinieneś być pojechać ze mną.

LeBlanc zmarszczył brwi.

- Nie, teraz ty kierujesz departamentem, Kathryn. I tak nie miałem nic do dodania. - Odchylił się na oparcie kanapy i skrzyżował nogi. - A zatem chce więcej dowodów.

- Tak. Miejmy nadzieję, że wystarczy coś odrobinę mniej przekonującego, niż zbliżające się tsunami.

Roześmiał się.

- Oby.

Kathryn z sarkazmem wzruszyła ramionami.

- Na szczęście chcą chyba tylko znać datę i godzinę, kiedy wszystko się zapadnie.

- To jaki mamy plan?

Kathryn zalogowała się do komputera.

- Potrzebujemy więcej dowodów i to takich, które nie opierają się na moich wyliczeniach zmniejszającej się objętości oceanów. W tej kwestii Stevas naprawdę zrobił ze mnie idiotkę. - Opadła głębiej w duży fotel. - Myślę, że jeśli uda nam się zrobić dokładniejsze pomiary, wykorzystać wczesne oznaki poprzedniego podziału Ronne i prędkość z jaką do niego doszło, może będziemy w stanie lepiej oszacować poziom ryzyka. Jeśli będziemy mieć o wiele więcej danych niż inne ogólnościowe organizacje, nie będą mogli nas zbyć. Pozostaną tylko dwie kwestie: co zrobić w tej sytuacji i ile to będzie kosztowało.

- Kto jeszcze tam był i, co ważniejsze, czy ktokolwiek inny ci uwierzył?

- Hm, „uwierzył” to może za mocne słowo, ale tak, kilku chyba zrozumiało o jakim ryzyku mowa. Wojskowi, a nie politycy, co mnie nie zaskakuje. Oni wydają się mieć dobre pojęcie o ryzyku i konsekwencjach. A Miller,

Sekretarz Obrony, wyglądał jakby słuchał uważnie.

- Nic dziwnego - odparł LeBlanc. - W końcu oni muszą toczyć wojny. Politycy tylko je wywołują - ciągnął. - Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, prezydent liczy się ze zdaniem Stevasa, uprzejmie rzecz ujmując. Najlepiej będzie zebrać tyle danych, ile się da i namówić Masona, żeby pozwolił ci przedstawić je prezydentowi, kiedy Stevasa nie będzie w pobliżu. Wtedy będzie pewnie trochę łatwiej go przekonać.

- A jak dokładnie mam przekonać Masona? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Jesteś atrakcyjną kobietą. Poczaruj go trochę.

Kathryn udawała urażoną.

- Naprawdę powiedziałeś to, co mi się zdawało?

- Oczywiście, że nie. Przesłyszałaś się.

Kathryn uśmiechnęła się i w zamyśleniu spojrzała na laptopa.

- Muszę zebrać porządny zespół badawczy, zaczynając od grupy, która udokumentowała osunięcie. Będziemy potrzebowali więcej ludzi.

LeBlanc widział, że weszła właśnie w tryb planowania. Wstał i wyprostował krawat.

- Będziesz też musiała przekonać część z tych osób, żeby ruszyły tyłki i pochodziły trochę po mrozie.

Nagle przestała pisać i obrzuciła go zmartwionym spojrzeniem. Miał rację. Będzie musiała oderwać ludzi od innych projektów. To raczej nie przysporzy jej popularności.

Patrzył, jak wyraz jej twarzy się zmienił, kiedy w pełni zdała sobie sprawę jakie zadanie ją czeka.

- To może być dobry moment, żeby poćwiczyć czarowanie ludzi. - Mrugnął do niej i wyszedł.

21

Dwa uzbrojone śmigłowce Apache zawisły przy dziobie Pathfinderera, podczas gdy większy Seahawk opadł na lądowisko statku. Natychmiast po lądowaniu otwały się drzwi i na platformę wyskoczyło czterech marines w oporządzeniu bojowym i uzbrojonych w karabinki M4. Szybko przebiegli spod obracających się śmigieł do schodów, gdzie kilku członków załogi, wciąż z bronią w ręku, otaczało Johna Claya i niższego Palina. Clay stał blisko intruza, którego ręce były skute za plecami. Z kamienną twarzą obserwował zbliżających się żołnierzy.

Pierwszy marine zatrzymał się przed nimi i zasalutował komandorowi Emersonowi, który również stał obok. Pozostała trójka, tuż za nim, uczyniła to samo.

- Sir! - powiedział żołnierz, zwracając się do Claya. - Mamy rozkazy, żeby zabrać pana z powrotem do bazy. Czy jest pan gotowy?

Skinął głową.

Żołnierze chwycili Palina pod ręce i odprowadzili szybko w stronę helikopterów, których śmigła wciąż obracały się z pełną prędkością. Clay chwycił swój worek marynarski i przerzucił go przez ramię. Odwrócił się do Emersona.

- Dzięki, Rudy - powiedział, ściskając mu dłoń.

Komandor skinął głową.

- Informuj mnie na bieżąco.

Clay dosyć nieregulaminowo zasalutował reszcie załogi Emersona, po czym odwrócił się i pobiegł za marines. Dotarł do śmigłowca właśnie kiedy wciągali do niego Palina i wślizgnął się za nim. Żołnierze usiedli dookoła z karabinkami skierowanymi na aresztanta. Clay rzucił torbę na tył helikoptera, wdrapał się do pozostałych i zatrasnął metalowe drzwi. Jeden z mężczyzn wręczył mu zestaw słuchawkowy. Założył go i poprawił mikrofon.

Pilot dostosował ruch śmigieł Seahawka i helikopter oderwał się od

lądowniska. Szybko uniósł się w powietrze, flankowany przez oba Apache. Maszyny skierowały się na północ, obracając się nieco tyłem do zachodzącego słońca. Za nimi, nisko w dole, ogromne silniki Pathfinderów znów ożyły z rykiem. Statek obrócił się w lewo i ruszył na północ.

Przekrzykując dźwięk potężnych, hałaśliwych śmigieł helikoptera, Clay zakończył rozmowę i zdjął słuchawki. Oparł się o drzwi, spoglądając na Palina. Mężczyzna siedział niewygodnie, z rękami wciąż z tyłu i wzrokiem wbitym w podłogę. Żołnierze przyglądali mu się uważnie, mocno ściskając broń w rękach. Więzień wydawał się mniejszy niż przedtem. Siedział w milczeniu i nie próbował się szarpać. Clayowi wydawał się niemal zniechęcony.

Palin powoli uniósł głowę, żeby rozejrzeć się po niewielkiej kabinie i siedzących wokół żołnierzach. Ich twarze wyglądały jak wyryte w kamieniu. Spojrzał na Claya; ich oczy spotkały się. Utrzymali kontakt wzrokowy przez dłuższą chwilę.

Clay mimowolnie dostrzegł coś w spojrzeniu Palina. Z zewnątrz wydawał się mały i bezsilny, ale zarazem w jego oczach nie było lęku. Kiedy spuścił wzrok, Clay również odwrócił głowę i wyjrzał za okno. Po kilku minutach niebieskie wody oceanu ustąpiły miejsca białym, piaszczystym plażom i helikoptery pomknęły na północ wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Florydy.

Baza lotnictwa morskiego w Jacksonville była największym ośrodkiem marynarki na południowym wschodzie i trzecim pod względem wielkości w Stanach Zjednoczonych. Nazywano ją „NAS JAX”. Była największą bazą w tym regionie i specjalizowała się w zwalczaniu okrętów podwodnych oraz szkoleniu lotników, jednych z najlepszych na świecie.

Trzy helikoptery dotarły tam w niecałe trzy godziny. Wylądowały na odległym obszarze w południowo-zachodnim rogu bazy, aby nie zwracać na siebie uwagi. Kilka wozów bojowych Humvee z włączonymi reflektorami otoczyło miejsce lądowania; dwa tuziny uzbrojonych marines stało, czekając. Gdy tylko Seahawk wylądował, podbiegli i szarpnięciem otworzyli drzwi. Clay szybko zeskoczył i patrzył, jak czterech żołnierzy wychodzi popychając potykającego się Palina po stopniach.

- Ostrożnie! - zawołał, próbując przekrzyczeć warkot śmigieł.

Nie zwracając na niego uwagi, żołnierze odeskortowali Palina poza lądowisko i do jednego z wozów. Pozostali prędko ich otoczyli. Clay ruszył biegiem, próbując za nimi nadążyć, ale nagle jakiś oficer odciągnął go na bok.

- Pan Clay? - zapytał.

- Tak.

- Proszę za mną. - Oficer poprowadził go do innego pojazdu i otworzył mu drzwi. Kiedy Clay wszedł do środka, tamten przebiegł na drugą stronę i wsunął się za kierownicę.

Clay starał się wypatrzeć Palina w blasku mocnych reflektorów, ale nie potrafił ustalić, do którego wozu go wsadzili. Humvee ruszyły jednocześnie, kierując się w stronę niewielkiego skupiska słabo oświetlonych budynków.

Jego kierowca skręcił w lewo i zamiast tego powiózł go do małej, piętrowej budowli na skraju ciemnego, gęstego lasu ciągnącego się przez wiele kilometrów. Gdyby nie pojedyncze jasne światło i dwóch żołnierzy stojących na straży przed metalowymi drzwiami, Clay pomyślałby, że obiekt nie jest już w użyciu. Oficer zatrzymał wóz i obaj wysiedli. Kierowca zauważył, że jego pasażer odruchowo spogląda na tylne siedzenie.

- Ktoś niedługo przywiezie pańskie rzeczy.

Clay skinął głową i podążył za nim do wejścia, gdzie oficer pokazał strażnikom swój identyfikator. Żołnierz po prawej odwrócił się i wklepał kod do niewidocznej konsoli. Ogromne metalowe drzwi odsunęły się w bok z głośnym sykiem.

Dwaj mężczyźni wkroczyli w jasno oświetlone wejście. Tam czekało na nich czterech kolejnych marines; dwóch trzymało karabiny, a pozostali po jednym długim, cylindrycznym liczniku Geigera. Jeden z nich sprawdził Claya, a drugi towarzyszącego mu oficera. Clay wyciągnął swój identyfikator wojskowy i podłożył go pod skomputeryzowany skaner obok dokumentu swojego przewodnika. Czekał, rozejrzał się po dużym pomieszczeniu. Były tu cztery kamery, każda umieszczona w innym miejscu. Jedyny korytarz prowadził do położonych na przeciwległym krańcu drzwi. Obaj mężczyźni ruszyli w ich kierunku, kiedy już odzyskali swoje identyfikatory. Drzwi prowadziły do windy i rozsunęły się, gdy podeszli bliżej. Weszli do środka, dołączając do kolejnego żołnierza, który jedną ręką trzymał broń, a drugą wcisnął przycisk jazdy w dół. Mała kabina drgnęła lekko i ruszyła.

Clay stał spokojnie za żołnierzem, przyglądając się jego ubraniu i

sprzętowi. Podczas wszystkich wcześniejszych wizyt w NAS JAX odwiedzał jeden z większych obiektów w bazie, gdzie miał już kilku przyjaciół. W zasadzie po raz ostatni był tam zaledwie pięć tygodni wcześniej, przez cały dzień omawiając z konstruktorami okrętów podwodnych inny problem z łącznością. Nigdy jeszcze nie widział budynku, w którym znajdował się teraz i z pewnością nie był to przypadek. Prawdę mówiąc, Clay zastanawiał się ilu z pozostałych dwudziestu trzech tysięcy ludzi stacjonujących w bazie o nim wiedziało.

Zjechali przypuszczalnie trzy czy cztery piętra w dół. Kiedy drzwi się otwarły, stało się jasne, że prawdziwe serce budynku znajduje się pod ziemią. W głębi pomieszczenia kilka osób pośpiesznie krążyło tam i z powrotem. Kobieta oficer czekała, aż wyjdą z windy i bez słowa odwróciła się, żeby ich poprowadzić. Obaj ruszyli za nią.

Skręciwszy dwa razy, dotarli do dużej sali konferencyjnej. Ku zaskoczeniu Claya, czekał tam admirał Langford razem z komandorem Fosterem, dowódcą NAS JAX. Przeszli przez pokój, podczas gdy oboje oficerów towarzyszących Clayowi zaszalutowało i oddaliło się.

- A oto i on - powiedział Langford, wyciągając rękę. - John, poznaj komandora Jamesa Fostera. To on zarządza bazą.

- Witam, komandorze.

Clay zaszalutował i uścisnął dłoń Fostera.

- Miło mi pana poznać, sir. Byłem już tutaj nie raz, ale nigdy nie miałem przyjemności.

Langford od razu przeszedł do rzeczy, wskazując na duży stół konferencyjny stojący pośrodku pomieszczenia. Nad nim, na przeciwległej ścianie, zawieszony był płaski monitor.

- Clay, zaraz połączymy się z Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, sekretarzem obrony i doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. W spotkaniu weźmie też udział kilku ekspertów z różnych dziedzin. Będziesz oczywiście musiał dokładnie zrelacjonować to, co zdarzyło się dziś rano na Pathfinderze, żebyśmy mogli zrozumieć z czym mamy tu do czynienia.

Clay skinął głową.

- Tak jest.

- Czy potrzebujesz czegoś, zanim zaczniemy? - zapytał Langford. - Mamy jeszcze kilka minut.

- Nie, sir - odparł Clay. - Niczego.

- Doskonale. Może usiądziemy? - Zajęli miejsca przy stole. - Podobno znaleźliście Tritona II?

- Tak, sir, chociaż to dopiero pewien trop. Nie wiemy jeszcze dokładnie, gdzie jest. W całym tym zamieszaniu nie mieliśmy czasu lepiej tego zbadać.

- To zrozumiałe - stwierdził Langford. - Czy delfiny były pomocne?

- Tak - powiedział Clay. - Twierdzą, że go znalazły, ale tym właśnie musimy się jeszcze zająć. Podejrzewam, że trudno będzie go odzyskać... - nagle przerwał mu dzwonek jego telefonu komórkowego. Na wyświetlaczu pokazał się numer Willa Borgera. Clay spojrzał na Langforda. - Mam dość czasu, żeby odebrać, sir?

Zapytany spojrzał na zegarek.

- Zostały cztery minuty. Pospiesz się z tym.

Clay wstał i przeszedł na tył pomieszczenia, podczas gdy Langford i Foster kontynuowali wcześniejszą rozmowę. Odebrał połączenie i przyłożył telefon do ucha.

- Tu Clay.

- Cześć, Clay. Tu Will - po drugiej stronie rozbrzmiał głos Borgera.

- Hej, Will. O co chodzi? Masz coś?

- Tak, nowe wieści o naszym ogromnym hula hop z dna oceanu.

Clay spojrzał na Langforda i Fostera, wciąż pogrążonych w rozmowie.

- Opowiadaj.

- Dostroiliśmy program i udało nam się znacznie poprawić jakość wideo.

- Dobrze - powiedział Clay. - No i?

Borger zerknął na Caesare, który siedział obok niego.

- No i... - kontynuował - ...to coś wydaje się poruszać.

- Poruszać?! - zapytał Clay. - Jak poruszać?

- Tak, że wiruje - odparł Borger. - Kręci się wokół własnej osi. Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, powiedziałbym, że wykonuje pełny obrót mniej więcej co trzy minuty, może niecałe.

- Jezu! - wykrzyknął Clay. - Mówisz serio?

- Tak.

Clay odjął telefon od ucha i spojrzał na Langforda i Fostera, którzy teraz wpatrywali się w niego.

- Borger też musi wziąć udział, sir!

Połączenie zostało nawiązane i ogromny ekran ożył. Po drugiej stronie widać było dużą salę konferencyjną, położoną prawdopodobnie gdzieś w

Pentagonie. Wokół stołu siedzieli sekretarz obrony Miller i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stevas, a także paru wojskowych, w tym przewodniczący i wiceprzewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, oraz dowódcy każdego z pięciu rodzajów sił zbrojnych: lotnictwa, marynarki, wojsk lądowych, piechoty morskiej i straży przybrzeżnej.

Chwilę później u dołu ekranu wyświetliły się cztery inne transmisje - Clay przypuszczał, że byli to eksperci, o których wspominał Langford. Wreszcie w kolejnym małym okienku pojawili się Borger i Cesare. Informatyk był zdyszany po przebiegnięciu kilkuset metrów do najbliższej sali konferencyjnej wyposażonej w sprzęt wideo; Cesare nie wyglądał na ani trochę zmęczonego.

- Panowie - zaczął Langford. - Żeby nie przedłużać, chciałbym zrezygnować ze wstępów. John Clay właśnie dotarł do JAX i jest gotów zdać nam dokładne sprawozdanie z wydarzeń, które miały dziś miejsce na okręcie Emersona. - Odwrócił się i skinął głową do Claya. - Zaczynaj.

- Dziękuję, sir. - Clay wstał i zwrócił się do kamery. Zaczął od początku, wyjaśniając stratę batyskafu Triton, zaangażowanie grupy biologów morskich w próby odnalezienia go, a potem wszystko, co wydarzyło się na Pathfinderze od chwili opuszczenia portu. Kiedy skończył, pozostał na miejscu, czekając na pytania. Pomyślał sobie, że nawet jeśli jego opowieść kimkolwiek wstrząsnęła, prawie nikt na ekranie tego nie okazywał.

Miller, sekretarz obrony, odezwał się pierwszy.

- A zatem, komandorze Clay, mówi pan, że powietrze w ambulatorium po prostu się otwarło i wyszedł z niego ten człowiek, którego nazywa pan „Palinem”?

- Tak, sir - odpowiedział Clay. - O ile mi wiadomo, to właśnie się stało.

Stevas pochylił się do przodu w transmisji wideo.

- O ile panu wiadomo? Co to do diabła znaczy? Stało się czy nie stało?

- Sir - odparł Clay. - Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, ani jak to w ogóle możliwe. Próbuję wyjaśnić, czego doświadczyłem, na tyle, na ile potrafię to zrozumieć.

Langford wtrącił się.

- Zanim wdamy się w dyskusję, czy mogę zaproponować, żebyśmy dowiedzieli się, czy coś takiego jest możliwe? A jeśli nie, to co mogło zdarzyć się tak naprawdę? - Zwrócił się do jednego z ekspertów widocznych na ekranie. - Jest tu z nami profesor Harding, który kieruje wydziałem fizyki

na MIT. Doktorze, czy mógłby pan rzucić nieco światła na tę kwestię?

- Cóż - zaczął Harding i odchrząknął. - Szczerze mówiąc, brzmi to dość niewiarygodnie. - pokazujące go okienko stało się większe, kiedy mówił do zgromadzonych. - Technologia niezbędna do osiągnięcia czegoś takiego... cóż, po prostu jeszcze nie istnieje. - Zastanowił się przez chwilę. - Panie Clay, czy to możliwe, że ten cały Palin był już na statku?

- Tak - Clay przytaknął. - Ale wypytywaliśmy wszystkich członków załogi i pasażerów. Nikt nie widział go wchodzącego na pokład ani w żadnym innym momencie podróży.

- A co z pacjentem? - zapytał Langford. - Tym, który został ranny. Czy mogli mieć w zanadrzu jakąś sztuczkę, jakiś wspólny plan?

- To możliwe - przyznał Clay. - Ale nie wydaje mi się, żeby to był tylko trik.

- A czemuż to? - odparował Stevas z Pentagonu. - Skąd ta pewność, że nie doszło do jakiejś mistyfikacji? Pan Harding sam powiedział, że to w ogóle niemożliwe, więc najbardziej logicznym wnioskiem wydaje mi się właśnie oszustwo.

- To prawda, sir - odparł Clay. - Ale z tą konkluzją jest kilka problemów.

- Mianowicie? - nalegał Stevas.

- Zniknięcie stołu operacyjnego, nie wspominając o leżącym na nim ciele. Stevasowi nie spodobał się jego sarkazm.

- A czy mamy pewność, że faktycznie zniknął? Z pańskiego opisu wynikało też, że mężczyzna na stole i ten Palin są bardzo podobni z wyglądu.

- Zgadza się.

- Czy nie jest możliwe, że jakaś iluzja albo sztuczka wywołała wrażenie, że znajdowały się tam dwie osoby, podczas gdy w rzeczywistości była tylko jedna?

- Nie wiem, czemu miałyby to służyć - stwierdził Langford. - Jeśli się wpadnie w tarapaty, dużo łatwiej opuścić statek jako ranny reporter niż jako więzień. Poza tym, po co ktoś miałby zadać sobie tyle trudu, żeby dostać się na statek badawczy? Po to, żeby dowiedzieć się o jakichś nowo odkrytych złożach ropy?

- Zgadzam się - dodał Leonard Bullman, dowódca wojsk lądowych. Szczupły mężczyzna sprawiał wrażenie spokojnego i zamyślonego. - Jaki sens ma przygotowywanie wyszukanych trików albo ryzykowanie zdrowiem i życiem tylko po to, żeby dostać się na statek naukowy? - Przeniósł wzrok na

siedzącego obok Bruce'a Bishopa, dowódcę marynarki. - Czy na statku Emersona jest cokolwiek innego, co miałyby większą wartość?

Bishop potrząsnął głową.

- Rozmawiałem z nim godzinę temu. Nic takiego nie znajduje się na pokładzie. Tak po prawdzie, to większość ich danych nie została jeszcze nawet przeanalizowana.

- Co oznacza - powiedział Langford - że jedyną zmianą na statku, kiedy wypływał z portu... - urwał i spojrzał na Claya.

- ...były delfiny - dokończył tamten.

- Ile jest wart ten program do tłumaczeń? - zapytał sekretarz obrony Miller.

Clay potrząsnął głową.

- Niewiele. Według jego twórców, głównie przynosi prestiż. Można by za niego dostać nagrodę, ale na pewno nie jest wart spędzenia reszty życia w więzieniu.

Will Borger uniósł na ekranie rękę.

- Uhm, przepraszam.

Odezwał się Clay.

- Panowie, to Will Borger i mój kolega, Steve Caesare. To oni odkryli pierścień na dnie oceanu. Poprosiłem, żeby do nas dołączyli, bo zdobyli więcej informacji na ten temat. Mów, Will.

Okienko pokazujące Borgera i Caesare urosło i przesunęło się na środek ekranu.

- Właśnie, eee, przeanalizowaliśmy nagranie lepiej i wygląda na to, że pierścień się... porusza.

Większość obecnych wyglądała na zdezorientowanych, Harding jednak zdawał się zadowolony.

- Co pan ma na myśli? - zapytał, nachylając się.

- Kiedy mówimy, że się porusza, chodzi nam właściwie o to, że kręci się wokół własnej osi. Sądząc z moich obliczeń, wykonuje pełny obrót co trzy minuty. A że całość ma obwód około 75 kilometrów, to znaczy, że wiruje z prędkością ponad tysiąca stu kilometrów na godzinę.

Wszyscy na monitorach nagle zaniemówili. Harding rozdziawił szeroko usta.

22

- Co pan powiedział? - zapytał Miller.

Borger kontynuował.

- Pierścień wydaje się generować energię. - Wpisał kilka komend i obraz z jego laptopa wyświetlił się na dużych monitorach, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Na ekranie widać było obszar pierścienia. - Jeśli zmierzmy emitowane przez niego fale świetlne, dostrzeżemy drobne przesunięcie w efekcie Dopplera, co wskazuje na ruch. Zmiana w długości fal pozwala nam zmierzyć prędkość.

Niemal wszyscy obecni byli wciąż oszołomieni.

- Will - powiedział Clay. - Co to takiego, twoim zdaniem?

Borger potrząsnął głową.

- Naprawdę nie jesteśmy pewni. Zgadywałbym, że jakiś rodzaj elektrowni.

- Elektrowni zasilającej co? - zapytał Stevas.

- Nie wiem - odparł Borger. - Jest zbyt wiele niewiadomych. Na przykład, czemu jest pod wodą? Czemu jest położona tak daleko? Ile mocy byłaby w stanie wygenerować? Dobrze by było, gdybyśmy mogli zobaczyć czy tam pośrodku tego coś jest, ale mamy za słabą rozdzielczość. - Pokręcił głową. - Jeśli to elektrownia, to w życiu nie widziałem żadnej, która by się tak obracała.

- Cofnijmy się trochę - przerwał Miller. - Ta konstrukcja ewidentnie jest ogromna. Jaki kraj byłby w stanie w ogóle zbudować coś takiego, i to niezauważenie?

Nikt nie odpowiedział, więc sekretarz ciągnął.

- Czego byśmy potrzebowali, żeby taką wybudować?

- Tysiące ludzi i dziesięć lat, co najmniej - odpowiedział Borger. - I to przy założeniu, że nie próbowalibyśmy się z tym kryć.

- A to prawdopodobnie ostrożne szacunki - dodał Harding.

- No dobrze, więc mamy jakąś sekretną grupę, która pracowała nad tym od dziesięcioleci - powiedział Stevas.

Miller uniósł brew.

- Czyli kogo?

- Skąd do diabła mam wiedzieć? Z mojej perspektywy ważniejszym pytaniem jest nie kto zbudował gigantyczną elektrownię, ale do czego ona służy?

- Może ma zmieniać temperaturę wody i wpływać na pogodę, czy coś w tym rodzaju - zasugerował Mason.

Stevas uniósł dłoń w geście zgody.

- Właśnie. Może chcą wywołać huragan albo trzęsienie ziemi. Albo podłączyć się do ogólnokrajowej sieci energetycznej i pozbawić nas prądu. - Skrzyżował ramiona na piersi. - Sądzę, że najpierw musimy ustalić, co ta rzecz robi.

Miller spojrzał na ekran.

- Doktorze Harding?

Zapytany zmarszczył brwi.

- Prawie wszystko jest teoretycznie możliwe przy dostatecznie dużej mocy, ale nawet jeśli ktoś odkrył, jak wywoływać huragany albo trzęsienia ziemi, nie miałyby jak ich kontrolować. Wasz huragan mógłby polecieć na południe zamiast na północ, na wschód zamiast na zachód. - Znów wpatrzył się w obraz na ekranie. - Szczerze wątpię, żeby to miało służyć do manipulacji pogodą.

- No dobrze! - warknął Stevas. - W takim razie czekam na inne propozycje!

Borger mrugnął kilka razy. Z trudem przełknął ślinę.

- To... - Zaczął potrząsać głową. - To może zabrzmieć jak szaleństwo, ale przypomina mi się coś, nad czym grupa naukowców pracuje w Szwajcarii. - Wbił wzrok w obraz. - Udało im się nawiązać łączność czasoprzestrzenną między dwoma niewielkimi przedmiotami. To też robiono za pomocą pierścieni, ale bardzo małych, a połączenie istniało tylko przez ułamek sekundy. To tylko luźne skojarzenie, ale niektóre aspekty pasują do naszej sytuacji.

- Co ma pan na myśli przez „połączenie”? - zapytał Langford.

Borger nie odpowiedział. Patrzył tylko w ekran, zastanawiając się, czy powinien kontynuować. To było niemal zbyt absurdalne.

- Chodzi mu chyba o tunel - odpowiedział Harding. Langford był zbity z tropu.

- Tunel?

- Czasoprzestrzenny - powiedział Borger.

- Co to do diabła jest tunel czasoprzestrzenny?

- To taki tunel, który biegnie przez czas i przestrzeń - wyjaśnił Harding. - Jest taka teoria we współczesnej fizyce.

- I Szwajcarzy to coś stworzyli? - zapytał Stevas.

- Niezupełnie - odparł Harding, kręcąc głową. - Pan Borger odnosi się do serii eksperymentów przeprowadzonych przez Szwajcarów. Im jednak udało się stworzyć tunel tylko na moment i nie był długi nawet na jedną milionową milimetra. Przez niecałą sekundę pochłonął też niewiarygodną ilość energii, równą rocznemu zużyciu elektryczności w Szwajcarii.

- I myśli pan, że patrzymy właśnie na ogromną wersję tego samego?

- Można sobie wyobrazić taką możliwość - powiedział Harding powoli. - W swoim eksperymencie, szwajcarski zespół odkrył harmoniczny związek między pierścieniami. Obracane z użyciem dostatecznej ilości energii, połączyły się na poziomie harmonicznym, co umożliwiło powstanie tunelu. - Przynął krzesło bliżej monitora. - Panie Borger, może pan powiększyć obraz? - Chwilę później widok przybliżył się. - Jednym z unikalnych aspektów eksperymentu był fakt, że aby nawiązać połączenie, pierścienie musiały się kręcić w tempie przekraczającym prędkość dźwięku.

Langford spojrział na Borgera.

- Mówiłeś, że jak szybko obraca się to coś pod wodą?

- Tuż poniżej prędkości dźwięku.

- Ale ona w wodzie jest inna niż w powietrzu - zauważył Harding. Wydawało się, że sam nie wierzy w to, co mówi, ale nie może się powstrzymać przed rozpracowywaniem twierdzenia. - Dźwięk w wodzie podróżuje ponad cztery razy szybciej. Z drugiej strony, jeśli dźwięk jest zmienną, to istnieje możliwość, że pod wodą tunel wymagałby mniej energii, więc lepiej byłoby go umieścić właśnie tam. Ale i tak mowa o wymaganym poziomie mocy, który znacznie przerasta nasze możliwości.

- „Nasze” w sensie „Stanów Zjednoczonych”? - zapytał Stevas.

- Nie - odparł Harding. - „Nasze” w sensie całej ludzkości.

Kilka osób pochyliło głowy, mamrocząc przekleństwa.

Sekretarz obrony Miller odetchnął głęboko.

- Chce nam pan powiedzieć, że nie zbudowali tego ludzie?

- Można to wziąć pod rozwagę.

Miller nie wierzył własnym uszom.

- I mówi pan, że możemy mieć na dnie oceanu tunel czasoprzestrzenny?

- Być może - stwierdził Borger. - Ale nawet gdybyśmy wiedzieli, jak wyprodukować tyle energii, i tak nie mielibyśmy jak tego dokonać.

Harding przytaknął skinieniem głowy.

- On ma rację. Nawet wszystkie elektrownie świata naraz nie dałyby rady tego zrobić. A zatem wracamy do pytania: jeśli my nie jesteśmy w stanie dostarczyć temu energii, a nawet czegoś takiego zbudować, to kto jest?

- Albo... jeśli tutaj nie ma potrzebnej mocy, to skąd się ona bierze? - dokończył Borger.

Mężczyźni przy stole raz po raz spoglądali po sobie.

- Dobrze, zaczekajcie - powiedział Miller. - Cofnijmy się trochę. Czy jest jakieś inne wytłumaczenie dla tego pierścienia? Czym jeszcze mógłby być?

Harding odchrząknął.

- No cóż, jeśli to my go stworzyliśmy, jego zastosowanie powinno się ograniczyć do kilku możliwości. Jeśli to nie my, wtedy cholera może być praktycznie czymkolwiek.

- Panie Borger - ciągnął Miller. - Na ile jest pan pewny swoich danych?

- Dostyc pewny - odparł Borger. - Oczywiście mogę się mylić, ale sprawdzałem wyniki kilka razy. Naturalnie może się tam dziać też coś, czego nie widzimy. Właściwie, prawie na pewno tak jest. Na przykład coś może się znajdować wewnątrz kręgu. A może to nie jest tym, na co wygląda z naszych zdjęć w ograniczonej rozdzielczości. Część spośród podstawowych założeń, na których się opieram, może być błędna. Na tym etapie to tylko kwestia prawdopodobieństwa.

Clay przemówił, zwracając się do Langforda.

- Sir, musimy się temu lepiej przyjrzeć. Trzeba przynajmniej znaleźć Tritona i zobaczyć, co jeszcze zarejestrował.

Langford skinął głową.

- Zgadza się.

- No dobrze - powiedział Stevas. - Dopóki nie przyjrzymy się bliżej temu pierścieniowi, musimy zakładać najgorsze. Jeśli okaże się, że to coś innego, to tym lepiej. Z drugiej strony, jeśli to jakiś rodzaj tunelu czasoprzestrzennego, to co do diabła z tym zrobimy?

- Cóż - powiedział Langford. - To zależy, do czego by służył.

- Do czego by służył? - powiedział Stevas z niedowierzaniem. - To

pieprzony tunel. Do czego wy używacie tuneli? - Spojrzał na Hardinga. - Doktorze, czy mi się wydaje, czy cały sens istnienia tunelu jest taki, żeby coś przez niego przesłać? Czy ten, kto go zbudował, mógłby to zrobić?

Harding skinął głową, unosząc brew.

- To możliwe. Nie znamy dość dobrze jego charakterystyki, ale tak, musiałbym się zgodzić, że istnieje taka możliwość.

- Dziękuję - powiedział Stevas z zadowoleniem. - Więc jeśli da się coś przesłać przez tunel czasoprzestrzenny, to nie wiem, jak myślą pozostali, ale według mnie najgorszy możliwy scenariusz jest taki, że ten z kim mamy do czynienia albo już to zrobił, albo ma to w planach.

Wszyscy siedzieli w milczeniu, rozważając sugestię Stevasa. Po dłuższej chwili odezwał się Langford.

- Jeśli to jakiś rodzaj tunelu, to by wyjaśniało, jak ktoś był w stanie pojawić się znikąd na jednym z naszych statków. - Wskazał na ekran. - Doktorze Harding, czy jest możliwe, że to, co Clay widział na Pathfinderze, to mały tunel czasoprzestrzenny rozmiaru człowieka?

- To możliwe - powiedział profesor, znów potrząsając głową - ale bardzo mało prawdopodobne. To znaczy, przy poziomie technologii potrzebnym, żeby tego dokonać, gdyby ktoś był w ogóle w stanie stworzyć ten pierścień, to zapewne bardzo mały tunel nie stanowiłby problemu. Ale wysuwamy tu bardzo dużo przypuszczeń.

- Ktoś ma jakiś inny pomysł albo wyjaśnienie? - zapytał Langford.

Borger wzruszył ramionami.

- Nic, co pasowałoby do okoliczności.

- Co ma pan przez to na myśli?

- Mam na myśli, że to zdaje się układać w całość. Potrzebna moc, złożoność, czas potrzebny na konstrukcję. To, czemu zdaje się być ukryte pod wodą. Zakłócenia energii i pola magnetycznego. Ta koncepcja wydaje się najbardziej rozsądna. Zgadzam się też z doktorem Hardingiem, że gdyby ktoś potrafił zbudować duży tunel czasoprzestrzenny, na pewno nie miałyby kłopotu ze stworzeniem małego. Sądzę, że powinniśmy rozważyć to, o czym być może już myślimy. Możemy mieć tu do czynienia z kimś o wiele mądrzejszym od nas.

Miller pochylił się i zakrył twarz dłońmi.

- Obawiałem się, że ktoś to powie. Doktorze Wong - powiedział, zwracając się z powrotem do ekranu. - Jest pan naszym ekspertem od astrobiologii.

Zakładam, że zdążył się pan już zapoznać ze zdjęciami i nagraniem wideo tego Palina?

Obraz profesora Wonga wypełnił ekran. Mężczyzna trochę po pięćdziesiątce, w okularach i z kępkami siwych włosów, cieszył się dużym uznaniem w dziedzinie astronomii.

- Owszem.

- Jakiego jest pan zdania?

- To znaczy? - zapytał Wong.

- To znaczy... - powiedział Miller. - Czy w ogóle mamy jeszcze do czynienia z ludźmi?

Wong zmarszczył brwi.

- No cóż... co prawda nie można wykluczyć, że pierścień to jakiś rodzaj portalu, ale wątpię, żeby ten cały Palin był kosmitą, jeśli o to pan pyta. Sądząc po anatomii, wliczając w to zdjęcia rentgenowskie pacjenta doktora Kanny z Pathfindera, wyglądają zdecydowanie zbyt ludzko.

- Co to znaczy „zbyt ludzko”? - zapytał Bullman, dowódca wojsk lądowych.

- No... wyjdźmy od dość szerokich założeń. Przyjmijmy, że mamy do czynienia z obcą rasą, która skonstruowała ten tunel i jest w stanie zasilać go z innego źródła, być może bardzo odległego. Ich anatomia po prostu nie różni się wystarczająco od naszej - wyjaśnił Wong. - Rzecz w tym, że każda forma życia rozwijająca się na innej planecie miałaby swoją własną ścieżkę ewolucyjną. Inna planeta mogłaby na przykład mieć drastycznie różne zmienne środowiskowe niż Ziemia. Może jest mniejsza, może gorętsza, może dni są krótsze, może jest tam mniej wody. Prawda jest taka, że przy milionach małych, a nawet mikroskopijnych różnic pomiędzy ekosystemami, istnieje nieskończona liczba wariantów, w jakie mogłaby wyewoluować ich fizyczna forma. A więc w obliczu tej niemal nieograniczonej różnorodności, to, że inna rasa rozwinie się w prawie identyczne istoty jest... cóż, matematycznie niemożliwe.

- Niemożliwe?

Wong skinął głową.

- Praktycznie rzecz biorąc.

Miller odchylił się do tyłu i westchnął. Następnie potarł dłonią oczy.

- No dobrze. Chcę się upewnić, czy wszystko rozumiem. Sądzymy, że mamy na dnie oceanu tunel czasoprzestrzenny, prowadzący nie wiadomo

dokąd, wymagający więcej energii niż kiedykolwiek będziemy w stanie wyprodukować, zbudowany przez kogoś o wiele mądrzejszego od nas, kto nie jest kosmitą. - Rozejrzał się po sali, a potem spojrzał na ekran. - Czy coś pominąłem?

Nikt nie odpowiedział.

- Admirale Langford. - Miller nagle pochylił się na krzesło. - Potrzebujemy więcej informacji i chciałbym, żeby pański zespół je zdobył.

- Tak jest - odparł Langford.

- Niebawem dotrze do was nasz śledczy. Zobaczmy, czego uda nam się dowiedzieć od więźnia, Palina. Ale musimy zachować ostrożność. Przedwczesne podejmowanie działań może się bardzo źle skończyć. - Miller rozejrzał się po pomieszczeniu. - Spotkajmy się ponownie rano, kiedy, miejmy nadzieję, będziemy już wiedzieć coś więcej. Dziękuję wszystkim. - To powiedziawszy sięgnął po leżącego na stole pilota i okno znikło z ekranu.

- Dziękuję wam, panowie - powiedział Langford. - Będziemy w kontakcie. - Chwycił swojego pilota i zakończył wszystkie transmisje poza Borgerem i Caesare. Langford i Foster obaj wstali.

- Clay. - powiedział Langford. - Wracaj do głównej bazy i prześpij się trochę. - Odwrócił się do Fostera. - Macie dla niego jakiś samolot?

- Znajdzie się.

- Dzięki. - Znow zwrócił się do Claya. - Chcę, żebyś rano wyleciał.

- Tak jest - odpowiedział Clay.

- Wy dwaj - zwrócił się do Borgera i Caesare. - Pracujcie dalej nad tym nagraniem. Zobaczcie, czy uda wam się ustalić coś jeszcze.

- Tak jest - odparli zgodnie.

Langford i Foster opuścili salę.

Clay patrzył, jak zamykają się za nimi drzwi, po czym odwrócił się do dużego monitora, na którym wciąż widać było dwóch mężczyzn.

- No, to było ciekawe.

Alison patrzyła, jak uprząż przenosząca Dirka powoli wjechała nad szklany zbiornik w akwarium i tam się zatrzymała, po czym zaczęła opadać, aż delikatnie dotknęła tafli wody. Zanurzała się dalej, dopóki Dirk nie znalazł się metr czy dwa pod powierzchnią. W tym momencie pociągnięcie sznurka zwolniło sprzączkę, a uprząż rozwinęła się i opadła. Dirk wyślizgnął się z niej i z przejściem opłynął zbiornik kilka razy dookoła. Następnie skierował się ku wielkiej szklanej ścianie, gdzie Sally patrzyła na dzieci przyciskające dłonie oraz nosy do szyby i machające do delfinów. Po kilku chwilach Dirk obrócił się, przepłynął pod Sally i oddalił się od niej i od dzieci. Dotarłszy do przeciwległego krańca basenu, pognał z powrotem wprost na szkło, po czym nagle zaczął wirować i wykonał w jasnoniebieskiej wodzie kilka beczek. Dzieciaki oszalały.

Alison zawsze uderzało, jak bardzo Dirk i Sally kochały dzieci. Nieraz o poranku delfiny czekały pod szklaną ścianą, aż drzwi akwarium się otworzą, wpuszczając do środka strumień młodocianych gości. Wyraźnie istniała między nimi więź i obserwowanie tego nigdy się jej nie nudziło. Ruszyła z powrotem do laboratorium po drugiej stronie zbiornika, zostawiając za sobą lobby i roześmiane dzieci. Kiedy dotarła do metalowych drzwi, przeciągnęła kartę przez wąską szczelinę i czekała, aż wejście otworzy się z głośnym kliknięciem. Pociągnęła za klamkę i wkroczyła do wyściełanego zielonym dywanem wnętrza laboratorium.

Podeszła od tyłu do Lee Kenwooda, zerkając mu przez ramię.

- Jak tam, wszystko gra?

- Tak - odparł. - Systemy w porządku. W dodatku IMIS wyłapał kilka nowych słów, kiedy nas nie było.

- Nasz słowniczek robi się długi - zauważyła, spoglądając na monitor.

Lee skinął głową. Skończył pisać i zamknął okno, po czym otworzył inne - nowy program, którego Alison jeszcze nie widziała. Odjechał z krzesłem na

bok i podniósł na nią wzrok.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, oczekując, że dokończy zdanie, ale on tylko się uśmiechał.

- Jaką? - zapytała w końcu. Z powrotem spojrzała na ekran. Nowy program wyświetlał duży czarny okrąg z przebiegającą przez środek cienką zieloną linią. Przeniosła wzrok na Lee, zastanawiając się, na co właściwie patrzy.

- Pochyl się - powiedział informatyk.

Alison nachyliła się mocniej w stronę biurka. Wciąż nic z tego nie rozumiała.

- A teraz mów - szepnął.

Wciąż wyglądała na zdziwioną.

Znów odezwał się szeptem:

- Powiedz „cześć”.

Zmarszczyła brwi i ponownie spojrzała na ekran.

- Cześć.

Cienka zielona linia zatańczyła na dźwięk jej głosu, po czym znów się wyprostowała. Chwilę później Alison usłyszała, jak IMIS odtwarza w zbiorniku tłumaczenie.

Dirk i Sally odwróciły się i podpłynęły do laboratorium.

Cześć Alison - odpowiedziały.

Alison otwarła szeroko oczy.

- IMIS naprawdę mnie usłyszał?

Lee uśmiechnął się.

- Rozpoznawanie mowy. Nie trzeba już pisać. - Ruchem ręki odsunął klawiaturę na bok. - Po prostu mów do mikrofonu, a IMIS automatycznie to przetłumaczy.

Spoglądając na Lee, Alison znów się odezwała. Kiedy rozbrzmiał jej głos, zielona linia ponownie zatańczyła.

- Jak się dzisiaj macie? - zapytała.

My dobrze - powiedział Dirk. - Jak wy?

- Lee - wykrzyknęła - jesteś niesamowity!

Uśmiechnął się.

- Fajne, nie?

Alison wyjęła banana z torby. Obrała go i podeszła do zbiornika, gdzie Dirk i Sally unosiły się w wodzie, spoglądając na nią. Odgryzła kawałek

owocu, po czym wyciągnęła rękę i przyłożyła ją do szyby. Dirk podpłynął i musnął szkło nosem od drugiej strony. Sally nie ruszyła się z miejsca, wciąż patrząc na Alison. Kobieta zerwała dalszą część skórki i ponownie ugryzła banana.

Co je Alison? - zapytała Sally.

Alison spojrzała na nią z zaskoczeniem. Po chwili odwróciła się od szyby i podeszła do biurka Lee. Chwyciła za myszkę i otworzyła okno wyświetlające aktualną listę wyrazów zidentyfikowanych przez IMIS. Przejrzała ją, próbując dobrać odpowiednie słowo.

Pochyliła się nad mikrofonem.

- Jem roślinę. - Po chwili namysłu podeszła z powrotem do szyby i pokazała Sally banana. Bardzo powoli, delfin podpłynął przyjrzeć się owocowi.

Lubisz roślinę? - zapytała Sally.

Zanim Alison zdążyła odpowiedzieć, Lee przysunął nieco biurko, tak żeby mikrofon wylapywał jej głos z miejsca, w którym stała.

Skinęła głową.

- Lubię różne rośliny. - Chwyciła torbę i wyjęła z niej jabłko. Odgryzła kawałek, po czym pokazała owoc Sally.

Delfin przyjrzał się mu.

Nie jeść roślin.

- Wiem - Alison uśmiechnęła się. - Ale ja kocham rośliny.

Sally z przejęciem pomachała ogonem.

Ja kocha Dirka.

Tym razem Alison zachichotała.

- Ja też go kocham.

Z nozdrzy Sally wydobył się dźwięk, który zespół Alison przyjmował za śmiech.

- Czemu się zaśmiałaś? - spytała badaczka.

Delfin znów pomachał ogonem.

Ty nie kocha Dirka. Ja kocha Dirka.

Alison spojrzała na Sally z zaciekawieniem. Odwróciła się lekko i zerknęła na odbicie Lee w tafli szkła; w tle dostrzegła też Chrisa. Obaj mężczyźni przyglądali się rozmowie.

- Kochasz Dirka?

Ja kocha Dirka - powtórzyła. - Dirk kocha mnie.

Alison obróciła się do Chrisa.

- Nie myślisz, że...?

Mężczyzna uniósł brew.

- Chyba jednak tak.

- Czy Dirk jest twoim partnerem, Sally? - zapytała Alison.

Tak. On mój partner. Ja on partner. Ja kocha Dirka.

- O rety - powiedziała, odwracając się z powrotem do Chrisa i Lee. Przejechała ręką przy szyi w geście przecinania, dając Lee znak, żeby wyłączył mikrofon. Mężczyzna szybko kliknął przycisk pauzy. - Oni się kochają.

Jej podekscytowanie udzieliło się Chrisowi.

- Czy to nas zaskakuje? - zapytał.

- W sumie nie - odparła. - Znaczy, zawsze istniały przypuszczenia, że zwierzęta odczuwają w pewnym stopniu przywiązanie, ale to brzmi, jakby Sally opisywała coś głębszego. - Alison westchnęła gwałtownie, zakrywając usta dłonią. - O mój Boże. Myślicie... Czy to możliwe, że one nie tylko się kochają, ale są zakochane?

Chris i Lee spojrzeli po sobie, oniemiałi.

Wracamy Alison? - zapytał Dirk, który dołączył do Sally za szkłem.

Lee z powrotem włączył mikrofon, a Alison odpowiedziała.

- Wracamy? Dokąd, Dirk?

Na zewnątrz.

Jej nastrój zmienił się w jednej chwili. Odetchnęła głęboko. Spodziewała się tego. Delfiny zamieszkały w akwarium w wieku dziesięciu lat i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłyby wrócić do oceanu, ale teraz, kiedy zabrali je na zewnątrz, żeby pomóc Clayowi, było to wręcz nieuniknione.

Otwierała usta, żeby odpowiedzieć, kiedy Dirk znów się odezwał.

Jak długo zostać?

Alison zamknęła oczy. To pytanie przebiło jej serce jak sztylet.

- Podoba wam się tutaj? - spytała.

Tak podoba tutaj - powiedział Dirk. - Dużo jedzenia. - Odpłynął energicznie, zrobił małe kółko i wrócił. - Kiedy jedzenie?

Alison zmusiła się do uśmiechu. Odkąd delfin mógł sam poprosić o jedzenie, dostawał go dużo więcej.

- Dopiero co jadłeś, Dirk.

Sally wciąż unosiła się w wodzie i obserwowała Alison.

Ty smutna.

- Bez trudu odczytują ludzkie emocje - stwierdził Chris, podchodząc do szyby. Łagodnie położył jej rękę na ramieniu. - A my ledwie potrafimy rozpoznać, kiedy Dirk jest głodny.

Alison pokręciła głową patrząc na Lee, który znów wyłączył mikrofon.

- Stracimy je, Chris. Wszystko przez tę cholerną wyprawę, żeby pomóc marynarce. - Nagle ogarnęła ją frustracja. - To wszystko wina Franka! Po co do diabła się na to zgadzał?! Kompletnie nas załatwił, Chris! Stracimy Dirka i Sally, i tyle będzie z tego wszystkiego!

- To nieprawda, Alison, i dobrze o tym wiesz. Frank mógł powiedzieć „nie”, ale to pewnie jeszcze szybciej położyłoby nasz projekt. Oboje wiedzieliśmy, że ryzykujemy. - Próbowała wyglądać niewinnie, ale Chris potrząsnął głową. - Nie, nie zgrywaj się. Wiem, że też o tym myślałaś, tak samo jak ja. Chcieliśmy jako pierwsi na świecie rozmawiać z innym gatunkiem i udało nam się, to wspaniałe! Ale żadne z nas ani przez moment nie myślało, że Dirk i Sally lubią przebywać w niewoli. Jasne, dobrze im się tu żyje, mają darmowe jedzenie, za które nie muszą skakać przez obręcze, stałą opiekę medyczną i żadnych naturalnych zagrożeń. Ale być bezpiecznym to nie to samo co być szczęśliwym. - Spojrzał znów przez szybę i westchnął. - Poziom komunikacji, który umożliwił nam IMIS, przekracza nasze najśmielsze sny, Ali. A teraz dowiadujemy się, że Dirk i Sally nie lubią żyć w klatce; dla żadnego z nas nie jest to wielką niespodzianką. To smutne, owszem. Ale nie możemy za to winić ani Franka, ani marynarki.

Łzy napłynęły Alison do oczu. Wytarła je prędko. Chris miał rację, ale nie czuła się przez to ani trochę lepiej. Zrobili coś niesamowitego, a teraz w efekcie tracą delfiny.

Twój przyjaciel tutaj - powiedziała Sally.

Alison uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak, moi przyjaciele są tutaj.

Nie inny przyjaciel - odparła Sally. - Z metalu.

- Ach. - Alison zdała sobie sprawę, że delfin mówił o Johnie Clayu. - Nie, przyjaciel nie tutaj.

Sally zaśmiała się.

Chris ścisnął ramię Alison i podszedł z powrotem do biurka Lee. Podniósł swój kubek z kawą i obejrzał się. - Nigdy nic nie wiadomo. Może jeśli je wypuścimy, wrócą do nas.

Alison zmarszczyła brwi.

- Albo przynajmniej będą wpadać - Chris wzruszył ramionami.

Lubię rozmawiać Alison - powiedziała Sally.

Alison spojrzała na nią zaczerwienionymi oczami.

- Ja też lubię z tobą rozmawiać, Sally.

Czemu czekacie długo?

Alison zaśmiała się. Czemu ludziom zajęło tak długo, żeby z nimi porozmawiać? Chyba sobie żartowała.

- Musieliśmy zbudować metal do pomocy.

Od strony monitora Lee rozległ się sygnał błędu. Coś nie zostało prawidłowo przetłumaczone. To było bez znaczenia.

My nie mówić bardzo długo.

Alison spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

- Długo nie rozmawialiśmy?

Nie.

- Ty i ja? - zapytała.

Nie. Ludzie.

Alison opadła szczęką. Czy dobrze usłyszała? Odwróciła się do Chrisa.

- Czy ona właśnie powiedziała to, co myślę, że powiedziała?

Chris również zastygł, z kubkiem parę centymetrów od ust.

Musiało jej chodzić o coś innego. Alison nagle podskoczyła, kiedy ktoś za jej plecami powiedział: - Cześć.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Johna Claya stojącego w głębi pomieszczenia, obok tylnego wyjścia. Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że albo ich przestraszył, albo przerwał coś ważnego - albo jedno i drugie.

- Przepraszam - wskazał ręką w stronę lobby. - Kobieta na recepcji poradziła, żebym wszedł tędy. - Spojrzał na Alison. - Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała. Odwróciła wzrok i upewniła się, że jej oczy są suche.

- Po prostu ekscytujący poranek. - Spojrzała na Claya i zauważyła, że wyglądał na zmęczonego.

Przeszedł przez pokój, machając krótko Chrisowi i Lee.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Przepraszam też za całe to zamieszanie na statku. Sprawy przybrały dość... interesujący obrót.

- Na to wygląda - odparła, podchodząc do niego. - Wszystko w porządku?

- Tak. Chciałbym móc wyjaśnić, ale...

- Nie szkodzi - powiedziała. - Rozumiem. - Wskazała na Chrisa i Lee. -

Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że odwieźliście Dirka i Sally tak szybko.

Clay uśmiechnął się.

- Przynajmniej tyle mogliśmy dla was zrobić w zamian za trud, który włożyliście, żeby nam pomóc.

„Nawet sobie nie wyobrażasz” - pomyślała Alison.

Clay spojrział z zaciekawieniem na Sally, która zdawała się wpatrywać w nich wszystkich. Dirk pływał w kółko przy krawędzi zbiornika.

- To jesteś tu dla przyjemności, czy w interesach? - spytała Alison. - Mam nadzieję, że nie liczysz na darmową wejściówkę do akwarium. - Jego włosy zdawały się gęstsze i bardziej pofalowane niż pamiętała.

- I jedno, i drugie - odparł Clay. - Miałem też nadzieję porozmawiać z waszymi delfinami. Nie mieliśmy dotąd okazji zapytać ich o batyskaf.

- Jasne - poprowadziła go do biurka Lee, stojącego obok zbiornika. Zawołała Dirka przez mikrofon. Delfin podpłynął i zatrzymał się obok Sally, która wciąż delikatnymi ruchami utrzymywała się w tym samym miejscu. - Znaleźliście metalową bańkę? - zapytała.

Tak - odpowiedział Dirk.

- Pamiętacie, gdzie ona jest?

Tak. - Delfin zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał albo próbował wysłować. - Południe. Wschód. - Po chwili IMIS połączył wyrazy w Południowy wschód.

- Jak daleko? - zapytała, zerkając na Claya.

Po dłuższej przerwie Dirk odpowiedział: Bardzo daleko. Dużo trzasków.

Zmarszczyła brwi.

- Co to jest trzask?

Trzask to iść.

Alison potrząsnęła głową. Musiała do tego podejść z innej strony.

- Trzask to jak daleko, Dirk?

Delfin odwrócił się i spojrział na drugi koniec zbiornika. Wystrzelił przed siebie, przepłynął cały basen i wrócił przed szybę, za którą stali Alison i Clay.

Trzask.

- To był trzask?

Tak.

- Ile trzasków do metalowej bańki, Dirk?

Delfin milczał przez dłuższą chwilę. W końcu odpowiedział.

Sto. Osiem.

IMIS ponownie podmienił słowa. Odpowiedź Dirka zmieniła się w Osiemset.

Alison i Clay obejrżeli się na dźwięk kubka upuszczonego przez Chrisa. Mężczyzna wpatrywał się w delfina. Clay spojrział na rozlaną u stóp Chrisa kawę, a potem z powrotem na Alison.

- Co się stało?

Kobieta wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

- One potrafią liczyć.

Clay uniósł brwi z zaskoczeniem.

- Łał.

- Potrafią liczyć - powtórzyła Alison sama do siebie. - Muszę usiąść. - Cofnęła się i opadła na krawędź najbliższego stołu.

- To wielkie odkrycie - powiedział Chris. - Naprawdę, naprawdę wielkie.

- Wiem - przytaknęła Alison. Umiejętność liczenia miała daleko idące implikacje. Sugerowała głębię pojmowania o wiele większą niż proste powitania i pytanie o czas karmienia. Już sam fakt, że delfiny dostrzegały różnicę pomiędzy słowami i liczbami był zadziwiający. Właściwie to nawet rozumienie pojęcia słów byłoby niesamowite. Badaczka zaczynała się czuć kompletnie nieprzygotowana na informacje, które wyjawiały im Dirk i Sally.

Clay uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że ilekroć tu przychodzę, czeka mnie nowe zaskoczenie.

Alison nie słuchała.

Clay nachylił się ku niej.

- Nie chcę psuć nastroju, ale czy możemy je zapytać, jak głęboko był nasz batyskaf?

Dwadzieścia - odparł Dirk.

Mężczyzna był zaskoczony.

- Mnie też rozumieją?

Alison uśmiechnęła się lekko.

- Najwyraźniej.

Clay odwrócił się do delfina.

- Głębokość dwudziestu trzasków, Dirk?

Tak.

- Dziękuję - skinął głową. Przez dłuższy czas spoglądał na Dirka i Sally, po czym zwrócił się do zespołu. - To ja już lepiej...

Blisko ich miasto.

Clay urwał gwałtownie. Odwrócił się.

- Co?

Blisko ich miasto.

Alison szybko podniosła się z miejsca.

- Powiedziałeś miasto?

Tak.

Rzuciła wojskowemu nerwowe spojrzenie. Nie była pewna, czy chce usłyszeć następną odpowiedź.

- Czyje miasto?

Ich. Innych.

Clay podszedł bliżej szyby.

- Byłeś w tym mieście, Dirk?

Tak.

- Jak wygląda?

Piękne.

Alison, Chris i Lee wydawali się kompletnie zdezorientowani. W przeciwieństwie do Claya nie mieli pojęcia, o czym mówiły delfiny.

- Ilu żyje w pięknym mieście? - zapytał.

Nie wiedzieć.

Zastanowił się przez chwilę, po czym wyciągnął z kieszeni srebrny klocek. Podszedł jeszcze krok bliżej.

- Dirk, Sally, wiecie, co to jest? - Uniósł przedmiot wysoko.

Nie.

Nie.

Odetchnął głęboko.

- Wiecie, czemu ci inni ludzie tam są?

Odpowiedź Dirka nie pozostawiała wątpliwości.

Woda.

Clay odłożył klocek na stół i sięgnął po telefon komórkowy. Nie było sygnału. Spojrzał na Alison.

- Muszę skorzystać z waszego telefonu.

Palin siedział sam na małym, metalowym krześle pośrodku dużego, białego pokoju, z rękami zakutymi w kajdanki za plecami. Jedyne wyjście były pojedyncze drzwi w jednej ze ścian. W każdym rogu sufitu zamontowano dwie kamery. Umieszczone obok wejścia duże lustro weneckie skrywało salę obserwacyjną. Więzień rozglądał się z zaciekawieniem po pomieszczeniu; podniósł wzrok, kiedy ogłuszającą ciszę przerwał dźwięk otwieranych drzwi.

Do środka wszedł chudy mężczyzna w okularach, z krótko obciętych rudymi włosami. Pozwolił drzwiom się zamknąć, po czym odwrócił się do Palina. Przeszedłszy przez pokój, usiadł na krześle naprzeciwko przesłuchiwanego. Po chwili odezwał się spokojnym głosem.

- Witaj, Palinie. Nazywam się Albert Keister. - Więzień nie odpowiedział. Keister skinął głową bez zdziwienia.

- Pracuję dla marynarki i jestem tu, żeby zadać ci kilka pytań. - Palin wciąż milczał, więc mężczyzna kontynuował. - Wiem, że mówisz po angielsku. Przeczytałem raport z tego, co wydarzyło się na statku. A było to co najmniej niezwykle. - Wciąż nic. - Oczywiście chcielibyśmy wiedzieć, kim jesteś i jak to zrobiłeś.

Palin wciąż się nie poruszał, tylko wpatrywał w śledczego, nie mrugając. Keister przyglądał mu się przez dłuższy czas.

„To będzie trudne” - pomyślał.

Gdy tylko Humvee się zatrzymał, Clay wyskoczył z siedzenia pasażera i pobiegł w stronę niepozornego budynku, gdzie otwarto mu drzwi. Tym razem został szybko przeprowadzony przez punkt kontroli bezpieczeństwa. Zjechał windą do sali, w której niecałe dwanaście godzin wcześniej odbywali wideokonferencję. Wchodząc do środka, z zaskoczeniem zobaczył tam

sekretarza obrony Millera i doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego Stevasa we własnej osobie. Siedzieli razem z Langfordem i Fosterem; odruchowo wstali, kiedy wkroczył do pomieszczenia.

Clay przystanął i zasalutował.

Miller szybko odwzajemnił gest i wskazał krzesło na końcu długiego stołu.

- Proszę usiąść.

Clay szybko zajął miejsce.

- Chciałbym, żeby opowiedział mi pan jeszcze raz ze szczegółami, co powiedział pan temu Palinowi i co on powiedział panu - oznajmił Miller.

Clay powtórzył ich rozmowę, a sekretarz słuchał uważnie. Kiedy skończył opowiadać, Miller skinął krótko głową i złożył ręce w zamyśleniu. W końcu spojrzał na Claya.

- Wiem, że ma pan uprawnienia, ale mimo to chcę podkreślić, że nic nie może wyjść poza ten pokój.

Clay skinął głową.

- Oczywiście.

- Zacznijmy od tego - zaczął Miller - że nasz przyjaciel nie wydaje się zbyt rozmowny. Albert Keister to jeden z naszych najlepszych śledczych, a nie zdołał z niego wydobyć ani słowa. - Wzruszył ramionami. - Rzecz jasna musimy zachować ostrożność, więc nie będziemy stosować przemocy. Ale sądząc po wizycie Keistera, jeśli czegoś nie zrobimy, przyjdzie nam długo czekać.

- Tak, sir - odparł Clay.

- Z panem już rozmawiał - ciągnął Miller - tak więc, krótko i zwięźle, chcielibyśmy, żeby pan spróbował z nim pomówić.

- Ja, sir? - odparł Clay z zaskoczeniem. - Nie mam kwalifikacji...

- To niecodzienne okoliczności, które wymagają niecodziennej strategii. Poza tym niektórzy z nas niepokoją się, że to z czym mamy do czynienia może być wykorzystane jako broń. - Było jasne, że mówił o Stevasie. Wpatrywał się w Claya z uwagą. - Wiem, że przesłuchania to nie pańska specjalność, ale nie mówimy tu o torturach. Bystry z pana facet i, tak jak wspominałem, nawiązał pan już z nim kontakt przynajmniej w pewnym ograniczonym zakresie. Potrzebujemy odpowiedzi - i to szybko.

Clay ponownie skinął głową.

- Zrobię co w mojej mocy, sir.

- Dobrze - powiedział Miller. - A teraz... co takiego chciał nam pan

powiedzieć o tych delfinach?

Clay obrzucił niespokojnym spojrzeniem osoby siedzące dookoła stołu.

- Sir, wygląda na to, że delfiny nawiązały kontakt z tymi ludźmi, kimkolwiek oni są. - Przerwał, widząc ich zaskoczenie. - I może ich tam być wielu, na tyle, że wspominały o mieście.

Zaskoczenie natychmiast przerodziło się w zdumienie. Stevas niemal wykaszłał swoją odpowiedź.

- Jak to o mieście?!

- Chodziłoby o jakąś podwodną placówkę w pobliżu pierścienia. Może na tyle dużą, żeby pomieścić setki osób.

Miller uniósł rękę, nie dając Stevasowi dojść do słowa.

- Jest pan tego pewien?

- Nie na sto procent, sir. Wiele razy pytałem delfinów na różne sposoby. Zawsze dostawałem tę samą odpowiedź.

- Chwila moment! - wypalił Stevas. - Chce nam pan powiedzieć, że te rewelacje pochodzą z komputera, który może rozmawia, a może nie rozmawia z jakimiś delfinami? Żarty pan sobie stroi?! - Spojrzał na Langforda. - Proszę mi powiedzieć, że to nie jest pański najlepszy człowiek!

Oczy Langforda zwęziły się, ale Clay prędko odpowiedział.

- Sir, wierzę, że naprawdę nawiązaliśmy kontakt. A ten system, który stworzyli, jest naprawdę piekielnie imponujący.

- Nie będę podejmował decyzji dotyczących bezpieczeństwa na podstawie słów jakiejś ryby. Jezu, Clay. Potrzebujemy prawdziwych, wiarygodnych informacji - Stevas skrzyżował ramiona i odchylił się na oparcie - a nie wiadomości od skomputeryzowanej magicznej kuli.

Miller spojrział na doradcę, a potem znów na Claya.

- Jestem skłonny się zgodzić. Powiedziałbym, że wierzę panu w kwestii tego systemu, ale potrzebujemy czegoś dużo bardziej konkretnego.

Langford zwrócił się do swojego podwładnego.

- Dowiedziałeś się, gdzie jest Triton?

- Tak sędzę. - Clay miał ochotę skorygować obraźliwe określenie delfinów przez Stevasa, ale postanowił tego nie robić.

- Dobrze, zorganizujemy wszystko co potrzebne, żeby go odzyskać. Musimy wiedzieć, co nagrała ta kamera.

- Tak jest - odpowiedział Clay. Powiódł wzrokiem wokół stołu.

- Jest jeszcze coś, co muszę wam powiedzieć. - Wszyscy zebrani spojrzeli

na niego wyczekująco. - Zapytałem delfiny, czy wiedzą, dlaczego ci ludzie tutaj są. - Wziął głęboki oddech. - Powiedziały „woda”.

- Woda? - oczy Millera zwięzły się. - Co to znaczy?

- Nie jestem pewien. Nie udało mi się uzyskać dużo więcej kontekstu - odparł Clay. - Może chodzi o to, że woda jest w jakiś sposób niezbędna dla nich albo do tego, nad czym pracują. Może pierścień jest napędzany za pomocą wodoru z naszej wody, albo mają jakieś inne potrzeby, o których nie wiemy.

Stevas zmarszczył brwi.

- Chce pan powiedzieć, że to coś działa na wodór?

- Być może - odrzekł Clay. - Rozmawiałem o tym z Borgerem. Byłoby to wykonalne. Atomy wodoru zawierają dużo potencjalnej energii.

Miller otworzył usta, ale Stevas wszedł mu w słowo.

- Jak dla mnie trochę to naciągane - powiedział, potrząsając głową. - Wszystko to znowu od ryb, jak sędzę. - Sposób, w jaki Stevas za każdym razem wymawiał słowo „ryba” był wyraźnie pogardliwy.

Clay nieco niechętnie skinął głową.

- One oczywiście nie wyraziły się tak precyzyjnie.

- Zatem mówi nam pan - ciągnął Stevas - że na dnie oceanu jest miasto, a żyjący w nim ludzie z jakiejś przyczyny potrzebują naszej wody.

- Uważam... - zaczął, ale Stevas znów się wtrącił.

- Powiem panu, co ja uważam - powiedział, wyraźnie sfrustrowany. - Na wypadek, gdyby pan zapomniał, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin ustaliliśmy, że to portal, prawdopodobnie zaprojektowany jako mechanizm do dostarczenia jakiejś broni, która najpewniej jest bardziej zaawansowana niż wszystko, co my będziemy w stanie stworzyć jeszcze przez długi czas. - Mówił coraz głośniej i zapalczywiej. - I nie wiemy, czy to coś już przeszło przez portal! Być może jesteśmy o włos od wybuchu wojny i do tej pory nie mieliśmy o tym pojęcia! A pan - powiedział, przewracając oczami - przychodzi tu i mówi nam „może potrzebują do czegoś wody”? Wie pan, co ja na to? Kogo to do cholery obchodzi?! - Odwrócił się i spojrzał na Millera. - Powinniśmy się teraz przygotowywać do obrony, zanim będzie za późno, a nie gadać z tymi pieprzonymi rybami!

Sekretarz siedział w milczeniu, rozważając słowa Stevasa. Wreszcie powiedział: - Zaczynam dochodzić do wniosku, że faktycznie musimy przyjąć postawę defensywną. Po prostu nic nie wiemy o tej rzeczy. - Spojrzał

na Claya. - Nawet jeśli te pańskie delfiny mają rację, o ile nie okaże się to z jakiegoś powodu priorytetem, powinniśmy się skupić na obronie. - Miller zerknął na Stevasa. - Ale to nie oznacza, że powinniśmy całkowicie zignorować te informacje. Clay, proszę kontynuować dochodzenie. Jeśli pan i Borger odkryjecie coś jeszcze wymagającego dalszej dyskusji w tym temacie, proszę nas poinformować. Ale najpierw niech pan porozmawia z naszym przyjacielem Palinem.

- Tak jest - powiedział Clay. - Czy jest coś jeszcze, sir?

Miller spojrzał na pozostałych, po czym potrząsnął głową.

- Nie, to już wszystko. Pan Keister czeka na pana na zewnątrz. Wprowadzi pana w szczegóły i wspólnie będziecie mogli spróbować jeszcze raz.

Clay skinął głową i wstał. Odwrócił się szybko i ruszył w stronę wyjścia.

Stevas zaczekał, aż drzwi powoli zamkną się za wychodzącym, zanim znów zwrócił się do Millera.

- Powinniśmy coś z tym zrobić. I to szybko.

- Zgadzam się - Foster w końcu odezwał się z drugiej strony stołu.

- A co dokładnie mamy robić? - zapytał Miller. - Nie wiemy nawet na pewno z czym mamy do czynienia. Chyba, że wy macie jakieś pojęcie?! Do diabła, jak dla mnie równie dobrze to wszystko może być jednym wielkim złudzeniem optycznym. - Obrzucił Stevasa twardym spojrzeniem. - Wie pan coś, czego ja nie wiem? Bo jeśli nie, to chciałbym usłyszeć jakie właściwie działania chciałby pan podjąć w oparciu o faktyczne doniesienia, których żaden z nas nie ma.

Doradca uderzył dłonią w stół.

- Nie podchodzę do sprawy z tej perspektywy. Myślę, że czemukolwiek miała służyć ta maszyna, możliwe, że już to zrobiła. Nie wiemy od jak dawna ten pierścień jest na dnie. Możemy sobie zbierać dane do upadłego i nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli jutro obudzi nas wrogi atak! Możecie mnie uznać za człowieka, który najpierw strzela, a potem zadaje pytania, nic mnie to nie obchodzi. Ja w tej chwili cholernie się boję, że potem możemy już nie być w stanie zadawać jakichkolwiek pytań!

Clay wszedł za Keisterem do dużego, białego pokoju i widząc Palina poczuł ukłucie współczucia. Nie był pewien, w jakich warunkach go zastanie,

ale na widok mężczyzny ubranego i skutego niczym przestępca w więzieniu o zaostrowym rygorze zrobiło mu się trochę przykro. Idąc po białej, wypolerowanej posadzce dostrzegł kamery wideo. Ściany, sądząc z wyglądu, były dźwiękoszczelne. Podejrzał, że pokój ten był często używany.

Palin siedział w wymuszonej pozycji i patrzył na zbliżających się mężczyzn. W jego oczach dało się zauważyć wyraz pogodzenia z losem; nie próbował walczyć. Clay pomyślał, że właściwie więzień zdawał się siedzieć zupełnie bez ruchu.

Obaj usiedli przed Palinem, Clay nieco po jego prawej stronie. Z zaskoczeniem stwierdził, że więzień patrzy na niego, a nie na Keistera.

Śledczy również to zauważył i nieznacznie skinął Clayowi głową, pozwalając, żeby zaczął przesłuchanie zgodnie z nakreśloną przez niego taktyką. Pytania to jedno, ale kluczowe znaczenie miały prawidłowe ich sformułowanie, kontekst oraz użyte słowa.

Clay pochylił się do przodu i odchrząknął.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Palin spoglądał na niego przez dłuższą chwilę. Zdawało się, że jego wyraz twarzy nieco złagodniał.

- Niewygodnie - powiedział powoli - ale to nic zaskakującego.

- Czy możemy coś dla ciebie zrobić?

Powoli pokręcił głową.

Keister zapisał coś na białym papierze i pokazał mu. Notatka brzmiała: zacznij od nazwiska. Zanim Clay zdążył się odezwać, więzień powiedział: - Nazywam się Palin.

Przesłuchujący spojrzeli po sobie.

„Po prostu Palin. W porządku”. - Clay z powrotem zwrócił się do mężczyzny i zapytał: - Jak dostałeś się na nasz statek?

Palin ponownie nie odpowiedział od razu.

- Została stworzona brama - powiedział w końcu powoli.

Clay czekał na więcej informacji, ale się ich nie doczekał. Przesłuchiwany siedział tylko, wpatrując się w niego ze spokojem.

- Jaka brama?

- Energetyczna.

Clay skwitował uśmiechem lakoniczne odpowiedzi. Dlaczego spodziewał się, że Palin wygłosi jakiś wielki monolog?

- Energetyczna - powtórzył. - Brama energetyczna dokąd?

- Skąd - poprawił go więzień.
- Zatem skąd?
- Brama została otwarta z naszego miejsca zamieszkania.
- A gdzie się ono znajduje? - zapytał.

Palin spojrział na niego z cieniem rozbawienia na twarzy. Przechylił lekko głowę, jak ktoś kto pyta drugą osobę, czy ta mówi na serio.

- Zna pan już odpowiedź na to pytanie, tak?
- Na dnie oceanu?

Palin skinął głową.

- Jesteś człowiekiem?
- Tak.

Clay spojrział na Keistera, a potem do jego notesu. Nie było w nim zapisanych żadnych dalszych wiadomości. Zamiast tego śledczy wciąż obserwował bacznie Palina, bez wątpienia wypatrując nieznacznych ruchów ciała. Clay zastanawiał się, na ile Keister był w stanie odczytać mowę ciała więźnia, kiedy ten miał obydwa ramiona skute kajdankami z tyłu.

- A zatem - ciągnął - jesteś człowiekiem, ale korzystasz z technologii, która zdaje się przekraczać możliwości wszystkich innych.

- Wszystkich innych? - zapytał Palin.

Clay uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- Państw, rządów, każdego na tej planecie. O ile nam wiadomo, nikt nie jest zdolny zrobić tego, co ty. Jakiej jesteś narodowości?

Kącik ust Palina uniósł się z rozbawieniem.

- Żadnej.
- Żadnej narodowości - powtórzył Clay. Zastanowił się przez chwilę. - Ilu ludzi mieszka w tej waszej siedzibie?

- Tysiąc dwieście.

Clay znów zerknął na Keistera.

- Tysiąc dwieście. To nie brzmi jak duże osiedle.
- Nie jest duże - odparł Palin. Po chwili wahania dodał: - Tylko tylu zostało.

Clay zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli mówiąc „tylu zostało”?

Palin odetchnął głęboko. Zdawał się bić z myślami na temat tego, czym się z nimi dzielił i Clay zastanowił się, czemu w ogóle postanowił wyjawić te informacje. Raczej nie ze strachu. Więzień z pewnością wiedział, że nie

zamierzali robić mu krzywdy.

Palin odezwał się ostrożnie.

- Jesteśmy jedynymi, którzy pozostali z bardzo starej grupy.

- O jaką grupę chodzi? - zapytał Clay. - Masz na myśli poprzednie pokolenia? - Nagle przyszło mu do głowy, jak dziwacznie zaczynało to brzmieć.

- Jesteśmy starą grupą, ale tutaj przebywamy od niedawna.

Odpowiedzi stawały się coraz bardziej zagadkowe. Clay siedział, obserwując Palina. Po kilku chwilach Keister zerknął na niego, żeby zobaczyć, czy zamierza kontynuować. Prędko zapytał: - Do czego służy pierścień?

Palin znów odetchnął.

- To bardzo duża brama.

- Jeszcze jedna - zastanawiał się Clay. - A ta dokąd prowadzi? Co jest po drugiej stronie?

- Dom.

- A gdzie jest dom?

Palin zawahał się, ale uległ.

- Na pobliskiej planecie.

Clay nie wierzył własnym uszom. Jeśli to prawda, wiele teorii naukowych stałoby się naukowym faktem.

- Wasz dom jest na tamtej planecie? - zapytał.

- Tak.

- Ale jesteś człowiekiem - zauważył, wskazując na sprzeczność. Przecież jeśli tamten pochodził z innej planety, to nie mógł być człowiekiem. Pamiętał, jak Wong zwrócił podczas wideokonferencji uwagę, że szanse, iż istota pozaziemska wyewoluuje w formę identyczną z ludzką były praktycznie równe zeru.

- Jestem.

Clay zmarszczył brwi.

- Mam informacje z pewnego źródła, że ludzie występują tylko na Ziemi - powiedział z nutą sarkazmu w głosie.

Uśmiezek powrócił na twarz Palina.

- A jakie to źródło?

„Ekspert - pomyślał Clay. - A w gruncie rzeczy to rzekomy ekspert, którego widziałem po raz pierwszy dwadzieścia cztery godziny temu na

wielkim monitorze”.

Postanowił nie wdawać się w dyskusję.

- Od jak dawna tutaj jesteście?

- Sześćdziesiąt lat.

- Sześćdziesiąt lat? I co tu robicie?

Palin nie odpowiedział.

Clay upomniał się w myślach, żeby zachować spokój i odchylił się nieco do tyłu.

- A więc jesteście ludźmi, ale z innej planety?

Więzień skinął głową.

Teraz odezwał się Keister.

- Jak możesz być jednocześnie człowiekiem i kosmitą?

Palin spojrzał na niego niemal uprzejmie, ale powoli odwrócił się z powrotem do Claya.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, których nie wiecie na temat ewolucji, szczególnie tej opartej na węglu.

Clay znów pochylił się do przodu.

- Chcesz powiedzieć, że ludzka postać jest typowym wynikiem ewolucji?

- Ewolucji opartej na węglu - poprawił Palin.

- W takim razie - powiedział Keister - na planetach z węglowymi formami życia prędzej czy później rozwijają się istoty ludzkie?

Więzień spojrzał na niego z zaciekawieniem. Skinął głową.

- Węglowe DNA zawiera charakterystyki, które wpływają na typowe, choć nie dokładne, wyniki ewolucji; ogólnie takie rzeczy jak cztery kończyny, dwoje oczu, wewnętrzne układy oddechowe, pięć zmysłów, a w niektórych przypadkach większe mózgi. Priorytetem zawsze jest zdolność przetrwania. - Z powrotem zwrócił wzrok na Claya.

- Dlaczego tutaj jesteście? - zapytał tamten.

- Z wizytą.

Clay uśmiechnął się w duchu. Był pewien, że Palin właśnie go okłamał.

- A jaki dokładnie jest powód tej wizyty?

Więzień niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami. Prawdopodobnie tylko tyle mógł zrobić ze spętanymi dłońmi.

- Jesteśmy obserwatorami - jego ton zdawał się bardziej szorstki.

- Co wasz człowiek robił na naszym statku? - zapytał Keister.

Palin odpowiedział z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Obserwował.

Clay uważnie przyglądał się mężczyźnie. Tracili kontakt. Będzie musiał być bardziej bezpośredni.

- Do czego służy pierścień?

- Dzięki niemu się tu dostaliśmy.

Clay skinął głową.

- Jest naprawdę ogromny.

Palin znów nie odpowiedział. Jego mowa ciała, przynajmniej na tyle, na ile Clay był w stanie się zorientować, ulegała zmianie. Mężczyzna zaczynał czuć się nieswojo. Uchwycił spojrzenie więźnia.

- Wydaje się dość duży, żeby przenieść przez niego jeszcze coś. Coś wielkiego.

Palin wpatrywał się w niego. Po chwili milczenia nagle odepchnął swoje krzesło do tyłu, dając znak, że nie zamierzał kontynuować rozmowy.

Kathryn Lokke siedziała w samolocie C130, ciasno owinięta w grubą parkę. Jej podniesiony kaptur ledwie mieścił parę masywnych słuchawek, dzięki którym mogła rozmawiać z załogą. Szybki dreszcz przebiegł jej po plecach. Lata minęły, odkąd po raz ostatni doświadczyła takiej pogody i temperatury. Spoglądając w dół przez boczne okno, patrzyła jak biała powierzchnia Antarktydy przemyka pod samolotem kierującym się do głównej bazy McMurdo.

Maszyna powoli pochyliła się do przodu, kiedy piloci zaczęli podchodzić do lądowania. W miarę jak coraz bardziej zbliżała się do ziemi, Kathryn mogła dostrzec cztery ogromne zbiorniki na dalekim krańcu bazy, za około setką budynków otaczających trzy lotniska. Hen, w oddali majaczył odległy port, gdzie dwa duże statki zaopatrzeniowe tkwiły nieruchomo na ciemnoszarych wodach. Jeszcze dalej rozciągała się cienka linia - droga na biegun południowy.

Samolot zniżył lot nad białym pasem startowym i łagodnie przyziemił. Kathryn i trzydziestu czterech badaczy siedzących za nią odwróciło się na miejscach i zaczęło zbierać swoje rzeczy. Samolot kołował na pasie, aż zatrzymał się przed niewielkim budynkiem terminala. Pasażerowie chwycili torby i wysypali się na zewnątrz po schodkach. Kilka dużych furgonetek czekało, żeby ich odebrać. Wszyscy rozeszli się do najbliższych pojazdów, wrzucając torby na bagażniki dachowe i prędko wskakując do ogrzewanych wnętr.

Załadowane furgonetki wyjechały jedna za drugą. Niecały kilometr dalej dotarły do wysokiego, nijakiego hangaru, którego wrota otwarły się przed nimi. Wszystkie siedem pojazdów wjechało i zaparkowało wewnątrz. Brama szybko się za nimi zamknęła.

Kathryn wysiadła z furgonetki jadącej na czele kolumny na gładką, betonową podłogę budynku.

- Doktor Lokke? - zapytał mężczyzna nadchodzący ze środka hangaru. Miał wyraźny nowozelandzki akcent. - Jestem Steven Anderson - powiedział, wyciągając rękę.

Kathryn ściągnęła rękawiczkę i uścisnęła mu dłoń.

- Cześć, Steven. W końcu się spotykamy - odparła z uśmiechem. - Dziękuję tobie i twojej ekipie za pomoc.

- Och, przyjemność po naszej stronie - Anderson skinął głową. - To trzęsienie nam też napędziło strachu. Poza tym - wskazał głową wewnątrz za sobą - miło jest mieć towarzystwo.

Odwróciła się i gestem przywołała swoich ludzi.

- Dobre wieści są takie - powiedział Anderson - że trafiliście na najlepszą pogodę z możliwych. Przez następne sześć czy siedem dni powinniśmy mieć czyste niebo. Temperatura podskoczy pewnie do minus dwudziestu, dwudziestu jeden stopni Celsjusza.

- Co za ulga - jęknął Jason Haines, podchodząc od tyłu do Kathryn. Jason był jednym z najnowszych i najmłodszych geologów w USGS. Pracował tam dopiero od trzynastu miesięcy, a jednak jako jeden z pierwszych zgłosił się do udziału w wyprawie.

Kathryn przedstawiła sobie mężczyzn i czekała na pozostałych.

Zespół Andersona zebrał dwa tuziny skuterów śnieżnych i zorganizował transport dla badaczy oraz całego ich zaopatrzenia na szelf Ronne za pomocą samolotów transportowych. Jego ludzie mieli pełnić rolę przewodników. Anderson zaczął omawiać plan. Kathryn i jej zespół mieli się podzielić na dziesięć grup, a następnie postarać się pokryć całą długość ogromnego osuwiska, zbierając tyle informacji, ile się dało. Po upływie pięciu dni spodziewali się mieć dokładne pomiary zasięgu osunięcia, próbki struktury i gęstości warstw podpowierzchniowych, potencjalne oznaki osunięcia pobocznego oraz mnóstwo innych danych. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Kathryn będzie uzbrojona w dość dużo twardych faktów, żeby Biały Dom zobaczył, jak groźna jest sytuacja.

Jason Haines, który wciąż stał obok Kathryn, uniósł rękę, chcąc zadać pytanie. Anderson skinął głową.

- Jak często mamy się kontaktować? - zapytał Haines.

Anderson podniósł głos, żeby mieć pewność, że wszyscy go usłyszą.

- Komunikacja będzie ciągła. - Wskazał na kilku członków swojego zespołu stojących z tyłu. - Jak wiecie, każdej trójce będzie towarzyszył

przewodnik. Moi ludzie dobrze znają ten teren i czują się tu na tyle komfortowo, na ile się da w takich warunkach... jeśli można to nazwać komfortem. - Akcent Andersona nadawał jego głosowi przyjazne brzmienie, ale zarówno on, jak i wszyscy obecni byli poważni i skupieni na pracy. - Pośrodku szelfu będzie się znajdowała mała placówka zaopatrzeniowa. Wasi przewodnicy będą się z nią kontaktować co piętnaście minut, podając współrzędne i stan zespołu. Nie potrzeba tam wiele czasu, żeby zamarznąć na śmierć, więc nie zgubcie się. Jeśli którykolwiek zespół nie zgłosi się przez ponad dwadzieścia minut, natychmiast zostanie wysłana ekipa zwiadowcza, która będzie już po drodze próbowała ponownie nawiązać kontakt. - Anderson przerwał na chwilę, żeby upewnić się, że wszyscy słuchają. Przypominał Kathryn sierżanta objaśniającego swojej jednostce szczegóły ćwiczenia. - Jak tylko uda im się skontaktować, zawrócą z powrotem do placówki. Jeśli im się nie uda, dotrą do was w trzydzieści minut. Kiedy zobaczycie, jak zbliżamy się po lodzie, zatrzymajcie się i machajcie rękami najwyżej, jak możecie. Może być bardzo trudno was zobaczyć, nawet przy dobrej widoczności. - Obrzucił spojrzeniem niewielką grupkę. - Następne pytanie?

Rękę uniosła kolejna osoba z zespołu Kathryn, kobieta o nazwisku Ruppia Tadri, jedna z najlepszych sejsmologów. Rozejrzała się z onieśmieleniem.

- Co, jeśli będziemy potrzebować trochę... prywatności?

Anderson uśmiechnął się.

- To Antarktyda. Jeśli ktoś się zgubi i wpadnie do dziury, może być już martwy, zanim uda się go znaleźć. Uwierzcie mi, nie chcecie prywatności! - Wśród zebranych przebiegł nerwowy śmiech. - Nie wstyďte się, panie i panowie. Z początku możecie się czuć trochę skrępowani, ale bycie przez cały czas na widoku jest dużo ważniejsze. - Znow przerwał na chwilę, po czym ciągnął. - Dobra wiadomość jest taka, że w tym tygodniu mamy świetną pogodę. Jeśli nie będzie za bardzo wiało, rozstawimy mały okrągły namiocik dla tych, którzy szczególnie się krępują. I od razu odpowiem na to, o co teraz pewnie chcecie zapytać: zakopcie głęboko w ziemi. Możecie użyć tego. - Uniósł w rękę mały górski czekan do wspinaczki. - Każdy z was taki dostanie i udzielimy wam podstawowych instrukcji. I gwarantuję wam, że będzie to wasz najlepszy przyjaciel podczas pobytu na szelfie. - Znow się uśmiechnął. - Jeszcze coś?

Po kolejnych dwudziestu minutach pytań i odpowiedzi Anderson

wyprowadził ekipę bocznym wyjściem z hangaru do innego budynku położonego kilkaset metrów dalej. Służył on za kantinę, ale w ogóle jej nie przypominał. Obszar jadalny zajmował prawie dwa tysiące metrów kwadratowych, zastawionych dziesiątkami wygodnych krzeseł i stołów. Na drugim końcu pomieszczenia znajdował się duży punkt obserwacyjny wyposażony w cztery odbiorniki telewizji satelitarnej, otoczone przez niemal tyle samo kanap. Połowę przestrzeni zajmowała ogromna oranżeria, ozdobiona wieloma różnymi gatunkami roślin z całego świata. Zespół Kathryn był zaskoczony widokiem stołówki, ale jeszcze bardziej zdumiały ich posiłki wydawane przez kuchnię. Zaliczały się do nich sałatki pełne świeżych warzyw i zieleniny, uprawianych lokalnie w jednym z wielkich ogrodów hydroponicznych McMurdo. Nie brakło nawet świeżych owoców z hodowanych w ten sposób drzew cytrusowych. To bez wątpienia był główny ośrodek stacji.

Tadri podeszła do Kathryn z pustym talerzem. Zmierzała właśnie do kuchni po dodatkę.

- Kathryn, nie chcesz czegoś zjeść?

- Hm? A, racja - odparła Kathryn z roztargnieniem. Zdała sobie sprawę, że była tak pogrążona w myślach o kilku nadchodzących dniach, iż wciąż stała w tym samym miejscu z talerzem w ręku.

- Wszystko w porządku? - zapytała Tadri.

- Och... tak. Dziękuję. Po prostu się zamyśliłam.

Tadri uśmiechnęła się.

- Spróbuj sobie zrobić przerwę. Musimy wstać o czwartej rano.

Miała rację. Kathryn musiała znaleźć sposób, żeby przestać się zamartwiać. I tak ledwie zdążyła się wyspać przed wczesnym śniadaniem i wylotem o poranku. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała przed jednym z najtrudniejszych tygodni ostatnich lat była na wpół nieprzespana noc.

Poklepała Tadri po ramieniu i ruszyła za nią do kuchni.

Następnego ranka, po obfitym śniadaniu, ekipa Kathryn zebrała się i wsiadła na pokład trzech C130, takich samych jak te, na jakich tu przybyli. Każdy samolot był pełen ludzi i ich zaopatrzenia. Ostatni, którym podróżowała Kathryn, przewoził czwarty zespół. Trzydzieści minut później

maszyny wyleciały w stronę szelfu. Żeby się ogrzać, członkowie zespołu skulili się obok swoich toreb i zapasów, ułożonych obok ośmiu dużych skuterów śnieżnych. Przez okno widać było słońce powoli wznoszące się znad horyzontu, gdzie czekało przez całą noc, pozostając nisko, ale nigdy nie zachodząc nad Antarktydą podczas letnich miesięcy.

Kathryn rozejrzała się po twarzach swoich ludzi. Z zaskoczeniem dostrzegła zmianę, jaka zaszła na nich od poprzedniego dnia. Prawdopodobnie była to świadomość faktu, że dotarli aż tutaj i nie mogli się już wycofać. Miała poczucie dumy, że wielu z jej badaczy samych zgłosiło swój udział, kiedy dowiedzieli się jak Biały Dom, czy też raczej doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stevas, zareagował na ich ostrzeżenie.

Po dwóch długich godzinach znajome uczucie sygnalizujące opadanie dziobu samolotu pozwoliło jej rozpoznać, że zniżają lot. Dwie pozostałe maszyny nachyliły się w przeciwnych kierunkach, kierując się na wschód i zachód, aby wysadzić swoich pasażerów na dalszych odcinkach rozległej szczeliny.

Samolot Kathryn ciężko wylądował na powierzchni szelfu, gładszej niż obszar przylegający do pęknięcia. Zahamował, a śmigła zwolniły do biegu jałowego. Ludzie Andersona otwarli wyjście i wyciągnęli na zewnątrz drabinkę, aby zespół mógł wyjść. Otworzyli też duże drzwi w tylnej części kadłuba, przez które wyciągnęli po stromej rampie skutery śnieżne. Następnie wylądowane zostało jedzenie, torby i paliwo, które również z łoskotem zjechały po pochylni. Przewodnikiem Kathryn był potężny, jasnowłosa mężczyzna imieniem Andrew który, sądząc z tatuaży, służył kiedyś w wojsku. Wyskoczył na zewnątrz i pomógł wyciągać sprzęt. Pokazał uniesiony kciuk pozostałym członkom załogi na pokładzie i pociągnął wielkie sanie wylądowane ekwipunkiem w stronę jednego ze skuterów. Kathryn, Tadri oraz ich trzeci towarzysz, Pierre, zeszli w dół po składanej metalowej drabince. Kiedy tylko ich stopy dotknęły lodu, drabina została szybko wciągnięta z powrotem przez otwarte drzwi. Podbiegli do Andrew, który dużą metalową sprzączką przypiął zaopatrzenie do tylnej części jednego ze skuterów śnieżnych.

Mężczyzna wspiął się na pojazd i skinął na Kathryn, która usiadła za nim. Pierre i Tadri dosiedli drugiego skutera i obaj mężczyźni odpalili silniki. Kiedy odjeżdżali prowadzeni przez Andrew, drzwi samolotu zamknęły się. Niecałą minutę później silniki z powrotem ożyły i C130 zaczął się toczyć

naprzód.

Mknąc w stronę krawędzi szelfu, Kathryn obejrzała się przez ramię na Pierre'a i Tadri, a potem na odległy samolot, który właśnie uniósł się z powrotem w powietrze. Od momentu lądowania cały wyładunek zajął niecałe dziesięć minut. Miała nadzieję, że pozostałym pójdzie równie gładko.

Prezydent Carr stał przed wielkim monitorem w sali konferencyjnej Białego Domu z rękami założonymi na piersi. Oglądał nagranie wideo z rozmowy Keistera i Claya z Palinem. Za nim, wokół wielkiego stołu, siedzieli Stevas, Miller, Langford, Clay, Keister oraz dowódcy sił zbrojnych. Nagranie kończyło się nagle z chwilą, kiedy Palin odjechał do tyłu na krześle. Ostatnia klatka filmu zastygła nieruchomo na ekranie. W pokoju zapadła cisza, a Carr wciąż wpatrywał się w obraz. Powoli zaczął kręcić głową.

- O co tu do diabła chodzi? - zapytał, odwracając się. Pochylił się do przodu, opierając dłonie na stole. - To znaczy, Jezu - podniósł głos - wiemy w ogóle, czy ten człowiek ma przyjazne zamiary, czy nie?! - Rozejrzał się wokół stołu. - No?!

Odezwał się Stevas.

- Musimy przyjąć, że nie. - Prezydent spojrzał na niego. Doradca kontynuował. - Nie możemy być niczego pewni, co oznacza, że musimy zakładać najgorsze. Ten pierścień jest ogromny, dużo większy niż potrzeba, żeby sprowadzić zaledwie tysiąc osób. Ani trochę nie wierzę, że są tutaj od dłuższego czasu. Uważam, że przeszli na drugą stronę i zostali przyłapani, zanim zdążyli tu ściągnąć... cokolwiek to będzie!

- Zatem co pan sugeruje? - zapytał prezydent.

- Moim zdaniem musimy działać, póki jeszcze możemy.

- A o jakim działaniu mowa?

Stevas rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Powinniśmy zniszczyć to cholerstwo.

Clay spojrzał na Langforda, któremu udało się nawet nie drgnąć.

- Zniszczyć pierścień? - zapytał Miller, siedzący naprzeciwko.

Stevas skinął głową.

- Zamknąć portal. Rozwalić go i w ten sposób ich odciąć.

Clay nie wierzył własnym uszom. Spojrzał na wysokich rangą oficerów

siedzących u szczytu stołu - zdawali się tak samo nieporuszeni jak Langford. Czyżby Clay był jedynym, który sądził, że Stevasowi odbiło?

- Tak po prostu? - zapytał Miller.

- Dokładnie - odparł Stevas, kierując wzrok na prezydenta. - Musimy działać zapobiegawczo. Jeśli zrobimy to jak trzeba, pozbawimy ich możliwości ataku. Przy odrobinie szczęścia złapiemy tych tutaj w pułapkę i będziemy mogli ich wykorzystać jako kartę przetargową. - Prezydent nie odpowiedział. Rozwagał sugestię Stevasa. - A przynajmniej zyskamy na czasie.

Miller zmarszczył brwi.

- Czasie na co?

- Na przygotowanie, na wypadek, gdyby wrócili. Do obrony, na miłość boską!

Miller pozostał sceptyczny.

- Chwila, jak mają tu wrócić, jeśli zniszczymy to coś po naszej stronie?

Stevas wydawał się zaskoczony pytaniem. Wyraźnie nie miał na nie odpowiedzi. Clay zastanawiał się, czy doradca w ogóle wziął to pod uwagę. Jak prezydent mógł słuchać tego człowieka? Odchrząknął i oczy wszystkich zebranych zwróciły się na niego.

- Przepraszam - powiedział powoli. - Ale wydaje mi się, że coś nam tu umyka. - Stevas spojrzał na niego zimno, ale Clay zignorował go i zadał swoje pytanie. - Z pewnością nie wydaje się nam, że oni nie będą w stanie wrócić, jeśli zniszczymy pierścień. Bądź co bądź dotarli tu już wcześniej, przed jego powstaniem. Nie wiemy jak, ale gdyby faktycznie wrócili, nie sądzicie, że byliby trochę... niezadowoleni?

Spojrzenie doradcy stało się jeszcze zimniejsze.

- No i czy nie powinny nas martwić możliwe konsekwencje zniszczenia tego portalu?

Spoglądając twardo na Claya, Stevas odpowiedział: - Nasi eksperci nie spodziewają się żadnych negatywnych efektów ubocznych. Wyciągniemy tylko wtyczkę.

Miller wtrącił się.

- Kto? Kto taki się nie spodziewa?

Stevas zwrócił się do Millera z powolną i przemyślaną odpowiedzią.

- Eksperci.

Langford spojrzał na niego.

- A jak pan sobie wyobraża zniszczenie tego pierścienia?

Dowódca marynarki, Bruce Bishop, nachylił się z drugiej strony stołu.

- Okręty podwodne. - Wszyscy odwrócili się w jego stronę. - Możemy okrążyć pierścień dwoma tuzinami Tridentów w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

Serce Claya zamarło. To brzmiało, jakby już wszystko zaplanowali i teraz próbowali sprawiać wrażenie obiektywnych tylko gwoli formalności.

- Prawdopodobnie mają jakieś zabezpieczenia, więc największe szanse na przedarcie daje nam odpalenie dużej liczby torped. Zamierzamy uszkodzić go na tyle, żeby przestał się kręcić.

Wszyscy skierowali wzrok na prezydenta, który do tej pory się nie zabierał głosu. Teraz spuścił wzrok, zastanowił się, w końcu uniósł głowę.

- Ktoś jest innego zdania?

Clay musiał się powstrzymać, żeby nie zerwać się z krzesła.

- Eee... tak, sir - powiedział, podnosząc rękę. - A może byśmy tego nie robili? - Nie starał się być dowcipny, ale zauważył kątem oka, że Langford uśmiechnął się pod nosem. Spojrzał na pozostałych. - Nie rozumiem. Nie wiemy zupełnie nic o tym człowieku, ani o pozostałych, a mimo to jesteśmy gotowi wywołać wojnę, bo wydaje nam się, że zamierzają nas zaatakować?

- Proszę powiedzieć, panie Clay - odparł prezydent, prostując się - jak wytłumaczy się pan przed całym krajem i przed resztą świata, jeśli się pan myli? Jak im pan to wytłumaczy, jeśli zostaniemy zaatakowani, podczas gdy pan nie zrobił nic z tą odrobiną czasu, która nam jeszcze została?

W mniemaniu Claya szanse, że nadciąga atak, były niskie i właściwie niczym nie poparte. Prawdę mówiąc, informacje które Stevas zdecydował się przytoczyć zostały wyselekcjonowane spośród wszystkiego innego, o czym wiedzieli. Odrzucił stwierdzenie na temat długości pobytu obcych na Ziemi, ale bez zastrzeżeń zaakceptował fakt, że portal prowadził tu z innej planety. Nie przyjmował możliwości, że byli tu z mniej szkodliwego powodu, ale nie miał wątpliwości, że było ich niewielu. Wybierał to, co służyło jego sprawie i odrzucał wszystko inne, posługując się przy tym strachem, jaki budziła niewielka możliwość, że miał rację. Clay podejrzewał, że Stevas po prostu chciał zaatakować, ale dlaczego?

- Panie prezydencie - Langford przerwał, kładąc ostrożnie rękę na stole obok Claya. - John chyba chce nam przypomnieć, że najlepsze decyzje podejmujemy, kiedy dysponujemy najdokładniejszymi informacjami. W tym

przypadku mamy ich bardzo mało, co oznacza, że jakkolwiek decyzję teraz podejmiemy, z dużym prawdopodobieństwem będzie ona zła.

- Sir - ciągnął Clay - wiele z tego, co na razie wiemy wskazuje, że mogą istnieć inne możliwości i nie wszystkie koniecznie wiążą się z zagrożeniem.

- To znaczy, że co? - fuknął Stevas z drugiej strony stołu. - Mamy im dać kredyt zaufania?

Ani Langford, ani Clay nawet nie zaszczycili go spojrzeniem. Zamiast tego skupiali się wciąż na prezydencie. - Nie kredyt zaufania, sir, tylko czas, żeby dowiedzieć się więcej i podjąć najlepszą możliwą decyzję.

- W porządku - powiedział prezydent. - W takim razie zdobądźcie więcej informacji.

- Tak jest - odparł Langford.

- Zakładam, że mówicie o tej waszej zdalnie sterowanej łodzi? - zapytał.

Langford skinął głową.

- Sądzymy, że może na niej być o wiele więcej danych.

- Czy wiemy, gdzie ona jest? - zapytał prezydent.

Langford spojrzał na Claya, który skinął głową.

- Tak, sir.

Prezydent znów pochylił się nad stołem, kierując spojrzenie prosto na Claya.

- W takim razie ją wyciągnijcie!

K-955 był najmniejszą i najszybszą łodzią podwodną w marynarce. Zaprojektowana głównie do zadań poszukiwawczych i wydobywczych, mogła pomieścić do czterech osób naraz, więc za Clayem i Caesare pozostały dwa puste siedzenia. W jej wnętrzu wspólnie przeprowadzili pełną kontrolę systemów. Woda na zewnątrz zalewała przednie okno, kiedy bujali się w górę i w dół na falach Morza Karaibskiego.

Komandor Emerson był skłonny podpłynąć Pathfinderem nie dalej niż kilka mil od miejsca, w którym mieli nadzieję znaleźć Tritona II. Nie mógł uwierzyć, kiedy przeczytał w przysłanych z Pentagonu instrukcjach, że Clay i Caesare ponownie wypływają. On i jego załoga ledwie zdążyli odebrać K-955 z bliźniaczego statku, a już helikopter wysadził dwóch mężczyzn z powrotem na pokładzie dziobowym. Powitał ich potrząsając głową.

Członkowie SEAL, również ci byli, mieli reputację nieco zwariowanych. Clay przypuszczał, że tak właśnie postrzegał ich Emerson. Spojrzał na prawo, gdzie Caesare z instrukcją w ręku weryfikował położenie poszczególnych przyrządów.

- Jak to wygląda z twojej strony?

Caesare wzruszył ramionami.

- Dobrze. W sumie całkiem przejrzyste. - Spojrzał w lewo. - A u ciebie?

Clay skinął głową.

- Nieźle. - Chwycił za drążek sterowniczy. - Do drążka będę się musiał przyzwyczaić.

- Poziom załadowania... - Caesare obejrzał się przez ramię na cyfrowy odczyt za ich plecami - pełny, co powinno nam dać zasięg od dwudziestu do trzydziestu mil. - Znów spojrzał przed siebie. - Mamy też pełny zapas tlenu, który powinien wystarczyć na znacznie dłużej, zwłaszcza bez dwóch dodatkowych par płuc z tyłu. Chyba jesteśmy mniej więcej gotowi.

Clay sięgnął do góry i sprawdził zamknięcie włazu, próbując przekręcić

duże metalowe koło. Następnie przysunął sobie bliżej ust mikrofon z zestawu słuchawkowego.

- Pathfinder, tu „Saint Bernard”.

- Słyszę cię, Saint Bernard - dobiegł ich głos Taya ze słuchawek.

- Wszystko sprawdzone, jesteśmy gotowi do wypłynięcia.

- Przyjąłem. Odłączajcie się, kiedy będziecie gotowi.

Z szybkim skinieniem, Clay sięgnął do dużego czerwonego uchwyty nad ich głowami i przełożył przez niego rękę.

- Spuszczam łódź - powiedział, ciągnąc w dół z całej siły. Po odłączeniu od ramienia opadli tylko trochę, bo już wcześniej unosili się na powierzchni. Łódź zaczęła przetaczać się na prawo; Caesare uruchomił główny silnik, natychmiast aktywując napęd i automatycznie korygując jej pozycję. Kiedy ruszyła do przodu, fale chlupoczące o przednie okno nagle wystrzeliły w górę, oblewając ją i sprawiając, że przechyliła się nieco do przodu. Clay trzymał prawą dłoń na drążku i powoli przesunął go do przodu, zwiększając prędkość. Następnie opuścił niewielkie klapki na ogonie, co dało im większy kąt zanurzenia, i K-955 gładko wślizgnął się pod powierzchnię.

- Przyjemne uczucie - zauważył Clay.

- Dobrze - powiedział Caesare, spoglądając do swojego notesu. - Musimy się ustawić na 131 stopni.

Clay obrócił łódź, aż wskaźnik kierunku osiągnął prawidłową wartość.

- W tym tempie - ciągnął jego towarzysz - powinniśmy być na dnie za około osiem minut.

Dno Morza Karaibskiego, a przynajmniej ta jego część, było raczej nudne. Pod nimi przesunęły się liczne rafy koralowe, a także rozległe połacie białego piasku. Kiedy zanurzyli się na około trzydzieści metrów, Caesare włączył ultrajasne światła ledowe umieszczone z przodu łodzi, żeby mogli widzieć na większą odległość. K-955 prześlizgnął się nad kilkoma rafami, opadającymi ku skupiskom ciemnych koralowców i kolejnym piaszczystym obszarom.

Trzydzieści minut później coś pojawiło się na małym, zielonym ekranie przed Caesare.

- Wygląda na to, że mamy coś dużego o kilka stopni w lewo, niecałe trzysta metrów przed nami.

Clay lekko obrócił i zaczął zwalniać przepustnicę, pozwalając łodzi zmniejszyć prędkość. Parł dalej naprzód wolniej, wytracając prędkość,

podczas gdy obiekt zbliżał się coraz bardziej do środka ekranu przed Caesare.

- Już prawie to mamy... - powiedział powoli. - Dobra, cofaj przepustnicę i hamuj.

Maleńka łódź zwolniła jeszcze bardziej i łagodnie się zatrzymała. Obaj mężczyźni wyjrzeni przez przednie okno, przeczesując wzrokiem piaszczyste dno. Wokół porozrzucanych było kilka łąt zielonych, sterczących pośród piachu roślin, które falowały powoli tam i z powrotem poruszane delikatnym prądem oceanu. Clay puknął leciutko w drążek, przesuwając łódź nieco do przodu.

Caesare nachylił się, żeby wyjrzeć z boku.

- Powinniśmy być dokładnie nad tym czymś.

- Coś widzę - powiedział Clay. Pochylił kadłub do przodu i wcisnął guzik, wywołując pod nimi silny prąd i odpychając na bok duże ilości piasku oraz ziemi, których chmura na chwilę spowiła obszar wokół. Czekali cierpliwie, aż się rozproszy. Tuż pod nimi leżała bardzo duża, zardzewiała metalowa kotwica.

- Kurde. - Caesare opadł z powrotem na oparcie. - Pudło.

- Z drugiej strony przynajmniej powinniśmy bez trudu zauważyć Tritona - stwierdził Clay. - Nawet jeśli zagrzebał się w piasku, to i tak będzie dla nas widoczny jak na dłoni.

- Co za ulga - powiedział z sarkazmem Caesare, wycierając wilgoć z przedniej szyby. - Wiesz... - urwał nagle, kiedy ich łódź zakołysała się z boku na bok. - Co to było?

Clay potrząsnął głową.

- Nie wiem. - Pochylił się do przodu i wyjrzał przez szybę na jasno oświetlony piasek.

- Wpadliśmy w prąd poprzeczny?

Clay zmarszczył brwi.

- Na tej głębokości? Nie sędzę. - Piasek na zewnątrz zalegał nieruchomo. Obłok wywołany przez nich kilka minut wcześniej niemal zupełnie już osiadł. Łódź znów się zatrzęsła, tym razem mocniej.

- Ło! - Caesare oparł się o boczne okno i sufit. Mężczyźni spojrzeli po sobie. - Jesteś pewien?

Clay był zdziwiony. Złapał za uchwyt od przedniej lampy zewnętrznej i obrócił ją, oświetlając teren przed nimi. Zauważył koralowce i ruszył naprzód. Łódź wślizgnęła się piętnaście metrów w głąb rafy koralowej,

pokrytej różną roślinnością, wliczając w to długie witki sterczące ze skalnego podłoża.

- Patrz.

Caesare podążył oczami za jego wzrokiem, kierując spojrzenie na rośliny na zewnątrz.

- Prawie w ogóle się nie ruszają.

- Właśnie.

- Dziwne. - Caesare obejrzał się do tyłu przez boczne okienko. - Może jesteśmy w jakimś kanale? - Odwrócił się z powrotem, kiedy mały, zielony ekran znów zapisał. Na przypominającym radar wyświetlaczu widać było kolejny obiekt. - Znowu coś mamy. Myślisz, że tym razem trafimy?

Przyspieszyli i prześlizgnęli się nad koralowcami, a potem opadli po drugiej stronie nad kolejną piaszczystą łatę.

- Kilka stopni na północ - powiedział Caesare.

Przed nimi z piasku wyrastało większe pasmo koralu; Clay ominął je i przechylił łódź na prawą burtę. Coś w oddali odbijało jasne światło ich reflektorów, więc zwolnił nacisk na drążek.

- Tym razem nie jest zakopane - powiedział. W miarę jak się zbliżali, obiekt stawał się jaśniejszy, co sugerowało odbijający światło materiał albo stosunkowo czystą powierzchnię.

- Wydaje się być właściwych rozmiarów.

- Faktycznie. - Clay znów puścił drążek, pozwalając by otaczająca woda zredukowała prędkość łodzi. Po kilku kolejnych sekundach ukazał im się charakterystyczny kształt Tritona II, z dziobem wbitym głęboko w piasek.

- Jest! Harpuny w dłoń! - zawołał Caesare.

Clay skinął głową.

- Dzięki Bogu. Zaczynałem już wątpić. - Coś przyszło mu do głowy. Odwrócił się do przyjaciela. - Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Tak, jeszcze dzisiaj wracamy!

- Nie. - powiedział Clay. - Delfiny miały rację. Znaleźliśmy go... - Spojrzał na współrzędne GPS. - ...najwyżej ćwierć mili od miejsca, które wskazały. To potwierdza działanie translatora.

- Prawda - przytaknął Caesare. - Czekać - powiedział, unosząc brew. - Czy ktoś twierdził, że nie działa?

- O tym zapomniałem ci opowiedzieć. - Clay zbliżył się do Tritona i pociągnął drążek do siebie, żeby całkiem zahamować. - Stevas bardzo się

starał ich zdyskredytować. Wygląda na to, że te informacje niekoniecznie zgadzały się z jego pełnym obrazem.

- Żartujesz sobie. Co powiedział?

- Niestety, nie mogę powtórzyć naszej rozmowy. Powiedzmy, że preferuje agresywną strategię.

Caesare potrząsnął głową.

- Jak on w ogóle dostał się na to stanowisko? W takich chwilach naprawdę powątpiewam w nasz system. - Włączył kolejny zestaw lamp, zalewając światłem obszar dokładnie pod nimi, i złapał uchwyt sterujący ramieniem przegubowym. Uśmiechnął się do Claya. - To co, podnosimy?

Długie ramię powoli wysunęło się naprzód spod łodzi podwodnej. Caesare sterował nim z wnętrza maszyny, zaciskając palce na uchwycie sterowniczym. Przez okno widać było, jak ramię sięga po leżącego nieruchomo w piasku Tritona.

- Spokojnie, powoli... - mamrotał do siebie Caesare.

Clay nie zdejmował ręki z drążka, starając się zachować idealną wyporność i utrzymać łódź tak nieruchomo, jak to było możliwe.

Długie kleszcze, przypominające szczypce kraba, zbliżyły się do tylnej części Tritona. Caesare powoli przekręcił uchwyt; obróciły się w tym samym kierunku. Znów pchnął je do przodu, usiłując wsunąć większą ich część pod śrubę batyskafu. Wreszcie, po kilku próbach, udało mu się precyzyjnie przycisnąć szczypce przez niewielką szparę obok tylnego statecznika. Wzmacniając chwyt, zamknął kleszcze i chwycił Tritona. Bardzo powoli pociągnął za uchwyt, cofając tym samym metalowe ramię. Batyskaf ani drgnął. Caesare szarpnął mocniej, uważając, żeby nie poluzować chwytu. Wciąż nic.

Clay nadal wpatrywał się w instrumenty i starał utrzymać K-955 nieruchomo.

- Cholera - powiedział Caesare. - Naprawdę się tam zakopał. - Pociągnął mocniej i wreszcie piasek otaczający zasypany koniec Tritona drgnął. Osypało się go więcej, uwalniając batyskaf, który powoli wyslizgnął się z podłoża.

- Świetnie - powiedział Clay. - Teraz go odwieziemy i... - nagle ich łódź zatrzęsa się gwałtownie i potężna fala wgniotła ich w hałdę piasku. - Co u licha?! - Clay z trudem starał się odzyskać kontrolę. Pociągnął drążek do siebie, odwracając ciąg silnika, ale łódź zносиło do tyłu. Wyjrzał na zewnątrz, a potem w górę przez małe okienko w suficie. - Co do diabła stało się z naszą

wypornością? - Spojrzał na instrumenty. - Czy my nabieramy wody? - Chodziło mu o zbiorniki balastowe K-955, które wypełniały się wodą, aby zwiększyć ciężar łodzi i pozwolić jej opaść w dół. Aby się unieść, pilot wstrzykiwał do zbiorników sprężone powietrze, wypychając część wody na zewnątrz i zwiększając wyporność. Naturalna wyporność wynikała z połączenia powietrza i wody, które zapewniało idealny ciężar i pozwalało okrętowi utrzymać pożądany poziom. Clay nagle stracił nad nią kontrolę. Ledwie był w stanie poruszać łodzią, która teraz sprawiała wrażenie, jakby utkwiała w piaszczystym dnie. Wcisnął guzik powyżej drążka sterowniczego, zwiększając ilość powietrza i zmniejszając wagę. Z dołu i spoza kokpitu dało się słyszeć syk sprężonego powietrza.

Caesare szybko przesunął się z boku na bok, kiedy uderzyli o podłoże i przetoczyli na bok. Próbował przytrzymać się jedyną wolną ręką, drugą wciąż zaciskając na uchwycie ramienia przegubowego. Rozpaczliwie starał się nie wypuścić Tritona, który huśtał się w przód i w tył jak ogromna ryba usiłująca mu się wymknąć. Ścisnął z całej siły, napinając przedramię.

Clay wymachiwał drążkiem tam i z powrotem, próbując utrzymać łódź na właściwym kursie. Nabierali wyporności, ale zbyt wolno. Coś powyżej przykuło jego wzrok. Spojrzał w ciemną wodę; światło słońca było już tylko przyćmionym punkcikiem hen, daleko nad nimi. Wpatrywał się, aż znowu to zobaczył.

- To nie jest żaden prąd - powiedział. - Chyba mamy towarzystwo.

- Co?! - Caesare przekręcił głowę, bezskutecznie próbując wyjrzeć przez małe okienko powyżej. - Jakie?!

- Nie wiem - odparł Clay. Jakaś siła znów uderzyła nimi gwałtownie o dno oceanu. K-955 jęknął pod naporem ciosu, wydając głośny, metaliczny pogłos. Clay znów podniósł wzrok i zobaczył przepływający nad nimi ogromny cień. - Cokolwiek by to nie było, jest spore.

- Musimy się stąd wynosić - Caesare spojrzał na przyjaciela. - Zostawiamy Tritona?

- Mowy nie ma - oczy Claya zwęziły się. - Nie będę znowu tu po niego nurkować. Trzymaj się! - Pchnął drążek do przodu, a drugą ręką uderzył w przycisk, wypychając sprężonym powietrzem jeszcze więcej wody ze zbiorników. Łódź niemal natychmiast odbiła się od piasku. Silnik zawirował z pełną mocą, zostawiając za nimi chmurę pyłu, i K955 pognał przed siebie z dziobem skierowanym ku powierzchni.

Tym razem coś uderzyło w nich, sprawiając, że maszyna przechyliła się na bok. Clay szybko skierował ją w drugą stronę, aby skompensować ruch i zdołał ustawić łódź z powrotem w pionie, wciąż z całej siły pchając drążek w przód.

- O Boże - powiedział Cesare, wyglądając przez boczne okienko. - To kaszalot!

- Tutaj? Żartujesz?

- Serio - odparł, po czym urwał na moment. - I to aż dwa!

Clay wprost oparł się na drążku, starając się wycisnąć z silnika ostatnie soki.

- Płyną na nas! - krzyknął Cesare.

Nagle coś uderzyło w bok K-955, sprawiając, że wykonał pełny obrót. Clay próbował obrócić łódź z powrotem, ale zdał sobie sprawę, że lecą ze zbyt dużym impetem. Zamiast tego cofnął drążek i poddał się pędowi. Kiedy ten zaczął się wytracać, znów spróbował go skompensować i udało mu się utrzymać kurs ku górze.

- Clay - powiedział cicho Cesare.

- Nie musisz szeptać, Steve. One cię nie usłyszą - odparł, spoglądając na głębokościomierz. Wciąż brakowało im jeszcze blisko 25 metrów do powierzchni.

- Clay - powiedział znów Cesare.

Clay spojrział na przyjaciela, który wpatrywał się w niego, a teraz odwrócił się i wskazał boczne okno. Otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył ogromne wgniecenie z boku kadłuba. Gorsza jednak była biegnąca przez szybę szczelina, przez którą sączyła się woda, ściekając po wewnętrznej ścianie. Tak duży przeciek wystraszyłby każdego, nawet na płyciźnie. Wytrzymałość kadłuba została poważnie naruszona, a grube okno z pleksiglasu pękło. Gdyby rozpadła się do końca, straciliby ciśnienie wewnątrz kabiny, a do środka wdarłby się strumień morskiej wody; utonęliby w kilka sekund. Obaj wiedzieli, że mogli liczyć tylko na to, iż to małe okienko wytrzyma. Zdawali też sobie sprawę, że nie przetrwają kolejnego uderzenia.

Clay spojrział z powrotem na Cesare.

- Opróżnij zbiorniki.

Caesare podniósł przezroczystą osłonkę i uderzył pięścią w duży przycisk z napisem „Opróżnienie awaryjne”. Łódź zatrzęsała się gwałtownie, kiedy cztery ładunki eksplodowały, a wielkie zbiorniki balastowe natychmiast

oderwały się od kadłuba i poleciały z dala od niego. Uwolniona od ich ciężaru, a także napędzona siłą ładunków łódź z powrotem przyspieszyła i zaczęła unosić się w stronę powierzchni. Pod wpływem eksplozji rysa na szybie poszerzyła się, wpuszczając do środka znacznie więcej wody, która niebawem sięgała im już powyżej łydek. Caesare spojrział w dół, szybko zmieniając ręce, aby nie wypuścić Tritona.

- Lepiej się pospieszmy.

Clay przeskakiwał wzrokiem pomiędzy głębokościomierzem a jasnoniebieską wodą powyżej. W górze dało się dostrzec ogromny cień Pathfinderera. Łódź szybko uniosła się ponad głębokość piętnastu metrów i dalej mknęła ku powierzchni.

Caesare raz po raz spoglądał przez pozostałe okna.

- Nie widzę ich! - Próbował wyrzeć przez pękniętą szybę, ale uszkodzenie uniemożliwiło dostrzeżenie czegokolwiek. - Nie mam pojęcia, gdzie są.

Clay spojrział na wskaźnik i zobaczył, że ich prędkość zaczęła spadać.

Caesare zauważył, że coś jest nie tak.

- W czym problem?

- Zwalniamy - powiedział Clay. - Wpływająca woda z powrotem zwiększa nasz ciężar.

Caesare odpiął pas i wysunął się z siedzenia, ani na moment nie puszczając uchwytu, który miał przed sobą. Przepchnął się obok Claya i sięgnął na tył kokpitu. Pomacał ręką pod powierzchnią wody.

- Nie ma butli z tlenem. - Wiedział, że nie mogli otworzyć górnego wjazdu, dopóki nie dotrą na powierzchnię, bo morska woda obciążałaby łódź tak, że ta nie byłaby w stanie wypłynąć. Do diabła, nawet gdyby mogli to zrobić, i tak utonęliby w fali wody, przy której pęknięte okno zdawało się nie gorsze od kapiącego kranu.

Łódź unosiła się coraz wolniej. Kiedy minęła głębokość dwunastu metrów, lejąca się do środka woda sięgała im do kolan.

Ponad nimi, w pomieszczeniu komunikacyjnym Pathfinderera, komandor Emerson i kilku członków jego załogi zebrało się wokół dużego ekranu sonaru. Zestaw głośnomówiący był włączony i transmitował wszystko, co mówili Clay i Caesare.

- Zwalniają - powiedział Tay. Siedział na krześle przed Emersonem.
- Jaka jest ich prędkość?
- Około trzech metrów na minutę, ale szybko spada.
- Mogą coś jeszcze odrzucić? - zapytał komandor. Tay potrząsnął głową.
- Nie ze środka.

Inny członek załogi stał z boku, pospiesznie przeglądając masywną instrukcję obsługi K-955.

Emerson wstał i zwrócił się do Lightfoota, który stał tuż zanim.

- Musimy coś zrobić.

Lightfoot wpatrywał się w komandora, który wskazał ręką na zewnątrz.

- Tak jest! - powiedział, po czym obaj szybko wybiegli z pomieszczenia i pognali na tył statku.

Wewnątrz K-955 woda sięgała już mężczyznom do piersi, a jej poziom wciąż się podnosił, wypełniając szybko kurczącą się przestrzeń w kokpicie.

Z głośników dobiegł przerywany trzaskami głos Taya.

- Słuchajcie, wygląda na to, że w boczne panele siedzeń powinny być wmontowane zapasowe zbiorniki z tlenem! - Tay pochylił się i spojrzał do instrukcji trzymanej przez innego członka załogi. - Po prawej stronie.

Caesare znów zmienił rękę na uchwycie i sięgnął, żeby pomacać siedzenie. Jeżdżąc dłonią w górę i w dół pod powierzchnią wody, próbował znaleźć miejsce zamknięcia. Wymacał krawędź metalu i szybko pociągnął ją do góry. Pod naporem otaczającej wody panel uchylił się tylko częściowo. Caesare sięgnął do tyłu, otworzył go szarpnięciem i wsadził dłoń do środka. Złapał mały, metalowy kanister i wydłubał go z wnęki. Nieduży zbiornik miał mniej więcej trzydzieści centymetrów długości i był zakończony zielonym gumowym ustnikiem. Caesare wręczył go Clayowi i szybko wyciągnął kolejny z drugiego siedzenia.

- Gdzie są wieloryby?

Wyjrzał przez jedno z dwóch okien wciąż pozostających powyżej linii wody.

- Nie widzę ich tutaj. - Spojrzał na przyjaciela. - To jaki mamy plan?

Clay zmarszczył brwi. Desperacko napał kilka razy na drążek, ale nic już nie dało się zrobić. Bliźniacze silniki pracowały na najwyższych obrotach,

próbując wypchnąć ich w górę pomimo rosnącego ciężaru łodzi.

- Prawie stoimy w miejscu. Wyżej już nie wypłyniemy. - Spojrzał na wskaźnik. - Sześć i pół metra. - Wyjrzał przez górne okno. Rysował się nad nimi ogromny cień Pathfinderera. Przeniósł wzrok na Caesare i uniósł swój malutki zbiornik z tlenem. - To powinno nam dać - wzruszył ramionami - dziesięć minut? Jeśli zaczekamy, aż woda wypełni kokpit i wyrówna ciśnienie, powinniśmy dać radę otworzyć właz i wypłynąć.

Caesare skinął głową, dotykając podbródkiem wody.

- To jedyne, co mi przyszło do głowy. Ty pójdziesz pierw... - Zamilkł nagle, kiedy zauważył, że Clay wpatruje się w coś ponad jego ramieniem. Odwrócił się i wyjrzał przez to, co zostało z bocznego okna. Zbliżały się do nich dwa wielkie kształty. W tym samym momencie poczuli coś i spojrzeli na głębokościomierz. Ciężar łodzi przeważał moc śrub; K-955 zaczął opadać z powrotem na dno. Wskaźnik podskoczył do siedmiu metrów, potem do siedmiu i pół. Opadali szybko.

Caesare znów wyjrzał przez okno. Kaszaloty były coraz bliżej.

- O co im do diabła chodzi?!

Obaj wiedzieli, że nie mogą otworzyć włazu, dopóki cały kokpit nie wypełni się wodą. W tym tempie powinno to nastąpić niebawem, ale wieloryby dotrą do nich pierwsze. Nawet jeśli przetrwają kolejne zderzenie, łódź opadała tak szybko, że zanim będą w stanie się wydostać, znajdą się zbyt głęboko, żeby dotrzeć na powierzchnię. No chyba, że chcieliby umrzeć od choroby dekompresyjnej.

Clay spojrział na przyjaciela.

- Chyba już po nas.

Caesare skinął głową w milczeniu. Obaj skierowali twarze w górę, próbując utrzymać je ponad wodą, a następnie przytrzymali się mocno tego, czego zdołali dosięgnąć, szykując się na uderzenie.

Odwrócili się z zaskoczeniem, kiedy z zewnątrz dobiegł ich głośny brzęk, jakby dźwięk metalu szorującego o kadłub.

- Co to było? - Najpierw Clay, a potem Caesare zanurzyli głowy pod wodę i przycisnęli twarze do przedniego okna. Przez szybę widać było zamazany cień o ludzkim kształcie.

Emerson, Tay i dwóch innych członków załogi stało na dużej, płaskiej platformie na rufie Pathfindera, po dwóch z każdego boku. Usiłowali zachować równowagę na kołyszącym się statku, podczas gdy każdy z nich wpuszczał do wody gruby przewód. Zręcznie obracali kable w rękach, aby uchronić je przed zbytnim naprężeniem. Z jednej strony Emerson i Tay doprowadzali gruby, czarny przewód z tlenem, a po drugiej stronie pozostała dwójka odwijająca wielki, stalowy kabel ze znajdującej się za nimi szpuli.

Pod wodą Lightfoot, ubrany tylko w bokserki, maskę i płetwy przytrzymał się tonącego K-955. Starał się przymocować gruby kabel do łodzi, nie zaplątując go przy tym w swój przewód z tlenem. Pełna maska zasłaniała mu całą twarz i dawała doskonałą widoczność, ale kiedy rozpaczliwie próbował podciągnąć się na grzbiet łodzi, wizjer zaczął się zaparowywać od jego ciężkiego oddechu. Pełna maska miała tę zaletę, że nie zniekształcała widzianego obrazu i pozwalała noszącemu ją mówić podczas pracy, ale Lightfoot wydychał zbyt duże ilości dwutlenku węgla, żeby delikatny napływ tlenu był w stanie utrzymać ją wolną od pary.

Kiedy pospiesznie wdrapał się na dach, zobaczył dwie duże stalowe obręcze używane przez wyciągarkę do opuszczania łodzi na wodę. Chwycił się jednej i przysunął bliżej, uważając, aby nie wypuścić z rąk kabla. Szarpnął mocno i zdołał przyciągnąć go o pół metra. Kabel napinał się coraz bardziej, w miarę jak łódź opadała na dno i Emerson ze swoimi ludźmi nie nadążał z opuszczaniem go. Lightfoot przyciągnął się bliżej i przesunął nad niewielkim okienkiem w dachu łodzi. Zerkając w dół, dostrzegł wewnętrzne lampy, przyćmione i całkiem już zanurzone w wypełniającej wnętrze wodzie. Sylwetki Claya i Caesare odzwajemniały jego spojrzenie. Każdy z nich oddychał przez ustnik małego kanistra z powietrzem.

Wewnątrz łodzi Clay uniósł głowę i ponownie chwycił za ster.

„On potrzebuje więcej luzu!” - Z całej siły przyciągnął do siebie drążek, przechylając łódź do góry resztką pozostałej mocy.

Kiedy K-955 lekko się uniósł, Lightfoot znów pociągnął mocno za kabel. Luzu wystarczyło mu akurat na tyle, żeby przeciągnąć go przez jedną z wielkich obręczy. Skrzywił się, z trudem próbując przepchnąć koniec, ale ostatnim wysiłkiem zdołał założyć ogromny hak, tworząc pętlę. Przysunął się bliżej, żeby upewnić się, czy mocowanie było pewne, po czym wcisnął duży guzik z boku maski.

- Podpięty! - zawołał.

Jego głos został przetransmitowany do zewnętrznych głośników statku. Kiedy Tay usłyszał Lightfoota, przebiegł przez platformę i objął ręką chromowaną dźwignię. Pchnął ją w górę o kilka stopni, żeby ustawić silniki na pełną moc. Ogromna platforma na rufie nagle zagłębiła się w wodę, równoważąc bezwładność opadającej łodzi. Wszyscy zachwiali się i odwrócili, kiedy silnik wydał z siebie okropny zgrzyt. W końcu zaczął się obracać, zwijając kabel.

Pod nimi Lightfoot ześlizgiwał się z dachu łodzi, która z szarpnięciem zaczęła się unosić. Szybko przytrzymał się grubego, gumowego przewodu z tlenem. Wyżej, na pokładzie, dwóch pozostałych ludzi Emersona doskoczyło do drugiej krawędzi platformy, aby pomóc własnymi rękami wciągnąć przewód z powrotem.

Nie zwracali uwagi na silnik, wciąż zwijający kabel, coraz szybciej i szybciej.

Wciągany na górę Lightfoot bił mocno stopami w wodę, starając się nadażyć za łodzią. Na powierzchni będzie musiał otworzyć właz najszybciej, jak to możliwe. Clay i Caesare byli całkowicie zanurzeni od kilku minut, a więc powietrze w ich kanistrach niedługo się wyczerpie. Lightfoot zbliżył się na tyle, żeby złapać uchwyt włazu i zawisł na nim, wypływając na powierzchnię razem z łodzią.

- Cztery i pół metra - powiedział Harris przez głośniki.

Emerson uniósł wzrok, po czym znów skierował go na swoich ludzi.

- Dobrze, stańcie przy krawędzi i czekajcie. Zaraz tu będzie!

Czterech mężczyzn przytrzymało się skraju platformy, aby zachować równowagę. Szpula za nimi obracała się teraz z maksymalną prędkością. Będzie ciężko - nie da rady ani trochę wyhamować, zanim łódź wynurzy się na powierzchnię, co oznacza, że polecą za daleko. A ponieważ kabel był spuszcany bezpośrednio z boku rufy, a nie z długiej wyciągarki, łódź najprawdopodobniej z impetem wpadnie na Pathfindera od dołu.

- Trzy metry! - rozbrzmiał głos Harrisa.

Chwilę później łódź uderzyła w platformę od spodu. Czterej mężczyźni wylecieli w powietrze, razem ze wszystkim, co nie było przymocowane do pokładu. Sprzęt i narzędzia latały we wszystkie strony, po czym z hukiem spadały z powrotem. Jeden z młodszych członków załogi nie zdołał się utrzymać; ześlizgnął się z pokładu, wpadł na odsłonięty ogon K-955 i zniknął pośród fal.

- Człowiek za burta! - krzyknął Emerson. Inny marynarz skinął głową i zaczął rozglądać się za kolegą. Gdy go wypatrzył, złapał koło ratunkowe i wskoczył za nim, o centymetry mijając łódź, która wyłaniała się właśnie spod Pathfindera. W powietrzu rozległ się ogłuszający zgrzyt metalu o metal, kiedy lewa burta łodzi tarła o spód platformy, zanim maszyna w końcu się uwolniła. Obróciła się swobodnie, a wtedy ze spienionych fal wynurzył się Lightfoot, wciąż trzymając obręcz wjazdu. Zdarł z twarzy maskę i odwrócił się w stronę okrągłych drzwi, stając okrakiem na grzbiecie łodzi. Otrząsnął się z wody i mocno złapał za uchwyt, z całej siły próbując go obrócić. Koło poddało się i powoli zaczęło się kręcić. Lightfoot wykonał kilka obrotów, a potem z wysiłkiem pociągnął, otwierając wjazd. Ze środka natychmiast chlusnęły setki litrów wody, a wraz z nimi dwie ciemne sylwetki.

W miarę jak łódź opróżniała się, jej waga szybko ulegała zmianie. Maszyna zaczęła się obracać do tyłu, z powrotem zanurzając otwór wjazdu w wodzie. Lightfoot wspiał się po kadłubie w przeciwnym kierunku i zdołał zachować pozycję pionową. Niecałe dziesięć metrów dalej z oceanu wynurzyły się głowy dwóch marynarzy, całych i zdrowych. Teraz wszystkie oczy zwrócone były na wodę tuż przed obracającą się łodzią.

Po kilku sekundach Clay i Caesare wypłynęli na powierzchnię i rozejrzeli się dookoła. Kiedy dostrzegli Emersona i Taya, wskazali za siebie.

- Bierzcie Tritona! - zawołali.

Wszyscy skierowali wzrok na K-955 i zauważyli mały batyskaf podskakujący na falach, jakimś cudem wciąż trzymany przez wciągane kleszcze łodzi. Lightfoot zsunął się niżej i odczepił go. Następnie zjechał po kadłubie K-955 do wody, ciągnąc Tritona za sobą.

Cała piątka powoli podpłynęła do platformy. Emerson oraz Tay wychylili się i wciągali ich jednego po drugim. Na końcu złapali Lightfoota i Tritona, dźwigając batyskaf ponad głowami pozostałych. Potem wszyscy opadli ciężko na platformę ze stopami przewieszonymi przez krawędź, próbując złapać oddech. Emerson i Tay odłożyli Tritona, po czym usiedli razem z resztą mężczyzn.

Po długim milczeniu Emerson położył dłoń na ramieniu Claya. Uśmiechnął się do niego szeroko.

- Już się bałem, że was stracimy.

Clay spojrzał na niego i odwzajemnił uśmiech, wciąż ciężko oddychając. Jego przemoczone włosy zwisały lepiąc się do czoła, a po twarzy spływała

mu woda.

- Raz czy dwa przeszło nam to przez myśl.

Emerson zwrócił się do swojej załogi.

- Whitey, Ballmer, żyjecie tam?

Wyższy z mężczyzn, Whitey, skinął głową.

- Żyjemy. - Siedzący obok Ballmer tylko uniósł kciuk do góry.

Emerson zwrócił się do Caesare.

- A pan?

Mężczyzna odchylił się do tyłu, opierając się na rękach.

- Wszystko gra.

Emerson odetchnął głęboko i spojrzał na K-955 bujającego się na falach. Niemal cały bok pokryty był głębokimi zadrapaniami, jednak łódź nie tonęła. Wciąż była połączona z Pathfinderem za pomocą grubego, stalowego kabla, zwisającego luźno, lecz nadal widocznego pod powierzchnią wody.

- Czy wy też zaczynacie mieć serdecznie dość tego miejsca?

Zanim Kathryn Lokke otworzyła oczy, przetarła je ręką, aby odgnać senność. Spojrzała na zegarek, a potem rozejrzała się po namiocie. Była piąta rano i tylko śpiwór Andrew był pusty. Pierre i Tadri wciąż byli od stóp do głów opatuleni, nie odsłaniając ani skrawka skóry. Kathryn spojrzała na cienką warstewkę lodu, która zebrała się u podstawy trójwarstwowego, ocieplanego namiotu. Pomyślała o tym, jak nawet najnowocześniejsze tworzywa nie mogły ochronić człowieka przed odmrożeniem sobie tyłka... a w każdym razie przed uczuciem, że go sobie odmraża. Była przekonana, że w rzeczywistości materiały te zapewniały solidną ochronę, pomimo zimna, któremu wciąż udawało się przez nie przedrzeć.

Kathryn przewróciła się na plecy i zamknęła oczy jeszcze na kilka minut, próbując ocenić szanse, czy uda jej się z powrotem zasnąć. W końcu zmarszczyła brwi i się odwróciła. Chwyciła swoją grubą czapkę z dzianiny i założyła ją na głowę, naciągając dobrze na uszy. Po cichu wysunęła się ze śpiwora i usiadła, zakładając ciepłą kurtkę, a następnie ocieplane spodnie i buty z goreteksu. Udało jej się rozpiąć winylowy zamek nie budząc Pierre'a ani Tadri. Wysunęła głowę na zewnątrz.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wszędzie w zasięgu wzroku rozciągała się biel. Kathryn zerknęła na drugi namiot i dostrzegła pomarańczowo-niebieską poświatę migoczącego w nim płomyka. Pociągnięciem rozchyliła połę namiotu i wyszła na zewnątrz, szybko zapinając wejście za sobą. Nawet bez wiatru powietrze wczesnego poranka zdawało się natychmiast przenikać jej ubrania na wylot. Przebiegła sześć metrów po zmrożonym podłożu i najszybciej jak potrafiła odrzuciła na boki połę drugiego namiotu. Nie zwlekając ani sekundy, wskoczyła do środka.

Andrew podniósł wzrok znad aluminiowego kubka z kawą.

- Cześć - powiedział przyciszonym głosem.

- Dzień dobry. - Zapięła wejście i odwróciła się, aby usiąść na jednym z

małych, lekkich składanych krzeseł stojących po drugiej stronie palnika. Nachyliła się nad płomieniem, który ogrzewał kawę oraz wnętrze namiotu. Podniosła kubek i napełniła go, zdrapawszy z niego najpierw trochę lodu.

Kathryn tak naprawdę nie przepadała za kawą, ale trzy dni temu zdecydowała, że nie będzie zaglądać darowanemu koniowi w zęby. Upiła łyk, skrzywiła się na gorzki smak i splotła ręce na ciepłym metalowym kubku. Z roztargnieniem rozejrzała się po namiocie. Przy tylnej ścianie ułożona była większość ich sprzętu geologicznego, wliczając w to dwa laptopy oraz telefon satelitarny.

- Nieźle nam idzie, co? - zapytał Andrew ze swoim mocnym nowozelandzkim akcentem.

- Złap drewno - odparła z uśmiechem. Powiedzenie to było w Nowej Zelandii odpowiednikiem „odpukać w niemalowane”. Rozejrzała się za kawałkiem drewna, podobnie jak on. Zaśmiali się cicho, kiedy zdali sobie sprawę, że wszystko wokół nich było zrobione z lekkiego metalu i tkaniny.

Andrew dopił kawę i sięgnął po małą teflonową patelnię.

- No dobrze - powiedział. - Znam oficjalny powód waszego pobytu tutaj, ale to się kupy nie trzyma. - Odpalił zapałkę od jednego palnika i użył jej do podpalenia drugiego. - Skoro znacie już zasięg osunięcia, to po co wracacie tu z tak dużą ekipą i w takim pośpiechu?

Kathryn spojrzała na niego, a potem w milczeniu spuściła wzrok na płomień.

- Przez dumę. - Wciąż wpatrywała się w ogień. W końcu wzruszyła ramionami i z powrotem podniosła wzrok na Andrew. - I może trochę arogancji.

Mężczyzna postawił patelnię na ogniu i zaczął grzebać w skrzyni z jedzeniem, z której wyciągnął kilka jajek i plaster boczku.

- Twoją dumę, czy ich? - zapytał z porozumiewawczym uśmiechem.

- Moją.

- Aha - Andrew skinął głową. - Czyli twoja duma i ich arogancja, hm?

Posłała mu uśmiech znad kubka.

- Skąd wiesz?

- Polityka wszędzie jest taka sama. U nas też jest z nią sporo problemów. - Rozbił dwa jajka i wylał je na patelnię. - Sam mam kumpla, który pracuje w jednym z naszych rządowych departamentów. Opowiada takie rzeczy, że nie spieszy mi się z powrotem.

- Jak tu wylądowałeś? Sama nie wiem, czy jesteś badaczem, czy żołnierzem.

Andrew zaśmiał się.

- Och, jestem żołnierzem, ale przy badaniach też trochę pracuję. Muszę. Nie mówiąc o tym, że warunki tutaj są na tyle ciężkie, że człowiek chce trochę pomóc chociażby po to, żeby szybciej się ze wszystkim uwinąć. - Jajka zaczęły bulgotać, więc sięgnął po plastikową łopatkę. - Znowu chcesz z dwóch stron?

- Tak, proszę. - Kathryn patrzyła, jak odwraca jajka. Był niezłym kucharzem. W zasadzie, biorąc poprawkę na okoliczności, wprost genialnym.

- Często robisz tu za przewodnika?

- A, tak - odpowiedział, przeciągając słowa. - Parę lat temu ekipa z Chin wyszła w teren i zgubiła się podczas burzy śnieżnej. Tylko dwóch z całej piątki wróciło i byli w bardzo kiepskim stanie. Proponowaliśmy, że będziemy wychodzić z nimi, dopóki się nie zaaklimatyzują i w ogóle, ale odmówili. Od tamtej pory chodzimy ze wszystkimi bez wyjątku.

- Lepiej dmuchać na zimne - przytaknęła. - Boję się myśleć, co by się z nami stało, gdyby przyszło załamanie pogody.

- E tam. - Znow się uśmiechnął. - Z nami nic wam nie grozi. - Przerzucił jajka na mały metalowy talerz, na wierzch kładąc boczek. Wręczył porcję Kathryn i znow sięgnął do skrzyni. - Jeśli będziemy wracać wcześniej, mogę dla nas wszystkich przygotować duże pożegnalne śniadanie.

Tak jak Kathryn i jej czteroosobowy zespół, pozostałe grupki również wylądowały bez problemu, nie licząc jednego niesprawnego skutera w ostatnim transporcie. Na szczęście tamten zespół liczył trzy osoby, które jakoś dały sobie radę z jedną maszyną. Reszta przedsięwzięcia przebiegała do tej pory całkiem gładko; wykonali już ponad połowę pracy i zanosilo się na to, że wrócą dwa dni przed czasem, z czego wszyscy się cieszyli.

Zespoły rozstawiły już większość sejsmografów wzdłuż linii uskoku. Nowe modele były zasilane energią słoneczną i połączone bezpośrednio łączem satelitarnym. Te urządzenia wielkości dużych pudełek po butach, były w stanie zmierzyć wszelkie zmiany na obszarze lodowca z dokładnością do ułamka centymetra w dowolnym kierunku. Na większą część pracy przez najbliższe dwa dni będą się składać głównie pomiary i zbieranie próbek.

Kathryn odwróciła się, kiedy usłyszała za sobą dźwięk rozpinanego zamka. Do środka weszła Tadri, po czym zapięła wejście chyba jeszcze szybciej niż

ona przedtem.

- Dobrze słyszałam, że ktoś coś mówił o śniadaniu?

- Tak, jak najbardziej - odparł Andrew. - Usiądź, zaraz przygotuję ci porcję.

- Wielkie dzięki. - Tadri usiadła obok Lokke i naląła sobie trochę kawy z perkolatora. Po pierwszym łyku jęknęła cicho. - Kawa jeszcze nigdy w życiu tak mi nie smakowała.

Andrew uśmiechnął się.

- Taaak, Antarktyda tak działa na człowieka. Wszystko co gorące smakuje lepiej, a wszystko co zimne trochę gorzej.

- Pewnie dlatego wczoraj wieczorem wszyscy popłakaliśmy się nad twoim gulaszem - powiedziała Kathryn. Cała trójka się roześmiała.

Tadri spojrzała na szefową.

- Ile Sat-Quake'ów musimy jeszcze rozstawić?

- Tylko trzy. Przez resztę wyprawy powinniśmy już głównie zbierać dane.

- Jakież problemy w innych zespołach? - Zeszłej nocy Tadri położyła się wcześniej, zanim Kathryn skontaktowała się kolejno z pozostałymi przez telefon satelitarny.

Druga kobieta pokręciła głową.

- Raczej nie. Kilka urzędzeń odmawia współpracy, mamy parę drobnych kontuzji od upadków i dużo skarg na jedzenie. - Uśmiechnęła się do Andrew, chcąc zobaczyć jego reakcję.

- Heeej - powiedział, podając Tadri talerz z jajkami. - Czy to moja wina, że inne chłopaki nie potrafią gotować tak jak ja?

- Ogólnie rzecz biorąc obyło się bez problemów - ciągnęła Kathryn. - Naprawdę poszczęściło nam się z pogodą i wszyscy nie mogą się już doczekać wcześniejszego powrotu.

- Wiesz - powiedziała do niej Tadri - Dużo ludzi było niezadowolonych, kiedy powiedziałaś nam, co będziemy robić. Wielu narzekało, że to tylko twoje polityczne porachunki. Ale ja myślę, że to wyszło wszystkim na dobre. Trochę zardzewieliśmy i przyda nam się odświeżenie niektórych umiejętności. Wiem, że pewnie wiele osób wciąż marudzi, ale uważam, że wszyscy dobrze na tym wyjdziemy.

- Dziękuję. - Kathryn uniosła lekko brwi. - Szczerze mówiąc spodziewałam się, że trafi do mnie przez to stos rezygnacji.

Tadri puściła do niej oko.

- Kilka może jeszcze dostaniesz.

- Oby tylko te, co trzeba - Andrew wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kathryn i Tadri spojrzali po sobie, jakby Andrew w jakiś sposób wiedział, kto sprawia problemy w ich departamencie. Obie wybuchnęły śmiechem.

Czterooosobowa grupka Kathryn dotarła na grzbiet około siódmej rano. Dwie godziny później Pierre ustawiał jeden z sejsmografów, podczas gdy Kathryn i Tadri mierzyły szerokość, głębokość i poziome przesunięcie szczeliny wywołanej trzęsieniem ziemi. Andrew szedł z przodu, rozglądając się po podłożu za oznakami pęknięć lub słabych punktów w lodzie. Kilku członkom innych zespołów zdarzyło się upaść - skończyło się tylko na drobnych urazach, ale zapadnięcie się lodu pod stopami mogło z łatwością prowadzić do czegoś dużo gorszego, poczynając od uszkodzenia kostki albo otwartego złamania, a kończąc na zapadlisku, spod którego trudno byłoby kogoś wyciągnąć, o ile w ogóle byłoby to możliwe. Jak na ironię zdecydowana większość zgonów w odległych rejonach Antarktydy powodowana była przez drobne obrażenia, które uniemożliwiały ofiarom dotarcie w porę do schronienia. Tę lekcję wszyscy przewodnicy systematycznie wbijali do głów ludziom Kathryn od pierwszego dnia wyprawy.

Dwie kobiety podeszły do brzegu wielkiego pęknięcia i spojrzaly w dół, na dno najgłębszej szczeliny, jaką kiedykolwiek widziały. Zgadywały, że sięgała w dół blisko piętnaście metrów. Posuwały się wzdłuż krawędzi ostrożnie, drobnymi kroczkami, świadome faktu, że ta często bywała niestabilna. Tadri przyklękła i ustawiła małe laserowe urządzenie, czując się, jakby robiła to po raz tysięczny. Włączyła je i patrzyła jak jasna czerwona linia rozciąga się na drugą stronę rozpadliny. Następnie obróciła niewielkie koło na samym dole, powoli regulując kąt padania lasera, dopóki jasny punkt nie ukazał się na skraju przeciwległej ściany. Tadri odczytała liczbę na wyświetlaczu.

- Trzydzieści metrów, dwadzieścia dziewięć centymetrów i cztery milimetry.

Stojąca za nią Kathryn wprowadziła wyniki pomiarów do dużego przenośnego urządzenia, które natychmiast zapisało ich współrzędne GPS.

Następnie Tadri skierowała drugi laser w dół, celując w dno szczeliny.

- Szesnaście metrów, dwadzieścia trzy centymetry i dwa milimetry.

Kathryn wprowadziła liczby i zmarszczyła brwi. Wcisnęła guzik, aby urządzenie pokazało wszystkie pomiary w formie arkusza kalkulacyjnego. Kiedy przebiegała wzrokiem listę, coś przykuło jej uwagę.

- Hmm.

Tadri wstała i odwróciła się.

- Co się dzieje?

- Zauważyłaś jakąś tendencję w miarę, jak przemieszczamy się na południe?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Jest coraz głębiej, prawda?

Kathryn skinęła głową.

- To niedobrze - stwierdziła Tadri. - Skoro im dalej idziemy, tym jest głębiej, to bardzo mało prawdopodobne, że to tylko powierzchowne pęknięcie, i...

- I przechodzi na wskroś przez lodowiec - dokończyła Kathryn.

Kilkaset metrów dalej Pierre skończył mocować ostatnią nogę swojego Sat-Quake'a. Wstał i otrzepał lód z kolan. Spojrzał na resztę grupy i zaczął już się odwracać, kiedy coś przykuło jego wzrok. Zerknął z powrotem w dół, na sejsmograf. Czerwona lampka na czubku świeciła się. Pierre wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym sięgnął i wcisnął przycisk reset. Światelko zgasło. Skinął głową i podniósł swoją torbę. Odwrócił się i przeszedł kilka kroków, po czym znów przystanął. Obejrzał się na urządzenie. Czerwona lampka znów była zapalona.

Pierre sięgnął po swoje walkie-talkie i podniósł je do ust. Wcisnął przycisk nadawania.

- Hej, Kathryn, jesteś tam?

Kathryn usłyszała jego głos na wysokości swojego biodra i chwyciła krótkofalówkę. Skierowała wzrok na Pierre'a, który był doskonale widoczny, ale pozostawał daleko poza zasięgiem głosu.

- Mów, Pierre.

- Chyba mamy tu felernego Sat-Quake'a - powiedział.

- Co z nim nie tak?

- Lampka ostrzegawcza ciągle się zapala. - Rozejrzał się, zataczając wzrokiem pełny okrąg. - Albo nie działa, jak trzeba, albo czujnik jest zdecydowanie zbyt wrażliwy. Nie ma tu nic, co mógłby wykrywać.

- Próbowałeś go zresetować?

- Tak - odparł Pierre. Ponownie wcisnął reset i patrzył, jak lampka gaśnie. Po kilku sekundach znów się zaświeciła. - Właśnie spróbowałem jeszcze raz. Wciąż to samo. - Obejrzał się w kierunku, z którego przyszli.

- Z żadnym z pozostałych nie było takich problemów.

- Synchronizuje się prawidłowo z satelitą? - zapytała Kathryn.

- Na to wygląda. Diody baterii i łącza satelitarne są zielone.

- To dziwne - powiedziała. - Ciekawe, w czym rzecz.

- Pojęcia nie mam. Co powinienem zrobić?

- Zostaw jak jest. Zanutuję, że są z nim problemy. Bierz skuter i przyjeżdżaj.

- Już się robi, tylko coś przekąszę. Do zobaczenia za chwilę. - Odwiesił walkie-talkie, przyklęknął i zaczął grzebać w torbie za batonikiem energetycznym.

Kathryn patrzyła z odległości na Pierre'a gmerającego w torbie. Spojrzała w dół na Tadri, która właśnie składała laser. - Wygląda na to, że mamy uszkodzony sejsmograf.

- Chyba prędzej czy później musiało się tak zdarzyć. - Tadri złożyła nóżki urządzenia i wsunęła je z powrotem do grubego worka.

- Pewnie tak. Chociaż one są raczej niezawodne. Nie pamiętam, kiedy ostatnio trafił się...

Tadri odwróciła się, żeby zobaczyć, czemu jej przełożona przestała mówić, i ujrzała ją wpatrującą się w Pierre'a. Kathryn przeniosła na nią wzrok i powoli z powrotem uniosła swoje walkie-talkie. Przyłożyła je do ust i ostrożnie wcisnęła guzik.

- Pierre. Słyszysz mnie? - Czekając na odpowiedź, rzuciła drugiej kobiecie zmartwione spojrzenie. Tadri nagle otworzyła szeroko oczy.

- Tak, Kathryn. Mów - rozbrzmiał głos Pierre'a.

- Pierre, odsuń się od krawędzi.

- Co?

Kathryn ścisnęła w dłoni niewielki nadajnik.

- Odsuń się stamtąd!

- Po co? - zapytał.

Spojrzała na Tadri i znów przycisnęła guzik nadawania.

- To urządzenie może nie być zepsute.

Pierre usłyszał jej głos i odwrócił się w ich stronę. Zanim zdążył

odpowiedzieć, lód pod ich stopami zaczął się trząść.

Oczy Kathryn rozszerzyły się. Spojrzała pod nogi, a potem znów na Tadri. Wstrząsy się nasiliły, a dwie kobiety zachwiały się i przytrzymały siebie nawzajem, aby nie upaść.

- UCIEKAJ! - krzyknęła.

Tadri upadła na ziemię i szybko obróciła się, brnąc dalej na czworakach, podczas gdy Kathryn rozglądała się za Pierrem. Zniknął za grubą ścianą białego lodowego pyłu unoszącego się z pęknięć przesywających zamarznęte podłoże. Kathryn uniosła walkie-talkie do ust, rozpaczliwie próbując utrzymać się na nogach.

- Pierre?! - wołała. Usiłowała dostrzec coś przez gęsty tuman. - Pierre! - Huk trzęsienia rozbrzmiewał wszędzie dookoła. Przyłożyła niewielkie urządzenie do ucha. Nie było odpowiedzi. Znów wcisnęła przycisk i krzyknęła tak głośno, jak potrafiła. - PIERRE!

Nagle para silnych rąk ścisnęła tył jej parki niczym imadło. Kathryn upadła na ziemię, spojrzała w górę i ujrzała Andrew ciągnącego ją za sobą, jak najdalej od poszerzającego się pęknięcia w podłożu. Człapał przed siebie, chwiejąc się z boku na bok, z trudem usiłując utrzymać się na nogach mimo gwałtownych wstrząsów. Po około dziesięciu metrach w końcu stracił równowagę i upadł na ziemię, ale wciąż brnął naprzód, wlokąc Kathryn za sobą.

Wszystko zdawało się dziać w zwolnionym tempie. Kathryn kopała w lodowe podłoże, usiłując przepchnąć ich dalej. Widziała jak miejsce, w którym dopiero co stali, nagle pęka i zapada się w powstałą właśnie przepaść, powoli zbliżającą się ku nim. Odwróciła się od krawędzi i zgięła w pół, opadając na dłonie i kolana w desperackiej próbie odejścia jak najdalej. Podążyła za Andrew w stronę Tadri, która była przed nimi, również na czworakach. Kathryn zauważyła coś, co dopiero później do niej dotarło. Podczas ich rozpaczliwej ucieczki twarz Andrew zdawała się dziwnie spokojna, kiedy przeszukiwał wzrokiem przestrzeń wokół nich i za ich plecami. Jak do licha był w stanie zachować takie skupienie?

Wreszcie wstrząsy ustąpiły i podłoże stopniowo znieruchomiało. Wciąż siedzieli na ziemi, oddychając ciężko, otoczeni mgłą powstałą z rozłamu ogromnego obszaru szelfu. Szczelina przed nimi była ledwie widoczna poprzez gęstą białą kurtynę, ale zdawała się zastraszająco szeroka. Kathryn przypatrywała się jej na tyle, na ile była w stanie, kiedy zdała sobie sprawę,

że Andrew obmacuje ją i odwraca z boku na bok. Gdy upewnił się, że nie doznała obrażeń, szybko podszedł do Tadri i zrobił z nią to samo.

Po chwili wrócił do Kathryn i wyciągnął jej z dłoni walkie-talkie. Przyciskając duży guzik, zawołał Pierre'a.

- Pierre, stary, jesteś tam? - Odsunął urządzenie od ust i nasłuchiwał. Po długiej przerwie potrząsnął głową. Szarpnięciem zerwał z szyi gwizdek na sznurku i upuścił jej na kolana. - Czekaście tutaj - powiedział, wbijając wzrok w gęstą mgłę. Nie mówiąc nic więcej, wyciągnął z kieszeni kurtki mały cyfrowy kompas, uniósł go na moment, po czym zniknął wśród bieli.

Kobiety siedziały nieruchomo, nasłuchując oddalających się kroków Andrew. Po dłuższej chwili Tadri przysunęła się do Kathryn i wsunęła rękę pod jej ramię. Skuliły się razem. Martwiły się przede wszystkim o Pierre'a, ale myśli Kathryn prędko zaczęły wybiegać też ku reszcie zespołu. Wielu ludzi było tu przez nią i każdy z nich mógł paść ofiarą trzęsienia. Jezu, może nawet wszyscy. Nagle poczuła w piersi ciężar, a jej lęk przerodził się w paralizującą mieszaninę przerażenia i poczucia winy.

Trzymająca ją za ramię Tadri poczuła, jak Kathryn zaczyna się trząść i odwróciła się w jej stronę.

- Wszystko w porządku?

Kathryn spojrzała na Tadri bezradnie. Powoli pokręciła głową.

- Pozostali. - Umilkła, ponownie kierując spojrzenie w mgłę, rozpaczliwie próbując przeniknąć ją wzrokiem.

Tadri chwyciła jej dłoń i mocno ścisnęła.

- Na pewno nikomu nic się nie stało, Kathryn! Jestem pewna, że udało im się uciec, tak jak nam. - Przełożona znów spojrzała na nią. - Pierre'owi też.

Kathryn nie była tego taka pewna. Myślała o tym, jak szybko i łatwo kruszyły się brzegi rozpadliny. Musiała się tego dowiedzieć. Obejrzała się, chcąc poszukać swojej dużej torby, w której miała radio dalekiego zasięgu, ale gęsta, biała mgła przesunęła się już dalej i spowiła cały obszar. Kathryn zaczęła się obracać; Tadri przytrzymała ją mocno.

- Co robisz?

- Muszę się dostać do mojej torby i skontaktować z innymi zespołami.

Tadri obejrzała się.

- Widzisz swoją torbę?

Kathryn uśmiechnęła się krzywo i wskazała ręką.

- Jest tam, jakieś dziesięć metrów stąd.

- Jesteś pewna?

Kathryn skinęła głową ze zniecierpliwieniem.

- Tak!

Tadri wpatrywała się w nią w milczeniu. Kathryn zrozumiała i rozejrzała się wokół. Przez otaczającą je mgłę nie dało się już niczego dostrzec.

- W każdym razie jestem pewna, że tam leży.

Tadri wciąż trzymała ją mocno za ramię.

- Wiesz w ogóle, w którą stronę patrzysz? Bo ja nie!

Kathryn znów się rozejrzała, rozważając pytanie.

- Nie. - Westchnęła, opadając z powrotem na ziemię.

Tadri podniosła wzrok. Nawet niebo było białe.

- Proponuję zaczekać, aż Andrew wróci, albo aż będziemy w stanie faktycznie coś zobaczyć.

Zdawało im się, że siedzą tam już od paru godzin, zanim wreszcie usłyszały w oddali chrzęst kroków na lodzie. Poderwały się na nogi z przejściem. Potrwało niemal minutę, zanim Andrew wyłonił się z mgły. Uśmiechnęły się do niego, ale zdały sobie sprawę, że nie odwzajemnia uśmiechu. Stał przed nimi i przerzucił przez ramię coś dużego, co wylądowało u ich stóp. Była to torba Pierre'a.

Kathryn otwierała szeroko oczy, obawiając się tego, co miało teraz nastąpić.

- Nie mogę go znaleźć.

Natychmiast poczuła się, jakby ktoś uderzył ją młotkiem w pierś.

- Przypuszczam, że wpadł w rozpadlinę. Był niedaleko, kiedy się zaczęło. - Andrew przyklęknął i rozpiął torbę. Przejrzał szybko jej zawartość.

- C-co teraz zrobimy? - zapytała.

- Pozbieramy swoje rzeczy i wrócimy go poszukać. Nie słyszałem nic, kiedy go wołałem, ale nie mam zamiaru się poddać. Bierzcie torby. - Spojrzał na kompas. - Są tylko kilka metrów w tę stronę. - Kiedy wskazał ręką, Kathryn zauważyła, że nie był to kierunek, w którym zamierzała iść wcześniej. - Potrzebujemy naszego ekwipunku i tyle liny, ile zdołamy znaleźć. Trochę powinno być na drugim skuterze. Mam nadzieję, że to co jest na obu wystarczy.

Obie kobiety ruszyły niepewnie w kierunku, który wskazał Andrew, ale odwróciły się, niezdecydowane. Skinął głową, wciąż kucając i zaglądając do torby.

- Wróćcie do mnie podążając za dźwiękiem. Wszystko będzie dobrze.

Andrew szedł pieszo na przódzie, a Kathryn i Tadri jechały za nim powoli na swoim skuterze śnieżnym. Widoczność poprawiała się i kiedy dotarli bliżej, zdołali dostrzec zarys drugiego pojazdu z odległości niemal dziesięciu metrów. Część jego przednich płóz zwisała ponad krawędzią stromego urwiska, ale, o dziwo, nie spadł. Andrew szybko związał końce skuterów liną. Kathryn powoli zwalniała przepustnicę, odciągając drugi pojazd znad krawędzi.

Andrew stanął ostrożnie na brzegu i zajrzał w głęboką, białą otchłań. Dostrzegął w dole wierzchołki ogromnych kawałów lodu, ale nic poza tym.

- Pieeerre! - zawołał i przez chwilę nasłuchiwał. - Pieeeeeeeerre! - Słyszeli tylko otaczającą ich ciszę.

Andrew zmienił liny przywiązane do skuterów, tak że teraz do każdego przyczepiony był osobny kawałek sznura. Pociągnął każdy z nich mocno, upewniając się, że maszyny ani drgną.

- Co robisz? - zapytała Kathryn.

- Schodzę.

- Co? Nawet nie wiesz, jak tam jest głęboko!

Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

- Słuchaj... Kathryn, jego tam najpewniej zasypało, co oznacza, że nie mamy dużo czasu. Prawdopodobnie już jest za późno. Ale teraz albo nigdy. - Wskazał na skutery śnieżne. - Musicie na nich usiąść i pilnować, żeby stały w miejscu.

Obie kobiety skinęły i wdrapały się na siedzenia, sadowiąc się na nich tyłem. Kathryn chwyciła swoją torbę i wyjęła z niej radio.

- Nie!

Spojrzała na Andrew.

- Co? Musimy sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało. Oni też mogą potrzebować pomocy!

- Jeśli tak, to moi koledzy robią dokładnie to samo, co ja. Poza tym nie powinniśmy hałasować, jeśli Pierre woła o pomoc spod metrowej warstwy śniegu. - Przeciągnął sobie sznury przez pasek i przygotował się do zejścia. Ustawił się stopami przy krawędzi i obejrzał do tyłu na kobiety.

- Zaraz wracam.

29

Claya zbudził ze snu dzwonek telefonu. Otworzył jedno oko i zerknął na rozświetlony ekran. Po chwili potrzebnej, żeby trochę oprzytomnieć, odebrał.

- Borger. Jak leci?

- Hej, Clay, obudziłem cię?

- Nie - odpowiedział, a dopiero potem zastanowił się nad pytaniem. - W sumie to tak, ale mów.

- Musimy zwołać następne spotkanie.

Clay potarł twarz rękami i usiadł na łóżku.

- Najpierw powiedz to mnie.

Borger milczał przez chwilę po drugiej stronie linii.

- To nie jest to, co myśleliśmy, Clay.

- Co masz na myśli?

- To coś gorszego. - Borger westchnął. - Uważam, że to nie jest rozmowa na telefon. Potrzebna nam zabezpieczona linia. Zacznijmy może od Langforda.

Clay skinął głową.

- Dobra, trzymaj się. Znajdę jego i Caesare. - Przerwał połączenie i przez dobrą minutę wpatrywał się w telefon. Podniósł wzrok i rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu. Po przebudzeniu kilka sekund zajęło mu, zanim przypomniał sobie, gdzie się znajduje. On i Caesare, razem z paroma ludźmi Emersona oraz Tritonem, zostali zeszłej nocy przewiezieni helikopterem do NAS JAX. Po dostarczeniu batyskafu do laboratorium wydobyli z niego dysk twardy i podłączyli go do komputera, żeby przesłać dane Borgerowi. Cały proces zajął kilka godzin, ale kiedy Borger miał już pliki, zaproponował, żeby wszyscy pozostali trochę odpoczęli, podczas gdy on będzie przeglądał ich zawartość. Nie trzeba im tego było dwa razy powtarzać. Załatwili jakieś kwatery przeznaczone dla odwiedzających cywili i uderzyli w kimono. Było to trochę ponad cztery godziny temu. Teraz zegar pokazywał czwartą

trzydzieści rano, a on musiał znaleźć Langforda, żeby zorganizować wideokonferencję. Odszukanie Caesare było proste - słyszał przez ścianę jego chrapanie.

Piętnaście minut później Langford, jako ostatni z czterech mężczyzn, dołączył się do rozmowy. Nie tracił czasu.

- Co masz, Will?

- Cóż, właśnie rozmawiałem przez telefon z doktorem Hardingiem z MIT. Przez ostatnie dwie godziny badaliśmy dane z dysku twardego, które przesłali Clay i Caesare. Triton zarejestrował dwanaście godzin i pięćdziesiąt dwie minuty filmu po tym, jak stracił łączność ze statkiem i powoli opadał w dół zataczając koncentryczne kręgi, dopóki nie uderzył w dno. Większość nagrania niczego nie wnosi, bo pokazuje rzeczy powyżej batyskafu, takie jak powierzchnia oceanu i statek.

- Dobrze, to o czym mamy tutaj rozmawiać? - przerwał Langford.

- Sir, przez większość czasu obiektów był skierowany w górę, ale poprosiłem Claya o zwołanie tego spotkania z powodu fragmentów, na których widać co było pod batyskafem. - Zawahał się przez moment, po czym ciągnął. - Kamera Tritona filmuje w ultrawysokiej rozdzielczości, rejestrując obraz dużo bardziej szczegółowy niż ten, który przesyła bezprzewodowo, czyli to, co widzieliśmy przedtem. W nowym nagraniu pierścień widać dużo wyraźniej. Jego cechy fizyczne przewyższają nasze wcześniejsze szacunki. Na przykład jest szerszy niż myślałem i chyba porusza się szybciej, niż wyliczaliśmy.

- I co to zmienia? - zapytał Langford.

- Akurat te obserwacje nie zmieniają zbytnio naszych wcześniejszych założeń. Jeśli już, to tylko sugerują, że pierścień prawdopodobnie potrzebuje więcej mocy niż sądziliśmy. Ale to, co jest wewnątrz tego kręgu, zmienia wszystko.

- Wewnątrz kręgu?

- Tak, sir. - Borger kontynuował. - Możemy zobaczyć, co jest wewnątrz obwodu pierścienia i wyciągnąć z tego pewne wnioski, zwłaszcza dotyczące kierunku.

Teraz odezwał się Clay.

- Co to znaczy?

- Zdaje się, że podczas poprzedniej wideokonferencji padło stwierdzenie, że ci... ludzie planują coś sprowadzić przez ten pierścień.

Clay i Caesare spojrzeli po sobie z przeciwnych stron stołu. To nie było ich stwierdzenie, tylko Stevasa. Byli pewni, że Langford myślał o tym samym, kiedy rozległ się jego głos.

- Zgadza się.

- Sir, wydaje mi się, że jest na odwrót. Oni nie chcą tu niczego sprowadzać, tylko... wygląda na to, że przesyłają coś stąd.

Zapadła długa cisza, zanim Langford odpowiedział.

- No dobrze, daj mi trochę czasu, żeby wszystkich obudzić.

Sekretarz obrony Miller, szef sztabu Mason i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Stevas pojawili się na ekranie w przeciągu trzydziestu minut. Kilka chwil później pokazała się też transmisja wideo z sali narad w Pentagonie, gdzie zebrali się czterej szefowie połączonych sztabów. W prawym dolnym rogu widać było w oknach Langforda i Borgera, którzy, podobnie jak Clay i Caesare, byli już na linii, w transmisji z sali konferencyjnej NAS JAX. Profesorowie Harding i Wong dołączyli właśnie, kiedy Langford zaczął mówić.

- Panowie, mamy nowe wieści w oparciu o informacje pozyskane z batyskafu Triton. Dane zostały zweryfikowane zarówno przez pana Borgera, jak i przez profesora Hardinga i jego zespół z MIT. Nagranie zostało zarejestrowane w wysokiej jakości i dostarczyło nam nowych informacji na temat pierścienia. - Urwał na moment. - Być może mamy tu do czynienia z poważniejszym problemem.

- Poważniejszym niż globalna inwazja? - zapytał Stevas z sarkazmem.

- Sam pan to osądzi - odparł Langford. - Za chwilę przekażę głos panu Borgerowi, żeby opowiedział o szczegółach, ale ogólnie chodzi o to, że najwyraźniej portal działa nie w tę stronę, co sądziliśmy. Problem nie leży w tym, co może do nas z niego wejść, ale w tym, co może przez niego wyjść.

- Wyjść? - oczy Millera zwięzły się. - Jak to wyjść?

- Uważamy, że to tunel w jedną stronę - powiedział Borger. - A prowadzi ewidentnie nie do nas, tylko na zewnątrz.

Miller spojrział na siedzących obok niego Masona i Stevasa, po czym z powrotem na ekran.

- A co takiego przez niego wychodzi?

- Wygląda na to - odparł Borger - że woda.

- Słucham?

Borger odetchnął głęboko.

- Kamera batyskafu jest bardzo wysokiej jakości i jestem pewien tego, co pokazuje, a pokazuje ogromne ilości wody wpływające do pierścienia. - Ostrożnie dobrał słowa, zanim znów się odezwał. - Myślę, że delfiny miały rację. Chodzi im o wodę, w takim sensie, że ją nam zabierają.

Przez ułamek sekundy Clay myślał, że obraz wideo się zaciął, bo zdawało się, że wszyscy zastygli bez ruchu. Jednak kiedy Stevas nachylił się do przodu, okazało się, że z transmisją było wszystko w porządku. Po prostu wszyscy zareagowali w ten sam sposób.

- Chce nam pan powiedzieć, że ten pierścień w rzeczywistości służy do kradzieży naszej wody?

Borger rozważył dokładnie pytanie Stevasa.

- No, wielu rzeczy jeszcze nie wiemy... ale zdecydowanie wygląda na to, że portal prowadzi tylko w jedną stronę.

- Panie Harding - powiedział Miller - czy podziela pan ten osąd?

Harding skinął głową do kamery.

- Obawiam się, że tak.

- Czy istnieje możliwość, że jesteśmy w błędzie?

- Tak, to możliwe. Jak już mówiłem, wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. Ale tego co już odkryliśmy i udało nam się zweryfikować... tego jesteśmy pewni.

- Ekran nagle wypełniło doskonałej jakości nagranie przedstawiające pierścień, wyświetlane z komputera Borgera. Odtwarzał je w zwolnionym tempie i objaśniał. - Silny prąd wody, nawet w oceanie, tworzy zniekształcenia optyczne, które da się zmierzyć. Następnie możemy je wykorzystać w obliczeniach. - Zaznaczył czerwonymi okręgami kilka obszarów na obrazie wideo. - Są też inne wyznaczniki, takie jak wzorce ruchu otaczającej roślinności i osadów, oraz kierunek przepływu wody wewnątrz pierścienia, a także bardziej subtelne poszlaki optyczne, z których wszystkie da się zmierzyć ze stosunkowo wysokim stopniem dokładności.

- O jakiej ilości wody mówimy? - zapytał Miller.

- Nie jesteśmy pewni. Profesor Harding i jego zespół pracują nad tym, ale nasz wstępny szacunek to... cholernie dużo.

- Robi się coraz ciekawiej - stwierdził Miller, kręcąc głową. - I nie wiemy, dokąd ten portal prowadzi?

Borger zmarszczył brwi.

- Prawdopodobnie na inną planetę.

Sekretarz obrony wciąż kręcił głową.

- A jeśli tracimy „cholernie dużo wody”, dlaczego żaden z dziesiątków tysięcy naukowców na całym świecie tego nie zauważył, tylko dwa delfiny?

Nikt nie odpowiedział.

Miller wbił wzrok w Stevasa, który siedział naprzeciwko.

- A może ktoś jednak zauważył.

Doradca odwzajemnił spojrzenie, ale nic nie powiedział.

- No dobrze - powiedział Miller, odwracając się z powrotem w stronę ekranu. - Pan Mason obudzi prezydenta i wiceprezydenta. - Spojrzał na zegarek. - Spotkamy się wszyscy w JAX. - Znowś spojrzał na Stevasa. - Wygląda na to, że miał pan rację, Clay. A teraz, zanim zacznie się pan tym napawać, proszę znaleźć Keistera.

30

Kathryn siedziała na ziemi, trzymając głowę między kolanami przyciągniętymi do piersi. Duże podręczne radio leżało przy niej na lodzie, nie wydając żadnego dźwięku. Tadri siedziała obok, obejmując ją ramieniem. Kathryn uniosła głowę tylko na moment, żeby otrzeć łzy. Była zdruzgotana. Pierre zaginął. Andrew szukał go ponad godzinę, ale nie znalazł żadnego śladu... niczego nie wypatrzył ani nie usłyszał. Sądząc z tego, jak głęboka była przepaść, Pierre leżał teraz prawdopodobnie zagrzebany pod co najmniej sześciometrową warstwą lodu.

Jeszcze gorsze były wieści od pozostałych zespołów. Po powrocie Andrew dowiedzieli się, że sześć innych osób także runęło w dół i przepadło. Tak jak zapewniał, wszyscy pozostali przewodnicy ruszyli za nimi, ale tylko dwoje ludzi udało się wydostać żywych. Odnaleziono trzy ciała; czterech, wliczając Pierre'a, nie udało się odnaleźć.

Kathryn pomyślała, że gorzej już być nie mogło. To wszystko jej wina. Siedem osób zginęło przez nią. To ona ich tu sprowadziła, praktycznie zmusiła do przyjazdu, a po co? Tylko po to, żeby pokazać tym sukinsynom w Waszyngtonie!

Andrew skończył przywiązywać ich sprzęt do skuterów śnieżnych i podszedł do niej oraz Tadri.

- Wszystko gotowe.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Chwyliła go za rękę, a on pomógł jej wstać.

Z radia dobiegł czyjś głos. Andrew schylił się, żeby je podnieść. Cała trójka wysłuchiwała krótkiej rozmowy.

- Baza, tu dziewiątka. Ruszamy i kierujemy się do punktu spotkania. Odbiór.

Odpowiedź przyszła natychmiast.

- Zrozumiałem, dziewiątka. Przypuszczalny czas lądowania u was za około

dwie godziny dwadzieścia minut. - Kathryn poznała, że drugi głos należał do Steve'a Andersona, dowódcy Andrew i szefa niewielkiego nowozelandzkiego zespołu badawczego stacjonującego w McMurdo.

Kiedy Andrew wrócił z poszukiwań Pierre'a, to właśnie Andersonowi przekazał ponure wieści. Pozostali przewodnicy zrobili to samo, a z każdą ofiarą śmiertelną zgłoszoną przez radio Kathryn czuła coraz większy ucisk w piersi.

- Jesteście gotowe? - zapytał ją i Tadri Andrew.

Przytaknęła z bólem. Przewodnik uniósł radio do ust.

- Dziesiątka gotowa do wyjazdu.

- Zrozumiałem, dziesiątka. Powinniśmy być na miejscu spotkania za około trzy godziny.

- Przyjąłem. Bez odbioru. - Andrew opuścił radio i przypiął je do grubego, nylonowego pasa. Ponownie zlustrował wzrokiem otoczenie, po czym odwrócił się z powrotem do kobiet, podążając wzrokiem za ich spojrzeniem ku gigantycznemu pęknięciu w lodzie. Większość białej mgły rozwiała się i dało się teraz zobaczyć zapierający dech w piersiach ogrom skutków drugiego trzęsienia. Do tego bolesna była świadomość, że jeden z członków ich grupy pozostanie tu, pogrzebany pod lodem. Andrew podszedł do głównego skutera i czekał.

Kathryn długo wpatrywała się w miejsce, w którym po raz ostatni widziała Pierre'a. Im dłużej patrzyła, tym trudniej było się odwrócić. To tutaj. To była strefa zero jej decyzji, którą ludzie przypłacili życiem. Przez nią nigdy już nie wrócą do domu.

Poczuła na ramieniu dłoń Tadri i odwróciła się ku niej. Żadna z nich nic nie powiedziała. Odwróciły się tylko razem i wróciły do skuterów. Kathryn w milczeniu usiadła za Andrew, a Tadri wdrapała się na drugą maszynę. Zapalili silniki i powoli ruszyli.

Od miejsca spotkania dzieliło ich około pięćdziesięciu kilometrów jazdy po płaskim, oblodzonym terenie. Trzęsienie było tak potężne, że czujniki sejsmiczne wciąż jeszcze rejestrowały wstrząsy wtórne. Chociaż Anderson i jego piloci wylecieli już kilka minut po pierwszych raportach, nie wiedzieli jak głębokie było pęknięcie i ostatnia rzecz jakiej potrzebowali to lądowanie

przy nim kilkoma wielkimi, głośnymi samolotami. Zamiast tego zidentyfikowali dziesięć różnych miejsc, w które każdy zespół był w stanie dotrzeć z pozostałymi mu ludźmi, zapasami i paliwem. Ryzyko było niewielkie, ale ludzie Andersona i tak nie zamierzali go podejmować.

Podłoże było zdradliwe, ale mimo to systematycznie parli do przodu. Andrew i obydwie kobiety ostrożnie lawirowali pomiędzy zapadlinami i wyrwami w lodzie, unikając niebezpieczeństwa. Do celu dotarli prawie czterdzieści pięć minut przed umówionym czasem. Andrew otworzył torbę i zaproponował Kathryn i Tadri, żeby w czasie oczekiwania coś zjadły, ale obie odmówiły. Zamiast tego usiadły przy rozgrzanym silniku jego skutera, szukając osłony przed wzmagającym się wiatrem. Niebawem Andrew do nich dołączył. Siedzieli razem w milczeniu przez godzinę, zanim w końcu dobiegły ich z oddali odgłosy samolotu.

Kilka kilometrów dalej, na jasnym niebie, ukazał się znajomy srebrzysty połysk C130. Andrew sięgnął do torby i wyjął flarę. Odszedł kawałek i odpalił małą rurkę, która zaczęła pluć gęstym, czerwonym dymem, odwiewanym prędko przez zimny wiatr. Kiedy Andrew dotarł do płaskiego obszaru wyznaczonego na prowizoryczne lądowisko, odrzucił flarę na lód tak daleko, jak potrafił, po czym zawrócił do Kathryn i Tadri. Razem patrzyli, jak wielki samolot nachyla się lekko w stronę sygnału dymnego. Silniki zwolniły, kiedy maszyna zaczęła obniżać lot. Następnie z dołu wysunęło się podwozie, jakby jakiś ogromny ptak rozprostowywał nogi.

Kiedy pozostało już tylko kilkaset metrów, samolot wyrównał lot i przeleciał nad nimi, pozwalając pilotowi ocenić powierzchnię lodowego podłoża. Chwilę później z radia dobiegł głos Andersona.

- Lądowisko wydaje się do przyjęcia. Bądźcie gotowi do lądowania.

Samolot zatoczył wielkie koło i zbliżył się ponownie z tej samej strony, lecąc pod wiatr. Silniki zwolniły jeszcze bardziej i maszyna zaczęła opadać miarowo, aż osiągnęła wysokość trzech metrów nad ziemią. W końcu łagodnie przyziemiła niecały kilometr dalej, odbijając się od lodu. Silniki zawyły, kiedy ich ciąg został przekierowany do przodu, aby wyhamować samolot. Ten podskoczył i zatrzęsł się kilka razy, kiedy koła uderzyły o nierówne podłoże, aż w końcu się zatrzymał.

Andrew oraz dwie kobiety wsiedli na skutery śnieżne i ruszyli przed siebie. Skierowali się na początek pasa lądowania, a wielki samolot obrócił się powoli, kołując za nimi. Andrew zatoczył duży łuk. Zaczekał, żeby zobaczyć, gdzie ostatecznie znajdzie się ogon C130, ponownie ustawionego z wiatrem i gotowego do odlotu. Kiedy samolot się zatrzymał, specjalnie zmodyfikowany ogon odchylił się. Z tyłu samolotu hydraulicznie została opuszczona rampa, która szybko dotknęła ziemi. Andrew zbliżył się powoli i dał Kathryn znak, żeby zsiadła, po czym sam zeskoczył pozostawiając silnik na biegu jałowym.

Steven Anderson i Kyle Bassen, przewodnik zespołu ósmego, zeszli do nich po rampie. Anderson uniósł lekko brew, spoglądając na Andrew, który skinął głową i wskazał dwie kobiety. Anderson zrozumiał i podszedł prosto do Kathryn.

- Wszystko dobrze, pani Lokke? - zapytał.

Poczuła, jak nagle wzbierają w niej emocje. Zdołała się zmusić tylko do skinięcia głową.

Anderson przyjrzał się jej twarzy i zmarszczył brwi. Zaczekał chwilę, dając jej czas na uspokojenie się, choć instynkt nakazywał mu zaoferować wsparcie. Była w bardzo ciężkiej sytuacji i prawdopodobnie w pełni świadoma tego, jak prezentuje się przed swoimi ludźmi, z których część obserwowała ją teraz przez tylne wyjście samolotu. Kiedy znów się odezwał, mówił trochę wolniej.

- Reszta pani zespołu jest już w drodze do McMurdo, nie licząc tych w środku. Mamy też na pokładzie jedno z odnalezionych ciał. - Nie dało się tego powiedzieć łagodniej, ale wydawało się, że przyjęła to nieźle. - Wszystko w porządku? - zapytał.

Wzrok Kathryn stał się twardszy, jednak odpowiedziała z zaskakującą szczerością.

- Nie. Nie za bardzo.

Anderson skinął głową i wskazał na stojącego obok Kyle'a.

- Pomóc pani wejść na pokład?

Odpowiedziała dokładnie tak, jak się spodziewał.

- Nie. - Razem z Tadri przeszła obok nich i wspięła się po śliskiej rampie małymi, ostrożnymi krokami. Kiedy dotarła na górę, zajrzała do wnętrza samolotu, gdzie zastała zespół siódmy, ósmy i dziewiąty. Wszyscy skulili się w głębi, wbijając w nią spojrzenia. Pozostałe skutery śnieżne i bagaże

zostały umocowane do ścian kadłuba, zostawiając pośrodku tylko wąskie przejście.

Ona i Tadri powoli przedostały się na drugą stronę, do pozostałych. Mijając jakiś sprzęt, nagle zobaczyła kształt zawiniętego ciała i zastygła bez ruchu. Ze sprawozdań wiedziała, że to Jason, najmłodszy i najnowszy członek jej zespołu. Usłyszała za sobą Tadri i zmusiła się, żeby iść dalej.

Kiedy dotarła do przedniej części samolotu, pozostali ścisnęli się bardziej, żeby zrobić miejsce na wąskiej ławce. Wszyscy opatulili się w swoje parki, żeby się rozgrzać. Kathryn spojrzała na nich; w ich oczach dostrzegała mieszaninę współczucia, pogardy i czystego niedowierzania, że to wszystko naprawdę im się przytrafiło. Przeniosła spojrzenie na twarze Leo Torbina i Gale Preece, dwójki badaczy, którzy przebywali w stacji Halley, kiedy nastąpiło pierwsze duże trzęsienie. Gale opierała się lekko o Leo. Kathryn nie wiedziała, że mężczyzna ocalił kobiecie życie, chwytając ją i ratując przed upadkiem pod zapadający się lód, jak się przytrafiło niektórym.

Kiedy cały sprzęt był już załadowany, Anderson i pozostali weszli z powrotem na pokład i zamknęli wyjście w tylnej części maszyny. Mężczyzna pokazał uniesiony kciuk pilotom wyglądającym przez drzwi kokpitu. Chwilę później silniki ożyły z rykiem, zagłuszając wszystkie inne odgłosy wewnątrz. Samolot zatrząsł się i zaczął nabierać prędkości. Rzuciło nim coraz gwałtowniej; maszyna podskakiwała, ryjąc kołami nierówne podłoże. Wewnątrz Kathryn i jej zespół instynktownie chwytali się siebie nawzajem, dopóki samolot nie przestał się obijać i nie unióś w powietrze.

Po kilku minutach lot ustabilizował się i wyszedł do nich Anderson. Dał znak Kathryn, żeby do niego dołączyła. Wstała i przepchnęła się w jego stronę, ponownie oglądając się przez ramię na worek zawierający zwłoki Jasona. Oparła się o jedną z dwóch dużych toreb ze sprzętem obok Andersona.

- Jest coś, czego nie miałem okazji powiedzieć na zewnątrz - rzekł przyciszonym głosem.

Spojrzała na niego wyczekująco.

Obrzucił wzrokiem pozostałych i jeszcze bardziej zniżył głos.

- Nie wracamy do McMurdo.

Z zaskoczeniem uniosła brwi.

- Dokąd w takim razie lecimy?

- Wygląda na to, że ktoś wysoko postawiony w naszym rządzie miał

telefon od kogoś z waszego - powiedział, marszcząc lekko brwi. - Poproszono nas, żeby odstawić was prosto na Falklandy.

- Poproszono?

Wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że stanowczo.

- To pewnie zabrzmiało jak głupie pytanie, ale czy ten samolot doleci tak daleko z całym tym ekwipunkiem na pokładzie?

- Ledwo.

- No cóż - powiedziała, oglądając się na pozostałych członków zespołu. - Nikt chyba nie będzie narzekał, że prędzej wrócimy do cywilizacji.

Skinął głową.

- Racja. Pomyślałem tylko, że powinna pani wiedzieć. Podobno kiedy wylądujemy, będzie już czekał inny samolot.

- Komuś chyba naprawdę się spieszy, żeby ściągnąć nas z powrotem.

Anderson potrząsnął głową.

- Nie, ten samolot nie będzie czekał na wszystkich. Jest specjalnie dla pani.

Kathryn rozbudziła się, kiedy poczuła, że samolot przechyliła się mocno na prawo. Wyrzała przez okno i zobaczyła w dole ziemię. Niektórzy z pozostałych wydawali się jeszcze bardziej niż ona podekscytowani widokiem brązowego, a nie białego podłoża. Kathryn patrzyła, jak samolot przemyka nad blisko setką małych jezior. Słońce właśnie zniknęło za zachodnim horyzontem i niebo przybierało odcień granatu. Siedzący w pobliżu człowiek Andersona przypomniał im, żeby zapięli pasy i przygotowali się do lądowania - oby spokojniejszego niż przedtem.

Lądowanie odbyło się bez niespodzianek. C130 stopniowo zwalniał, kołując po długim pasie bazy Royal Air Force. Obszar ten był w 1982 roku punktem centralnym wojny o archipelag Falklandów pomiędzy Argentyną i Wielką Brytanią. Konflikt trwał zaledwie dwa miesiące, ale kosztował życie ponad dziewięciuset argentyńskich i brytyjskich żołnierzy. Odniósłszy zwycięstwo, Brytyjczycy znacznie wzmocnili obronność wysp, szczególnie na Falklandzie Wschodnim, gdzie właśnie wylądowali.

Samolot wyhamował, a cała ekipa Kathryn ochoczo porozpinała pasy i wstała z miejsc. Powietrze, które wdarło się do środka po otwarciu bocznych

drzwi, było wyraźnie cieplejsze. Zaczekała, aż wszyscy wysiądą, zanim sama zeszła w dół po drabince. Zmierzając w stronę czekającego na nich wielkiego autobusu, Kathryn rozejrzała się i dostrzegła dwa inne samoloty, które zabrały resztę jej ludzi. Doszła do wniosku, że wszyscy musieli być już w środku, co odrobinę ją pocieszyło. Było po wszystkim, przynajmniej dla nich.

- Doktor Lokke? - zapytał stojący nieopodal brytyjski oficer.

- Tak.

Podał jej rękę.

- Kapitan Dyson. Witamy.

Kathryn patrzyła, jak drzwi autobusu zamykają się i pojazd powoli odjeżdża. Tadri spoglądała na nią przez okno ze zdziwionym wyrazem twarzy. Kathryn pomachała jej i odwróciła się.

- Dziękuję - powiedziała.

- Czeka na panią samolot do USA. Mam nadzieję, że panią uprzedzono.

- Owszem - odparła. - Uprzedzono mnie.

- Bardzo dobrze. Ten lot będzie szybszy, ale obawiam się, że mniej komfortowy. Sugeruję, żeby pani rozprostowała nogi i może skorzystała z toalety przed odlotem. Czy mogę pani w czymś pomóc? Może przynieść coś do jedzenia?

Kathryn skinęła głową.

- Tak, dziękuję. Chętnie skorzystam. To znaczy, chodzi mi o rozprostowanie nóg i łazienkę. Nie jestem za bardzo głodna.

- Rozumiem. Gdyby była pani tak miła i poszła za mną, mogę panią odwieźć. - Dyson poprowadził ją do małego SUV-a i otworzył jej drzwi. - Gdyby pani jednak zgłodniała, radzę niczego nie pić. W tym samolocie nie ma toalety.

- Dziękuję za radę. - Zamknęła drzwi i odchyliła siedzenie do tyłu.

Zaskoczył ją widok oczekującego samolotu. Jej wiedza w kwestiach wojskowych była dość ograniczona, ale mimo to rozpoznała słynny SR71 Blackbird. Maszyna ta powstała w związku z zimną wojną i zapotrzebowaniem USA na szybszy samolot zwiadowczy, po tym jak wcześniejszy model został zestrzelony przez Związek Radziecki. Kształtu SR71 nie dało się pomylić z żadnym innym. Większość obywateli Stanów

Zjednoczonych miała przez lata okazję napatrzeć się na niego na zdjęciach.

- Hm, czy ja nie czytałam, że te samoloty oficjalnie wycofano z użytku jakiś czas temu?

Dyson się uśmiechnął.

- Całkiem możliwe, że pani czytała.

Otworzył tylną pokrywę bagażnika SUV-a i wyciągnął skafander pilota w jej rozmiarze.

- Mam to założyć? - zapytała z zaskoczeniem.

- Obawiam się, że tak. Dobra wiadomość jest taka, że to bardzo szybki samolot i lot nie potrwa długo. Zła wiadomość jest taka, że będzie się pani poruszać szybciej niż prędkość dźwięku, dlatego potrzebny jest ten strój ochronny.

- Dobra, to jakiś absurd. Kto do diabła potrzebuje mnie z powrotem tak szybko, że muszę nosić strój ochronny wewnątrz samolotu?

Dyson bezradnie pokręcił głową.

- Niestety nie wiem, proszę pani.

- No dobrze! - Zdjęła parkę i wrzuciła ją do samolotu. Następnie ściągnęła buty, oparła się o ramię Dysona dla równowagi i wsunęła nogę do skafandra.

31

Wszyscy stali, kiedy dwanaście godzin później prezydent Carr wkroczył do podziemnej sali konferencyjnej w JAX. Wiceprezydent Edward Bailey wszedł za nim. Jego krępa budowa, przy wzroście metr siedemdziesiąt, kontrastowała z wyższą, smukłą sylwetką prezydenta. Obaj byli po pięćdziesiątce, ale kariera polityczna Bailey'a nie trwała nawet w połowie tak długo, jak Carr'a.

Prezydent stanął u szczytu stołu, a wiceprezydent po jego prawej.

- Proszę usiąść, panowie. - Ciągnął Carr na stojąco. - Dziękuję za szybkie przybycie. Właśnie zakończyłem rozmowę telefoniczną z przywódcami kilku państw: Rosji, Chin, Wielkiej Brytanii i paru innych. Poinformowałem ich o niektórych z naszych odkryć i z pewnością możecie sobie wyobrazić, że wszyscy byli dość zaskoczeni. Muszę jednak wspomnieć, że nie podałem im jeszcze wszystkich szczegółów, bo jak na razie sami próbujemy to poskładać w całość. Chcę też powiedzieć, że ONZ zbiera zespół swoich najlepszych ludzi, którzy powinni tu dotrzeć w przeciągu kilku dni. To oznacza, że sytuacja zaraz stanie się bardzo upolityczniona i bardzo skomplikowana.

- Sekretarz Miller poinformował mnie o ostatnich postępach w sprawie, które mamy tutaj omówić. Być może ciekawi was, dlaczego zebranie się zajęło nam dwanaście godzin. Powód jest taki, że dodaliśmy kilka osób do listy zaproszonych gości. Pierwszym z nich jest pan Lawrence. - Wskazał na mężczyznę siedzącego naprzeciwko Langforda. - Pan Lawrence kieruje sekcją badawczą Departamentu Energii. Jest ze sprawą na bieżąco. - Carr zerknął na zegarek. - Druga osoba właśnie przybyła i jest prowadzona do sali. Kiedy już będziemy w komplecie, chciałbym oficjalnie wszystkich przedstawić, żeby było wiadomo, kto jest kim. Pragnę także...

Urwał, bo w tym momencie drzwi sali konferencyjnej otwały się i jeden ze strażników wprowadził do środka Kathryn Lokke. Wyglądała, delikatnie mówiąc, nieporządnie. Weszła i rozejrzała się po pomieszczeniu, zaskoczona

dużą liczbą zebranych.

- Ach, pani Lokke - powitał ją Carr. - Zapraszamy. - Mason wstał i zaproponował jej swoje miejsce. - Pragnę najpierw przeprosić za pośpiech, z jakim tu panią ściągnęliśmy. Wiem, że ma pani za sobą kilka bardzo ciężkich dni. Dobrze się pani czuje? Potrzebuje pani czegoś?

Kathryn była wyczerpana i niezadowolona, że właśnie po niemal dwóch nieprzespanych dobach wrzucono ją w środek czegoś, co wyglądało jak posiedzenie rady bezpieczeństwa narodowego. Poza tym umierała z głodu, coraz bardziej bolała ją głowa i została usadzona obok Stevasa - człowieka, którego zdążyła znienawidzić.

- Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba - odparła.

Carr pokiwał głową ze współczuciem.

- Wiem, że dopiero co przeżyła pani straszne chwile. Bardzo mi przykro, że stawiam panią w niekomfortowej sytuacji, ale sądząc z tego co powiedziano mi na temat pani oraz pani zespołu, chyba się pani zgodzi, że czas nagli.

- Owszem - potwierdziła Kathryn z rezerwą.

- Niestety większość osób tu obecnych nie jest zaznajomiona z przebiegiem naszego ostatniego spotkania ani tym, co się wydarzyło od tamtej pory. Czy znajdzie pani dość sił, aby dokładnie streścić całą sytuację?

- Z chęcią - odparła, powoli wstając.

Prezydent Carr szybko obszedł stół dookoła, przedstawiając Langforda, Claya, Caesare i Borgera z wydziału śledczego marynarki, a także doktorów Hardinga i Wonga oraz Lawrence'a z Departamentu Energii. Pozostałych mężczyzn - Millera, Stevasa, Masona, Bullmana i Bishopa - spotkała już wcześniej w Białym Domu.

Kathryn rozejrzała się po pomieszczeniu i westchnęła. W drodze powrotnej miała dużo czasu na rozmyślanie. Ludzie, których znała i szanowała zginęli z powodu rozgrywek pomiędzy nią a innymi tu obecnymi. Dlatego właśnie od dwóch dni prawie nie zmrużyła oka. Nie mogła przestać myśleć o nich i ich rodzinach. A czy któremukolwiek z mężczyzn tutaj spędzało to sen z powiek?

Pochyliła głowę i wzięła głęboki oddech.

- Nazywam się Kathryn Lokke i jestem dyrektorem United States Geological Survey. Wczoraj, późnym wieczorem, siedmioro z moich kolegów zginęło w nagłym trzęsieniu ziemi u szczytu lodowca szelfowego

Ronne na Antarktydzie. Ocenialiśmy następstwa wcześniejszego trzęsienia, które przeszło przez całą długość szelfu, grożąc przemieszczeniem ogromnego lodowca. Jeśli cały ten fragment pokrywy lodowej oderwie się i wpadnie do oceanu, z pewnością wywoła najgorsze tsunami, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Prawdopodobnie zmiotłoby z powierzchni ziemi niemal całe życie na wybrzeżach po obu stronach Atlantyku.

Clay i Caesare spojrzeli na siebie bez słowa.

Kathryn obrzuciła surowym spojrzeniem tę stronę stołu, przy której siedział Stevas.

- Moi ludzie byli na lodowcu, ponieważ kiedy przedstawiłam te informacje niektórym spośród was w Białym Domu, zignorowali moje ostrzeżenie. Woleli podważyć moją wiarygodność. Cóż, teraz jesteśmy w dużo większym niebezpieczeństwie i, szczerze mówiąc, mam gdzieś co sobie o mnie myślicie. - Teraz to ludzie Carra spojrzeli po sobie. - Kolejne trzęsienie nadeszło dużo wcześniej, niż nawet ja się obawiałam, i było o wiele gorsze. Nie dość, że zginęli dobrzy ludzie, to jeszcze czas, który został nam na uporanie się z tym problemem znacznie się skrócił. Ujmę to w sposób, który wielu z was zrozumie - powiedziała z sarkazmem. - Zaglądamy właśnie prosto w lufę pistoletu. - Rozejrzała się po sali i zatrzymała wzrok na Stevasie, obrzucając go lodowatym spojrzeniem. - Nic mnie nie obchodzi, co ze mną zrobicie. Nie obchodzi mnie, co zrobicie z moją reputacją i moją karierą. Zwolnijcie mnie, jeśli chcecie. Aresztujcie. Róbcie, co chcecie, ale ja nie będę drzeć przed politykami, którzy wolą zachowywać się jak osły niż robić to, co trzeba! - W końcu oderwała wzrok od Stevasa i spojrzała na drzwi. - Możecie sobie znaleźć jakąś inną marionetkę! Ale kiedy ten koszmar stanie się faktem, będę powtarzać każdemu, kto zechce mnie wysłuchać, że część z was po prostu miała to w dupie!

Kathryn odepchnęła z drogi krzesło i ruszyła w stronę drzwi. Otworzyła je szarpnięciem i jedną nogą była już po drugiej stronie, kiedy usłyszała: „STOP!”. Odwróciła się i zobaczyła, że Carr znów stoi u szczytu stołu.

- W porządku - powiedział. - W porządku. Należało nam się. Ma pani rację, nie posłuchaliśmy. I naprawdę jest mi przykro z powodu pani kolegów. Ale teraz słuchamy. - Wskazał ręką jej krzesło. - Proszę. - Ponowił gest. - Proszę zostać.

Kathryn stała w drzwiach, zastanawiając się, czy jest w szoku - po części z

powodu tego, co właśnie powiedziała prezydentowi Stanów Zjednoczonych, a po części dlatego, że on ją naprawdę przeprosił. Kiedy ostatni raz zdarzyło się coś takiego? Była wściekła. Chciała wyjść. Ale jeśli nie myliła się co do Ronne, pozostało im bardzo niewiele czasu. Nie mogła tak po prostu odejść; musiała coś zrobić. Postarała się zapanować nad emocjami i uspokoić oddech. Nienawiść w niczym nie pomoże. Pozwoliła drzwiom powoli zamknąć się za nią i wróciła na miejsce.

Carr z wdzięcznością skinął głową, po czym usiadł. Kathryn westchnęła, pozostając na nogach.

- Gdyby rozpadła się tylko część szelfowa - zaczęła - nie byłoby wielkiego problemu. Fragmenty lodu wciąż się odłamują i unoszą na wodzie. Jednak cały lodowiec jest ogromny. To jeden z największych jednolitych fragmentów lądolodu na Antarktydzie. Jeśli cała ta masa oderwie się od lodu, który utrzymuje ją w miejscu, polecą prosto w dół, a wtedy dojdzie do przemieszczenia gigantycznej ilości wody i energii. Wiemy, że takie sytuacje zdarzały się w odległej przeszłości oraz że miały katastrofalne skutki.

Clay uniósł rękę.

- Tak? - zapytała.

- Domyśla się pani, dlaczego tak się dzieje?

Kathryn odetchnęła głęboko.

- Zdaniem niektórych to jeden ze skutków globalnego ocieplenia. Lód z obydwu biegunów topnieje. Lodowiec szelfowy Ronne jest ogromny, a lód unoszący się na powierzchni oceanu roztopia się, przez co traci wytrzymałość i nie jest w stanie utrzymać go na miejscu. - Wyprostowała się i położyła ręce na biodrach. - Ale ja uważam, że przyczyna jest inna. Sądzę, że lód co prawda faktycznie topnieje, ale nie tak szybko jak twierdzą inni, natomiast całościowa objętość wody zmniejsza się, przez co lodowiec traci oparcie, grożąc oderwaniem.

- Co ma pani na myśli przez „objętość wody zmniejsza się”? - zapytał Miller.

Wzruszyła ramionami.

- Mówiąc krótko, pod lodem jest teraz mniej wody niż wcześniej.

- A gdzie się ona podziała?

- Tego nie wiem. Sądzę jednak, że to zjawisko o globalnym zasięgu. Przedstawiłam naukowe opracowanie zawierające moje wyliczenia, ale, szczerze mówiąc, nikt mi nie uwierzył.

- A zatem - powiedział prezydent Carr - co powinniśmy zrobić?

Kathryn pochyliła się, opierając dłonie na stole i podniosła wzrok spomiędzy zmierzwionych włosów.

- Wysadzić go w powietrze.

Zebrani znów spojrzeli po sobie.

- Co wysadzić w powietrze? - zapytał wiceprezydent.

- Lodowiec szelfowy. Prewencyjnie. - Podeszła do dużej białej tablicy wiszącej na ścianie. Podniosła mazak i narysowała przybliżony zarys szelfu w kształcie litery U. Następnie dodała duży owal na wewnętrznej krawędzi, tam, gdzie znajdował się lodowiec. - Tutaj jest lodowiec. A tutaj - obrysowała wewnątrz nierówną linią - widzimy przebieg pęknięcia spowodowanego trzęsieniem ziemi. - Wzięła mazak w innym kolorze i narysowała drugą linię w pewnej odległości od pęknięcia. - Gdyby udało nam się celowo wywołać rozłam bliżej wody, powinno to wystarczająco zmniejszyć masę całości, a zatem obciążenie lodowca.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszystkie oczy skierowane były na jej rysunek.

- A jak dużą część musielibyśmy wysadzić? - zapytał Carr.

Kathryn zastanowiła się i potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Musielibyśmy przeprowadzić symulację komputerową. Przypuszczam, że co najmniej osiemdziesiąt kilometrów.

- Czy kiedykolwiek już robiono coś takiego? - spytał Miller.

- Nie - odparła. - Zwłaszcza na taką skalę.

- A jak długo potrwałyby przygotowania? - ciągnął Carr.

- Nie wiem. - Spojrzała na niego pytająco. - To zależy, jakie dostaniemy środki.

- Słusznie. - Rozejrzał się po sali. - No dobrze, dziękujemy pani. Chciałbym prosić, żeby pozostała pani w bazie na czas, kiedy będziemy zajmować się tą sprawą.

- W porządku. - Skinęła głową. - Ale co z moimi ludźmi?

Miller nachylił się do przodu.

- Na tę chwilę powinno im być całkiem wygodnie w bazie na Falklandach. Chyba wszyscy zgodzimy się, że należy unikać rozgłosu dopóki nie ustalimy dokładnie, jaki jest nasz plan działania. Niestety, jeśli zbyt szybko sprowadzimy zespół z powrotem, mogłoby to znacznie utrudnić sprawę. Pani Lokke, czy ekspedycja przyniosła jakieś informacje albo dane do

opracowania?

- Tak. Bardzo dużo.

Miller spojrział na prezydenta.

- Proponuję zatrzymać ich tam, gdzie są i dać w międzyczasie zadanie do wykonania. Opracowanie danych wydaje się sensowne. Później pani Lokke może ich wprowadzić w następny etap, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Carr spojrział na Kathryn.

- Ma pani coś przeciwko?

- Nie. Byle tylko byli bezpieczni.

- Będą mieli dostęp do wszystkiego, czego im potrzeba - powiedział Miller. - Oczywiście rozumie pani, że będziemy musieli nałożyć pewne ograniczenia, jeśli chodzi o komunikację. Na przykład z rodziną i przyjaciółmi.

- Rozumiem - odparła. - Ale chcę być z nimi szczerą. Należy im się to. To dorośli, odpowiedzialni ludzie. Po tym co właśnie przeszliśmy, będą w stanie zrozumieć niebezpieczeństwo i ryzyko związane z tą sprawą.

- Dobrze - Carr skinął głową. - Uzgodnijmy tylko wspólnie, co im pani przekaże. Tymczasem należy się pani trochę odpoczynku. Przygotowaliśmy dla pani zakwaterowanie, a sierżant czekający na zewnątrz dostarczy pani wszystko co będzie potrzebne. Łącznie z porządnym posiłkiem, bo przypuszczam, że bardzo by się pani przydał.

Kathryn poprawiła koszulę i założyła sobie kosmyk włosów za ucho.

- Owszem.

Clay zauważył, że wyglądała teraz na znacznie spokojniejszą. Wydała mu się też nagle bardzo zmęczona.

Kiedy ruszyła w stronę wyjścia, wszyscy w pomieszczeniu wstali.

- Dziękuję - powiedziała tylko, zanim otworzyła drzwi i opuściła salę.

Stali wciąż w milczeniu, kiedy drzwi się za nią zamykały. Prezydent Carr westchnął i oparł się o stół.

- Dawno nikt mnie tak nie zbeształ. - Na twarze niektórych mężczyzn wkradły się uśmieški. Prezydent wskazał na pozostałych i z powrotem usiadł. - Podobnie jak was.

Kiedy wszyscy znów zajęli miejsca, Caesare nachylił się do Claya.

- Lubię ją - wyszeptał.

- Ja też.

- Jakież refleksje? - zapytał prezydent.

Langford odchrząknął.

- No cóż, zdaje się, że wiemy, gdzie zniknęła cała ta woda.

Carr uniósł brwi, a potem je zmarszczył.

- Zaiste. - Odchylił się lekko na krześle. - Niech wypowiedzą się nasi naukowcy eksperci. Panie Borger?

- Tak, sir?

- Proszę nam powiedzieć, czy to faktycznie jakiś portal?

- Tak uważam. - Spojrzał ponad stołem na Hardinga. - Sądząc po wszystkim, co jesteśmy w stanie zmierzyć, woda płynie tylko w jednym kierunku - do wnętrza pierścienia. Co dalej się z nią dzieje, tego nie wiemy, ale najbardziej logiczny jest wniosek, że opuszcza naszą planetę.

- Panie Harding? Zgadza się pan?

Profesor spojrział na prezydenta.

- Tak, sir.

Bill Mason, szef personelu, który do tej pory zachowywał milczenie, teraz się odezwał.

- W ten czy inny sposób musimy powstrzymać wyciek wody.

- Zgadzam się - dodał szybko Stevas.

Kilka innych osób przytaknęło.

- W takim razie co się stanie, jeśli zniszczymy ten pierścień? - zapytał Carr. - Czy istnieje niebezpieczeństwo szkodliwych skutków ubocznych?

Doktor Lawrence z Departamentu Energii potrząsnął głową i poprawił okulary.

- Nie dostrzegamy żadnego. Jeśli zniszczymy pierścień albo dostatecznie go uszkodzimy, przestanie działać.

Borger spojrział na Lawrence'a, a potem rzucił zaniepokojone spojrzenie Clayowi.

- Hm... a skąd dokładnie to wiemy?

Lawrence spojrział na niego protekcyjnie.

- Kwestie związane z energią to nasza praca, synu. - Z powrotem zwrócił się do Carra. - Panie prezydencie, przeanalizowaliśmy już kilka możliwych scenariuszy w oparciu o dostępne dane. Nie wygląda na to, żeby jakkolwiek energia była emitowana na zewnątrz, co oznacza, że system, jaki by nie był, jest autonomiczny. Co więcej, głębokość, na jakiej się znajduje, zapewnia grubą warstwę ochronną w postaci podwodnego ciśnienia, zatem nawet gdyby pierścień miał się rozpaść, gęstość i ciężar otaczającej wody morskiej

powstrzymałyby eksplozję. W zasadzie, biorąc pod uwagę, że woda wpływa do środka, wszelkie większe zniszczenia byłyby raczej skierowane do wewnątrz, niż na zewnątrz. Przyjrzelśmy się temu pod każdym kątem.

Clay przeniósł wzrok na Borgera. Zastanawiał się, czy to właśnie byli ci „eksperci”, o których mówił przedtem Stevas.

Teraz odezwał się Langford.

- Wydaje mi się, że podejmujemy decyzje w oparciu o dość niepewne przesłanki.

Lawrence spojrzał na niego ostro. Jego wysoki wzrost i postura sprawiały, że zastraszenie zdawało się jego specjalnością.

- Te przesłanki wynikają z waszych danych. O ile dane są prawidłowe, jesteście pewni naszych wniosków. Chce pan powiedzieć, że dostarczyliście nam nieprawidłowe dane?

Langford spokojnie zniósł obelgę, ale nie odwrócił wzroku.

- Biorąc pod uwagę, jak niekompletne są informacje, które zdążyliśmy zebrać, nasze dane są tak dokładne, jak to możliwe.

Lawrence zmarszczył brwi i ponownie spojrzał na prezydenta.

- Jeśli nie zniszczymy pierścienia - powiedział Miller - ryzykujemy osunięcie się lodowca, które wywoła tsunami zdolne zniszczyć wszystko i wszystkich wzdłuż wybrzeża Oceanu Atlantyckiego. Z kolei jeśli go zniszczymy, ryzykujemy wojnę z wrogiem, o którym nic nie wiemy - ani jaka jest jego liczebność, ani gdzie przebywa.

- Powiedział, że w ich osiedlu jest tysiąc dwieście osób - przypomniał Clay.

- Zgadza się - powiedział Miller - ale nie możemy mu bezkrytycznie wierzyć, prawda?

Prezydent westchnął.

- Potrzebujemy więcej możliwych rozwiązań. Te dwa, które mamy, są niedobre.

- Zawsze pozostaje dyplomacja - odparł Clay.

Carr zastanowił się i skinął głową.

- Przekonać ich, żeby odpuścili?

Clay wzruszył ramionami.

- Być może. Nie wiemy jeszcze, po co im ta woda. Uważam, że powinniśmy się dowiedzieć najwięcej, jak możemy, zanim zdecydujemy, jakie mamy możliwości.

- Zgadzam się - powiedział Carr.

Miller spojrział na Claya.

- Zakładam, że znalazł pan Keistera.

Clay skinął głową.

- Tak, sir.

- W takim razie porozmawiajcie jeszcze raz z więźniem.

Stevas uniósł rękę.

- Zanim pójdziemy tam z białą flagą i zaczniemy negocjować, powinniśmy chyba rozważyć inną możliwość... że powiedzą nie. - Wzruszył ramionami. - Założmy, że cokolwiek robią, po prostu nie będą mogli albo chcieli tego przerwać. Co wtedy? Jeśli okaże się, że trzeba zniszczyć to ustrojstwo, musimy być przygotowani.

- Sugeruje pan okręty podwodne? - zapytał prezydent.

- Tak. Wyślijmy Tridenty. - Stevas rozejrzał się po sali. - Niech zajmą pozycje albo chociaż podpłyną tak blisko, jak to możliwe. Przynajmniej damy im do zrozumienia, że traktujemy sprawę poważnie.

Clay pomyślał o swoim spotkaniu ze Stevasem w Białym Domu. Doradca chciał wtedy zniszczyć pierścień, zanim w ogóle dowiedzieli się, czym jest. Teraz, kiedy już to odkryli, jeszcze bardziej rwał się do ataku.

- Admirale Bishop? - powiedział Carr, zwracając się do dowódcy marynarki. - Poprzednim razem powiedział pan, że mamy kilkadziesiąt Tridentów zdolnych dotrzeć na Karaiby w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Czy to prawda?

Bishop odpowiedział, składając ręce na stole.

- Tak, sir. Oczywiście stracimy element zaskoczenia, ale w razie czego będziemy w stanie działać szybko.

- I da nam to dodatkową kartę przetargową - dorzucił Stevas.

- Być może. Albo jeszcze bardziej zaognimy sytuację. - Carr zastanowił się. Jakie było ryzyko, że sprowokują niepożądaną reakcję parkując w pobliżu atomowe okręty podwodne? Jeśli zajdzie potrzeba zniszczenia pierścienia, to co można uznać za sygnał do rozpoczęcia ataku? Czekanie, czy coś jeszcze wydarzy się na Antarktydzie byłoby jak zamykanie wrót stodoły po tym, jak zwierzęta już uciekły. Nie mogli zwlekać, aż tsunami ruszy na północ.

Ponownie zwrócił się do Bishopa.

- Admirale, proszę wypuścić Tridenty. Ale niech czekają w bezpiecznej

odległości. Tak daleko od pierścienia, jak to możliwe przy zachowaniu możliwości szybkiego działania w razie potrzeby.

Bishop skinął głową.

- Tak, sir.

Carr zastukał palcem w stół dla emfazy.

- I mają NIC nie robić bez mojego rozkazu! Zrozumiano?

- Tak, sir.

- W porządku, panie Clay - powiedział prezydent. - Proszę jeszcze raz rozmówić się z naszym przyjacielem.

Keister i Clay zmierzali do podziemnej celi. Z każdym krokiem stukot ich butów o czystą posadzkę rozchodził się echem po korytarzu. Kiedy zbliżyli się do dwóch uzbrojonych żołnierzy pilnujących pomieszczenia, Clay przyjrzał się ich karabinom M16 i zauważył, że są odbezpieczone. Zerknął też na ich oporządzenie, w tym rodzaj pancerza, butów i hełmów. Był to jeden z nawyków z czasu spędzonego w SEAL-sach.

Pierwszy strażnik obrzucił ich spojrzeniem i odwrócił się. Lewą ręką wyjął kartę dostępu i przeciągnął ją przez mały, pionowy czytnik. Lampka zamigotała na zielono i rozległo się głośne kliknięcie wewnętrznego zamka. Strażnik nie otworzył drzwi. Zamiast tego odsunął się na bok, z powrotem położył drugą rękę na karabinie i z uwagą obserwował przybyłych mężczyzn.

Keister złapał za klamkę i przekręcił ją. Grube metalowe drzwi otwarły się do wewnątrz. Obaj weszli do środka. Dostrzegli Palina na małym, przenośnym łóżku polowym w kącie celi. Leżał na boku plecami do nich, rozkuty. Clay zauważył niewielki stolik z tacką, na której leżały pozostałości obiadu. Co ciekawe, wszystko zdawało się zjedzone oprócz mięsa i sera, przesuniętych na brzeg tacy.

Palin powoli odwrócił się i spojrzał na nich. Dostrzegłszy Claya usiadł na łóżku, po czym wstał i podszedł do swojego jedyne go krzesła. Opadł na nie gładko, czekając aż mężczyźni przyciągną sobie stołki. Nie wyglądał na zmęczonego, ale przydałoby mu się golenie.

Clay usiadł naprzeciwko i od razu przeszedł do rzeczy.

- Skąd pochodzicie?

- Już mówiłem...

- Nie - przerwał Clay. - Skąd pochodzicie?

Palin skinął głową. Wziął głęboki oddech.

- Nasze słońce... to gwiazda sąsiadująca z waszym. Nazywa się Lalande. Wasza planeta jest trzecią z kolei w układzie słonecznym, nasza jest druga. - Zamilkł, ale po chwili dodał: - Wasza technologia jeszcze nie pozwala jej zobaczyć.

Clay nachylił się do przodu.

- A po co tu jesteście?

Palin nie odpowiedział.

- Nie przyszliście z wizytą.

Palin pokręcił głową.

- Nie.

- Więc po co tu jesteście?

Palin zmarszczył brwi.

- Chcesz wiedzieć, czy zamierzamy was skrzywdzić.

Clay skinął głową.

Palin westchnął.

- Wasza rasa ma szczęście. Nawet nie wiecie, jak duże. - Przysunął twarz i zadał pytanie. - Wiesz, skąd się biorą planety?

Clay potrząsnął głową.

- Powstają wskutek powolnego nagromadzenia cząstek materii w układzie słonecznym, w bardzo dużych ilościach. Część z tej materii to lód, który zmienia się w wodę, kiedy planeta już się uformuje i zacznie ocieplać.

Clay milczał. Zastanawiał się, do czego zmierza ta opowieść.

- Widzisz, planeta z wodą to nie rzadkość. Ale planeta niemal w całości nią pokryta, jak wasza, już tak.

- Rzadko zdarza się tyle wody, co u nas?

- Tak - powiedział więzień. - Bardzo rzadko.

Clay spojrzał na niego twardo.

- Dlaczego zabieracie nam wodę?

Palin był zaskoczony. Po dłuższej przerwie kontynuował.

- Nie macie pojęcia, jacy z was szczęściarze. Taka ilość wody zapewnia wspaniałe warunki dla przetrwania życia, a wy w ogóle tego nie docenicie. Macie jej tak dużo, że zanieczyszczacie ją na niewyobrażalną skalę, całkiem bez zastanowienia. - Potrząsnął z żalem głową. - To zanieczyszczenie sięga głębiej niż zdajecie sobie sprawę. Jeszcze długo tego nie pojmiecie. - Wziął

kolejny głęboki oddech. - My nie moglibyśmy sobie na to pozwolić.

Clay spojrział na Keistera, który wciąż gryzmolił coś w notatniku.

- Co to znaczy?

- Nasza planeta też miała wodę, ale w dużo mniejszych ilościach. Jest bardzo cenna. To najistotniejszy element dla wszystkich form ewolucji.

- A jednak wam też wystarczyło, żeby wyewoluować.

Palin wzruszył ramionami.

- Aż do teraz.

- Jak to?

Więzień spojrział na Claya.

- Nasza planeta umiera. Spotkał nas kataklizm, przez który wyparowała większa część naszych dwóch jedyńskich oceanów. Zostaliśmy zmuszeni wydobywać resztki wody spod ziemi. Ale nasz ekosystem jest bliski zagłady, a my razem z nim. Portal, który widzieliście, to być może nasze ostatnie osiągnięcie technologiczne. Wyczerpaliśmy znaczną część pozostałych nam zasobów, żeby go zbudować i przybyć tutaj.

- Chcesz mi powiedzieć, że próbujecie ratować swoją planetę? - zapytał Clay.

- Naszą planetę i naszą rasę.

Clay odchylił się na krześle. Keister powiedział mu, że jedna z podstawowych zasad to nie okazywać zdziwienia. Clay miał trudności z zachowaniem pozorów spokoju, kiedy niemal każdą swoją wypowiedzią Palin zrzucał kolejną bombę. Nie przybyli tu, żeby nas zniszczyć, tylko w ostatniej, rozpaczliwej próbie znalezienia ratunku. Mógł oczywiście kłamać, ale do tej pory wszystko się zgadzało. Clay był w stanie myśleć tylko o Stevasie, który aż się gotował, żeby wysadzić ich w powietrze.

- A więc - powiedział - zabieracie tylko naszą wodę... i nie widzicie w tym żadnego problemu.

Palin potrząsnął głową.

- Macie więcej niż wam potrzeba. Więcej niż kiedykolwiek będziecie potrzebować. Poza tym pokrywa lodowa na biegunach topnieje i uzupełnia poziom wody.

- Nie bądź tego taki pewien - odparł Clay. Tym razem to Palin wydawał się zdziwiony. - Biercie za dużo i za szybko. A jeśli liczycie na to, że topniejący lód zrekompensuje ubytek, to wszyscy jesteśmy w poważnych tarapatach. - Zgodnie z przewidywaniami, więzień nie nadązał. Clay ciągnął:

- Mieliliśmy parę trzęsień na biegunie południowym, które zdestabilizowały duże obszary lodowca szelfowego. Poziom wody opadł na tyle, że lodowiec nie ma oparcia i opada, a to skończy się tsunami, które zabije miliony ludzi.

Palin zastanowił się nad tym, co usłyszał. Myślał długo, zanim w końcu odpowiedział.

- Nie kradniemy waszej wody.

Clay uśmiechnął się krzywo.

- To jak byś to nazwał?

Więzień spojrzał na niego niemal z zaskoczeniem.

- Jeśli macie więcej niż wam potrzeba, to czy nie powinniście się podzielić?

Clay otworzył szeroko oczy z niedowierzaniem.

- Nie za cenę milionów istnień.

- To tsunami nie zabije wszystkich. Większość przeżyje, prawda?

- Tak, ale...

- Czy nie lepiej ocalić obie rasy niż pozwolić jednej wyginać?

Clay potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- To nie transakcja handlowa.

- Karty historii obydwu naszych światów zapisane są milionami bezsensownych zgonów. Pełne wojen o ziemię albo zasoby, które później okazywały się pozbawione znaczenia. I tych najgorszych, o religijne przekonania, będące niczym więcej jak zrodzonymi z emocji ideami systematycznie wmuszonymi innym. Ludzie - i wy, i my - niejednokrotnie okazywali znacznie mniej troski o życie innych niż mój lud teraz.

Wzmianka Palina o ludziach wydała się Clayowi dziwna.

- Nazwałeś obie nasze rasy ludźmi. Wciąż nie rozumiem. Jak możesz być człowiekiem, a zarazem pochodzić z innej planety?

Więzień westchnął.

- Pamiętasz, jak opowiadałem o cyklach węglowych?

- Tak.

- Proces ewolucji nie jest przypadkowy. O wszystkim decydują pewne określone ograniczenia lub skłonności, a ewolucja nie jest tu wyjątkiem. Węgiel, tak jak wszystkie pierwiastki, ma swoje indywidualne cechy, co oznacza, że poddany działaniu jakiejś siły reaguje na swój własny sposób. A zatem pod wpływem ewolucji węgiel przejawia pewne tendencje, nazwijmy je „liniami najmniejszego oporu”. Z biegiem czasu te tendencje skłaniają się

ku pewnym typom struktur biologicznych i wzorców, które okazały się praktyczne. Jak już mówiłem, rzeczy takie jak dłonie i stopy, oczy i uszy, mózgi, mięśnie czy palce, to wszystko użyteczne atuty pozwalające całemu procesowi postępować naprzód. To jeden z powodów, dla których wyglądamy podobnie.

- Tylko jeden? - zapytał Clay.

Palin uśmiechnął się.

- Tak. Drugi i być może najważniejszy powód to miejsce pochodzenia cząstek, z których powstaliśmy my, nasze układy słoneczne, planety, a nawet ich gleba i powietrze. Są one uwalniane podczas wybuchu gwiazdy, kończącego zachodzące w niej reakcje jądrowe. Chcę powiedzieć, że kiedy gwiazda wybuchła, cząstki rozprzeczają się na wielką odległość, a są wśród nich takie same aminokwasy. Widzisz, jesteśmy do siebie tak podobni, ponieważ ogromna eksplozja zasiliła obydwie nasze systemy słoneczne tymi samymi cząstkami. Na poziomie atomów jesteśmy zbudowani z tych samych klocków. To właśnie, wraz z naturalnymi tendencjami ewolucyjnymi węgla, jest przyczyną naszego wielkiego podobieństwa. - Palin pochylił się do przodu na krześle. - Panie Clay, jesteśmy waszymi ewolucyjnymi braćmi i siostrami.

Clay rozdziawił usta, a Keister upuścił notes. Obaj zaniemówili.

- Sam widzisz - ciągnął Palin - że pozwolić jednym z nas zginąć, to jak skazać na zagładę swojego jedyne prawdziwego krewnego w całym wszechświecie.

Clay siedział przy oknie, wyglądając na zewnątrz, podczas gdy Gulfstream III zbliżał się do bazy lotniczej Andrews. Było późne popołudnie i słońce rzucało od zachodu cień na krajobraz Wirginii. Kiedy samolot przechylił się na prawo, Clay dostrzegł w oddali Waszyngton. Doskonale widział swój ulubiony obiekt widoczny z powietrza - pomnik Waszyngtona. Choć niewielu podróżnych to zrobiło, Clay zapiął pasy, kiedy zaczęli podchodzić do lądowania. Gulfstreamy to małe, wygodne samoloty pasażerskie, wykorzystywane przez wojsko, i pasażerowie zwykle ignorowali większość środków bezpieczeństwa. Jednak po przejściu manewrów ćwiczebnych z użyciem wielu różnych modeli, członkowie SEAL byli doskonale zaznajomieni z maszynami latającymi od każdej strony. Wiedzieli, które fragmenty konstrukcji były najmocniejsze, które najsłabsze, które jako pierwsze doznawały uszkodzeń w przypadku kolizji oraz całe mnóstwo innych rzeczy. Większość ludzi z sił specjalnych, których znał, pedantycznie przestrzegała zasad bezpieczeństwa, zwłaszcza korzystając ze środków transportu, nad którymi nie miała kontroli.

Clay oparł głowę o zagłówek. Najlepszym słowem, jakie przychodziło mu na myśl, żeby opisać kilka ostatnich godzin od czasu spotkania z Palinem, był chaos. Kiedy wrócili do sali konferencyjnej, sprawy przybrały drastycznie inny obrót. Prezydent i jego gabinet spędzili ponad trzy godziny na prywatnych spotkaniach. Kiedy narady dobiegły końca, Clay zauważył, że dołączyło do nich kilku wysokiej rangi generałów. Langford odesłał już Caesare i Borgera z powrotem do Waszyngtonu, aby dalej analizowali dane. Obaj profesorowie ich opuścili i pozostał tylko Lawrence, człowiek z departamentu energii. W końcu, po krótkiej dyskusji, Langford odesłał i jego.

Po wylądowaniu Clay odebrał samochód i pojechał Suitland Parkway na zachód. Słońce niemal już zachodziło. Jechało się wolno, bo trwały godziny szczytu i wszyscy wracali do domów. Za mostem na South Capitol Street

ruch był nieco mniejszy, ale na autostradzie 395 znów zaczynały się korki. Przejechał przez 14th Street Bridge i zatrzymał się na pustym parkingu Pentagonu. Ledwie jego samolot zdążył wylądować, zadzwonił Cesare z pytaniem, czy nie mógłby wpaść do biura Borgera w drodze do domu. Clay żwawo wkroczył do budynku i zszedł po schodach.

Kiedy dotarł na miejsce, Cesare i Borger siedzieli na środku pomieszczenia pogrążeni w rozmowie.

- Cześć, Clay! - Borger, co do niego niepodobne, zerwał się z miejsca i pospiesznie wprowadził go do środka. Wskazał mu dłonią krzesło, zamykając drzwi. - Dzięki, że przyszedłeś.

Clay skinął głową i opadł ciężko na siedzenie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Cesare.

Clay wzruszył ramionami.

- To chyba zależy, co rozumiesz przez „w porządku”. - Przeczesał palcami włosy. - Kiedy wróciłem na górę, zrobiło się interesująco.

- No - powiedział Cesare - nas szybko stamtąd wygonili. Niezłą musiałeś mieć pogawędkę ze starym dobrym Palinem.

- Można tak powiedzieć. - Spojrzał na Borgera, który właśnie przyglądał się ścianom. - A temu co?

- Bo ja wiem - odparł Cesare. - Przed chwilą sprawdził, czy w pokoju nie ma podsłuchów. Chce z nami pomówić o czymś ważnym, ale czekał na ciebie.

Clay przyglądał się Borgerowi z zaciekawieniem. Kiedy tamten skończył, wrócił i usiadł przed Clayem i Cesare.

- Dobra, jest czysto - powiedział, poprawiając się na krześle. Od razu przeszedł do rzeczy. - Słuchajcie, muszę z wami o czymś porozmawiać.

Obaj skinęli głowami.

- Chyba mamy problem. Bardzo duży problem. - Clay nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział Borgera tak zdenerwowanego. - Uważam, że ten cały Lawrence, ze spotkania w JAX, się myli. I to bardzo. Kiedy prezydent zapytał, czy zniszczenie pierścienia będzie miało skutki uboczne, a on powiedział „nie”... no, ja myślę, że jednak tak. Widzicie, wiemy, że ten krąg to portal i jeśli działa w oparciu o te podstawowe teorie, które naszym zdaniem mają tu zastosowanie...

- Naszym zdaniem? - przerwał Clay.

Borger potrząsnął głową.

- Nie naszym, naszych fizyków. W każdym razie, jeśli działa w ten sposób, a przypuszczam, że tak, to jeden koniec tunelu jest dosłownie połączony z drugim. Obydwa są dokładnie tej samej wielkości, obracają się z tą samą prędkością i napędza je ta sama energia... co oznacza, że z punktu widzenia czasu i przestrzeni stanowią jedną bramę.

- A więc... - powiedział powoli Cesare - gdyby zniszczyć jeden...

- Zniszczy się oba! - odparł Borger z przejęciem. - Jak on może uważać, że pierścień jest autonomiczny? Przecież to nie ma sensu! Albo na serio jest niekompetentny, albo z jakiegoś niezrozumiałego powodu kłamie.

Caesare odchrząknął.

- No, niekompetencji bym nie wykluczał. Bądź co bądź pracuje dla rządu.

Clay spojrział na niego z ukosa.

- Ty też pracujesz dla rządu.

Caesare uniósł ręce i wzruszył ramionami.

- Muszę coś dodawać?

Clay znów zwrócił się do Borgera.

- Skoro obydwie końce są powiązane, co się stanie, jeśli zniszczymy pierścień?

- Tutaj wchodzimy już w rozważania teoretyczne, ale o solidnych podstawach w fizyce. I pamiętaj, że ilość energii, która wchodzi w grę jest niewyobrażalna, jak na dzisiejsze standardy. - Borger przerwał i odetchnął, próbując się uspokoić. - Przy tej energii zniszczenie pierścieni mogłoby mieć naprawdę złe skutki.

Clay i Cesare nachylili się.

- Jak złe?

Borger pokiwał głową, ale wyraził się ostrożnie.

- Naprawdę bardzo złe, dla obu planet.

- O rany - wymamrotał Cesare.

- To poważna sprawa! - wykrzyknął Borger. - Dlatego właśnie chciałem natychmiast z wami porozmawiać.

Clay siedział zamyślony.

- Na ile jesteś tego pewny? To znaczy, o jakim prawdopodobieństwie mówimy?

- Nie wiem - odparł Borger, potrząsając głową. Obrócił się na krześle i zaczął uderzać w klawiaturę, wypełniając ekran skomplikowanymi obliczeniami matematycznymi. - Tylko fizyk mógłby się wypowiedzieć w

tym temacie. Nie znam dokładnych liczb, ale szanse są realne. W zasadzie to prawie bez znaczenia, jak duże jest prawdopodobieństwo.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz, jestem miłośnikiem historii. Pamiętasz bombę atomową, którą zrzuciliśmy na Hiroszimę? Wiedziałeś, że fizycy, którzy ją stworzyli, z Robertem Oppenheimerem na czele, wyliczyli i uznali, że istnieje szansa jedna do trzech milionów, że proces rozszczepienia nie skończy się wtedy, kiedy powinien i być może stopi całą kulę ziemską?

- Naprawdę?

- Tak. - Borger z powrotem przysunął się na krześle do Claya i Caesare. - Chcę przez to powiedzieć, że oni wiedzieli, że jest jedna szansa na trzy miliony, że zniszczą całą planetę, a i tak przeprowadzili próbę! Oczywiście nic takiego nie nastąpiło, ale rzecz w tym, że zaryzykowali. Postawili życie wszystkich na szali, zakładając, że mają rację. - Znów spojrzął na ekran. - Nie wiem, jakie jest prawdopodobieństwo w przypadku tych pierścieni, ale na pewno dużo, dużo większe! Teraz zgadywałbym, że wynosi gdzieś około jeden do pięciu. I tym razem możemy zniszczyć aż dwie planety!

- Jezu Chryste. - Caesare zakrył twarz dłońmi. - Robi się coraz ciekawiej.

- Nie wiecie jeszcze wszystkiego - powiedział Clay.

Caesare opuścił ręce i spojrzął na niego żałośnie.

- Co?

Clay westchnął i opowiedział im o swojej rozmowie z Palinem. Kiedy doszedł do końca, zareagowali tak samo jak on i Keister. Zaczekał, aż to przetrawią, po czym ciągnął dalej.

- A jest jeszcze gorzej. Langford uczestniczył potem w jednym z tych spotkań za zamkniętymi drzwiami. Kiedy z niego wyszedł, odciągnął mnie na bok i wyjaśnił, że dyskutowali o dwóch kwestiach. Przede wszystkim omawiali szczegóły ataku z użyciem okrętów podwodnych, tego, o którym wszyscy wiemy. Ale reszta spotkania dotyczyła planu B.

- Planu B? - zapytał Borger.

Caesare zmarszczył brwi.

- Zawsze jest jakiś plan B. Na wszelki wypadek. Pewnie do niego też mają jeszcze jakiś plan awaryjny. Niech zgadnę. Stevas?

Clay skinął głową.

- Stevas nie jest głupi. To dupek i podżegacz, ale nie idiota. Wie, że potrzebny jest plan awaryjny i nad tym właśnie pracowali.

Caesare przyjrzał mu się.

- I wiesz, jaki to plan?

- Langford powiedział mi, że jeśli atak okrętów się nie powiedzie, chcą użyć broni nuklearnej.

- Jezu. - Caesare jęknął i znów zakrył twarz dłonią. - Te okręty mają wystarczająco dużo broni jądrowej.

- Nie. - Clay potrząsnął głową. - Nie taki jest ich plan. Z początku o tym myśleli, ale potem podeszli do sprawy od innej strony. Chcą ją tam wysłać... na grzbiecie jednego z tych delfinów.

- Tych gadających? - zapytał Borger.

- Tak - odparł Clay. - Najwyraźniej Stevas już nie wątpi w ich zdolności. Wiedzą, gdzie jest pierścień, były tam już wcześniej, a jeśli uwaga ludzi Palina skierowana będzie na okręty, prawdopodobnie nie zwrócą większej uwagi na przepływające ryby. - Clay spojrział na kolegów. - Zdalna detonacja.

W pokoju zapadła cisza. Nikt się nie odzywał.

- A to jeszcze nie wszystko. - powiedział w końcu Clay.

Caesare znów jęknął.

- Na miłość boską!

Clay mówił powoli.

- Langford chce, żebyśmy my to zrobili.

Spojrzeli na niego, nie rozumiejąc.

- Żebyśmy co zrobili?

- Chce, żebyśmy ukradli delfiny i sprzęt.

Kathryn odchyliła siedzenie do tyłu i spróbowała usadowić się wygodnie, kiedy odjeżdżali od bramki. Ten samolot był duży i wygodny w porównaniu z dwoma ostatnimi, którymi leciała. Zdumiewające, jak dobry wpływ na samopoczucie może mieć odrobina ogrzewania i brak ochronnego skafandra. Kiedy się najadła i przespała spokojnie parę godzin, poczuła się jak nowonarodzona.

Zamknęła oczy i pomyślała o tym, co ją czeka - o locie z powrotem na Falklandy, wyjaśnieniach, które musiała złożyć swojemu zespołowi, oraz o gorączkowej próbie zapobiegnięcia katastrofie. Długi lot był najmniejszym z jej zmartwień. Raczej przyjmowała go z wdzięcznością, bo dawał jej czas do namysłu jak powiedzieć swoim ludziom, że część z nich będzie musiała wrócić.

Przypomniała sobie spotkanie z prezydentem i jego gabinetem. Przynajmniej tym razem jej wysłuchali, choć to może dlatego, że w zasadzie kazała im iść do diabła. Jednak prezydent zadeklarował, że dostarczy jej wszelkich niezbędnych środków, więc może nie było aż tak źle. Oprócz pieniędzy, dał nakaz szefowi personelu Masonowi, aby zapewnić Kathryn dostęp do każdego, kto był jej potrzebny, bez wyjątków. W pierwszej kolejności chciała się skontaktować z kilkoma międzynarodowymi ekspertami, których potrzebowałyby oprócz swoich własnych ludzi. Potem - znaleźć najlepsze ekipy rozbiórkowe w całym kraju. Mason i jego ludzie już nad tym pracowali. Następnie trzeba było zdobyć potrzebne zasoby. I w końcu - wszystko to należało zrobić po cichu.

„Tak - pomyślała - czeka mnie dużo pracy”.

Długi lot zdecydowanie jej się przyda.

Otworzyła plecak i wyjęła laptopa dostarczonego przez jednego z asystentów administracyjnych z JAX. Położyła go przed sobą na stoliku i włączyła. Kiedy z powrotem podniosła oparcie fotela, drzwi za nią się otworzyły i

podszedł do niej steward z telefonem w dłoni.

- Pani Lokke? - zapytał.

- Tak?

Wręczył jej telefon.

- To do pani.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem i zerknęła przez okno na przesuający się w dole ciemny asfalt.

- Teraz?

Skinął tylko głową i wyszedł.

Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Czy to pani Lokke?

- Przy telefonie.

- Nazywam się John Clay. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, ale poznaliśmy się rano w sali konferencyjnej.

- Pamiętam pana - odparła. - Czy to nie pan zapytał mnie o przyczyny?

Nie mogła usłyszeć, jak Clay uśmiecha się po drugiej stronie linii.

- Tak, to ja. Ma pani bardzo dobrą pamięć. Proszę posłuchać, wiem, że to nienajlepszy moment, ale muszę pani zadać ważne pytanie.

- Słucham.

- To zabrzmiało dziwnie - powiedział Clay - ale czy jakieś czynniki zewnętrzne mogłyby się przyczynić do opadnięcia lodowca?

Zmarszczyła brwi.

- Jakich konkretnie czynników?

- Powiedzmy na przykład drgania albo fale uderzeniowe?

Kathryn zastanowiła się przez chwilę.

- Sądzę, że to zależy od rodzaju fal i ich siły.

- Hm... jak pani zapewne wiadomo, rząd czasem detonuje pod wodą broń w ramach testów.

- Fale uderzeniowe i drgania faktycznie dobrze się przenoszą w wodzie, ale przypuszczam, że tego rodzaju detonacje nie byłyby dość duże, żeby wywrzeć jakiś większy wpływ. Lodowiec szelfowy jest bardzo daleko. No chyba, żeby przeprowadzić jeden z tych testów w jego pobliżu.

- Rozumiem - powiedział Clay. - A co gdyby siła rażenia była znacznie większa - powiedzmy, detonacja ładunków jądrowych?

Kathryn otwierała szeroko oczy.

- Chce mi pan powiedzieć, że planujecie próby nuklearne? Gdzie?!

- Pośrodku Atlantyku - odparł Clay.

- Tak! To byłoby bardzo niebezpieczne. Stamtąd fala poniesie się po Atlantyku prosto do Ronne!

- Tego się obawiałem.

- Panie Clay, proszę posłuchać. - Kathryn docisnęła słuchawkę do ucha, bo samolot szykował się do startu i silniki hałasowały coraz głośniej. - Jeśli planujecie próbę nuklearną na Atlantyku, musicie natychmiast ją przerwać! Rozumie pan?

- Tak, proszę pani. Rozumiem.

Clay podziękował Kathryn i zakończył rozmowę. Milczał przez dłuższą chwilę, zanim odwrócił się do Caesare i Borgera, którzy przysłuchiwali się całej rozmowie.

- No to... jak bardzo zależy wam na emeryturach?

Caesare wzruszył ramionami.

- Jeśli mam i tak nie mieć gdzie jej wydać...

Obaj spojrzeli na Borgera, który potrząsnął głową.

- Na mnie nie patrzcie, ja pracuję na zlecenie.

Clay podszedł i usiadł przed nimi. Przez chwilę siedział zamyślony, po czym zwrócił się do Borgera.

- Will, znasz się na hakowaniu?

Przytaknął skinieniem.

- W poprzedniej pracy byłem „białym kapeluszem”.

- A co to takiego? - zapytał Caesare.

- Ludzi, którzy hakuja komputery w złych celach nazywa się „czarnymi kapeluszami”. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - „Białe kapelusze” to ci, którzy ich łapią.

Małe lotnisko w Homerville w stanie Georgia wyglądało jak wyjęte prosto ze starego hollywoodzkiego filmu. Pas startowy wydawał się niemal porzucony i ledwie zdalny do użytku. Dwadzieścia cztery hangary stały rzędem wzdłuż zachodniego skraju lotniska niedaleko wjazdu, w większości puste, zbierając tylko kurz i suche liście. Nieopodal znajdowały się pozostałości małej, zabitej deskami kafejki, z której dachu zwisał niepewnie przykrzywiony szyld z napisem „U Dolly”.

W pobliżu południowego krańca lotniska stał samotnie niewielki budynek, ostatnia oznaka życia w tym miejscu, które przed kilkudziesięciu laty stanowiło najwyraźniej popularny punkt przystankowy. Wiszący na budynku szyld „Homerville Rotorheads” był wciąż w dobrym stanie. Przechodząc pod nim, Steve Caesare lekko zahaczył o niego głową. Przekręcił klamkę, dostrzegając mimochodem łuszczącą się farbę, i usłyszał znajomy dźwięk dzwonka uderzającego o drzwi z drugiej strony. Rozejrzał się po wnętrzu, po czym powrócił wzrokiem do małego biurka stojącego na środku. Było zavalone papierami i jako jedyne w pomieszczeniu sprawiało wrażenie niedawno używanego.

- Sekundkę! - zawołał ktoś z zaplecza.

Caesare skinął głową i odwrócił się w stronę małej półki na ścianie. Podniósł z niej jedną z broszurek na temat czarterowania. Większość pozostałych zdawała się mniej więcej tak wiekowa, jak kawiarenka „U Dolly”.

Z przejścia za biurkiem wyłonił się starszy mężczyzna ubrany w starą flanelową koszulę i niebieskie jeansy. Jego włosy były zupełnie białe, podobnie jak wąsy, i gładko zaczesane.

- Ty musisz być tym gościem, który dzwonił wcześniej - powiedział. - Steve, zgadza się?

- Tak, proszę pana - odparł Caesare, ściskając mu dłoń.

- Nazywam się Charlie. - Mężczyzna usiadł na krześle, które głośno zaskrzypiało. - To po co chcesz wypożyczyć mój helikopter?

- Pracuję dla wytwórni filmowej. Rozglądamy się za dobrymi miejscami do zdjęć.

Charlie zmarszczył nos i wyjrzał przez okno.

- A co tu kręcicie?

- Eee, film akcji. Wojenny. Jestem jednym z konsultantów.

- Nigdy za bardzo nie przepadałem za kinem akcji. Dwie godziny strzelania do wszystkiego, co się rusza - powiedział Charlie. - Jesteś wojskowym?

Caesare skinął głową.

- Emerytowanym.

Charlie przyjrzał mu się.

- Wiesz, jak latać helikopterem?

- Tak, proszę pana.

- Masz licencję?

- Tak - odparł Caesare. Podał Charliemu zdjęcie, na którym z hełmem zatkniętym pod ramię stał przed wielkim śmigłowcem Seahawk.

Charlie spojrział na fotografię, po czym zwrócił ją właścicielowi.

- W porządku. - Wstał i obszedł biurko dookoła. - Pokażę ci go.

Wychodząc za nim przez drzwi frontowe, Caesare zapytał: - Jak długo już tu jesteś, Charlie?

Staruszek zachichotał.

- Do diabła, chyba sam straciłem rachubę. Zdaje się, że całą wieczność. - Poprowadził go za róg budynku. - Pomyślmy... otwarłem to miejsce w sześćdziesiątym czwartym, więc będzie chyba dobrze ponad pięćdziesiąt lat. Żona zmarła dziewięć lat temu, a ja nie mam za bardzo nic innego do roboty. No i czynsz jest niski. - Roześmiał się z własnego żartu i skręcił za niedużą kępę drzew. Kiedy obeszli ją dookoła, uśmiech zniknął z twarzy Caesare.

Charlie wskazał skinieniem mały helikopter na starym, spękany betonowym lądowisku.

- To jedyny, który się do czegoś nadaje.

Caesare stał, wpatrując się w maszynę. Był to mały, dwuosobowy helikopter, ale niespodziankę stanowił długi pręt rozciągający się na prawie trzy metry pod płozami.

- Opylacz?

Clay spokojnie podszedł korytarzem do pokoju przesłuchań. Zbliżając się do drzwi, zerknął na zegarek. Skinął głową pierwszemu strażnikowi, który obrzucił go spojrzeniem.

- Bez Keistera? - zapytał.

Clay potrząsnął głową.

- Tym razem tylko ja.

Strażnik chrząknął i sięgnął po kartę dostępu. Kiedy odwrócił się ku drzwiom, Clay momentalnie rzucił się na niego. Jednocześnie zasłonił mu usta lewą dłonią i kopniakiem w nogę pozbawił oparcia. Strażnik w panice wystrzelił kilka razy w sufit, kiedy upadał na napastnika, nie będąc w stanie oddychać ani złapać równowagi. Tymczasem Clay tym samym ruchem, prawą ręką wyciągnął zza pleców paralizator i dwukrotnie poraził prawą nogę drugiego strażnika. Tamten krzyknął z bólu, upuścił karabin i runął na podłogę. Dziesięć tysięcy woltów obezwładniło jego układ mięśniowy, wywołując gwałtowne drgawki. Pierwszy strażnik upuścił broń, rozpaczliwie próbując się wyprostować i odzyskać równowagę, lecz Clay cofał się krok po kroku, wiedząc, że instynktowną reakcją ludzkiego ciała było przede wszystkim unikanie upadku. Strażnik, wciąż szamocząc się i sięgając za siebie po coś, czego mógłby się chwycić, wdychał substancję, którą nasączona była płócienna rękawiczka na lewej dłoni napastnika. Chloroform już zaczynał mącić mu zmysły.

Clay wciąż się cofał, nie pozwalając strażnikowi złapać równowagi, aż nagle zawrócił i ruszył w stronę drugiego. Leżący na podłodze żołnierz wciąż rozpaczliwie starał się zapanować nad drgawkami i dosięgnąć broni trzęsącymi się dłońmi. Był już blisko, kiedy Clay upuścił na niego większego, bezwładnego mężczyznę i kopniakiem odsunął broń. Drugi strażnik, teraz przygnieciony pierwszym, starał się uwolnić, ale natychmiast poczuł, jak rękawiczka zakrywa i jego usta. Niecałą minutę później obaj byli nieprzytomni.

Clay wyciągnął kajdanki i trochę szmat. Szybko skuł i zakneblował obydwu mężczyzn. Przechodząc ponad pierwszym z nich, wyrwał mu kartę dostępu. Rozejrzał się w obie strony długiego, cichego korytarza, przeciągnął kartę przez czytnik i otworzył drzwi.

Wszedł do pomieszczenia i przystanął. Spojrzał na kamery z nadzieją, że Borger zajął się monitoringiem. Nie dobiegł go dźwięk alarmu, ruszył więc przez pokój w stronę Palina, który zdążył już usiąść, słysząc hałasy za drzwiami.

Clay wyciągnął z kieszeni cęgi do drutu i obrzucił wzrokiem Palina, ale ten nie był skuty.

- Musimy iść.

Palin wyglądał na zaniepokojonego.

- Co się dzieje?

- Twoi ludzie i pierścień są w niebezpieczeństwie - powiedział Clay, jednym pociągnięciem stawiając go na nogi. - Jesteś ranny?

- Nie - odparł Palin. - Co to znaczy „w niebezpieczeństwie”?

- Mój rząd zamierza wysłać do ataku okręty podwodne, żeby zniszczyły pierścień.

Palin wydawał się zaskakująco spokojny.

- Nie szkodzi.

- Co?

- Nie szkodzi - powtórzył. - Spodziewaliśmy się tego.

Clay potrząsnął głową.

- A jeśli to nie zadziała, przypną ładunek nuklearny do delfina i w ten sposób wam go podrzucą. Tego też się spodziewaliście?

Palin otworzył szeroko oczy.

- Nie.

- Tak myślałem. - Clay znów spojrzął na zegarek. - A przy okazji, kiedy ta bomba wybuchnie, jeśli w ogóle jeszcze tu będziemy, fala uderzeniowa może być dość silna, żeby osiągnąć bieguna południowego i sama z siebie wywołać tsunami.

- Muszę wracać! - W oczach Palina pojawiła się panika.

- Co ty nie powiesz - odparł Clay z sarkazmem. - Musimy się stąd wynosić. Możesz chodzić?

- Tak! - potwierdził z nagłą gorliwością.

- A biegać?

- Tak!

- Dobrze. - Clay chwycił go za ramię i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się nagle, kiedy te otworzyły się od drugiej strony. Powoli do środka wsunęła się lufa karabinu, skierowana prosto na nich. Za nią pojawiła się groźna twarz

żołnierza.

Clay nie poruszył się. Patrzył, jak marine stawia krok do wnętrza pomieszczenia. Obaj mężczyźni zastygli w bezruchu, wpatrując się w siebie nawzajem.

Pierwszy odezwał się marine.

- Clay.

Clay nie spuszczał z niego wzroku.

- Munn.

Żołnierz opuścił karabin i powoli rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym skierował wzrok na Palina.

- Ciekawy zbieg okoliczności - uśmiechnął się krzywo. - Prawie wszyscy są po drugiej stronie bazy, szykując się do przyjęcia jakiejś dużej delegacji ONZ, która zaraz ma wylądować.

- Żartujesz.

Munn obejrzał się na dwóch strażników leżących na podłodze.

- Nie żyją?

Clay potrząsnął głową.

- Żyją. Ale ten pod spodem pewnie przez jakiś czas będzie kulał.

Munn jeszcze raz spojrzął na strażnika i wzruszył ramionami.

- To i tak dupek.

Ktoś za plecami Munna coś mu podał. Mężczyzna chwycił przedmiot i przerzucił go przez pokój. Był to duży marynarski worek. Munn spojrzął na Claya.

- Nie potrwa długo, zanim ich znajdą. Lepiej się pospieszcie.

Clay skinął głową i poprowadził Palina w stronę torby.

Munn skinął mu na pożegnanie, po czym zniknął. Nagle z powrotem wetknął głowę do środka.

- Tak przy okazji, teraz jesteśmy kwita. - I już go nie było.

Clay szybko rozpiął torbę i wyciągnął z niej ciemny kombinezon dla Palina.

- Załóż to, szybko!

Podczas gdy Palin się ubierał, Clay wyciągnął AR-15 i ładownicę z kilkoma pojemnymi magazynkami. Przypiął też sobie kaburę do boku i wsadził do niej Springfieldda kaliber .40. Jak tylko Palin zapiął kombinezon, Clay chwycił go i wypchnął na zewnątrz.

Biegiem pokonali korytarz i trzy piętra schodów w górę. Kiedy dotarli do

pierwszych dużych drzwi, Clay spróbował je otworzyć kartą dostępu odebraną strażnikowi. Czytnik zabrzęczał i zapaliła się na nim czerwona lampka. Spróbował jeszcze raz. Znow ten sam głośny dźwięk. Clay odwrócił się i spojrział w kamerę zamontowaną na suficie.

Will Borger obserwował jego i Palina na monitorze. Szybko uderzył w kilka klawiszy na klawiaturze i lampka zaświeciła się na zielono, a drzwi za plecami Claya stanęły otworem. Clay położył dłoń na klamce i dał Palinowi znak, żeby się cofnął.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wycelował w nie swój karabin, trzymając palec blisko spustu. Jasno oświetlone przejście było puste. Po cichu ruszyli dalej, a Clay nie spuszczał lufy ze stalowych drzwi na końcu korytarza. Kiedy się zbliżyli, obejrzał się przez ramię na Palina.

Przy stalowych drzwiach ponownie spróbował użyć karty. Nic z tego. Zaczekał na Borgera. Po dziesięciu sekundach ciszy zaczął się niepokoić, ale elektroniczny zamek w końcu otworzył się z kliknięciem. Clay powoli pchnął drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Wydawało się, że jest pusto. Zamknął oczy i nasłuchiwał. Nic. Złapał Palina i puścił się biegiem, zmierzając w stronę dwóch pojazdów po przeciwnej stronie wysypanego żwirem placu. Palin szybko biegł za nim, podczas gdy Clay przesuwiał lufę broni tam i z powrotem.

Byli w pół drogi do pierwszego pojazdu, małego, białego Humvee, kiedy włączył się alarm. Z budynku za nimi niemal na całą bazę rozległo się wycie syreny, któremu towarzyszył blask czerwonego, obrotowego reflektora.

- Cholera! - Clay spojrział na Palina. - Nie potrafisz przypadkiem nas stąd teleportować?

- Potrzebuję klocka.

- Jakiego klocka? - zapytał Clay.

Palin ułożył dłonie w mały prostokąt.

- Tego małego, srebrnego urządzenia, które zabrałeś na statku.

Clay nagle przypomniał sobie przedmiot. Rozejrzał się z roztargnieniem, zastanawiając się, gdzie go zostawił.

- Szlag! - powiedział, kiedy sobie przypomniał. - Nie mam go.

Patrzyli, jak światło reflektora z odległej wieży kieruje się na nich. Słyszeli dobiegające z wielu stron krzyki i widzieli dwie pary świateł na szczycie niewielkiego wzgórza.

Clay spojrział na budynek.

- Plan B.

Z powrotem wbiegli przez uchylone wciąż drzwi i dalej w głąb budynku. Dotarli do schodów i usłyszeli w dole stłumione głosy. Clay wiedział, że należało się spodziewać reakcji ludzi z niższych poziomów. Mieli w najlepszym razie dwie minuty.

Wbiegli dwa piętra wyżej i zatrzymali się przy kolejnych drzwiach. Clay odwrócił głowę i trzy razy wypalił w zamek. Potężnym kopniakiem otworzył drzwi i obaj wypadli na dach.

Dach był duży. W oddali wyraźnie widać było światła. Ponad tuzin mężczyzn pędził w ich stronę. Nagle nad ich głowami świsnęły kule, trafiając w ścianę klatki schodowej za ich plecami.

- Padnij! - Clay pchnął Palina w dół na zimny dach i, pochylając się, pobiegł z powrotem na schody. Słuchał, jak głosy stają się wyraźniejsze. Tamci zbliżali się szybko. Kolejne pociski uderzyły w zewnętrzną ścianę. Jeden przeszedł na wylot, rozsypując u szczytu schodów gips i tynk. Clay rozejrzał się po ciemnym dachu, gdzie Palin leżał nie wydając żadnych odgłosów.

Dudnienie kroków na stopniach stawało się coraz głośniejsze. Clay przyklęknął i przytknął drzwi, pozostawiając w szparze tylko skierowaną w dół lufę broni. W ścianę trafiło jeszcze więcej kul. Czekał cierpliwie, dopóki nie zobaczył na klatce schodowej zbliżających się świateł. Skierował broń w kąt, gdzie schody po raz ostatni skręcały, po czym pięły się na dach. Odbicie świateł zza rogu stało się jaśniejsze. W końcu, kiedy dudnienie stało się dość głośne, a światła osiągnęły pełną jasność, wiedział, że tamci są już blisko. Wystrzelił trzy razy w róg ściany. Kroki natychmiast się urwały, a światła zgasły.

Clay wiedział, że pozostałą część schodów pokonają powoli. Tak się dzieje, kiedy do ciebie strzelają. Posłał w ścianę jeszcze jeden pocisk, po czym wycofał się i pozwolił drzwiom się zamknąć. Pochylony, podbiegł z powrotem do Palina.

- Nic ci nie jest?

Palin pokręcił głową.

- Nie. Chociaż nasza sytuacja nie wygląda dobrze.

- Wiem, wiem - zgodził się Clay. To było właśnie położenie, w którym nie chciał się znaleźć. Powoli opuścił się na brzuch i zajął pozycję, opierając się na łokciach z bronią wymierzoną w schody. Dziękował w duchu za

podwyższoną krawędź dachu, przez którą trudno ich było zobaczyć z ziemi i byli mniej widoczni dla zbliżających się ludzi. Przyłożył oko do celownika karabinu i skupił się na ciemnym kształcie wyjścia na dach.

Wreszcie drzwi powoli zaczęły się otwierać. Wnętrze za nimi było czarne jak smoła, przez co trudno było rozpoznać kto albo co je otwierało. Kiedy rozchyliły się do końca, Clay zobaczył, jak coś przesuwają się w kierunku dolnego zawiasu, aby powstrzymać je przed zamykaniem. Właśnie w chwili, kiedy zaczęła wysuwać się lufa, Clay coś usłyszał. Był to dźwięk silnika.

Nagle zza przeciwległego rogu budynku wyłoniła się ciemna sylwetka helikoptera i przemknęła nad dachem. Kiedy maszyna przelatowała nad schodami, chlusnęła pomiędzy płozów ciecżą w otwarte drzwi. Mężczyźni w środku polecili do tyłu, ślizgając się i spadając w dół po schodach.

Niewielki śmigłowiec przechylił się mocno w prawo, syjąc iskrami od kul wystrzelonych z ziemi. Caesare szybko opadł z powrotem i zatoczył koło, zwalniając po drugiej stronie dla bezpieczeństwa.

- Biegiem! - zawołał Clay, podrywając Palina na nogi i popychając go naprzód. Biegli pochyleni, tak szybko, jak potrafili, w stronę czekającego na nich helikoptera unoszącego się zaledwie metr powyżej powierzchni dachu. Kiedy dotarli do krawędzi, Clay wepchnął Palina w małe owalne drzwi po stronie pasażera. Na trzecią osobę nie było miejsca. Kule ponownie odbiły się od boku śmigłowca, gdy unurzani w śliskiej cieczy żołnierze wytoczyli się z klatki schodowej. Clay spojrział na Caesare siedzącego na miejscu pilota. Skinął szybko głową, po czym wskazał gestem za siebie. Jego przyjaciel odpowiedział skinieniem.

Caesare otworzył szeroko pokrywę silnika i odchylił się od budynku. Jednym ruchem Clay odwrócił się i opróżnił resztę magazynka tuż ponad głowami żołnierzy. Wciąż się obracając postawił stopę na krawędzi dachu, opuścił karabin i skoczył głową naprzód.

Borger przełączył widok na monitorze na jedną z kamer monitoringu skierowanych na lądowisko. Zaczął wyłączać syreny najszybciej, jak dał radę, ale ludzie wybiegali już z budynków i zmierzali na drugą stronę bazy w wozach opancerzonych. Kilkoro pobiegło na pobliskie lądowisko, gdzie czekały cztery helikoptery UH-60 Black Hawk. Piloci wspięli się do kabin,

szybko uruchomili systemy i odpalili silniki. Kokpity rozjaśniły się blaskiem aktywowanych instrumentów, a w górze powoli zaczęły obracać się śmigła. Piloci zapieli pasy i włączyli skomputeryzowane hełmy, czekając, aż system uzbrojenia zsynchronizuje się z ich cyfrowymi wizjerami.

- Ups - powiedział Borger. Odciął całe oświetlenie pasa startowego i lądowiska, ale było już za późno. Systemy nawigacyjne w kokpitach helikopterów zostały już w pełni aktywowane. Maszyny mogły latać bez żadnego zewnętrznego światła, a nawet przy zerowej widoczności. Śmigła przyspieszyły, gotowe do startu.

Nagle nad budynkami i płytą lądowiska przesunęła się fala jasnoniebieskiego światła. Przeszła przez śmigłowce i zniknęła. Lampy oraz instrumenty w kokpitach Black Hawków zgasły, a silniki wyłączyły się, pozostawiając tylko dźwięk wirujących coraz wolniej śmigieł. Piloci spojrzeli po sobie ze zdziwieniem i spróbowali od nowa uruchomić maszyny, ale bez skutku.

Borger otworzył szeroko oczy.

- Co to było, do cholery?

Alison Shaw otworzyła drzwi mieszkania i weszła do środka, starając się nie upuścić dużej sterty kopert, którą trzymała w rękach. Zamykające się drzwi o mało jej nie potrafiły; odsunęła się akurat w porę i przeleciały obok, zatraskując się za nią z hukiem. Rzuciła pocztę na kuchenny blat, obok odkładając klucze, po czym upuściła na dywan swoją dużą torbę na ramię. Spojrzała na zegar na mikrofalówce i westchnęła.

Wyjęła z szafki kieliszek, a z lodówki butelkę chardonnay. Nalała sobie wina i z westchnieniem opadła na kanapę. Zastanawiała się, jak w ogóle mogła sądzić, że prace zwolnią, kiedy pałeczkę przejmie IMIS? Teraz była jeszcze bardziej zajęta niż przedtem. Oczywiście wcześniej były to głównie przygotowania; teraz przyszła kolej na realizację. Projekt okazał się większym sukcesem, niż spodziewała się w najśmielszych snach. System działał, nawiązali prawdziwy kontakt i dowiadywali się więcej, niż kiedykolwiek oczekiwali. Ostatnie dni były naprawdę ekscytujące. Odkrycie że Dirk i Sally potrafiły nie tylko określić liczbę, ale też liczyć, miało ogromne znaczenie. Torowało drogę do znacznie głębszych zdolności poznawczych i myślenia abstrakcyjnego. Nie spodziewała się tylko tego, do czego to doprowadzi. Dirk i Sally zaczęły zadawać pytania.

Teraz nie pytały jej już tylko o to, jak się czuje albo co je. Próbowaly formułować zdania i myśli, które zdawały się wykraczać poza aktualne możliwości IMIS. Jednak nawet w ramach istniejącego słownika, delfiny zadawały Alison pytania, na które trudno jej było udzielić odpowiedzi. Zaczęło się od tego, czemu ludzie noszą ubrania, co już sprawiło dość dużo trudności. Ale kiedy zapytały dlaczego ludzie brudzą ocean?, miała prawdziwą zagwozdkę. Chciały wiedzieć, czemu ludzie zanieczyszczają ocean i, skoro już o tym mowa, całą planetę. To wskazywało nie tylko na głębsze zrozumienie otaczającego świata, ale też na zdolność pojmowania relacji pomiędzy ludźmi a zmieniającym się otoczeniem. Delfiny zdawało się

też ciekawić, dlaczego im więcej głębi miały ich pytania, tym dłużej zajmowało ludziom udzielenie odpowiedzi. Wiele wcześniejszych badań nad ssakami sugerowało, że posiadały one zdolności poznawcze na poziomie małych dzieci, jednak badacze najwyraźniej ich nie doceniali. Na tej podstawie Alison doszła do wniosku, że nawet umiejętność sprawdzenia przez ludzi inteligencji innych zwierząt była bardziej ograniczona, niż się zdawało.

Pociągnęła kolejny łyk wina i odchyliła się na oparcie, kładąc stopę na brzegu stolika. Wpatrywała się w obraz Wylanda wiszący na ścianie. Cóż to za niesamowity świat, cudowny pod tak wieloma względami. A ona chciałaby z kimś ten świat dzielić.

Na tę myśl zmarszczyła brwi. Pomyślała o swoich dwóch ostatnich związkach. Obydwa były nieudane, przy czym ostatni niemal toksyczny. Zdała sobie teraz sprawę, że to po tamtym związku naprawdę rzuciła się w wir pracy. To był jej sposób na ucieczkę od tego okropnego okresu w jej życiu. A pokochała Dirka i Sally tak bardzo, że dało jej to pretekst, aby unikać ryzyka wyładowania w kolejnym nieudanym związku. Przez długi czas się ukrywała i ukształtowało ją to w sposób, który jej się nie podobał. Alison otarła łzę z kącika oka, zanim ta zdążyła spłynąć w dół. Nie chciała się już ukrywać.

Nieoczekiwanie zaczęła myśleć o Johnie Clayu. Był inteligentny i interesujący, a nawet skrywał gdzieś tam w sobie poczucie humoru. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś go zobaczy. Miała nadzieję, że tak. Kogo ona próbowała oszukać? Pewnie nie była nawet w jego typie. On był światowy, doświadczony i przystojny.

Alison zastanawiała się, gdzie teraz jest i co porabia. Pewnie dobrze się bawi w jakimś ekscytującym miejscu, otoczony wianuszkami kobiet.

John Clay trzymał się kurczowo podwozia helikoptera, rozpaczliwie starając się nie puścić, podczas gdy Caesare manewrował pomiędzy drzewami tak blisko ziemi, jak to tylko było możliwe, aby uniknąć wykrycia przez radary. Zeskakując z dachu, Clay uderzył mocno o metalowe płozy i czuł, że poważnie zwichnął sobie ramię. Od trzymania się z całej siły jego lewą ręką przeszywał palący ból. Caesare leciał zygzakiem w niemal

kompletnej ciemności i Clay wciąż obijał się o czubki drzew, przez co nie był w stanie poprawić uchwytu ani podciągnąć nóg.

Zmienił pozycję i zawisł bardziej na prawej ręce, aby dać lewej odpocząć. Jeszcze raz spróbował przerzucić nogę przez dyszę służącą do opryskiwania pól, ale ta pokryta była płynnym środkiem owadobójczym i zbyt śliska, żeby dało się jej przytrzymać. Nagle wielka gałąź uderzyła mężczyznę w pierś, niemal go strącając. Jego prawa ręka zaczęła dygotać. Nie był pewien, jak długo jeszcze się utrzyma. Wiedział, że jeśli spadnie przy tej prędkości, nie przeżyje.

Wewnątrz kokpitu Caesare nie miał pojęcia, czy John dał radę w porę się złapać. Nie widział prawej strony płozów, a panująca ciemność dodatkowo utrudniała sprawę. Palin trzymał mocno brzeg otwartych drzwi. On też nie widział ani śladu Claya. Caesare miał nadzieję, że jego przyjaciel tam jest, ale musiał zakładać, że go nie ma. Uniósł się ponad kępę wysokich drzew, po czym opadł z powrotem. Teraz to on musiał odwieźć Palina do domu.

Blisko trzydzieści minut później Caesare wypatrył polanę, której szukał. Lampy dawały dość światła, aby potwierdzić lokalizację, ale nie na tyle, żeby dało się zobaczyć jakiegokolwiek szczegółu miejsca lądowania. Zniżył lot i okrążył polankę, wypatrując jakichkolwiek odstępstw od normy. Kiedy niczego nie znalazł, zwolnił i wylądował na środku przesieki. Zatrzymawszy się na moment tuż ponad powierzchnią ziemi, opadł delikatnie na gęstą trawę. Wyłączył silnik i spojrzał na Palina.

- Wszystko w porządku?

Jego pasażer był nieco roztrzęsiony, ale odpowiedział skinieniem głowy.

Kiedy śmigła zwolniły, Caesare wyskoczył na zewnątrz ze ściśniętym żołądkiem. Pochylił się i zajrzał pod helikopter. Po drugiej stronie dostrzegł duży, leżący poziomo kształt. Szybko obiegnął śmigłowiec od przodu, mijając Palina, który ostrożnie schodził na dół. Clay leżał na ziemi, trzymając się za lewe ramię i jęcząc.

- Clay! - zawołał z przejęciem Caesare. - Ty wariacie. Nic ci nie jest? - Odwrócił go na plecy i zobaczył, że lewe ramię mężczyzny znajdowało się znacznie wyżej niż prawe. Obmacał je delikatnie z przodu i z tyłu. - Nie wydaje się złamane. Pewnie tylko wybite.

Clay skinął głową, ale nic nie powiedział.

- Nastawię ci je - zaoferował Caesare.

- Czekaaj, czekaaj - zaprotestował Clay przez ściśnięte zęby. - Daj mi chwilę.

Zjawił się Palin i wspólnie pomogli mu usiąść.

Clay spojrział na odbitego więźnia.

- Jesteś cały?

Palin skinął głową. Razem z Caesare pomógł Clayowi zejść na chłodną trawę.

- Gotowy? - Caesare sięgnął pod ramię przyjaciela.

Clay skrzywił się, ale skinął głową. Gwałtownym ruchem Caesare przemieścił staw, który na powrót wskoczył na właściwe miejsce. Clay jęknął głośno i przewrócił się na bok. Leżał tak przez kilka długich minut, próbując złapać oddech.

- Musiałeś przywalić w każde drzewo?!

- Hej, to ty chciałeś to robić po ciemku.

- Prawda. - Clay usiadł z wysiłkiem. Zaczął szukać swojej prawej kieszeni i zauważył, że pistolet wciąż tkwi w kaburze. - Jak do licha udało mu się nie wypaść?

- No widzisz, nie mogło być aż tak źle - zażartował Caesare.

Clay znalazł kieszeń i szarpnięciem rozpiął rzepy. Wyciągnął małą wyściełaną paczuszkę i rozwinął ją. Ze środka wypadł jednorazowy telefon. Włączył go i wybrał numer.

Podobny telefon zaczął dzwonić na biurku Borgera. Mężczyzna natychmiast odebrał.

- Clay?

- Hej, Will. - Clay znów zacisnął zęby, kiedy dwaj pozostali pomagali mu wstać. - Jak nam poszło?

- Nie tak źle - odparł Borger. - Zwialiście, zanim większość do was dotarła.

- Przełożył telefon do drugiego ucha i sięgnął po myszkę. - Pomogła ciemność, podobnie jak wielkie przyjęcie powitalne po drugiej stronie bazy. Caesare parę razy wzniósł się na tyle, że widać go było na radarze, więc wysłali pościg. Na szczęście udało mi się zmienić algorytm radaru, więc pokazał, że przemieszczacie się nie w tę stronę. W tej chwili ścigają was na północ, co powinno wam dać trochę czasu.

- Dobra. Lecą w śmigłowcach? - zapytał Clay.

- Właściwie to nie, głównie jadą po ziemi.

- Co? Nic w powietrzu?

- Nie - odparł Borger. - Dostaliśmy odrobinę wsparcia w tej kwestii.

Clay nie wiedział, o co chodzi, i prawdę mówiąc nie obchodziło go to.

Cokolwiek przytrafiło się na ich korzyść, nie zamierzał tego kwestionować.

- Okej, musimy ruszać. Coś jeszcze?

- Tak. - powiedział Borger, przełączając okna na ekranie komputera. Wpisał kilka komend i ponownie spojrzął na odpowiedź. - Wygląda na to, że naszych dwanaście Tridentów zbliża się do Bimini.

- Już? Szybko im poszło.

- Niekoniecznie - odparł Borger. - Clay... rozkazy zostały wydane trzy dni temu.

Clay zastanowił się przez chwilę.

- Ale to byłoby zanim wydał je prezydent.

- Właśnie. Więc albo wszyscy na konferencji odstawiali przed nami szopkę, albo...

- Albo ktoś inny wydał rozkaz już wcześniej - dokończył Clay.

- Albo i jedno, i drugie.

Clay spojrzął na Caesare, który przyglądał się ogonowi małego helikoptera. Część powłoki odpadała po kolizjach z drzewami, odsłaniając prawdziwy numer boczny.

- Coś jeszcze? - zapytał Borgera.

- Na tę chwilę nie. Powinniśmy się rozłączyć.

- To na razie. - Clay skinął głową i zakończył rozmowę.

- Co tam? - zapytał Caesare, dociskając zerwaną folię na miejsce.

- Wyjaśnię po drodze.

Hank Stevas patrzył zza szklanej ściany, jak wielka grupa delegatów ONZ oraz uczonych wypełnia recepcję. Pokręcił głową. To powoli zmieniało się w cyrk.

Bill Mason stał za nim i rozmawiał przez komórkę. Po kilku minutach zakończył połączenie.

- Ten alarm pochodził z naszego budynku po zachodniej stronie. Palin uciekł.

Oczy Stevasa zwęziły się, a jego twarz zrobiła się czerwona.

- Clay!

- Po co Clay miałby go zabierać?

- Bo to pieprzony harcerzyk! - wypluł z siebie Stevas. - I wie o wszystkim.

- Potrząsnął głową ze złością. - Mówiłem Langfordowi, żeby niczego mu nie zdradzał! Mówiłem, że się tym zajmę, ale on nie słuchał.

- Więc co teraz zrobimy? - spytał Mason.

Stevas spojrział znów na ludzi, którzy wciąż wlewali się do większego pomieszczenia, uśmiechając się i wymieniając uściski dłoni.

- Clay wie dokładnie, co planujemy, a nawet gdyby nie wiedział, ci ludzie zrobią z tego polityczny koszmar. Będą gadać przez tydzień, a potem stworzą komisję naukową. - Jego głos ociekał obrzydzeniem. - Co za trucizna, ta demokracja.

- Kiedy Clay odwiezie Palina do domu, będzie po nas - stwierdził Mason.

Stevas obrzucił go spojrzeniem.

- Jeśli mamy coś zrobić, musimy zrobić to teraz. Tracimy kontrolę nad sytuacją. - Wyciągnął telefon i wybrał numer. Mówił powoli. - Tu Stevas. Działajcie.

Zamilkł na chwilę, słuchając osoby po drugiej stronie linii.

- Zgadza się. Mówię z pełnym poparciem prezydenta.

Przerwał połączenie.

- Jeśli on niczego nie zrobi, zrobimy to my.

- Więc dokąd zmierza Clay?

Stevas zastanowił się.

- Na południe.

36

Alison zbudziła się nagle, słysząc, jak ktoś dobija się do drzwi jej mieszkania. Starając się wrócić do rzeczywistości, usiadła i sięgnęła po wiszący na drzwiach szlafrok. Poczłapała szybko przez ciemny korytarz, włączając po drodze światło w kuchni. Wreszcie dotarła do wejścia i spojrzała przez wizjer. Jednym ruchem odsunęła zasuwkę i zrobiła krok w tył, otwierając drzwi. Po drugiej stronie stał zdyszany i zlany potem Chris Ramirez.

- Chris, co ty...

- Nie ma ich! Wszystko zniknęło, Alison!

Wyglądała na zdezorientowaną.

- O czym ty mówisz?

- O wszystkim! Wszystko zniknęło! Serwery, IMIS i delfiny! Dirka i Sally też nie ma!

Alison była w szoku. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Próbowwała znaleźć słowa, ale była w stanie tylko z niedowierzaniem kręcić głową.

Laboratorium było puste. Kompletnie wyczyszczone. Alison nie mogła w to uwierzyć. Po całej podłodze porozrzucone były kable i części komputerowe. Jedno z biurko zostało przewrócone, a wokół wały się dziesiątki książek. Regały z serwerami zawierającymi wszystkie ich dane, serce IMIS, zniknęły. Cała ściana, przy której niegdyś stały, zdawała się koszmarnie pusta. Ale najgorszy był zbiornik, wypełniony tylko wodą. Dirka i Sally nie było.

Alison poczuła, że robi jej się niedobrze i musiała się oprzeć o róg stołu. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Na drugim końcu pomieszczenia Lee

Kenwood przeglądał to, co zostało na podłodze, przekopując książki i kawałki metalu pozostałe z regału z serwerami. Chris stał w milczeniu koło Alison.

Kobieta nie była w stanie nic z siebie wydusić. Zabrakło jej słów. Czuła ucisk w piersi, jakby miała zaraz dostać ataku serca. Była czerwona na twarzy i robiła wszystko, co mogła, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Za jej plecami do pokoju wpadł Frank Dubois.

- Co do diabła... - powiedział, potrząsając głową. - Co... co się stało? - zapytał, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego.

Mdłości Alison nagle przerodziły się w gniew, wzbierający w niej niepoohamowanie. Zwróciła się do Dubois, niemal krzycząc.

- Jesteś zadowolony, Frank?! Jesteś?! Wszystko nad czym pracowaliśmy przepadło! - Spojrzała na niego z pogardą. - Po prostu musiałeś to zrobić, prawda?! Po prostu wzięłeś ich pieniądze! Po prostu sprzedałeś wszystko pierwszemu lepszemu, kto ci zapłacił! Brzydzę się tobą!

Dubois był oszołomiony. Rozejrzył się wokół, nic nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz? Co... co się stało? Kto to zrobił?''.

- Kto to zrobił? - krzyknęła. - A jak myślisz, do cholery?! Rząd! Od początku mówiłam ci, że tego właśnie chcą. Myślałeś, że tak po prostu pozwolą nam zajmować się swoimi sprawami?!

- Rząd? - zapytał, potrząsając głową. - To znaczy kto?

- Marynarka! - odparła z niesmakiem. - Od początku wiedzieli, co robimy!

- Marynarka?

- Tak, marynarka! - krzyknęła. - I powiem ci, kto dokładnie... John Clay! - Alison nie mogła uwierzyć, że wcześniej lubiła tego sukinsyna. Czuła się zarazem wściekła i zraniona. - Co za kłamca! - warknęła.

Wszyscy stali wpatrzni w nią.

- Tak? No to powiesić drania! - rozległ się głos za jej plecami.

Obróciła się gwałtownie na pięcie i zobaczyła Claya stojącego za nią wraz z Caesarem i Palinem. Wszyscy zdawali się wyczerpani. Clay wyglądał, jakby wdał się w bójkę w barze i przegrał.

Oczy Alison rozszerzyły się z wściekłości. Podbiegła do niego i wzięła zamach, żeby uderzyć go w twarz.

- Ty to zrobiłeś!

Clay pochwycił jej rękę kilka centymetrów od swojego policzka.

- Spokojnie, Alison.

- Nie mów do mnie Alison! - warknęła. - Ty...

- Ja tego nie zrobiłem - powiedział spokojnie.

To ją zaskoczyło. Nagle nie była pewna, co powiedzieć, wpatrywała się tylko w niego bez ruchu. Z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

Clay spojrzał na nią ze spokojem.

- Gdyby to była moja sprawka, co bym tu jeszcze robił? - Odwrócił się i spojrzał na Caesare oraz Palina. - Co my byśmy tu robili?

Alison zabrakło słów. Rzeczywiście, co?

- Jeśli to nie ty, to kto?

Lekko potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien.

Wszyscy stali i mierzyli się nawzajem wzrokiem. W końcu Caesare rzucił na podłogę ogromny worek.

- No, to było dopiero powitanie.

Alison oparła dłonie na biodrach.

- Skoro tego nie zrobiłeś, to po co tutaj jesteś?

- Potrzebuję czegoś. Czegoś, co przez przypadek zostawiłem tu ostatnim razem - powiedział Clay. - Chodzi o ten mały, srebrny przedmiot mniej więcej wielkości talii kart. - Pokazał rękami przybliżony rozmiar.

- Do czego służy? - zapytała.

- Długa historia, ale to bardzo ważne.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Dam ci go, jeśli powiesz mi, co się tu do diabła dzieje.

Clay westchnął i spojrzał na Caesare i Palina. Obaj wzruszyli ramionami.

- To skomplikowane - zaczął. - Kiedy byłem tu ostatnio... Dirk mówił o mieście pod wodą.

- Pamiętam.

- Widzisz, to jest Palin - powiedział, wskazując za siebie. - Pochodzi z tego miasta. Nasz rząd chce je zniszczyć razem z ich elektrownią, co może mieć bardzo nieprzyjemne skutki uboczne.

- Dlaczego?

Clay westchnął.

- W sumie dlatego, że są idiotami.

Oczy Alison zwięzły się.

- No, z tym akurat jestem skłonna się zgodzić.

Will Borger sięgnął po kubek i pociągnął kolejny łyk kawy. Obserwował uważnie monitor i zauważył połączenie wychodzące z telefonu Stevasa. Nachylił się bliżej i zaczął pisać na klawiaturze, próbując poznać numer odbiorcy. Sprawdził go w systemie; był to numer telefonu komórkowego Bruce'a Bishopa, dowódcy marynarki. Borger obserwował dalej. Kolejne połączenie zostało wykonane spod numeru Bishopa. Po chwili dalszej pracy odkrył, że dowódca dzwonił do Centrum Operacji Morskich.

Borger otworzył kolejne i patrzył, jak po ekranie przesuwa się ściana danych. Zatrzymał ją w połowie, skupiając się na licznych wiadomościach wychodzących, zaczynających się od słowa „Alarm”. Wiadomość była zaszyfrowana, więc nie mógł jej odczytać. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym coś przyszło mu do głowy. Wiadomość co prawda była zabezpieczona, ale być może plik dziennika, który ją wygenerował i wysłał, nie był. Około piętnastu minut zajęło mu zlokalizowanie właściwego serwera, zalogowanie się i odnalezienie samego pliku. Dopasowując czas wysłania wiadomości do wpisów z dziennika, znalazł kod generujący. Nie był zaszyfrowany. Borger szybko poskładał go z powrotem i odtworzył wiadomość.

„O nie” - pomyślał. Był to rozkaz dla okrętów podwodnych. Nagle pomyślał o pierścieniu i zdał sobie sprawę, co umykało mu przez cały ten czas.

- Alabama! - Szybko odwrócił się do drugiego monitora i otworzył kolejne okno. Znalazł dzienniki z Alabamy, które dostał od Claya i zaczął gorączkowo przeszukiwać strony pełne danych diagnostycznych. Znalazszy pierwszy potrzebny mu fragment, Borger wydrukował go i szukał dalej. Chwilę później odnalazł drugi, który również wydrukował. Złapał obie kartki i położył je jedna obok drugiej. Zaczął robić obliczenia na marginesach. Po kilku minutach miał już to, czego szukał. Chwycił za komórkę i wybrał numer najszybciej, jak potrafił.

Clay urwał w pół zdania, kiedy w kieszeni zadzwonił mu telefon. Uniósł przeproszającą rękę i otworzył klapkę.

- Mów, Will.

- Clay! - Borger prawie krzyczał. - Mamy problem! A nawet kilka.

- Jaki? - Clay patrzył spokojnie na Alison i jej zespół.

- Okręty podwodne właśnie dostały rozkaz, żeby otworzyć ogień! Ale nie to jest najgorsze - powiedział pospiesznie. - To się chyba źle skończy. Dla nas. Pamiętasz Alabamę?

- Oczywiście.

- Ich misję przerwano, bo wystąpiła usterka przy określaniu lokalizacji, nie? Clay, nie było żadnej usterki!

Clay uniósł brwi.

- Jak to nie było?

- Pamiętasz, systemy Alabamy nagle stwierdziły, że jest o piętnaście mil dalej niż powinna. Uznano to za błąd komputera. Ale komputery miały rację! Przez cały czas. Alabama za bardzo zbliżyła się do pierścienia, Clay. Za bardzo zbliżyła się do pierścienia i została natychmiast przeniesiona na drugą stronę. Właśnie dlatego komputery twierdziły, że nagle znaleźli się gdzie indziej - bo tak właśnie było.

Clay przewrócił oczami. No jasne! Teraz wszystko się zgadzało. Nagła zmiana współrzędnych GPS, wciąż zsynchronizowane zegary, a nawet dźwięk, który operator sonaru usłyszał chwilę wcześniej. Zaraz jednak zrobił zdziwioną minę.

- W takim razie w czym problem?

- Clay, te okręty zaraz wystrzelą w pierścień całe mnóstwo torped. Myślę, że znowu przydarzy się to samo. Co, jeśli pociski wylecą drugą stroną?

- Jezu - jęknął Clay. - Czy jest czas, żeby ich ostrzec?

W głosie Borgera zabrzmiała ponura nuta.

- Nie sądzę.

Clay rzucił Caesare i Palinowi spojrzenie, które pasowało do tonu Borgera.

- Jest jeszcze coś - powiedział cicho informatyk.

- Ależ oczywiście, że jest - odparł mężczyzna z sarkazmem.

- Kiedy to się nie uda, na pewno spróbują wysłać delfina z atomówką. Ale jest coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę. - Borger spojrzał w dół na swoje obliczenia. - Pamiętasz, jak pytaliśmy pani Lokke o wybuch jądrowy pod wodą i czy fale uderzeniowe dojdą do bieguna południowego? Nie zapytaliśmy jeszcze o to, co się stanie, kiedy miliardy ton wody wyparują od tej eksplozji.

Clay zastanowił się.

- Powstanie próżnia.

- Oczywiście. Cała ta woda zniknie w jednej chwili, wywołując gigantyczną falę, która wpłynie na jej miejsce, zasilana między innymi wodą wypływającą prędko spod lodowca.

Clay zamknął oczy i potrząsnął głową.

- Will, zaczynam naprawdę nie cierpieć rozmawiania z tobą przez telefon.

- Clay - powiedział Borger. - Musimy powstrzymać tę bombę.

Clay zerknął na Alison i jej zespół.

- Pracuję nad tym.

Kiedy zakończył rozmowę, Caesare na niego spojrział.

- Co tym razem?

- Tridenty wkraczają do akcji, a ten ich ładunek jądrowy spowoduje cholernie wielkie zniszczenia.

Odezwał się Lee Kenwood.

- Chodzi o to miasto?

Clay skinął głową.

- I o wasze delfiny. - Zwrócił się z powrotem do Alison. - Alison, wasze delfiny porwano, bo wiedzą, gdzie znajduje się miasto. Już tam były. Porwano je, bo nasz rząd zamierza ich użyć do wysadzenia Palina i jego ludzi. Planują przyczepić głowicę nuklearną do grzbietów waszych delfinów i je tam posłać. I zrobią to już wkrótce.

Alison aż zaparło dech.

- Nie!

- Co za sukinsyny! - warknął Chris.

- Gdzie jest to miasto? - zapytała.

- Niedaleko. U wybrzeży Bimini.

Alison skinęła głową w milczeniu, po czym podeszła do jednego ze stołów. Pochyliła się i podniosła plecak. Sięgnęła do środka i wyjęła kostkę Palina.

- To chyba należy do pana. - Podała ją bezpośrednio Palinowi. Nie miała najmniejszego zamiaru przyznawać się nikomu, że zatrzymała ją jako pretekst, aby zadzwonić do Claya.

Palin uśmiechnął się i delikatnie wyjął przedmiot z jej dłoni. Tymczasem Caesare upuścił swoją torbę na podłogę i rozpiął zamek. Wyciągnął z niej więcej karabinów i magazynków z amunicją, część wręczając Clayowi.

Clay spojrział na Alison.

- Musimy was zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, a potem pożyczyć waszą łódź.

Spojrzeni po sobie nagle zaniepokojeni.

- Dlaczego? - zapytała Alison.

- Bo z nami rozmawialiście, a więc nie jesteście już bezpieczni. - Clay wzruszył ramionami. - No i my tak jakby prysnęliśmy z więzienia.

- Serio?! - spytała z zaskoczeniem.

Wszystkie pary oczu zwróciły się ku Caesare.

Włoch wydawał się zirytowany.

- Czemu do diabła wszyscy zawsze myślą, że to ja byłem w więzieniu?!

Clay sprawdził magazynek w swojej broni, po czym wsadził go z powrotem.

- Ktoś tu ma jakąś bezpieczną kryjówkę? Domek letniskowy, chatkę przyjaciela, coś w tym rodzaju?

Alison zmarszczyła brwi.

- Ty chyba nie wiesz, jak działa finansowanie z dotacji.

- Tu mnie masz. Da się stąd wyjść jakoś inaczej niż przez recepcję i główne wejście?

- Tak - odpowiedział Dubois. - Tam z tyłu jest korytarz techniczny. - Wskazał na ciemny róg przy krawędzi zbiornika. - Rzadko używany, ale da się nim wyjść na zewnątrz.

- Dobrze - powiedział Clay. - Chcę, żebyście... - Nagle urwał. Alison zaczęła coś mówić, ale przerwał jej uniesieniem dłoni. Nasłuchiwał uważnie.

Caesare również wyteńczył słuch. Obaj spojrzeli w górę, a potem z powrotem na ciemny korytarz.

- Mamy towarzystwo.

W tej samej chwili kula przeszła powietrze tuż obok Claya i trafiła Dubois w klatkę piersiową, przechodząc na wylot. Był martwy, zanim jego ciało uderzyło o podłogę.

- Na ziemię! - Clay natychmiast wskoczył na Alison i sięgnął w stronę Chrisa, aby pociągnąć go w dół razem z nimi.

Caesare również nie stał w miejscu. Pomknął dookoła, złapał Palina i, wykorzystując siłę rozpędu, rzucił go na Lee Kenwooda, przewracając obu niczym kręgle. Natychmiast otworzył ogień, zasypując korytarz gradem pocisków. Kupił im tym samym kilka sekund czasu, w przeciągu których

wszyscy padli na ziemię i schronili się prędko za rzędem dużych, ciężkich biurek.

Clay szybko poczołgał się naprzód, chwytając i popychając przed sobą Palina, Alison, Chrisa i Lee. Dał im znak, aby leżeli na podłodze i starali się być możliwie jak najmniejszym celem. Podczas gdy Caesare prowadził ostrzał, Clay złapał stojący za nim długi stół i przewrócił go. Pchnął mebel naprzód, opierając go o tył biurek, aby stworzyć drugą warstwę ochronną. Monitor na blacie powyżej nagle eksplodował. Słyszeli, jak trzy pociski uderzają w gruby metal po drugiej stronie biurka. Clay wraz z pozostałymi przesunął się do przodu, kryjąc się za przewróconym stołem. Następnie zajęł pozycję obronną i odpowiedział ogniem.

Z korytarza dobiegło głośne chrząknięcie i jedna z widocznych tam sylwetek upadła na ziemię. Clay i Caesare z powrotem opadli na podłogę i przyklękli za biurkami, bez patrzenia wymieniając magazynki. Z korytarza dobiegło więcej strzałów. Caesare spojrzał na Claya.

- Słyszysz to?

Jego przyjaciel skinął głową.

- Zbliżają się. - Dwa pociski odbiły się od blatu biurka i przeleciały nad głową Claya, uderzając w wielki zbiornik za nimi. Naboje utkwiły w szkłe. Clay podniósł wzrok na zbiornik, a potem przeniósł go na Alison. - Jak grube jest to szkło?

Kobieta kulila się, spłoszona dźwiękami wystrzałów. Spróbowała się zastanowić.

- Piętnaście centymetrów... ma piętnaście centymetrów.

- Dobrze - powiedział Clay. Rozejrzał się na ile mógł po pomieszczeniu. Caesare opróżnił kolejny magazynek i sięgnął po następny. - Gdzie jest tamten korytarz? - zapytał Alison.

Kobieta oderwała jedną z dłoni od uszu i wskazała za siebie, na róg pomieszczenia. Clay podążył wzrokiem za jej palcem i dostrzegł ledwie widoczną krawędź niewielkich drzwi w pobliżu miejsca, gdzie zbiornik stykał się z budynkiem. Mieli do nich niemal czystą drogę od tylnej krawędzi biurek, ale ostatni stół od drzwi dzieliły niemal trzy metry otwartej przestrzeni. Kiedy usłyszał, że druga strona na chwilę zamilkła, szybko wstał i wystrzelił trzy pociski w stronę korytarza. Spojrzał na Caesare, wskazał w dół na linię mebli, a potem na ścianę, gdzie znajdowały się małe drzwi.

Caesare zerknął na nie z ukosa, po czym skinął głową. Złapał kolejny

magazynek i skierował wzrok na sufit. Odwrócił się w stronę Claya, na moment zasłonił oczy, a potem wykonał rękami jakiś znak. Clay podniósł wzrok i skinął głową. Kolejne cztery naboje odbiły się od blatu biurka i utkwily w szklanej ścianie zbiornika obok pozostałych. Clay sięgnął i chwycił Alison, przyciągając ją do siebie.

- Musimy wydostać stąd waszą trójkę! - wyszeptał jej głośno do ucha. Za jego plecami Caesare opróżniał kolejny magazynek. - Rozwalimy lampy. To powinno dać wam czas, żeby dostać się do drzwi. Jak już będziecie na zewnątrz, najpierw się rozejrzyjcie. Jeśli będzie czysto, zwiewajcie, gdzie pieprz rośnie. Znajdźcie jakieś bezpieczne miejsce. O nas się nie martwcie.

Alison skinęła głową i obejrzała się na Chrisa i Lee. Odwróciła się i przekazała im szeptem instrukcje. Clay obserwował całą trójkę. Żadne z nich nie zamarło ani nie wpadło w panikę, a więc przynajmniej myśleli. Byli śmiertelnie przerażeni - ale myśleli. A to było o niebo lepsze niż gdyby sparaliżował ich strach.

Clay odwrócił się i dał Caesare znak. Steve skinął głową, sięgnął do torby i wyjął z niej lampę. Chwycił kabel i wpiął go do najbliższej listwy zasilającej, po czym znów skinął głową. Na ten znak Clay szybko się odwrócił i powiedział bezgłośno do Alison: - Szykujcie się.

Odpowiedziała skinieniem i położyła dłonie na podłodze, gotowa do ucieczki.

Clay i Caesare zmienili pozycje za biurkami, po czym równocześnie wychynęli zza blatów. Caesare ostrzeliwał napastników, podczas gdy Clay ostrożnie celował w sufit, niszcząc wszystkie cztery zawieszane na nim lampy i pogrążając ogromne pomieszczenie w ciemności.

- Teraz! - wyszeptał głośno. Usłyszał, jak badacze prędko się odczołgują.

Ostrzał urwał się na moment. Na podłodze Caesare złapał lampę za czubek i umieścił ją na biurku. Żaden z mężczyzn się nie poruszył; czekali w miejscu, odliczając. Wiedzieli, że osobie doświadczonej przejście na noktowizor zajmowało zwykle pięć do dziesięciu sekund. Był to standardowy element szkolenia taktycznego, pozwalający żołnierzowi kontynuować walkę nawet w zupełnej ciemności. Wzmacniając niewielką dostępną ilość światła pięćdziesiąt tysięcy razy, noktowizor zapewniał bardzo dobrą widoczność. Rozwiązanie to miało oczywiście tę wadę, że wzmacniało wszelkie światło pięćdziesiąt tysięcy razy.

Caesare doliczył do siedmiu i pstryknął przełącznik lampy o mocy dwóch

milionów kandel. Natychmiast zalała ona pomieszczenie światłem niczym reflektor poszukiwawczy, oślepiając pięciu mężczyzn, którzy oczekiwali, że Clay i Cesare również nałożą gogle. Zamiast tego intensywnie wzmocnione światło sprawiło, że nie byli w stanie niczego zobaczyć. W tym momencie Alison i pozostali pognali przed siebie w stronę drzwi. Clay i Cesare przeskoczyli ponad biurkami i otwarli ogień, kładąc wszystkich przeciwników.

Obaj usiedli szybko i przeładowali. Dobiegł ich odgłos zamykających się niewielkich drzwi.

- Ktoś jeszcze? - zapytał Clay.

- Nie wiem. - Cesare odwrócił się i ponownie rozejrzał. W chwili, kiedy obracał się na prawo, dostrzegł coś kątem oka. W drugim korytarzu, prowadzącym do głównego wejścia, błysnęła lufa.

Bez odpowiednich osłon z tej strony, kula przedarła się przez stos skoroszytów i trafiła go w prawe ramię. Krzyknął i upadł do tyłu, opróżniając do końca magazynek w stronę nowego zagrożenia. Dało się zobaczyć więcej błysków, gdy kilka kolejnych postaci rozproszyło się i zajęło pozycje. Clay osłonił Cesare i wystrzelił wszystkie naboje, które miał. Szybko pociągnął w ich stronę brzeg ostatniego biurka, ale było już za późno. Kiedy kolejne pociski trafiały w mebel od drugiej strony, Cesare przetoczył się na bok, trzymając się za ramię.

- Jest bardzo źle? - Clay starał się przekrzyczeć huk strzałów i szelest unoszących się w powietrzu papierów.

Caesare zacisnął zęby.

- Dam radę.

Nagle za ich plecami odezwał się Palin.

- John?

Stuk stuk stuk. Kolejne pociski trafiły w biurko. Clay spojrzał na Palina i zobaczył, że ten wpatruje się w niego ze spokojnym wyrazem twarzy. Czekał, aż powie coś jeszcze, ale potem opuścił wzrok i zobaczył jasnoczerwone koło rozlewające się po piersi mężczyzny. Bezpośrednie trafienie.

- John - powtórzył Palin, powoli odpływając. Jego oczy zaczęły się zamykać, a głowa odchyliła do tyłu.

- Palin! - Clay potrząsnął nim, starając się rozbudzić. - Palin!! Zostań ze mną!

Nagle pokój wypełnił jaskrawy rozbłysk niebieskiego światła emanującego

zza ich pleców i łączącego się z blaskiem reflektora. Clay podniósł wzrok i zobaczył, jak powietrze pęka na pół i otwiera się, przybierając kształt dużego, owalnego otworu. Spojrzał na nieprzytomnego Palina. Z kieszeni jego płaszcza dobiegała jasna poświata. Wydobywała się z kostki.

Clay obejrzał się na Caesare, który przeładowywał broń.

- Zabierz go stąd! - Caesare uśmiechnął się najlepiej, jak umiał. - Nie martw się, nic mi nie będzie.

Clay wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Obaj wiedzieli, że to kłamstwo. Caesare mógł używać swojej silniejszej ręki tylko w ograniczonym zakresie, a z głównego holu nadciągały już kolejne cienie. Przyjaciele spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że to koniec.

- Zabierz go stąd! - krzyknął ponownie Caesare. Od drugiej strony w biurko uderzało tyle pocisków, że mebel zaczął się przesuwac, napierając na Caesare. - Oddaj mi swoją broń - powiedział - i idź powstrzymać tę bombę!

Clay wahał się tylko przez sekundę, po czym wymienił magazynek, obrócił swój karabin i podał go przyjacielowi. Następnie odwrócił się i kopniakiem odsunął jedno z biurk na bok, tworząc wąskie przejście. Chwycił Palina i położył go płasko na plecach, aby łatwiej go było podnieść. Spojrzał na Caesare i skinął głową. Znow poruszyli się równocześnie. Caesare wychylił się nad biurko strzelając z obydwu broni naraz i zapewniając potrzebną osłonę Clayowi, który podniósł Palina i przerzucił go sobie przez ramię. Czując rwący ból w zwichniętym ramieniu, podniósł się na nogi i pobiegł.

W tyle za nim Caesare dostał dwie kule w pierś i upadł plecami na podłogę. Clay pędził tak szybko, jak potrafił, z każdym krokiem zbliżając się do świetlistego portalu. Palin był ciężki, ale kiedy dostatecznie zbliżyli się do celu, Clay z całych sił odepchnął się i rzucił naprzód. Długim susem polecili w sam środek ciemnego owalu. Równocześnie z nimi przez portal przeszedł wielki pocisk.

Czerwone światła zajęły miejsce zwykłego oświetlenia na mostkach dwunastu okrętów podwodnych; na wszystkich poziomach padały komendy, aby „obsadzić stanowiska bojowe”. Tridenty otrzymały rozkazy i szykowały się do otwarcia ognia. Ustawily się strategicznie: sześć okrętów po jednej stronie ogromnego pierścienia i sześć po drugiej, aby zmniejszyć ryzyko. Okręty zachowywały też między sobą odstęp blisko pięciuset metrów. Dowódcy nie mieli pojęcia, jakiego kontrataku mogą się spodziewać ze strony ludzi Palina, toteż szaleństwem byłoby trzymanie wszystkich jednostek w jednym miejscu, wystawionych zbiorowo na cel.

Niemal w tej samej chwili na każdym z Tridentów torpedy zostały uzbrojone i załadowane do obydwu przednich wyrzutni. Oficer łączności na pokładzie głównego okrętu, Montany, nie odrywał wzroku od przyrządów. Czekał na jakiegokolwiek słowo lub zmianę rozkazów, które mogłyby stanowić sygnał do przerwania ataku. Dowódca Montany, komandor Hallgren, czekał cierpliwie, wiedząc, że na pozostałych okrętach również trwało ładowanie i uzbrajanie. Bez łączności radiowej zdani byli na staromodne metody. Cały czas zerkał na czerwony ledowy wyświetlacz wiszącego na ścianie zegara.

Minutę później spojrzał na oficera łączności, który odwzajemnił spojrzenie i potrząsnął głową. Hallgren zwrócił się do swojego dowódcy operacyjnego.

- Cała załoga... czekać na rozkaz.

Dowódca operacyjny powtórzył wiadomość do mikrofonu. Hallgren wzięły głęboki oddech i patrzył, jak zmieniają się cyfry na wyświetlaczu zegara.

- Ognia!

Rozkaz natychmiast został przekazany.

- Wyrzutnie dwa i jeden! Wyrzutnie dwa i jeden ognia!

Niecałą sekundę później dwie torpedy wystrzeliły z wyrzutni po obu stronach dziobu, równocześnie z pociskami pozostałych Tridentów. Pomknęły przed siebie, prosto do celu oddalonego o niecałą milę. Załoga

czekała, nasłuchując odgłosu trafienia. Ich serca zaczęły bić szybciej.

- Dziewięćset metrów... - zawołał sternik.

- Siedemset...

- Pięćset...

- Trzysty... - Sternik urwał. Mocniej docisnął słuchawki do uszu. - Sir! Straciłem je.

- Co?! - zapytał Hallgren. - Jak to straciłeś?

- Nie wiem, sir. Po prostu... chwila! - Nagle rozległ się za nimi przenikliwy dźwięk alarmu. Sternik otworzył szeroko oczy. - Sir! Torpedy się ZBLIŻAJĄ!

- Zbliżają?! - wykrzyknął Hallgren. - Zbliżają do kogo?

- Do nas, sir! - odparł sternik. - Dziesięć... NIE, dwanaście torped w wodzie siedemset metrów od nas, namiar 192 stopnie... 183... 166...

- Manewry unikowe! Obrócić okręt! - Spojrzał na sternika. - Czy to nasze?!

- Nie, sir! - odparł tamten, potrząsając głową. Odwrócił się do dowódcy. - Chyba są z jednostek po drugiej stronie.

- To niemożliwe! One są ponad piętnaście mil stąd! - zawołał Hallgren.

Z pełną mocą, Montana zaczęła się obracać. W tej chwili wszystkie pozostałe okręty robiły to samo.

- Czteryście pięćdziesiąt metrów i wciąż się zbliżają.

- Opróżnić zbiorniki - warknął Hallgren.

Wciąż się obracając, Montana otworzyła zbiorniki i awaryjnie wypchnęła z nich czterysta tysięcy litrów wody, które szybko zostały zastąpione przez zwiększające wyporność powietrze. Okręt powoli zaczął się wynurzać. Pod wodą odgłos opróżniania zbiorników przez wszystkie okręty rozlegał się na całe mile.

- Trzysta metrów!

Załoga Montany trzymała się mocno i tak samo jak pozostali rozpaczliwie pragnęła siłą woli pchnąć ogromny okręt w górę przez mroczne wody. Unosili się boleśnie wolno.

- Sto czterdzieści metrów! - zawołał sternik.

- Wypuścić wabiki! - krzyknął Hallgren.

Kilka dużych zbiorników zostało wystrzelonych z tylnych wyrzutni i zaczęło opadać na dno. Wypuszczane przez nie bańki i emitowane dźwięki miały zmylić systemy detekcji torped. Kilka pocisków nagle zmieniło kurs,

trafiło w wabiki i wybuchło przedwcześnie, jednak pozostałe wciąż mknęły przed siebie. Jedna po drugiej odnalazły swoje cele i eksplodowały w zderzeniu z okrętami, natychmiast rozrywając kadłuby. Tridenty implodowały pod naporem wody. Montana, wciąż rozpaczliwie pnąca się ku powierzchni, została trafiona ostatnia. Tak jak w pozostałych przypadkach, jej kadłub zatrzęsł się pod impetem eksplozji i zapadł do środka. Fale uderzeniowe z wolna osłabły. To, co zostało z dwunastu atomowych okrętów podwodnych, przestało się unosić i zaczęło powoli opadać bez życia w mroczne głębiny.

Małe metalowe drzwi otwały się powoli ze skrzypnięciem. Alison wysunęła głowę tylko na tyle, żeby się rozejrzeć. Drugi parking znajdujący się za trawnikiem otaczającym tył budynku wyglądał na pusty. Powoli skierowała wzrok na prawo, w stronę głównego wejścia, i ujrzała tylko znajome, pogrążone w ciemności drzewa i krzewy. Wychyliła się odrobinę na zewnątrz, wyglądając zza drzwi na lewo. Duża trawiasta przestrzeń zastawiona stołami piknikowymi była pusta i cicha. Dalej, po lewej stronie budynku, widać było zewnętrzną ścianę ogromnego zbiornika. Z tamtej strony do akwarium dało się dostać tylko przez duży taras, położony wysoko i niedostępny z poziomu gruntu.

- Co widzisz? - zapytał nerwowo stojący za nią Chris.

- Nic. Ciii! - szepnęła ze złością. Próbowała nasłuchiwać pośród dźwięków wystrzałów dobiegających z budynku. Na zewnątrz nie było nic słychać. Alison spojrzała na sięgający do pasa żywopłot otaczający przeciwległy kraniec parkingu. Za nim rosły drzewa, a jeszcze dalej majaczył zarys pochyłego dachu. Odwróciła się. - Chyba jest czysto. Myślę, że jeśli uda nam się dostać do żywopłotu, będziemy mogli się za nim schować, dopóki nie dotrzemy do większych drzew. Stamtąd powinniśmy dać radę dojść do szopy na narzędzia.

Obaj wystawili głowy, żeby się rozejrzeć.

- Wydaje się strasznie daleko - stwierdził Chris.

- Nie, jeśli będziemy poruszać się szybko. - Alison spojrzała na Chrisa, który miał na sobie białą koszulkę. Szybko ściągnęła swoją zieloną bluzę. - Zdejmij koszulkę i załóż to. - Wyglądziła ciemną bluzkę, którą miała pod spodem.

Drżącymi rękami Chris ściągnął t-shirt i włożył na siebie wąską bluzę. Była co najmniej o dwa rozmiary za mała i ledwo się w nią mieścił, ale lepsze to niż biała koszulka działająca jak światło odbłaskowe. Oboje

spojrzeli na czerwoną koszulę Kenwooda.

- No co, przynajmniej nie jest biała.

- Dobra. - Alison spojrzała na kolegów. - Gotowi?

Pozostała dwójka skinęła głowami. Nagle dobiegający z głębi korytarza dźwięk strzelaniny ucichł. Nie potrzebowali dalszej zachęty.

- Pochylcie się! - wyszeptała Alison przez ramię i pobiegła w stronę żywopłotu. Cała trójka trzymała się razem. Dotarli do żywopłotu i padli za nim na ziemię, po czym powoli wyjrzeli znad krawędzi. Ich oczom ukazały się parking oraz droga prowadząca do głównego budynku. Wciąż żadnych oznak ruchu.

- Dalej! - Alison ruszyła biegiem, pochylając się tak nisko, jak tylko mogła, aby nie wystawać zza żywopłotu. Chris i Lee poszli w jej ślady.

Niecałe dziesięć sekund później kucali za jednym z większych drzew na zewnętrznych obszarach akwarium. Wciąż nie widząc nikogo za sobą, pobiegli w stronę ciemnej budowli położonej na skraju posesji. Duża szopa, ukryta za drzewami, była wykorzystywana przez ogrodników i innych robotników dbających o wygląd zewnętrzny przybytku. Szybko sprawdzili główne drzwi, które okazały się zamknięte. Rozdzielili się i obeszlili budynek dookoła. Okna po obu stronach również nie dały się otworzyć. Alison zaczynała się rozglądać za innym miejscem, do którego mogliby uciec, kiedy nagle usłyszała odgłos tłuczonego szkła. Odwróciła się i zobaczyła Lee trzymającego w ręku duży kamień. Przyłożył palec do ust i zaczął usuwać pozostałości szyby przejeżdżając kamieniem wzdłuż wewnętrznej krawędzi ramy okiennej. Alison rozejrzała się i przebiegła parę metrów do niedużego bananowca. Urwała z niego dwa grube liście i obłożyła nimi krawędź ramy. Używając ich jako osłony, Chris i Lee podsadzili ją do okna. Chwilę później Lee podążył za nią, a na końcu do środka wpadł Chris. Po namyśle, Alison odsunęła stopą z widoku odłamki szkła i oparła o otwarte okno kilka narzędzi z długimi uchwytami.

Kilka minut później dwóch żołnierzy wypadło na zewnątrz korytarzem technicznym w poszukiwaniu zbiegów. Powoli badając otoczenie, rozdzielili się z uniesionymi karabinami przyciśniętymi do ramion. Jeden skierował się za zewnętrzny zbiornik, w stronę przeciwnego końca budynku. Drugi po cichu przebiegł nieduży parking, przeskoczył nad żywopłotem i, mierząc z karabinu, zlustrował pole piknikowe. Podążył wzdłuż krzewów, rozglądając się na obie strony, aż dotarł do końca ogrodzenia. Po prawej nieduża ścieżka

prowadziła z powrotem do głównego wejścia i, mijając wąski chodnik, rozchodziła się w dwie strony. Docierała do tych samych podwójnych drzwi, przez które reszta jego zespołu przypuściła wcześniej atak. Zawrócił i spojrzał na kępę wysokich drzew. Za nimi dostrzegł krawędź opadającego nisko dachu.

Prześliznął się cicho pomiędzy drzewami i znalazł szopę, której częścią był ów dach. Bardzo ostrożnie zajrzał za każdy róg, gotów w każdej chwili otworzyć ogień. Nie zastawszy nikogo na zewnątrz, spróbował otworzyć drzwi. Następnie znów zerknął za lewy róg, zauważając po zachodniej stronie wybitą szybę w oknie. Nic nie widział w ciemnym wnętrzu szopy, więc włączył ledową latarkę zamontowaną na lufie, zalewając je strumieniem jasnego światła.

Rozejrzał się dokładnie na wszystkie strony. Zobaczył ścianę zastawioną narzędziami, a także dziesiątki leżących w głębi worków z nawozami i kompostem. Po drugiej stronie stała ogromna kosiarka, a za nią kilka małych, zardzewiałych kanistrów na benzynę. Pośrodku leżały niezliczone wiadra i węże ogrodowe, wszystkie ułożone starannie na swoim miejscu. Nagle ze słuchawki owiniętej ciasno wokół jego ucha dobiegł czyjś głos.

- Nie, na razie ani śladu - powiedział i odsunął się od okna, słuchając. - Chyba zwiali. Nie mogli uciec dalej niż kilometr. Jeszcze możemy ich dopaść. - Znów przez chwilę nasłuchiwał, po czym skinął głową. - Dobrze, wracamy. - Żołnierz spojrzał jeszcze po raz ostatni przez okno i widząc, że na podłodze nie ma szkła, a o parapet oparte są narzędzia, doszedł do wniosku, że musiało zostać wybite już jakiś czas temu. Odwrócił się i szybko pobiegł z powrotem w stronę budynku. Kiedy się zbliżył, z wnętrza wyłoniła się reszta zespołu i wszyscy razem ruszyli w kierunku plaży. Wróciwszy się dwa razy po ciała swoich towarzyszy, wyciągnęli z krzaków trzy czarne pontony i zawlekli je z powrotem na piasek, a potem do wody. W kilka sekund odpalili silniki, załadowali sprzęt i rozplynęli się w mroku.

Minęło ponad trzydzieści minut, zanim Alison wyjrzała spod jednego z ciężkich worków z kompostem. Z twarzą usmarowaną ziemią powoli skierowała spojrzenie w stronę okna. Docierała stamtąd niewielka ilość księżycowego światła, podświetlając kontury drzew i krzewów szumiących

na wietrze. Na wpeł wysliznęła się, a na wpeł wyszarpnęła z niedużej przerwy pozostałej między workami i ścianą, po czym zachowując ciszę rozejrzała się wkoło. Odkąd usłyszeli coś brzmiącego jak łodzie oddalające się po oceanie, nie dobiegł ich już żaden dźwięk, ale obawiali się, że jeden czy dwóch żołnierzy mogło zostać w nadziei, że wypłoszą ich z kryjówki.

Alison wyjrzała przez okno, a potem przeszła na drugą stronę, spoglądając przez brudną szybę.

- Chyba sobie poszli - szepnęła do Chrisa i Lee. Kilka sekund później obaj wydostali się z kryjówki, także pokryci ziemią.

Wyjrzeli przez okna, żeby się upewnić. Alison cała dygotała.

- O mój Boże! Oni ich zabili! Pozabijali ich wszystkich!

Lee starał się ją uspokoić.

- Nie wiemy tego na pewno, Alison.

- Nie? - krzyknęła szeptem. - A jak do cholery byś to nazwał, kiedy wszyscy wchodzi, ale tylko jedna strona wychodzi?! Mój Boże, pozabijali ich... Claya, Caesare i ich przyjaciela. - Nagle odetchnęła głośno. - Zabili Franka!

Chris wyglądał chwilę przez okno, po czym przebiegł z powrotem na drugą stronę.

- Musimy coś zrobić!

Alison zamilkła. W oczach wezbrały jej łzy, kiedy w pełni dotarła do niej waga tego, co się stało.

- Oni zginęli dla nas - powiedziała, spoglądając na Chrisa, a potem na Lee. Głos zaczął jej drżeć. - Clay i pozostali zginęli, żebyśmy mogli uciec.

Cała trójka siedziała w szopie, rozważając jej słowa.

Chris westchnął i opadł ciężko z powrotem na siedzenie kosiarki.

- Chyba lepiej zadzwonić na policję.

- No, nie wiem - powiedziała Alison, nagle potrząsając głową. - Czy mi się wydaje, czy oni wyglądali, jakby byli z rządu?

Lee skinął głową.

- Też odniosłem takie wrażenie.

- Czy w takim razie policja w ogóle może nas ochronić? - rzuciła pytanie Alison. - Co jeśli zadzwonimy i okaże się, że kazali im „strzelać, żeby zabić” czy coś w tym stylu? Znaczący, widzieliśmy to, co się tam działo!

- Żartujesz? - wykrzyknął Chris. - Gliny to nasza jedyna szansa.

Alison i Lee wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli.

- Co z wami, do cholery? Wszyscy tam nie żyją, włącznie z Frankiem! My też mogliśmy tam leżeć!

Alison powoli podniosła głos.

- To jeszcze nie znaczy, że chcemy im dać powód do powrotu.

- Och, no dobra, świetnie - marudził Chris. - W takim razie po prostu ukrywajmy się tutaj! No wiecie, zgłosimy zmianę adresu...

- Przestań! - warknęła Alison, ucinając jego wypowiedź.

- Oni raczej nam nie odpuszczą - stwierdził cicho Lee. Spojrzał na pozostałą dwójkę. - Alison ma rację. Naprawdę wszystko widzieliśmy. Wiemy też, po co zabrali Dirka i Sally. Wiemy o mieście, czy tam pierścieniu, cokolwiek to jest. A teraz jesteśmy świadkami. Wiemy za dużo i muszą nas uciszyć. Oni tak załatwiają sprawy.

Alison skinęła głową.

- Z jakiegoś powodu musieli szybko stąd odejść, ale to nie znaczy, że nie wrócą. Może zaczekają, aż sprawa ucichnie i pójdziemy do domu. - Przez chwilę siedziała w milczeniu. - Chyba, że... - powiedziała, podnosząc nagle wzrok.

- Chyba, że co?

- Chyba, że powstrzymamy Dirka i Sally - dokończyła.

- Powstrzymamy? - zapytał Chris.

- Przed dostarczeniem bomby - powiedziała Alison, wstając. - John mówił, że po to tu przyszedli. Próbowali temu zapobiec.

- No - zgodził się Lee. - Powstrzymajmy dostarczenie bomby, a potem zgłosimy się do prasy i powiedzmy im o wszystkim.

Chris skrzyżował ramiona na piersi.

- A jak proponujesz to zrobić? Jakbyś zapomniał, nic już nie mamy. Zabrali wszystko - sprzęt, notatki, po prostu wszystko.

Alison wstała, ale teraz opadła z powrotem na ziemię, zamyślona.

- Eee... - Lee podniósł rękę. - Mam kopie zapasowe.

- Co?

Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam kopie zapasowe.

Chris zdawał się zbity z tropu.

- Jak to? Taśmy z kopiami zapasowymi były w serwerach, a oni wszystkie zabrali.

- Robię kopie co noc - odparł Lee. - I co tydzień wymieniam taśmy.

Większość idzie do magazynu, ale te z ostatnich dwóch tygodni jeszcze nie zostały wysłane.

- No to... gdzie właściwie są te taśmy? - zapytała Alison.

- W składziku pod schodami.

Alison i Chris wymienili spojrzenia, ale mężczyzna pokręcił głową.

- To bez znaczenia. Nic nam po taśmach, kiedy nie mamy serwerów.

Alison zobaczyła, że Lee znów się uśmiecha.

- Co? - zapytała znowu z rezerwą.

- Mamy serwer. Mamy nawet dwa. Te małe, które braliśmy na Pathfindera.

Komandor Emerson odesłał mi je jakiś tydzień temu.

- Czyżby te serwery też były w składziku pod schodami?

- Dokładnie tak.

Alison uśmiechnęła się szeroko, podekscytowana.

- Lee Kenwoodzie, mogłabym cię... - Nagle zmieniła zdanie i po prostu rzuciła się na niego, dając mu długiego całusa. - Jesteś niesamowity!

- Wiem - zażartował.

- Da się to wszystko podłączyć na łodzi?

- Co?! - zapytał Chris, zrywając się na nogi. - Bierzemy łódź?

Chodziło o trzydziestoletnią, dwunastometrową motorówkę Bayliner z silnikiem diesla. Została podarowana akwariom wiele lat temu, a używały jej głównie lokalne grupy badawcze urządzające krótkie wyprawy na ocean oraz studenci na wycieczkach.

- My nie bierzemy łodzi, Chris. Ja biorę łódź.

- O czym ty mówisz?

- Ja to zrobię... sama - powiedziała ze spokojem. - To niebezpieczne. Nie będę ryzykować życiem dwóch innych osób. Dzieje się tu jakaś większa afera i nie pozwolę, żebyśmy wszyscy przez to zginęli.

Chris wpatrywał się w nią tylko, w milczeniu układając sobie argumentację. Wreszcie powiedział: - Alison, nie uważasz, że powinniśmy to zostawić zawodowcom? Moja mama ma przyjaciela, który jest gliną. Jemu na pewno moglibyśmy zaufać.

Alison spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Może nam nie starczyć czasu. Poza tym naprawdę nie wiem, komu możemy ufać, Chris. Prawdę mówiąc, nie mogę pozwolić, żeby coś stało się Dirkowi i Sally, albo komukolwiek innemu. Kocham te delfiny. Wiesz o tym.

- Wiem - odparł Chris, wzdychając. - Ale ty wiesz, że dla nas też wiele

znaczą!

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Więc mi pomóżcie.

Znów westchnął, zrezygnowany.

- No dobrze. - Spojrzał na Lee. - Co musimy zrobić?

Lee wymienił wszystkie potrzebne im rzeczy. Powoli wyszli przez okno i upewnili się, że wokół nich poruszają się tylko drzewa, po czym ostrożnie ruszyli z powrotem w stronę budynku. Kiedy dotarli, otworzyli na oścież podwójne drzwi. Cała trójka przekradła się po cichu przez główny hol w kierunku laboratorium. Wkoło panowała nieprzenikniona czerń, co Alison przyjęła z ulgą. Dzięki temu skręcając za róg, ku schodom, nie musieli oglądać żadnych zwłok. Robiło jej się niedobrze na myśl, że Clay, Dubois, Caesare i ich przyjaciel Palin leżeli bez życia gdzieś pośród tej ciemności. Kiedy przechodzili przez laboratorium, pod ich butami chrzęściły odłamki potłuczonego szkła i kawałki tynku ze ścian. Dotarli do schodów, a Lee poprowadził ich na dół, trzymając lewą dłoń na balustradzie. Dotarli do składowiska i odkryli, że prąd w budynku wciąż działał. Lee wyjął ze schowka jeden z serwerów. Chris niósł monitor, a Alison podążała za nimi z taśmami, klawiaturą i paroma innymi rzeczami, których nawet nie poznawała.

Wyszli z powrotem na zewnątrz, w stronę wody, gdzie przy niewielkim moło przycumowana była łódź, bujająca się spokojnie na łagodnych falach. Po cichu weszli na pokład i ułożyli sprzęt na dnie kabiny. Alison prędko zasunęła wszystkie zasłony i włączyła jedną z małych lampek, tak, żeby coś było widać.

- Chris - powiedział Lee. - Znajdź mi proszę jakieś paski albo sznur, żeby to zamocować. Jakbyś mógł, to przynieś też skrzynkę z narzędziami.

Chris skinął głową i wyszedł na zewnątrz.

- A ja co mam robić? - zapytała Alison.

- Gdzie twój telefon?

Zrobiła zdziwioną minę i pomacała się po ubraniu.

- Nie wiem. - Zastanowiła się przez chwilę. - Chyba zostawiłam go w samochodzie Chrisa.

- Idź po niego. I weź też ładowarkę.

Pod nieobecność pozostałych, Lee składał do kupy elementy serwera. Odpalił silnik i zostawił go pracujący jak najciszej na biegu jałowym, a tymczasem włączył maszynę i zaczął przywracać dane z taśm. Podczas gdy

trwał proces odzyskiwania, on podłączał do serwera głośniki i mikrofon, w które wyposażona była łódź.

Alison wróciła z telefonem i podała go Lee. Przykleił go taśmą do deski rozdzielczej, powyżej steru, i podłączył ładowarkę. Niedługo później powrócił Chris z paskami i narzędziami. Wspólnie przypięli serwer i monitor, a potem pociągnęli lekko za paski, żeby upewnić się, że urządzenia pozostaną na swoim miejscu niezależnie od kołysania się łodzi. Przywracanie danych na serwer zajęło jeszcze pół godziny, a sprawdzenie, czy wszystko jest jak powinno, kilka kolejnych minut. W sumie uwinęli się w niecałe półtorej godziny.

Wreszcie Lee skończył stukać w klawiaturę.

- Chyba jesteśmy mniej więcej gotowi. - Spojrzał na Alison. - Dobra, wszystko ci objaśnię. Udało mi się odtworzyć dane z IMIS aż do ostatniego tygodnia, przy czym masz do dyspozycji tylko słownictwo dostępne do tamtego momentu. Nie ma tutaj wszystkich nieprzetworzonych danych, więc nie dojdą żadne nowe słowa, ale to powinno ci wystarczyć, żeby znaleźć Dirka i Sally i ich ostrzec. Teraz tak - powiedział, wskazując umieszczone na podłodze urządzenie. - Serwer zużywa dużo energii, więc żeby działał, musi chodzić silnik. Ale dołączyłem małą, zapasową baterię. Jeśli wyłączy się silnik, prawdopodobnie wystarczy ci mocy jeszcze na dziesięć minut, ale nic ponadto. A, i serwer jest wrażliwy na wszystkie gwałtowne ruchy, więc postaraj się, żeby łodzią w miarę możliwości nie trzęsło.

Następnie wskazał na jej telefon.

- Włączyłem nawigację GPS w twojej komórce i wprowadziłem współrzędne Bimini. Powinnaś trafić bez problemu. Tak z grubsza, to około siedemnaście mil stąd na wschód. Wyłączyłem też sygnał komórkowy, żeby cię nie namierzili. Poza tym masz - spojrzał na wskaźnik - około pół zbiornika paliwa, co powinno w zupełności wystarczyć na podróż tam i z powrotem. Jakies pytania?

Pokręciła głową.

- Chyba nie.

- W takim razie... - Lee nagle urwał i rozejrzał się. - Gdzie Chris?

- Nie wiem.

Usłyszeli z zewnątrz, jak ktoś wskakuje na pokład. Parę sekund później drzwi otwarły się i wpadł przez nie zdyszany Chris. Ręce miał pełne jedzenia z automatu stojącego w budynku.

- Masz, weź to - powiedział, upuszczając wszystko na siedzenie obok. - Czekaj! - zawołał, szybko wyciągając spod tego samego siedzenia pomarańczową kamizelkę ratunkową. Owinął nią Alison i zapiął zamek z przodu.

Uśmiechnęła się do niego uspokajająco i mocno go przytuliła. Następnie odwróciła się i objęła Lee.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, zastanawiając się, czy nie zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie. Spojrzała na Chrisa. - Weź Lee i odszukajcie przyjaciela twojej mamy, tego z policji. Niedługo zjawi się ekipa sprzątająca, a wtedy rozpęta się piekło. Musimy zadbać, żeby być na bieżąco i jak najszybciej zacząć udzielać wyjaśnień.

- A co jeśli zapytają, gdzie ty jesteś?

Wzruszyła ramionami.

- Powiedzcie im, że nie wiecie. Że rozdzieliliśmy się po strzelaninie. Zanim zaczną coś podejrzewać, powinnam już być z powrotem razem z Dirkiem i Sally.

Obaj skinęli ponuro głowami. Otwarli drzwi i wycofali się.

- Znajdź je, Alison - brzmiały ostatnie słowa Lee, zanim zamknęli drzwi i zeszli z powrotem na molo. Wspólnie rozwiązali cumy i rzucili je na pokład, czekając, aż łódź odpłynie. Alison wyjrzała przez boczne okno i pomachała. Następnie docisnęła gaz i silniki przyspieszyły, pchając łódź do przodu po niedużych falach.

Kiedy już odpłynęła prawie milę, zwiększyła obroty silnika i pomknęła naprzód. Morze było stosunkowo spokojne i dziób łodzi gładko przecinał fale. Sięgnęła w dół i wpisała na próbę prostą wiadomość: Sally Dirk Stop Niebezpieczeństwo. Wcisnęła klawisz enter i na ekranie wyświetlił się napis „Tłumaczenie w toku...”.

Zadowolona, z powrotem uniosła wzrok i zacisnęła obie ręce na kole sterowym. Uważnie wpatrywała się przez przednią szybę, bo bardzo niewiele była w stanie dostrzec na rozciągającym się przed nią ciemnym oceanie.

Alison pomyślała o jednym potencjalnym problemie wiążącym się z jej planem, kwestii, której ani Chris, ani Lee, miała nadzieję, nie poruszą.

„Jeśli jakimś cudem znajdę je i powstrzymam, to co ja do licha zrobię z bombą atomową?”.

39

- Co?! - wrzasnął Stevas do telefonu. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. - Wszystkie?! Co do sztuki? - Wściekły, słuchał dalej, a jego twarz przyjęła odcień intensywnej czerwieni.

- Jasna cholera! - Odwrócił się i spojrzał ponad stołem na Masona, który obserwował go niespokojnie. Stevas, sfrustrowany, zamknął oczy i przeczesał włosy palcami. - Zrobili to! - powiedział. - Zrobili, na Boga! Uderzyli pierwsi! Wiedziałem, że powinniśmy byli działać szybciej.

Zakończył rozmowę i spojrzał na Masona.

- Te sukinsyny zniszczyły wszystkie nasze okręty. Co do jednego. - Wbił wzrok w ścianę, wciąż potrząsając głową. - To wina Millera. Cały czas się ociągał.

Po drugiej stronie stołu, Mason westchnął.

- Nie pomogło, że musieliśmy wprowadzać Tridenty powoli. Z daleka było je widać.

Stevas odwrócił się i wymierzył w niego palec.

- Tak jest! - Zaczął chodzić w kółko. - Gdyby zrobili wszystko tak, jak ja chciałem, jak my chcieliśmy, z tego pierścienia zostałyby już ogromna sterta złomu. Pieprzona biurokracja! I te cholerne maminsynki, Miller i Langford. Prezydent myślał rozsądnie, dopóki oni nie wywrócili wszystkiego do góry nogami. - Oparł dłonie na biodrach. - Niech to szlag!

- Oni nie posłuchają, wiesz - powiedział Mason. - Miller i Langford uznają tylko, że zaatakowali nas, bo ich sprowokowaliśmy.

- Wiem - odparł Stevas, wciąż krążąc po pokoju. - A jeśli wydaje nam się, że teraz mamy problem, to zaczekajmy tylko, aż w to wmieszają się ci wszyscy idioci z ONZ.

- Gra skończona.

- Jeszcze nie, dopóki mam tu coś do powiedzenia - Stevas podniósł swój telefon i zaczął wybierać numer.

Zbiornik był mniejszy niż ten, w którym mieszkały wcześniej, a w budynku było ciemno, przez co trudno było coś zobaczyć. Dirk i Sally unosiły się w pobliżu szklanej ściany, patrząc, jak wszyscy chodzą tam i z powrotem, pospiesznie składając ostatni z licznych serwerów. Jeden z mężczyzn, wysoki, ciemnowłosy chudzielec, siedział na wprost zbiornika i pisał coś na komputerze. Na jego twarzy odbijała się niesamowita poświata bijąca od monitora. Obydwa delfiny zastanawiały się, gdzie jest Alison i pozostali.

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim mężczyzna skończył pisać i podniósł na nie wzrok. Po krótkiej przerwie z podwodnych głośników dobiegły słowa Cześć Dirk i Sally.

Dirk, podekscytowany, podpłynął bliżej.

Cześć - odpowiedział.

Sally zbliżyła się do mikrofonu.

Gdzie Alison? Gdzie Chris? Gdzie Lee?

Mężczyzna posłał im wymuszony uśmiech i znów zaczął pisać.

Przyjdą niedługo. Jesteśmy przyjaciółmi. - IMIS przetłumaczył jego słowa, a Dirk znów zakręcił się z przejęciem w wodzie. Mężczyzna zauważył, że Sally wciąż przyglądała mu się bardzo uważnie. - Potrzebujemy pomocy - napisał.

Dirk odpowiedział szybko.

- Tak pomoc. Dirk lubi pomoc.

Chcemy dać ludziom prezent - powiedział mężczyzna. - Ludziom w mieście.

Dirk przetoczył się w górę zbiornika, po czym wrócił na dół.

Dirk weźmie prezent. Ludzie mili.

Dziękuję Dirk - odparł mężczyzna przy komputerze. - Musisz się pospieszyć.

Dwóch nurków zanurzyło się w zbiorniku trzymając grubą uprząż. Na jej środku znajdował się spory pakunek, skrywający małą głowicę nuklearną, zaprogramowaną na głębokość i położenie pierścienia. Gdy tylko zbliży się do niego na ćwierć mili z którejkolwiek strony, natychmiast nastąpi wybuch.

Delikatnie założono uprząż na grzbiet Dirka i zawiązano ją pod spodem. Kiedy wszystko było gotowe, zamachał ochoczo ogonem i opłynął niewielki

zbiornik dookoła. Sally trzymała się blisko, płynąc tuż obok niego.

Mężczyzna z za komputera stał teraz przy krańcu zbiornika, obserwując, kiedy ktoś podszedł do niego od tyłu.

- Gotowe, Jared?

Młody mężczyzna odwrócił się i ujrzał dowódcę marynarki, Bruce'a Bishopa.

- Tak, sir.

- Jakież problemy? - zapytał Bishop.

- Absolutnie żadnych, sir. Wygląda na to, że szybko się przystosowują.

Bishop wzruszył ramionami.

- To dobrze, chociaż niedługo nie będzie to już miało znaczenia. - Staął obok Jareda i zerknął na Dirka i Sally przez szybę. - Jeśli są gotowe, wypuścimy je.

Jared skinął głową i podniósł z biurka telefon.

- Otwórzcie bramy. - Odłożył telefon i napisał wiadomość. - Proszę zanieść prezent szybko Dirka. Spiesz się.

Dirk pływa szybko - padła odpowiedź. Parę minut później za delfinami zaczęły się powoli otwierać dwie duże bramy. Woda z oceanu po drugiej stronie wdarła się do środka i zmieszała z wodą ze zbiornika, tworząc maleńki wir. Z pomocą swoich silnych ogonów, obydwie delfiny odczekały, aż fala osłabnie, po czym szybko wystrzeliły na otwarte wody i zniknęły z pola widzenia.

Po raz drugi w przeciągu niecałych dwóch tygodni wyczerpana Kathryn Lokke zobaczyła, jak baza McMurdo na Antarktydzie pojawia się na horyzoncie. Tym razem samolot był znacznie większy, ale tylko odrobinę bardziej wygodny. Mimo to naprawdę będzie jej go brakowało, kiedy przyjdzie czas przenieść się do mniejszych i znacznie zimniejszych C130.

Odwróciła się i spojrzała na siedzących za nią rzędami ludzi. Sprawy potoczyły się szybciej, niż na to liczyła. Dotrzymując słowa, prezydent Carr dostarczył wszystko i wszystkich według jej potrzeb. Międzynarodowych ekspertów sprowadzono niemal na drugi dzień, a kiedy wyjaśniła swoim własnym ludziom, z czym przyszło im się mierzyć, niemal wszyscy zgłosili chęć powrotu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak dumna i zarazem tak pełna pokory.

Nie miała też najmniejszych wątpliwości, że postąpiła słusznie mówiąc im całą prawdę. Kiedy dowiedzieli się, jak poważna jest sytuacja, częściowo również z opracowywanych przez siebie danych, byli gotowi natychmiast brać się do pracy. Niemal wszyscy pozostali członkowie ekspedycji dołączyli do projektu mającego za cel „wysadzenie” lodowca szelfowego Ronne i zapobieżenie katastrofie. Jej zespół pracował zawzięcie. Zanim wylądowały ekipy rozbiórkowe, duża część największych problemów logistycznych oraz innych szczegółów była już rozpracowana. Teraz cała grupa wróciła tu ze swoim sprzętem.

Gruby na ponad sto pięćdziesiąt metrów lodowiec szelfowy Ronne przedstawiał szereg wyzwań. Pierwszym i najważniejszym była głębokość otworów wiertniczych potrzebnych do zapewnienia najlepszego efektu eksplozji, a wymagane do tego przenośne wiertnice były ogromne. A także powolne. Prawdę mówiąc, jak się dowiedziała, wyzwanie stanowił nie tyle rozmiar urządzenia wiertniczego, co ilość wymaganych przez nie lin i rur. Potrzebnych było co najmniej dziewięćdziesiąt metrów na wiertnicę, które

tym samym zajmowały większość przestrzeni w samolocie.

Pozostawała jeszcze kwestia jedzenia i zaopatrzenia. Nowozelandzki zespół Andersona ponownie miał pełnić rolę przewodników, ale spodziewano się, że realizacja projektu zajmie całe miesiące, co oznaczało solidne zapasy. Nieduży pług śnieżny będzie niezbędny do przygotowywania dostatecznie gładkich lądowisk, aby samoloty mogły im dostarczać więcej zaopatrzenia. Obrazy satelitarne i szczegółowe skany miały pomóc w identyfikacji najlepszych miejsc, choć ostatecznie decyzja o tym, gdzie puścić pług, należeć będzie do ludzi przebywających na ziemi.

Ze względu na pośpiech, z jakim rozpoczynano realizację projektu, zdecydowano się na podejście etapowe. To oznaczało, że po zatroszczeniu się o najważniejsze kwestie, Kathryn pozostanie na miejscu kontynuując planowanie z bazy położonej na lodowcu. Dzięki pewnym innowacyjnym, nadmuchiwanym konstrukcjom budowlanym z Norwegii udało im się zabrać ze sobą stosunkowo trwałe schronienie. Małe budyneczki wykonane z elastycznego materiału, który utwardzał się w kontakcie z tlenem, miały być w pełni ocieplone i zdolne pomieścić po pięć osób, a co najlepsze, pomimo swojej wagi, dawały się przenosić z miejsca na miejsce. Wraz z wiertnicami będzie się przemieszczał obóz.

Ładunki wybuchowe miały być rozmieszczone mniej więcej co półtora kilometra. Według komputerowych symulacji wystarczy to akurat, żeby wywołać na wewnętrznym szelfie wibracje i napięcie potrzebne, aby lód mógł się odłamać i odciążyć centrum lodowca. Wreszcie, ze względu na ilość energii pobieranej przez przenośne wiertnice, materiały wybuchowe oraz paliwo miały być dostarczane niemal bez przerwy. Najlepszą wiadomością, jaką Kathryn mogła przekazać swojej ekipie szykującej się do pomiarów i szacowania powierzchni do odwiertów było to, że noce prześpią w ciepłe. Już sam ten fakt wywołał uśmiech na ich twarzach.

Łądowanie i przenoszenie ekwipunku do oczekujących samolotów C130 zajęło tylko cztery godziny. Były to najlepsze środki transportu, jakie mogły ich zanieść na lodowiec, bardziej trwałe i mające o wiele lepszą ładowność, przy rozmiarach odpowiednich do lądowania na ograniczonej przestrzeni. Kathryn miała nadzieję, że jej ciało choć trochę przystosowało się do skrajnego zimna, jednak ziąb panujący na pokładzie C130 rozwiał jej złudzenia.

W końcu samoloty wylądowały i zaczął się rozładunek. Długa, słoneczna

noc pozwoliła im od razu wziąć się do rozbijania obozu i w przeciągu zaledwie kilku godzin większość dmuchanych domków była rozstawiona i gotowa do użytku. Temperatura w ich wnętrzach rosła i spodziewali się, że osiągnie przyjemne piętnaście stopni Celsjusza. Trzy przenośne wiertnice zostały przygotowane do użycia następnego ranka. Szacowano, że każda z nich mogła dziennie wywiercić jeden sześćdziesięciometrowy otwór, zatem spodziewali się postępów w tempie trzech do pięciu kilometrów dziennie i około stu, stu dziesięciu na miesiąc. Zgodnie z najbardziej optymistycznym scenariuszem byłiby więc gotowi do detonacji za sześć do siedmiu tygodni.

Kathryn miała nadzieję, że nie zabraknie im czasu.

Im bardziej Alison oddalała się od lądu, tym wyższe stawały się fale, a poranne słońce wreszcie zaczęło wstawać zza horyzontu. Paski, którymi przypięty był serwer, utrzymywały go mniej więcej stabilnie. Kiedy tylko mogła, kładła dłoń na sprzęcie, aby unieruchomić go pomimo kołysania się łodzi. Narastające fale, w połączeniu z czułością serwera, nie pozwalały jej poruszać się ze zbyt dużą prędkością i po ponad dwóch godzinach nie była nawet w połowie drogi do Bimini. Zdała też sobie sprawę, że aby wysłać wyraźny sygnał, musiała się zatrzymać i wyłączyć silnik. Dzięki temu jego dźwięk nie zagłuszał transmisji - pamiętała to z wyprawy na Pathfinderze. Niestety, za każdym razem, kiedy to robiła, zapasowa bateria emitowała głośny alarm sygnalizujący utratę zasilania ze źródła. Szkoda, że Lee nie pamiętał, żeby to wyłączyć. Korzyść jednak była taka, że miała cyfrowy wyświetlacz pokazujący, ile dokładnie czasu zostało jeszcze do wyczerpania baterii.

Alison znów zwolniła przepustnicę i pozwoliła motorówce się zatrzymać. Łódź prawie zupełnie przestała się chybotać, puściła więc serwer, aby sięgnąć i zgasić zapłon. Włączyła monitor i ponownie wpisała komendę.

Dirk Sally Stop Niebezpieczeństwo.

Chwilę później usłyszała dźwięk wydobywający się z głośnika umieszczonego na spodzie łodzi. Oczekała cierpliwie kilka minut i spróbowała jeszcze raz. Kiedy tak czekała, zastanawiała się, jak duży mógł być zasięg tych głośników na otwartym morzu. Wiedziała, że w wodzie dźwięk rozchodzi się lepiej, ale nie pomyślała, żeby zapytać Lee o dokładny zakres. Przyszło jej też do głowy, że nie wiedziała dokładnie, z której strony mogą przybyć Dirk i Sally. Założyli, że będzie to podobny kurs po linii prostej z Miami, ale jeśli nie, kwestia zasięgu głośników miała jeszcze większe znaczenie. Kolejną niewiadomą było to, kiedy Dirk i Sally tu dotrą. John Clay sugerował, że miało to nastąpić niedługo, ale im dłużej myślała

nad tym stwierdzeniem, tym mniej była pewna. Czy przez „niedługo” rozumiał teraz, czy raczej kilka tygodni? Prawda była taka, że nie miała pojęcia. Musiała się zdać na przeczucie.

Alison zaczęła odczuwać ogarniające ją wyczerpanie. Usiadła i sięgnęła po kilka kolejnych paczek ciasteczek Oreo. Poprzednia porcja trochę ją ożywiła i rozrywając opakowanie miała nadzieję, że znów tak się stanie. Przeżuwała ciastka powoli, myśląc o tym, jak niewiele przyjemności dawało śmieciowe jedzenie, kiedy było jedyną dostępną opcją.

Wysłała ostatnią wiadomość, po czym na nowo odpaliła silnik. Kiedy ten wrócił do życia, alarm w baterii się wyłączył i system znów zaczął ją ładować. Ponownie dodała gazu, sprawdzając położenie za pomocą GPS-a, podczas gdy motorówka ruszyła dalej naprzód po niewielkich falach.

Po upływie trzeciej godziny Alison zaczęła częściej zatrzymywać łódź i wysyłać wiadomości. Siedząc w oczekiwaniu na swoim miejscu, obserwowała nerwowo serwer kołyszący się mocniej z boku na bok pod wpływem przetaczających się pod motorówką fal. Spojrzała na cyfrowy wyświetlacz zapasowej baterii. Zostało jej jeszcze dość mocy na trzy minuty. Kiedy licznik doszedł do dwóch, wyłączyła silnik z powrotem i kontynuowała podróż. Czuła coraz większe podenerwowanie.

Po każdym przystanku jej niepokój wzrastał, dopóki południowa rafa wyspy Bimini nie znalazła się w zasięgu jej wzroku. Nie wiedziała, gdzie znajdowało się to podwodne miasto, ale z pewnością była już niedaleko. Niedługo pewnie znajdzie się tuż nad nim, co oznacza, że nie zdoła dotrzeć do Dirka i Sally zanim będzie za późno. Serce zaczęło jej bić szybciej, kiedy nagle zdała sobie sprawę, jak blisko znalazła się tego, co miało się wydarzyć.

Alison szybko wstała i postanowiła z powrotem oddalić się od wyspy. Obróciła kluczyk w stacyjce i wsłuchiwała się w dźwięk alarmu, czekając, aż ten umilknie. Po chwili zbита z tropu spuściła wzrok na swoją dłoń z myślą, że coś tu jest nie tak. Alarm baterii wciąż rozbrzmiewał, ale zdała sobie sprawę, że już obróciła kluczyk. Nie była pewna, co zrobiła nie tak, ale spróbowała jeszcze raz, przekręcając go tam i z powrotem. W dalszym ciągu nic się nie stało. Spojrzała na baterię; alarm wciąż dźwięczał. Wyświetlacz pokazywał pięć minut i czterdzieści osiem sekund, ale z przerażeniem stwierdziła, że nie było na nim żadnej informacji o trwającym ładowaniu.

Szybko sprawdziła okolice zapłonu, myśląc, że może coś potrąciła albo przestawiła jakiś przełącznik, przypadkiem wyłączając nie to, co trzeba.

Niczego nie znalazła. Każdy element zdawał się osadzony na swoim miejscu albo wręcz nie do ruszenia. Jeszcze raz spróbowała odpalić silnik, tym razem wkładając w to więcej siły. Jedyne, co usłyszała, to mechaniczne kliknięcie gdzieś w głębi maszyny. Natychmiast ogarnęło ją przerażenie, które skupiło się w samym środku jej żołądka, jakby zaraz miała zwymiotować.

- O Boże - powiedziała, jeszcze raz próbując przekręcić kluczyk. Wciąż nic. - O Boże! Proszę, proszę, odpal! - jęczała. Kopnęła w powierzchnię pod sterem, niemal łamiąc sobie stopę. Była teraz zupełnie spanikowana. Spojrzała na wyświetlacz baterii, według którego zostało jej pięć minut i dwadzieścia jeden sekund. Nagle zdała sobie sprawę, że jeśli nie zdoła uruchomić silnika, było to jedyne zasilanie, jakie zostało jej dla serwera. Rozpaczliwie uderzyła w klawisz enter, wysyłając kolejną transmisję. Bateria wciąż odliczała. - Nie! Nie! NIE!! - Sprawdziła wskaźnik paliwa i stwierdziła, że wciąż ma jedną czwartą zbiornika. Spróbowała włączyć wewnętrzną lampę - zapaliła się, a więc elektryczność działała.

W miarę jak bateria odliczała sekundy, świadomość sytuacji ogarnęła ją niczym potworny koszmar. Nie tylko straci moc i możliwość nawoływania Dirka i Sally... ale też, jeśli nie zdoła uruchomić silnika, nie da rady stąd odpłynąć. Utknęła, a kiedy bomba wybuchnie, ona będzie w jej zasięgu i prawdopodobnie zginie natychmiast. Znalazła się w pułapce.

- Boże, proszę, nie! - Z krzykiem raz za razem uderzała rozpaczliwie w klawiaturę. Poniżej z głośników dobiegał transmitowany raz po raz dźwięk tych samych znajomych trzasków. Stała, patrząc bezradnie jak odliczanie na wyświetlaczu schodzi poniżej pięciu minut.

Sally podążała tuż za podekscytowanym Dirkiem, płynącym szybko przez szmaragdowo-niebieskie wody. Oboje cieszyli się, że znów są na otwartym morzu. Bez trudu nadążała za Dirkiem, bo spowalniał go duży prezent, który miał na plecach. Mogła już usłyszeć daleki pomruk ogromnego pierścienia, oddalonego o prawie dwadzieścia mil. Wtedy właśnie dobiegł ją inny dźwięk, słaby i dochodzący z innej strony. Sally zwolniła, nasłuchując, a Dirk zaczął się oddalać. Ten dźwięk był znajomy. Patrzyła, jak Dirk, ogarnięty chęcią pomocy przyjaciółom, powoli rozpływa się przed nią w migotliwej zasłonie docierającego pod wodę światła.

Alison wciąż uderzała w klawisze, wysyłając wiadomość za wiadomością. Wyświetlany czas spadł do dwóch minut i trzydziestu dwóch sekund. Rozpaczliwie przeszukiwała schowki w poszukiwaniu instrukcji obsługi motorówki. Oczywiście, nic z tego. Nie miała zielonego pojęcia o łodziach ani o mechanice, ale i tak szukała. Po prostu nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby zrobić. Zajrzała pod każdą poduszkę na siedzeniach, a w końcu uniosła pokrywę ostatniego schowka. Widok dużej skrzynki z narzędziami dał jej promyk nadziei. Wyciągnęła ją, otworzyła i przekopała narzędzia najszybciej, jak potrafiła. Instrukcji nie było. Poczowała ucisk w piersi.

Spojrzała na baterię. Wyświetlacz pokazywał minutę i czterdzieści pięć sekund. Ponownie uderzyła w klawiaturę i upadła na podłogę, zanosząc się płaczem. Czuła się jak kompletna idiotka. Ledwie miała pojęcie o tym, co się działo, a już gnała z odsieczą. Tyle, że odsiecz nie nadejdzie. Zamiast tego skazała się na śmierć, tkwiąc bezradnie pośrodku oceanu. Próbowwała nawet włączyć z powrotem połączenia telefoniczne na komórce, ale nie było sygnału. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Płakała teraz tak mocno, że nie usłyszała, jak IMIS przekazuje wiadomość: Alison.

Próbując złapać oddech, spojrzała na wyświetlacz baterii, którego widok był już dla niej tylko torturą. Licznik zszedł prawie do jednej minuty. IMIS ponownie nadał wiadomość i serce jej zamarło.

Alison.

Niemal nie była w stanie się poruszyć. Na wpół zastygła, zmusiła się do przejścia na drugą stronę kabiny i wyjrzenia na zewnątrz. Sally była tuż obok, wystawiając głowę z wody.

- O mój Boże! - Pobiegła do drzwi. - Chwila! - Trzymała już w ręku klamkę i obracała ją, kiedy nagle zatrzymała się. Wyświetlacz pokazywał czterdzieści siedem sekund. Błyskawicznie pognała z powrotem do klawiatury i zaczęła pisać najszybciej, jak umiała.

Sally niebezpieczeństwo. Trzeba odpłynąć szybko. Sprowadź Dirka. Wcisnęła klawisz enter i czekała na odpowiedź, zdawałoby się całą wieczność.

Dirk teraz daleko. Ma prezent.

- Nie! Nie!! - zawyła Alison. Szybko napisała: Trzeba odpłynąć. Prezent

duże duże niebezpieczeństwo.

Wcisnęła klawisz enter i spojrzała na wyświetlacz. Zostało dziesięć sekund. Słyszała, jak serwer z kliknięciem przygotowuje się do wyłączenia.

- Niiieeee! - krzyknęła.

I było już po wszystkim. Ekran zgasł, podobnie jak wszystkie diody na powierzchni serwera.

- Cholera! - krzyknęła. Odwróciła się i wypadła przez drzwi na zewnątrz. Sally patrzyła na nią, wydając z siebie trzaski i gwizdy, ale teraz Alison nie miała pojęcia, co delfin do niej mówi. Rozejrzała się po powierzchni wody, po czym skierowała wzrok na ciemną linię Bimini na horyzoncie. Jak daleko dotarł Dirk? Na ile zbliżył się do pierścienia? Ręce jej się trzęsły. Wybuch mógł nastąpić w każdej chwili.

Alison spojrzała na południe i dostrzegła kilka mil dalej maleńką wysepkę North Cat Cay. Potem spuściła wzrok na Sally. W akcie desperacji wyskoczyła przez burtę do wody. Minęła Sally i ruszyła w pław w stronę North Cat, ale nie zdążyła przebyć nawet trzech metrów, kiedy Sally szturchnęła ją od tyłu.

Alison pokręciła głową.

- Musimy uciekać, Sally! - Delfin nic nie odpowiedział, tylko na nią patrzył. Alison spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. Sfrustrowana niemożnością porozumienia się, znów zaczęła płynąć. Wiedziała jednak, że to na nic. Nawet zawodnik olimpijski nie dałby rady dopłynąć tak daleko w tak krótkim czasie - ale nic lepszego nie wymyśliła.

Sally znów szturchnęła kobietę od tyłu, na moment wpychając ją pod wodę. Alison zakaszłała, plując z ust wodą, i płynęła dalej. Sally szturchnęła ją po raz kolejny.

- Musimy PŁYNAĆ! - Wypluła jeszcze więcej wody.

Znów się odwróciła i poczuła kolejne uderzenie, tym razem silniejsze. Zdała sobie sprawę, że się nie porusza. Zamiast tego poczuła, jak pysk Sally wbija się jej w plecy, chwytając pasek od kamizelki ratunkowej i rozrywa go. Kamizelka nagle poluzowała się wokół jej szyi. Alison próbowała utrzymać ją na sobie, ale wtedy Sally chwyciła kamizelkę w zęby i zerwała ją do końca.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła Alison, usiłując utrzymać się na wodzie.

Sally znów wydała serię trzasków i gwizdów. Następnie odwróciła kamizelkę, trzymając ją w zębach za kołnierz. Alison wpatrywała się w nią,

próbując zrozumieć. Spojrzała na białe nylonowe paski zwisające po obu bokach delfina.

Nagle otworzyła szeroko oczy. Szybko podpłynęła za Sally i objęła ramionami jej grubą szyję. Pocałowała ją w tył głowy, po czym sięgnęła po paski i owinęła je sobie wokół nadgarstków.

- Ruszaj! - zawołała.

Sally natychmiast wystrzeliła naprzód, ciągnąc Alison za sobą. Jej potężny ogon uderzał z całej siły w wodę za nimi, a wokół kłębiły się fale. Alison położyła głowę na karku Sally i zamknęła oczy, starając się w miarę możliwości utrzymać twarz ponad wodą. Czuła, jak cały tułów Sally porusza się w przód i w tył mknąc po wodzie, wkrótce osiągając stały, gładki rytm.

Dirk nie wiedział, gdzie podziała się Sally, ale widział już w oddali jasny, niebieski blask pierścienia. Z podnieceniem ruszył przed siebie, w stronę dna, zanurzając się coraz głębiej i głębiej.

Alison z trudem usiłowała nie zakrzusić się morską wodą. Spróbowała unieść głowę, aby zaczerpnąć powietrza. Zbliżały się już do North Cat, gdy nagle Sally przyspieszyła. Pod wpływem gwałtownego ruchu Alison zaczęła się ześlizgiwać. Z całej siły starała się utrzymać. Paski wrzynały jej się w nadgarstki, odcinając krążenie. Ledwie czuła swoje ręce, zbielełe od niedostatku krwi. Uniosła głowę i zobaczyła coś z przodu. Wyglądało jak... skały. Czy Sally je widziała? Czy dotarły tak daleko tylko po to, aby przypadkiem roztrzaskać się o jakieś skały? Sally nagle jeszcze bardziej zwiększyła tempo.

Alison znów uniosła wzrok. To był falochron! Falochron zbudowany z tysięcy ogromnych głazów.

- Sally, stój! - krzyknęła, ale delfin zdawał się jeszcze przyspieszać - Sally, skały!

W tym samym momencie, gdzieś za nimi i głęboko pod powierzchnią wody, we wnętrzu bomby zaszła fuzja termojądrowa i doszło do detonacji. W

ułamku sekundy miliardy ton wody po prostu wyparowały, a ogromna jej ilość została uniesiona o ponad sześć metrów powyżej poziomu morza, po czym opadła z powrotem w powstałą pośrodku próżnię. Fale uderzeniowe były gigantyczne i poniosły się we wszystkie strony, najpierw trafiając w Bimini. Drzewa, samochody i budynki zostały w jednej chwili zgniecione, gdy dwie wyspy Bimini wzięły na siebie znaczną część uderzenia skierowanego na zachód. Pozostała część fali szybko rozeszła się po Atlantyku, na północny i południowy wschód.

Przeszedłszy ponad wyspami Bimini, ściana energii zbliżała się do North Cat Cay z prędkością ponad dwustu mil na godzinę. Sally dotarła właśnie do falochronu i ze wszystkich sił wyskoczyła w powietrze tak wysoko, jak dała radę, wraz z Alison rozpaczliwie starającą się utrzymać na jej grzbiecie. Jak gdyby w zwolnionym tempie, zatoczyły łuk ponad skałami falochronu i runęły w wodę po drugiej stronie, dokładnie w chwili, gdy fala uderzyła w północny brzeg wyspy.

Prezydent Carr wszedł do Gabinetu Owального i zatrzasnął za sobą drzwi. Zwrócił się do czekających na niego mężczyzn ze złością, jakiej jeszcze nikt nigdy u niego nie widział.

- Kto to zrobił?! - wrzasnął.

Wszyscy - Miller, Mason, Stevas, Langford, Bishop i Bullman - stali przed nim w milczeniu.

- Zapytałem: kto to zrobił?! - Carr wycelował w nich palec ze złością. - Wszyscy wiemy, że wkrótce to ustalę, a im dłużej będę musiał czekać, tym chętniej wtrącę kogoś do więzienia!

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Niektórzy z nich wyraźnie nie mieli pojęcia, o czym mowa. Inni jednak wiedzieli. Stevas wystąpił naprzód z podniesionym czołem.

- To ja - powiedział groźnym tonem. - Zrobiłem to, czego pan nie chciał zrobić! Na co nie mógł się pan zdobyć.

Carr nie był ani trochę zaskoczony.

- Odpaliłeś bombę atomową niecałe sto mil od wielkiej metropolii. I zrobiłeś to wbrew moim wyraźnym rozkazom!

- Zrobiłem to, co było konieczne - wypluł z siebie Stevas. - Nasz kraj, cały nasz świat, znalazł się na skraju zagłady. ONZ wprowadzało tu biurokrację, która ma wszystkie biurokracje pod sobą, a nasz czas, żeby zapanować nad sytuacją, prawie się skończył. Gdybyśmy wtedy tego nie zrobili, nie mielibyśmy już kolejnej szansy!

- Wydałem bezpośredni rozkaz! - warknął prezydent.

Stevas zrobił krok do przodu, patrząc na niego wyzywająco.

- A ja zrobiłem to, co było konieczne! Powstrzymałem to, powstrzymałem ich! Jeśli chce mnie pan aresztować za to, że ocaliłem naszą planetę, proszę bardzo. Chętnie sobie posiedzę i spiszę całą tę historię, wyjaśniając, że nasz prezydent nie miał odwagi, żeby działać, kiedy było jasne, że jesteśmy

atakowani!

- Atakowani? - Carr obrzucił doradcę pogardliwym spojrzeniem.

- Właśnie tak! - Stevas uśmiechnął się drwiąco. Spojrzał na Millera. - No co? Czyżby ten tu pański pacholek nie powiedział panu, że te bydlaki zniszczyły dwanaście naszych okrętów podwodnych? Wszystkie co do jednego! A jeśli chce pan tu stać i udawać, że mamy jeszcze czas na jakąś dyplomację, to śmiało. Ja wiem, co się wydarzyło, i koniec końców to ja zrobiłem to, co pan powinien był zrobić!

Prezydent stał nieruchomo, obrzucając niższego od siebie Stevasa spojrzeniem sugerującym, że miał wielką ochotę go uderzyć. W pokoju zapadła cisza, podczas gdy obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem, oddychając ciężko.

- I nie obchodziło cię - powiedział prezydent, starając się nie stracić nad sobą panowania - z jakim ryzykiem dla nas albo dla nich wiązało się wysadzenie tego pierścienia.

Stevas potrząsnął głową.

- Lawrence był pewien, że nie stanowiło to żadnego zagrożenia. - Urwał na chwilę dla efektu. - I jak widać, świat się nie skończył.

Kathryn Lokke siedziała przy biurku z laptopem, wewnątrz małego nadmuchiwanego domku. Była zaskoczona, jak skutecznie budynek utrzymywał ciepło i zapewniał im przynajmniej pozory normalności, biorąc pod uwagę warunki podczas ich poprzedniego pobytu tutaj. Szybkim ruchem zamknęła laptopa, po czym wstała i założyła z powrotem parkę oraz rękawiczki.

Wychodząc na zewnątrz pomyślała, że dzień zaczął się dobrze. Nieopodal jeden z jej zespołów badał lód, drążąc głębokie otwory i sprawdzając gęstość. Obszar musiał być dostatecznie wytrzymały, aby unieść ciężar wiertnic, ale nie na tyle twardy, żeby spowalniało to pracę. Dwa pozostałe zespoły znajdowały się odpowiednio półtora i trzy kilometry przed nimi, również szukając najlepszych miejsc na odwierty.

Duża przenośna wiertnica przetoczyła się obok Kathryn, zmierzając śladem jednej z poprzedzających ją grup. Drobne kryształki lodu wzbily się spod maszyny; poczuła ich ukłucia na twarzy, zanim zdążyła się odwrócić.

Kiedy wiertnica się oddaliła, Kathryn przeszła za nią na drugi koniec niedużego obszaru roboczego. Steve Anderson, kierujący ekipą z Nowej Zelandii, stał w towarzystwie jej starego znajomego, Andrew - przewodnika, który ostatnim razem praktycznie ocalił jej życie. Kiedy się zbliżyła, obaj podnieśli wzrok.

- Czołem, pani Lokke - powiedzieli niemal jednocześnie.

- Mówiłam wam, wystarczy Kathryn.

- Zgoda - odparli.

- Jak tam moje ładunki? - zapytała, mając na myśli materiały wybuchowe, które miały zostać umieszczone na dnie wywierconych otworów.

- Powinny tu być lada moment - potwierdził Steve. - Dopiero co rozmawiałem z załogą. - Skinął głową za ramię Kathryn, która odwróciła się za siebie. - Pas jest gotowy.

Widziała, jak Manly wraca ku nim swoim dużym, czerwonym pługiem, podskakując w kabinie w górę i w dół na wybojach. Przypadło mu jedno z najtrudniejszych zadań. Kiedy już je wykona, miał pojechać naprzód i wyrównać jeszcze jeden pas terenu koło miejsca, gdzie zamierzali rozbić obóz na noc. Potrzebowali tyle paliwa, jedzenia, materiałów wybuchowych, dodatkowych ludzi i sprzętu, że czekały ich dostawy drogą powietrzną niemal każdego ranka przez najbliższe dwa tygodnie. Na szczęście w przyszłym tygodniu miał dojść kolejny pług, kierowany przez jednego z partnerów Manly'ego, co ułatwi sprawę.

Kathryn obejrzała się, słysząc dźwięk samolotu. Trochę czasu zajęło jej wypatrzenie go na jasnym niebie, choć do tej pory zdążyła się już naoglądać więcej C130, niż by sobie życzyła. Gdy samolot się zbliżył, wysuwając podwozie, ona i jej towarzysze ruszyli w kierunku pasa.

Mężczyźni rozmawiali o tym, gdzie planowali umieścić zapasy, a Kathryn zatrzymała się, żeby zawiązać prawy but, w którym poluzowało się sznurowadło. Pochyliła się, naciągnęła je z powrotem i zaczęła wiązać supeł, ale przerwała, kiedy zobaczyła, jak coś pojawia się obok jej stopy. Było to drobne pęknięcie. Przyjrzała mu się z zaciekawieniem, nie ruszając się z miejsca. Kilka sekund później pojawiło się kolejne, tym razem trochę większe. Czyżby miała pod sobą słaby punkt w lodzie?

Powoli wstała i rozejrzała się dookoła. Drobne pęknięcia widać już było wszędzie. Odwróciła się z powrotem do Steve'a i Andrew, wciąż zmierzających w stronę samolotu, który znajdował się teraz około czterech

metrów nad ziemią.

- Hej - powiedziała, ale żaden z nich jej nie usłyszał. - HEJ! - zawołała głośniej.

Steven i Andrew odwrócili się i spojrzeli na Kathryn. Stała nieruchomo, wpatrzona w ziemię.

- Tak?

- Patrzcie! - zawołała.

- Na co? - zapytał Steve.

- Na LĄD! - Głos jej drżał.

Obaj rozejrzeli się i zobaczyli tworzące się wszędzie wokół szczeliny. Spojrzeli znów na Kathryn i otwarli szeroko oczy na widok tego, co było za nią. Kobieta odwróciła się i ujrzała powstające właśnie ogromne pęknięcie oraz strzelające z podłoża kawałki lodu. Dalej w głąb, nad lodowcem szelfowym, widziała, jak w powietrze wylatuje dużo więcej takich odłamków.

Spojrziała na dwóch mężczyzn przed sobą.

- Uciekajcie! - zawołała. - BIEGIEM! - Pracujący za nią ludzie, w tym Manly, który właśnie wysiadał z ciężarówki, odwrócili się i skierowali na nią zaintrygowane spojrzenia. - BIEGIEM! - zawołała znów Kathryn. Machając ręką pokazywała, żeby biegli za nią. Przeniosła wzrok dalej, ku zbiorowisku nadmuchiwanych konstrukcji służących im za kwatery sypialne. W środku było jeszcze przynajmniej kilka osób. Zemdliło ją, kiedy zdała sobie sprawę, że byli zbyt daleko, aby ją usłyszeć wśród panującego wokół hałasu.

Odwróciła się i zobaczyła, jak duży samolot mija ich, kołując kilkaset metrów dalej. Wskazała na niego i puściła się biegiem. Steve i Andrew byli już przed nią. Wszyscy biegli, nawołując każdego, kogo zobaczyli. Po chwili zatrzymali się i jeszcze raz zawołali do pozostałych.

- UCIEKAJCIE!

Kiedy się odwróciła, zobaczyła swój czteroosobowy zespół, który dopiero co wykonywał pomiary lodu, a teraz pędził w jej stronę tak szybko, jak tylko się dało. Daleko w tle dostrzegła unoszącą się w powietrzu znajomą, białą mgłę, ale tym razem było jej dużo, dużo więcej. W oddali widać było błoto, które zaczęło się osuwać u podstawy ogromnego lodowca. To się działo naprawdę! Lodowiec się rozpadał!

Manly biegł teraz w jej kierunku, podtrzymując ramieniem jednego z wiertaczy. Kathryn zwróciła się do Steve'a i Andrew i krzyknęła, wskazując

na samolot.

- Nie pozwólcie mu się zatrzymać! - Obaj skinęli głowami i pognali za maszyną.

Podłóżę pod ich stopami zaczęło się trząść. Wciąż machała rękoma, przywołując pozostałych do siebie, i rozglądała się za innymi. Tadri była wśród biegnących ku niej członków zespołu. Przystanęła, aby pomóc się podnieść komuś, kto upadł. Kathryn wciąż spoglądała w stronę kwater, modląc się, aby przebywający w nich ludzie wyszli na zewnątrz. Obejrzała się na samolot, patrząc, jak Steven i Andrew wskakują przez tylne drzwi hamującej maszyny. Chwilę później silniki, które już zwalniały, nagle z powrotem ożyły i samolot zaczął szybko obracać się w przeciwnym kierunku.

Pozostali w końcu dogonili Kathryn i wszyscy razem pobiegli do samolotu. Obejrzała się przez ramię i wreszcie zobaczyła ludzi wychodzących z kwater. Rozglądali się dookoła, aż w końcu dojrzeli Kathryn i innych podążających za nią. W tej samej chwili otwarła się szeroka szczelina i długą, zygzakowatą linią przecięła przestrzeń pomiędzy Kathryn a obozem. Było za późno.

Wstrząsy nasilały się i każdy starał się nie upaść. Pokonali dystans dzielący ich od pasa, podczas gdy samolot powoli ich wyminął. Chwiejąc się na wszystkie strony, otoczyli tył maszyny i pognali za bocznym wejściem. Obaj mężczyźni w środku czekali, trzymając się mocno krawędzi drzwi. Złapali Tadri za rękę, unosząc ją w górę i wciągając do środka. Następnie wyciągnęli ręce w stronę wiertacza, a potem Manly'ego i pozostałych. W końcu chwycili i wyciągnęli do środka Kathryn.

Silniki znów zaryczały i samolot przyspieszył. Wszyscy siedzący z tyłu wyjrzeli przez boczne okna na przemykający za nimi lód. Patrzyli, jak pęknięcia stają się coraz większe i większe. Koła samolotu najechały na dużą szczelinę i wszyscy polecili do góry, uderzyli w metalowy sufit, po czym z powrotem spadli na dół. Spojrzeli po sobie, pocierając głowy.

Samolot przemieszczał się szybko, aż większość lodu na zewnątrz stała się rozmytą ścianą bieli, ale z całym zaopatrzeniem na pokładzie i dodatkowym ciężarem nowych pasażerów miał trudności z oderwaniem się od ziemi. Łup. Siła kolejnego zderzenia znów wyrzuciła wszystkich w powietrze. Gdy już runęli z powrotem na podłogę, nerwowo próbowali przytrzymać się czegoś mocniej.

Kathryn wyjrzała przez jedno z bocznych okien. Lodowiec był ledwie widoczny i ze wszystkich stron przybrał ciemnobrązową barwę. Samolot nagle przestał się trząść, odrywając się wreszcie od podłoża, właśnie wtedy, gdy na jej oczach pokrywa lodowa w oddali zapadała się pod swoim własnym ciężarem.

W tej samej chwili kilka miliardów ton skały oraz lodu oderwało się i zsunęło pod lodowiec szelfowy, przemieszczając przy tym niewyobrażalną ilość wody, która uformowała gigantyczne tsunami. Unosząc się, tsunami porwało cały lodowiec szelfowy za sobą. W parę sekund osiągnęło wysokość kilkuset metrów.

Ekipa Kathryn patrzyła z samolotu, jak lodowiec wzlatuje, wyrzucony ku niebu siłą tsunami. Z każdym pokonywanym przez niego metrem ich oczy otwierały się szerzej, a oddech przyspieszał. W miarę jak piął się coraz wyżej i wyżej wszyscy odruchowo wzmocnili chwyt, czekając, aż masa na której dopiero co stali zderzy się od dołu z samolotem.

Maszyna wznosiła się tak szybko, jak mogła, jednak lodowiec unosił się jeszcze szybciej. Nikt z tyłu nie słyszał, jak w kokpicie piloci krzyczą i wyciskają z silników ostatnie soki. W tym momencie Kathryn przypomniała sobie o wszystkich materiałach wybuchowych wciąż znajdujących się na pokładzie. Od lodu poniżej zdawało się ich dzielić już tylko kilka centymetrów. Parę osób zamknęło oczy i czekało na zderzenie, które jednak nie nastąpiło.

Prezydent Carr stał i przeszywał wzrokiem Stevasa, kiedy telefon na jego biurku zapiszczał trzy razy. Zostawiając stojących przed nim mężczyzn, przeszedł przez pokój i wszedł za biurko. Włączył na słuchawce tryb głośnomówiący. Dobiegł z niej głos jednej z asystryjek Masona.

- Panie prezydencie, mam dla pana pilną wiadomość od pani Lokke.

Carr spojrział na telefon, mrużąc oczy z zaciekawieniem. Rzucił spojrzenie pozostałym mężczyznom i odpowiedział: - Proszę ją połączyć. - Rozległ się krótki trzask i prezydent odezwał się głośno. - Dzień dobry, pani Lokke, co takiego...

- To już się dzieje! - dobiegł z telefonu gorączkowy krzyk Kathryn. - Rozpada się w tej chwili!

Carr rozejrzał się. Wśród zebranych narastała panika.

- Lodowiec szelfowy?

- Kontynentalny! Lodowiec kontynentalny rozpadł się i zniszczył lodowiec szelfowy!

- O Boże. - Próbując zebrać myśli, prezydent nachylił się bardziej nad telefonem. - Czy jest tak źle, jak pani sądziła?

- Tak! - odparła natychmiast Kathryn. Odgłos silników samolotu w tle zagłuszał jej słowa. -Tsunami jest ogromne i zmierza na północ!

- Z jaką prędkością? - zapytał Carr, podczas gdy pozostali mężczyźni szybko zebrali się wokół jego biurka. - Ile mamy czasu?

- Nie wiem. - Próbowała przekrzyczeć hałas. - Prawdopodobnie trzysta albo czterysta mil na godzinę, więc dotrze na Florydę za... - urwała na moment - ...jakieś dwanaście godzin. Ale w Amerykę Południową uderzy o wiele wcześniej!

Carr zamknął oczy i zwiesił głowę.

- Jakie są nasze opcje, pani Lokke?

- Mówiłam już - nie mamy żadnych. Nie możemy tego zatrzymać. Jedyne, co nam zostało, to ewakuacja!

- Proszę poczekać. - Prezydent wyciszył linię. Spojrzał na otaczających go mężczyzn. - Jezu Chryste. Czy to w ogóle wykonalne?

- Ewakuacja całego wybrzeża Atlantyku, w Ameryce Północnej i Południowej? - Miller potrząsnął głową. - Nie, nie w dwanaście godzin.

- Ale niektórym udałoby się uciec, prawda? - zapytał Carr.

- Niekoniecznie - odparł Langford. - Rozpętałibyśmy panikę na skalę biblijną. Prawdopodobnie zapanowałby tylko jeden wielki chaos do czasu nadejścia tsunami.

- Panie prezydencie? - zapytała Kathryn.

Carr szybko włączył z powrotem mikrofon.

- Tak, pani Lokke, jesteśmy tu.

- Przerwaliście tę próbę jądrową, prawda?!

Uniósł brwi, spoglądając na telefon.

- Próbę jądrową? Jaką próbę jądrową?

- Tę, o której mówił mi John Clay.

Carr ponownie podniósł wzrok na ludzi zebranych wokół jego biurka.

- Co dokładnie John Clay pani powiedział?

Kathryn wciąż przekrzykiwała silniki.

- Dzwonił do mnie, żeby zapytać, czy fala uderzeniowa po planowanej przez was próbie jądrowej mogłaby przypadkiem spowodować rozłam lodowca. Miał ją odwołać. - Zamilkła na moment, kiedy zdała sobie sprawę, co się wydarzyło. - Mój Boże, nie odwołaliście jej, prawda?! To dlatego lodowiec się rozpadł! Proszę powiedzieć, że ją odwołaliście.

Prezydent ponownie wyciszył mikrofon i spojrzał prosto na Stevasa. Wszystko stało się jasne.

- Clay wiedział, co się wydarzy, i próbował powstrzymać atak. - Carr podniósł głos. - Twoja eksplozja jądrowa właśnie wywołała globalne tsunami!

Stevas zrobił się biały na twarzy. Potrząsnął głową, nie będąc w stanie wydusić słowa.

Prezydent wyglądał, jakby miał zaraz przeskoczyć przez biurko i rzucić się na niego. Mężczyzna odruchowo zrobił krok w tył.

- Zrobiłeś to, co było konieczne! Tak powiedziałaś! A teraz dziesiątki milionów ludzi zginą przez CIEBIE!

- J-ja tylko robiłem... - wyjąkał Stevas, spoglądając na Masona, szukając u niego ratunku. - Nie wiedziałem. To pierścieniem się martwiliśmy... Nie wiedziałem, że to spowoduje coś takiego.

- Spójrz na mnie, Hank - warknął prezydent, pochylając się do przodu. - Gdzie jest John Clay?

Stevas nie odpowiedział. W myślach rozpaczliwie próbował zrozumieć, jak właściwie sprawy mogły przybrać tak katastrofalny obrót.

- Zapytałem - powtórzył prezydent - gdzie jest John Clay?!

Stevas wbił oczy w podłogę.

- W-wysłałem oddział Delta. - Podniósł wzrok z zakłopotaniem. - Zabili go.

W oczach Langforda nagle zapłonęła wściekłość. Rzucił się na Stevasa.

- Ty sukinsynu! - Złapał go za kołnierz i wyprowadził cios z prawej strony. Stevas przeleciał nad małym stolikiem i rąbnął o podłogę. Langford bez wahania skoczył za nim i sięgnął, by chwycić go ponownie, ale Miller i Bullman złapali go za ręce i odciągnęli do tyłu.

- Panie prezydencie? - zawołała Kathryn. - Jest pan tam?

- Tak, proszę pani, jestem. Proszę zaczekać jeszcze chwilę. - Spojrzał na Stevasa, który próbował się podnieść. - Mamy tu do rozpracowania pewną kwestię.

Prezydent patrzył, jak Stevas odzyskuje równowagę i odsuwa się od wszystkich pozostałych. Miał już wyjść zza biurka, kiedy telefon znów zapiszczał trzy razy. Powoli sięgnął i odebrał połączenie na drugiej linii.

- Tak?

- Panie prezydencie - rozległ się męski głos. - Tu agent Rubke z dołu. Jest tu, eee... ktoś, kto chce się z panem zobaczyć.

- Zobaczyć ze mną? - spytał Carr. - Kto taki, do cholery?

- Mówi, że nazywa się John Clay.

43

Agent służb specjalnych wkroczył do pomieszczenia i przytrzymał otwarte drzwi, czekając aż Clay wejdzie do środka. Ku zaskoczeniu wszystkich za nim podążał Palin. Clay przystanął i rozejrzał się po pokoju. Kiedy doszedł do Stevasa, zatrzymał na nim wzrok.

- To on - powiedział do swojego towarzysza.

Palin stał nieruchomo, wpatrując się w Stevasa. Po raz pierwszy Clay dostrzegł w oczach doradcy autentyczny strach. Stevas jeszcze mocniej przysunął się do ściany; gdyby mógł, stałby się jej częścią.

- Najmocniej przepraszam, sir - powiedział agent do prezydenta. - Nie wiemy, jak udało im się dostać do środka.

- Nic nie szkodzi. Możesz nas zostawić.

Agent zawahał się, ale kiedy Carr posłał mu kolejne spojrzenie, w końcu minął ich i dołączył do dwójki czekającej na zewnątrz. Drzwi zamknęły się cicho za Clayem i Palinem.

- No no, pan Clay. Szukaliśmy pana. - Prezydent wystąpił naprzód, zerkając na Stevasa. - Prawdę mówiąc sądziliśmy, że coś się panu stało.

- Stało się. - Spojrzenie Claya pobiegło w tym samym kierunku, co prezydenta, po czym przeniosło się na Langforda. - Zabili Cesare.

Admirał zacisnął szczęki ze złości, ale nic nie powiedział, rzucając Stevasowi mordercze spojrzenie.

- Przykro mi, Clay. Wygląda na to, że niektórzy z nas podejrzewali pana o stanie po niewłaściwej stronie. To akurat parę minut temu się wyjaśniło. Mogę chyba powiedzieć w imieniu wszystkich tu zebranych, że z ulgą widzimy pana całego i zdrowego. Pana Palina również. - Wskazał ręką telefon. - Pani Lokke poinformowała nas, że najwyraźniej starał się pan zapobiec eksplozji.

- Zgadza się - odparł krótko Clay.

- Cóż, teraz mamy na głowie poważny problem. Ten wybuch jądrowy

najwyraźniej wywołał zaledwie kilka minut temu rozłam na lodowcu szelfowym Ronne i teraz na północ zmierza tsunami, którego nie możemy zatrzymać.

Clay wskazał na telefon.

- Ona wciąż jest na linii?

Prezydent sięgnął do guzika i przełączył się na pierwszą linię.

- Pani Lokke, jest tam pani jeszcze?

Po chwili z głośnika dobiegł jej głos. Dźwięk silników zdawał się cichszy.

- Tak, sir. Ale musimy wracać do McMurdo, bo nie starczy nam paliwa.

Straciłam tsunami z oczu.

Carr szybko skinął na Masona, swojego szefa personelu.

- Załatw nam transmisję wideo! Nieważne jak.

Mason przytaknął, poszedł w odległy koniec pokoju i wyciągnął z kieszeni kurtki telefon komórkowy.

Clay spojrzał na prezydenta, który skinął głową i odsunął się, oddając mu do dyspozycji telefon. Przeszedł przez duży dywan i powoli usiadł w fotelu. Palin podążył za nim i stanął tuż obok. Clay wolno wypuścił powietrze, po czym odezwał się do słuchawki.

- Pani Lokke, tu John Clay. Rozmawialiśmy parę dni temu.

- Pamiętam. Mówił pan, że zatrzyma eksplozję. Co się do diabła stało?

- Cóż - powiedział Clay. - Niektórzy mieli inne plany. - Ostrożnie położył sobie dłoń na piersi i przysunął się bliżej w fotelu. Rana wciąż sprawiała mu ogromny ból.

- Pani Lokke, rozumiem, że tsunami nie da się zatrzymać konwencjonalnymi sposobami... ale są jeszcze inne wyspy stwarzające ryzyko potężnego osunięcia, zgadza się?

- Tak - odparła szybko.

- Czy jedną z nich nie jest Tristan da Cunha?

- Hm, no, owszem - powiedziała z lekką nutą sarkazmu. - Chociaż tam akurat zagrożenie jest umiarkowane. Na całym świecie są ich dziesiątki.

- Proszę pani - ciągnął Clay powoli. - Czy obszar potencjalnego osunięcia na Tristanie nie leży po południowej stronie wyspy?

- No tak. - Kathryn nagle odetchnęła głośno. - O mój Boże! Tak, właśnie tak!

- Da się to zrobić? - zapytał ją Clay.

- Tak! - niemal wykrzyczała do mikrofonu. - Tak, to możliwe! Parę rzeczy

trzeba by sprawdzić, ale to się może udać. - Urwała na moment. - Ale musielibyśmy je jakoś wywołać.

Wyglądało na to, że wszyscy skupili się przy biurku wokół Claya i Palina.

- Co? - zapytał prezydent. - Co się może udać?!

Clay zwrócił się do niego.

- Takie osunięcia zdarzały się w przeszłości, bardzo rzadko, ale, jak wiemy, z katastrofalnym skutkiem. Tristan da Cunha to duża wyspa na południowym Atlantyku. Jest jednym z miejsc, w których część masy lądowej powoli się odrywa. Potrwa to jeszcze bardzo długo, ale może uda nam się trochę pomóc naturze i stworzyć falę biegnącą w przeciwnym kierunku. - Mówiąc, wodził wzrokiem po zebranych. - Jeśli nie możemy zatrzymać nadciągającego tsunami, to może uda nam się je zablokować.

Pomysł spotkał się z powszechnym uznaniem.

- Pani Lokke? - zapytał Carr.

- Musimy zweryfikować nasze dane - powiedziała. - Większość fal przechodzi przez siebie, ale czasem, w odpowiednich okolicznościach, może dojść do kolizji. To tak zwana konstruktywna interferencja. Nie jest tak często spotykana, ale istnieje szansa zredukowania rozmiaru fali płynącej na północ. To może oznaczać różnicę pomiędzy tysiącami a milionami ofiar.

Carr przeniósł wzrok na Claya.

- A jak mamy to wywołać?

- Potrzeba dużego impulsu - odparł. - Czegoś jak wybuch jądrowy.

Prezydent potrząsnął głową.

- Moment. Mówimy tu o jeszcze jednej bombie atomowej? - Ironia sytuacji nie uszła uwadze Claya, ani też prezydenta, skoro już o tym mowa. Gdyby nie pierwsza bomba, nie byłaby potrzebna druga. Co istotniejsze jednak, byłby to pierwszy raz, kiedy wybuch jądrowy posłużył do ratowania życia. Prezydent odsunął się, kręcąc głową.

„Jak ja do licha wyjaśnię dwie nuklearne eksplozje?”.

Langford położył łagodnie dłoń na ramieniu Claya.

- Skąd to wszystko wiesz, John?

Clay niewinnie wzruszył ramionami.

- Po tym, jak poznaliśmy panią Lokke w JAX, poczytałem sobie o niej i o jej pracy.

Miller spojrział na prezydenta.

- Sir, będziemy do tego potrzebowali kodów. I wiceprezydenta.

- Panie prezydencie, mamy widok na tsunami. - Mason włączył duży monitor wiszący na ścianie. - To obraz na żywo z satelity. - Na ekranie widać było rozległy obszar południowego Atlantyku. Kiedy Mason przybliżył obraz, dało się dostrzec małą, niemal niewidoczną linię przesuwającą się ku górze.

- Wydaje się mniejsze niż się spodziewałem.

- Tsunami nie da się zobaczyć na głębokiej wodzie - wyjaśnił Clay. - Rosną, kiedy docierają do wybrzeża.

Zadzwonił telefon. Carr natychmiast odebrał.

- Słucham.

Z głośnika dobiegł głos Kathryn.

- Panie prezydencie, właśnie przyjrzelśmy się danym razem z paroma kolegami w Waszyngtonie. Uważamy, że to najlepsze, co można zrobić.

Carr westchnął.

- A co się stanie, jeśli wypuścimy kolejną falę w złym kierunku?

- Panie prezydencie - głos Kathryn przebijał się przez hałas silników. - Szczerze wątpię, żeby dało się jeszcze pogorszyć sytuację.

Spojrzał na Masona.

- Połącz mnie z Chinami i Rosją. Musimy mieć cholerną pewność, że będą wiedzieć co to, kiedy pojawi się na ich radarach.

Mason skinął głową i pobiegł do drzwi. Otworzył je właśnie w chwili, kiedy Miller wchodził do środka z wiceprezydentem Baileyem. Miller niósł słynną teczkę zwaną „futbolówką”, zawierającą kody autoryzacyjne broni jądrowej. Położył ją na stole przed prezydentem.

Carr przełączył telefon na drugą linię. Gdy rozległ się kobiecy głos, powiedział: - Połącz mnie z NORAD. - Następnie zajął się metalową teczką; wprowadził prawidłową kombinację i wcisnął przyciski, aby zwolnić zamki. Pokrywa odskoczyła bezgłośnie.

- NORAD na linii, sir - odparł kobiecy głos. Chwilę później zastąpił go inny, niższy.

- Mówi generał Schmidt.

Wiceprezydent stanął obok, kiedy Carr nachylił się do mikrofonu.

- Mówi prezydent Jonathan Scott Carr. Przygotujcie się do weryfikacji.

Nad większością środkowej Georgii niebo było zasnuwane chmurami. Drzewa miały odcień ciemnej zieleni, a las zdawał się ciągnąć w dal bez końca. Łagodne lesiste wzgórza miejscami tylko ustępowały łątom otwartej przestrzeni porośniętej jasnozieloną trawą, falującą delikatnie w chłodnych podmuchach wiatru. Jeden z większych otwartych obszarów był niemal całkowicie zasłonięty przez dęby i sosny, otoczone wysokim płotem ze stalowej siatki. Stary, malowany znak przy wejściu głosił „Zakaz wstępu - Departament Rolnictwa”. Za płotem znajdował się duży, metalowy barak o dachu zwieńczonym kopułą. Obok stała wysoka wieża antenowa.

Nagle ciszę rozdarło ogłuszające wycie syren, a na kopule zaświeciła się jaskrawo-pomarańczowa obrotowa lampa. Na poziomie gruntu duży trawiasty obszar zatrzęsł się i rozstał, odsłaniając podziemny silos, a wraz z nim czubek wielkiego pocisku. Jak tylko wrota otworzyły się w pełni, silos wypełnił się dymem i ogniem. W niecałą sekundę pocisk wystrzelił z ziemi, szybko wzniósł się w powietrze i zniknął na niebie wśród szarych chmur.

Odkryta po raz pierwszy w 1506 roku, Tristan da Cunha była największą spośród wysp najbardziej odległego archipelagu na Oceanie Atlantyckim, położonego ponad tysiąc siedemset mil od najbliższego lądu stałego. Zajęta przez Brytyjczyków w 1816 roku, aby nie mogła posłużyć za przystanek w ucieczce Napoleona Bonaparte z Wyspy Świętej Heleny, zamieszkała była przez zaledwie nieco ponad dwustu mieszkańców. Znajdowało się tu tylko jedno małe miasteczko, zwane „Osadą”, a mieszkające w nim rodziny żyły z dala od wygod, ale i problemów współczesnego świata.

Jedenastoletni Neri Repetto skończył lekcje i wspinał się na wzgórze do swojego sekretnego miejsca, obok jedyne go na wyspie wodospadu. O tej porze roku dni były długie i miał jeszcze dużo czasu na dokończenie swoich obowiązków. Dzisiaj miał nadzieję sprawić matce i młodszemu bratu niespodziankę, przynosząc na obiad rybę. Liczył na to wprowadzić co dzień przez ostatnie dwa tygodnie, ale Neri nie miał w zwyczaju się poddawać.

Wspinając się po zboczu góry zauważył za wielkim drzewem kozę i zastanowił się, czy powinien ją odprowadzić do pani Hagan. Postanowił, że zrobi to w drodze powrotnej. Popołudnie było ciepłe. Wciąż się wspinając, Neri skakał od skały do skały w swoich znoszonych butach. Niebawem mógł już usłyszeć zza ściany drzew dźwięki wodospadu. Wydłużył kroki i przyspieszył, kierując się w głąb rzucanego przez konary cienia.

Naraz zastygł bez ruchu. Tkwił w miejscu, zapatrzony, próbując zrozumieć, co właściwie widzi. Rozejrzał się powoli. Nie dostrzegł nikogo, więc przeszedł kilka kroków naprzód. To coś nie przypominało niczego, co kiedykolwiek widział. Podkradł się trochę bliżej. Jasnoniebieskie światło układało się w duży, lekko drżący owal, sięgający mu nieco powyżej głowy. Jego wnętrze było ciemne, ale nie całkiem czarne. Przyjrzał się zjawisku dokładnie. Spojrzał na ziemię przed tym dziwnym owalem. Na mokrej trawie widniało coś, co wyglądało na ślady stóp.

- Mamo! Mamo! - Neri wpadł z krzykiem do niedużego domu.

- Neri! - zbeształa go matka, unosząc wzrok znad opalanego drewnem pieca. - Twój brat śpi!

- Mamo! - powtórzył cicho. - Musisz przyjść to zobaczyć!

Wytarła ręce o fartuch.

- Co zobaczyć, Neri? Znowu któraś koza uciekła?

- Tak, tak, ale nie to chcę ci pokazać. - Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi.

Jego matka wyszła na zewnątrz i rozejrzała się. Żaden z czerwonych dachów Osady nie płonął, a z głównej ulicy nie dobiegał żaden dźwięk.

- O co chodzi? Niczego nie widzę.

- Nie - powiedział. - To jest tam wyżej. - Wskazał na szlak prowadzący po zboczu góry. - Koło wodospadu.

Matka wyteńczyła wzrok.

- Dalej nic nie widzę.

- Stąd nie widać. Musisz wejść na górę - nalegał, wciąż szarpiąc ją za ramię.

- Neri, proszę - westchnęła. - Nie mogę przecież zostawić tu twojego brata samego.

Neri wciąż był zdyszany po biegu z powrotem do miasta.

- To... światło. Jasnoniebieskie. Po prostu stoi sobie na trawie.

Przyjrzała mu się, unosząc brew.

- Jadłeś grzyby?

- Nie! - zaprotestował. - Szedłem na ryby. To zaraz przy moim miejscu. Jest... po prostu nie do wiary.

- To na pewno - odparła matka, otrzepując fartuch. Naprawdę nie mogła sobie wyobrazić, o czym on opowiadał. Odwracała się właśnie, żeby wrócić do domu, kiedy coś przykuło jej wzrok. Spojrzała w górę, ponad wzgórze. To coś było na niebie, poruszało się bardzo szybko i pozostawiało za sobą biały ślad, jak duże samoloty. - A to co?

Neri podniósł wzrok i też to zobaczył.

Jego matka przyglądała się z uwagą, aż nagle otworzyła szeroko oczy. Nie wiedziała, co to takiego, ale najwyraźniej zmierzało w ich kierunku.

- Neri! - krzyknęła, chwytając go za ramię. - Do środka! - Wepchnęła go w drzwi przed sobą. Kiedy już zaczynała je zamykać, zatrzymała się na krótką chwilę.

„Dlaczego niebo jest takie niebieskie?”. - Pomyślała, że pierwszy raz w życiu widzi coś takiego. Mrugnęła i rozejrzała się po otaczających ją budynkach. Wszystko zdawało się niebieskie.

Prezydent i jego gabinet patrzyli, jak ogromna fala przemierza Ocean Atlantycki z prędkością ponad trzystu mil na godzinę. Wyspa Tristan da Cunha, wraz z jej małym archipelagiem, znajdowała się tuż poniżej szerokości geograficznej Przylądka Dobrej Nadziei. Na obrazie satelitarnym jasno widać było, że jeśli nie uda się zatrzymać fali tutaj, niemal natychmiast zacznie się zniszczenie, uderzając w południowo-zachodnie wybrzeże Afryki. Na pierwszy ogień pójdzie wielka metropolia Cape Town i jej mieszkańcy w liczbie ponad trzech milionów. W drugiej kolejności zniszczone zostanie Buenos Aires na południowoamerykańskim wybrzeżu po drugiej stronie Atlantyku.

Kathryn wylądowała w McMurdo zaledwie parę minut temu i teraz wraz ze swoim zespołem oglądała transmisję w dużej sali konferencyjnej. W grobowej ciszy obserwowali potężną falę.

Ciemna linia na oceanie zbliżała się do małej, niezamieszkaney wysepki położonej dwieście mil na południowy wschód od Tristan da Cunha. To uderzenie będzie najlepszą miarą siły tsunami. W tę wyspę jako pierwszą uderzy z pełną mocą, dając szacunkowe wyobrażenie tego, co nadchodzi.

Kathryn i jej ludzie wiedzieli, że jeśli nie uda się wywołać przeciwstawnej fali zanim tsunami zanadto się zbliży, nie zdąży ona dostatecznie oddalić się od Tristan da Cunha, aby uzyskać potrzebny efekt, ani też nie rozejdzie się wystarczająco szeroko po oceanie.

Gdy tsunami na ekranie zbliżyło się do pierwszej wysepki, momentalnie urosło, wypchnięte na powierzchnię przez wznoszące się ku wyspie dno oceanu. Całemu zespołowi Kathryn zapało dech w piersiach. Było gigantyczne.

Jednym gładkim ruchem fala uderzyła i szybko ogarnęła wyspę, zalewając ją w całości. Zanim woda zakryła wszystko, dało się dostrzec, jak skierowane na południe klify rozpadają się na wielkie kawałki. Jednak najbardziej szokujący dla zebranych w Białym Domu i stacji McMurdo był moment, kiedy wyspa na ich oczach po prostu zniknęła. Ponad sześćdziesiąt

kilometrów kwadratowych litej skały sięgającej setki metrów ponad dno zostało całkowicie zniszczone w niecałą minutę, zupełnie jakby ktoś jednym ruchem starł wierzchnią część wyspy.

- O mój Boże! - wyjąkała Kathryn Lokke zduszonym głosem. Było dużo gorzej niż ktokolwiek się spodziewał. Jej nadzieja, że uda im się zatrzymać to coś, nawet z pomocą drugiego tsunami, zaczęła topnieć.

W Białym Domu prezydent Carr, podobnie jak i pozostali, miał twarz białą jak kreda.

Niewiarygodna fala zniszczenia wciąż nieubłaganie parła na północ.

Błękitna kopuła okryła Osadę, podczas gdy międzykontynentalna rakiet balistyczna zbliżała się do Tristan da Cunha z prędkością prawie pięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Współrzędne były precyzyjnie wyznaczone. Pocisk najpierw zaczął pikować, a potem eksplodował niecałe sto metrów ponad południowym krańcem wyspy. Choć górujący nad nią wulkan zablokował część uderzenia, całe niebo przybrało jaskrawy odcień bieli, gdy wyzwolona została niesamowita siła reakcji jądrowej. Znaczna część skalnego zbocza natychmiast zmieniła się w szkło, a nacisk eksplozji na szczyt spowodował, że warstwy lądu pod wyspą zaczęły się przesuwac, a potem fałdować i odkształcać. Linia pęknięcia przecięła południowe zbocze, krusząc szkło oraz skałę na miliony kawałeczków i wyrzucając je w górę na wszystkie strony. Następnie rozległo się głębokie dudnienie i cała wyspa zatrzęsła się gwałtownie, po czym, jednym nagłym ruchem, jedna trzecia jej masy oderwała się od góry i osunęła ze swojej podwodnej podstawy, wpadając prosto do oceanu. Energia wyzwolona przez głowicę była zaledwie ułamkiem tej uwolnionej, kiedy osunięcie pchnęło naprzód ogromną masę wody, tworząc drugą gigantyczną falę.

Fala gnała na południe, niemal w jednej chwili obmywając mniejsze wysepki archipelagu i porywając ze sobą wszelkie formy życia i każdy najdrobniejszy okruch luźnej gleby.

Wszyscy obserwowali, jak dwie fale o niewyobrażalnej mocy pędzą sobie

na spotkanie. Pokonały dzielącą je odległość w niecałe dwie minuty. Moment ich zetknięcia był doskonale widoczny; ciemne linie na obrazie z satelity nagle stały się białe. Z początku wąska kreska w miejscu uderzenia zaczęła się coraz bardziej poszerzać, rozciągając się na całą milę, potem na pięć mil, a potem na dziesięć. Nacisk wyrzucał wodę w powietrze, tworząc ogromną białą ścianę, która zaczęła się rozchodzić na niemal pół Atlantyku. Ściana wody rosła i rosła, osiągając wysokość niemal stu metrów, zanim jej pęd zaczął zwalniać. Wreszcie zatrzymała się i chlusnęła z powrotem do oceanu. Kiedy uderzyła w powierzchnię, ta zapadła się od siły zderzenia, a powstałe zagłębienie szybko zalały fale napływające z obu stron. Gdy zderzyły się ze sobą, powstała kolejna ściana, która również po chwili opadła tworząc jeszcze jedno zagłębienie i wywołując kolejny napływ wody.

Z prędkością setek mil na godzinę, fala za falą rozpraszała się na wszystkie strony, aż w końcu zderzyły się ostatnie odcinki tsunami.

Na transmisji satelitarnej widać było, jak szeroki pas wzburzonej wody zaczyna się rozpraszać i w końcu przybiera na powrót swój zwykły, niebieski kolor. Ledwie teraz widoczne fale przeszły przez siebie i sunęły dalej, ale straciły całą swą wcześniejszą energię.

Wszyscy w McMurdo zaczęli krzyczeć, skakać i padać sobie nawzajem w objęcia. Kathryn stała bez ruchu, czując, jak uchodzi z niej cała energia. Jednocześnie do oczu napłynęły jej łzy. Nie do wiary, po prostu nie do wiary. Udało się. Naprawdę się udało.

W Waszyngtonie całkowicie wyczerpany prezydent opadł z powrotem na fotel. Pozostali mężczyźni entuzjastycznie bili brawo, a Stevas, wciąż trzymający się na uboczu, klaskał najmocniej ze wszystkich. Cała grupa wpatrywała się w monitor, patrząc, jak woda wiruje i zlewa się na powrót z resztą oceanu. Carr ukrył twarz w dłoniach i tylko potrząsnął głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał zielonego pojęcia.

Clay wyszedł za Palinem z portalu do dużego, niebieskiego pokoju. Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że stoją w środku wielkiej kuli otoczonej wodą. Portal za nimi zniknął, a wnętrze pomieszczenia pociemniało, pozwalając jego oczom się dostosować. Spojrzał na najbliższą ścianę, po czym podszedł do niej. Woda zdawała się w jakiś sposób stanowić część tego pokoju. Niedowierzając, odwrócił się i spojrzał na Palina, który tylko się uśmiechnął. Clay wyciągnął rękę i dotknął ściany. Jego palec przeniknął przez nią i zanurzył się w zimnej wodzie po drugiej stronie. Cofnął rękę i spojrzał na pozostałą na dłoni wilgoć. Skosztował. Słona morska woda.

Wyjrzał dalej w głąb oceanu i dostrzegł rozmyty kształt pierścienia, wielki i nieruchomy. Zwrócił się do Palina.

- To jest to miasto. Wasze osiedle.

- Tak.

- Trafiliśmy tu już wcześniej, prawda? - Clay rozejrzał się dokładniej po pokoju.

Palin zrobił zabawną minę.

- Tak, ale wtedy byliśmy nieprzytomni.

Clay uśmiechnął się i skinął głową. Wyjrzał przez ścianę na zewnątrz, gdzie widać było setki podobnych kul. Coś przykuło jego wzrok, a kiedy odwrócił się w tamtą stronę, ujrzał jakiś obiekt zmierzający ku nim. Wyglądał jak tworzący się tunel prowadzący do nich z innej kuli. Szło nim w ich stronę kilka osób.

Tunel połączył się z ich pokojem i wyszła z niego mała grupka pod przewodnictwem kobiety ubranej w ciemnoniebieską szatę. Na głowie miała opaskę wysadzaną kamieniami. Podeszła do nich płynnym ruchem, zatrzymując się w odległości kilku kroków.

- Witam pana, panie Clay - powiedziała z uśmiechem. - Nazywam się Laana. - Wyciągnęła ku niemu dłoń, a on ujął ją delikatnie.

- Laana. - Clay skłonił się lekko.

Spoglądała na niego, wciąż się uśmiechając.

- Pragnę panu podziękować. Bardzo nam pan pomógł. Gdyby nie pan, obawiam się, że nie przetrwalibyśmy.

- Z całym szacunkiem, chyba ja też byłem częścią problemu.

Spojrzenie jej błękitnych oczu złagodniało.

- Można tak powiedzieć, ale byli też inni. A jednak w końcu to pan przyniósł nam ratunek. Sprowadził pan Palina z powrotem na czas, abyśmy mogli ochronić siebie i pierścień. Gdyby nie pan, obydwie kręgi zostałyby zniszczone i ani nasz, ani wasz lud by nie przetrwał.

Clay przyjął komplement.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Rozbrzmiał za nimi głośny dźwięk. Mężczyzna odwrócił się i zobaczył, że pierścień powoli zaczyna się znowu obracać.

- Co teraz? - zapytał.

Wskazała ręką ludzi za sobą.

- Teraz wracamy do domu. - Odpowiedziała na jego następne pytanie, zanim zdążył je zadać. - Mamy już dość wody, aby przetrwać i dalej się rozwijać.

Clay zauważył, że z tyłu za nią niektóre z odległych kul zaczęły się przemieszczać. Zdawały się odrywać od pozostałych i unosić w stronę środka kręgu. Kolejno oddzielały się następne, aż płynęły ich całe dziesiątki. Clay zdał sobie sprawę, że kobieta wciąż trzyma go za rękę. Teraz uścisnęła ją serdecznie.

- Cieszymy się, że Palin trafił na dobrego człowieka, któremu mógł zaufać.

- Mam parę pytań - powiedział. - A właściwie to całkiem sporo.

Uśmiechnęła się.

- Nie wątpię.

- Czemu o wszystkim nam powiedzieliście? - Obejrzał się przez ramię na Palina. - Czemu tak chętnie wszystko nam zdradziliście?

Laana przechyliła głowę.

- Palin zgodził się mówić. Był pana dłużnikiem. Widzi pan, ten mężczyzna, którego pozwolił mu pan uratować na pokładzie waszego statku... to jego syn.

Clay otworzył szerzej oczy.

- Nie miałem pojęcia.

Znów się uśmiechnęła.

- Poza tym wiedzieliśmy, że nie zdołamy długo pozostać w ukryciu.

Clay zastanowił się nad następnym pytaniem. Obawiał się tego, co może usłyszeć. Wziął głęboki oddech.

- Czy jest... - zaczął, ale Laana uniosła dłoń i przerwała mu.

- Co do pozostałych pytań - powiedziała - będziecie musieli sami znaleźć na nie odpowiedzi. To nierozsądne, aby dana rasa zbyt szybko uzyskała taką wiedzę. Proszę mi zaufać.

Mówiąc to puściła jego dłoń i odsunęła się o krok. Pozostali stojący za nią, ubrani w podobne szaty, skinęli mu głowami i odwrócili się płynnie. Jeden po drugim wchodzili do tunelu, który znów się pojawił, prowadząc w przeciwnym kierunku.

Pozostał tylko Palin. Tunel, wciąż otwarty, czekał na niego. Mężczyzna podszedł do Claya i wyciągnął rękę.

- Dziękuję ci, Johnie Clay.

- Nie ma za co, Palinie. - Clay spojrział na niego z uśmiechem. - Bracia?

Palin uścisnął mu dłoń.

- Bracia.

Alison siedziała w tym, co pozostało z jej dużego laboratorium. Akwarium zostało oficjalnie zamknięte na trzy tygodnie. Z podłogi usunięto dywan, a dziesiątki robotników zajmowały się naprawą ścian. Po przeciwnej stronie pomieszczenia wykładzina została już położona na nowo, a Lee i Chris pomagali w ponownej instalacji serwerów. Nowe biurka były wnoszone przez hol i ustawiane pod ścianą do czasu wykończenia podłogi. Zapadał wieczór i robotnicy zaczęli powoli rozchodzić się do domów.

Spojrzała na zbiornik. Kule usunięto, a dziury po nich załatano niemal bez śladu. Za szybą Sally unosiła się w wodzie, kurując z głębokich ran, pokrywających całe jej ciało. Alison była jeszcze bardziej pokiereszowana. Na prawej ręce miała gips, a większą część jej twarzy pokrywały skaleczenia. Mocno uszkodziła sobie nogi, ale na szczęście za jakiś czas będzie się mogła rozstać z wózkiem inwalidzkim.

Czuła się w tym miejscu jak w otwartym grobowcu. Pomyślała o ludziach, którzy zginęli. O Dirku, który naiwnie wpłynął w sam środek pułapki, sądząc, że robi coś dobrego.

„Delfiny to bez porównania wspanialsze istoty niż ludzie - pomyślała. - Bardziej niż my zasługują, żeby być tutaj”.

Pochyliła głowę. Dirk i Sally były dla niej jak dzieci i utrata jednego z nich zadała jej o wiele większy ból, niż kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić.

Nagły rozbłysk światła sprawił, że Alison uniosła wzrok i rozejrzała się po pomieszczeniu. Wymieniwszy z Chrisem i Lee zaintrygowane spojrzenia, odwróciła się z powrotem. Gdy jej wzrok spoczął na akwarium, zamarła. W wodzie, obok Sally, unosił się Dirk, powoli unosząc i opuszczając ogon. Sally, uradowana, zaczęła raz po raz opływać go wkoło, nie zważając na rany. Dirk trącił ją czule nosem, gdy przepływała obok. Po kilku chwilach przeniósł uwagę na Alison i podpłynął do ściany zbiornika. Otworzył pysk i coś powiedział, ale bez pomocy IMIS nie dało się go zrozumieć.

Obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem, zastanawiając się, czemu Alison drży. Minie jeszcze trochę czasu, zanim zdoła wytłumaczyć mu, czym jest ludzki płacz.

Niemal rok będzie też musiał upłynąć, zanim Alison dowie się, co właściwie się wydarzyło.

Prezydent Carr podszedł do mównicy. Wyglądał, jakby przez ostatni tydzień gwałtownie się postarzał. Uśmiechnął się i rozpoczął konferencję prasową.

- Drodzy rodacy, pragnę dziś z niepokojem, ale i dumą, przedstawić nadzwyczajne dokonania naszych mężczyzn i kobiet w mundurach, którzy powstrzymali nie jeden, lecz dwa ataki terrorystyczne z użyciem broni jądrowej. Jak wiecie, uniknięcie ataku nuklearnego na amerykańskiej ziemi jest dla nas najwyższym priorytetem i to właśnie udało nam się dziś osiągnąć. Dwa samoloty, jeden z Bliskiego Wschodu, a drugi z Afryki, zostały zidentyfikowane i zniszczone zanim dotarły do naszych wybrzeży. I choć możemy się cieszyć, że zdołaliśmy je zatrzymać, bomby były rzeczywiście uzbrojone i przy zderzeniu doszło do detonacji. Na szczęście nie było wielu ofiar śmiertelnych. Przypuszczamy, że te dwie głowy zostały skradzione z rosyjskiego arsenału, w związku z czym...

Clay oglądał prezydenta ze swojego stołka przy krańcu baru. Historyjka była lepsza niż się spodziewał. Sięgnął po piwo, którego jeszcze prawie nie ruszył.

„Rządy kłamią - pomyślał. - Zawsze tak było i zawsze tak będzie”.

Uniósł szklankę do ust, ale zatrzymał ją w pół drogi i odstawił z powrotem. Westchnął i powoli wstał, trzymając się za bok. To będzie długa rekonwalescencja.

Wyciągnął z portfela banknot i upuścił go na ladę.

Wyszedłszy na ulicę, postanowił trochę się przejść i ruszył w stronę Alei Konstytucji. Kilka przecznic dalej, ponad dachami budynków, był już w stanie dojrzeć czubek pomnika Waszyngtona. Wszedł do parku, znalazł

wolną ławkę i usiadł, podziwiając pomniki ku czci przodków.

- Jak następnym razem będziesz miał jeden z tych swoich genialnych pomysłów - rozległ się za nim głos - na mnie nie licz.

Clay, zaskoczony, odwrócił się szybko i zobaczył za sobą Steve'a Caesare. Mrugnął kilka razy.

- Co... jak? - Wstał z miejsca, zastanawiając się, czy ma przywidzenia.

Caesare, z ogromną ilością bandaży widoczną spod ubrania, stał uśmiechając się do niego.

- Nie rozumiem - powiedział Clay, ruszając w jego stronę.

Caesare wzruszył ramionami.

- Tam w laboratorium, jak już przeszedłeś przez ten cały portal, ja też zdążyłem się przeczłochać, zanim się zamknął. Potem za bardzo nic nie pamiętam.

Clay stał jak wryty, potrząsając głową. Oczy zaczęły mu się robić wilgotne.

- Oj - powiedział Caesare. - Mam nadzieję, że się tu nie rozbeczysz. Ludzie patrzą.

Clay uśmiechnął się i otarł łzy. Podeszedł do przyjaciela i uściskał go, po czym obaj jęknęli z bólu.

- A właśnie - zagadnął Caesare, odsuwając się. - Słyszałeś o Stevasie?

Clay pokręcił głową.

- Nie.

- Zniknął wszystkim z oczu. Podobno jego żona zgłosiła zaginięcie i nikt nie może go znaleźć. Co za strata, no nie?

- Pewnie Carr wtrącił go do więzienia.

- Z tego co słyszałem oni też nie wiedzą, gdzie się podziewa.

Spojrzeni po sobie ze zdziwieniem. Po dłuższej chwili na twarze obu mężczyzn wypłynęły szerokie uśmiechy. Odwrócili się i ruszyli w stronę wyjścia z parku.

- To co teraz? - zapytał Caesare. - Jednak dostanę moją emeryturę, nie?

Clay zatrzymał się i zmarszczył brwi.

- Rany, tak mi przykro, już powiedziałem Borgerowi, że może ją sobie wziąć.

Caesare roześmiał się.

- Niech cię, John, jeszcze nawet nie wystygłem.

Clay uśmiechnął się do niego i spojrział na zachodzące słońce.

- W sumie to myślałem, żeby się przejechać na południe, do Miami. Może zajrzę do akwarium. Podobno ciekawe rzeczy się tam dzieją.

KONIEC

